

Najnowszy bestseller

„Sharon Bolton zmienia oblicze literatury kryminalnej.”

TESS GERRITSEN

SHARON BOLTON

**MISTRZ
CEREMONII**


AMBER

SHARON BOLTON

**MISTRZ
CEREMONII**

Przekład
ANDRZEJ JANKOWSKI



Redaktor prowadzący
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Kim Christensen/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Craftsman

Copyright © Sharon Bolton 2018
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6729-6

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Carrie

Drogi Czytelniku!

W wiosenny dzień 1612 roku młynarz o nazwisku Richard Baldwin z Lasu Pendle w Lancashire wygnał ze swojej ziemi dwie kobiety, nazywając je „czarownicami i nierządnicami”. Groził, że „jedną spali, a drugą powiesi”. W ten sposób wywołał ciąg zdarzeń, który doprowadził do uwięzienia, osądzenia i stracenia dziewięciu kobiet pod zarzutem morderstwa dokonanego za pomocą czarów. Były to niesławne procesy czarownic z Pendle.

Według legendy noworodki płci żeńskiej urodzone w cieniu Wzgórza Pendle są dwa razy chrzczone. Najpierw w kościele, jak zwykle się to robi. A potem jeszcze raz, w ciemnej sadzawce u stóp wzgórza, gdzie oddaje się je na służbę zupełnie innemu panu. Takie dziewczyny całe życie borykają się z niezwykłą spuścizną, bo być kobietą z Pendle jest zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

O ile wiem, chrzczono mnie tylko raz, ale jestem kobietą z Pendle. Powieszono w 1612 roku mogły być moimi prapraciotkami albo pochodzić z rodu babć. I odkąd pamiętam, wiem, że gdybym urodziła się w czasach mizoginii i przesądu, pewnie zaszufladkowano by mnie jako wiedźmę.

Bo zawsze byłam inna – trochę dziwna dziewczyna, która siedzi z tyłu klasy, nie płynie z prądem i chodzi własnymi ścieżkami – więc zawsze intrygowało mnie, jak to się dzieje, że niektóre kobiety zamieniają się w wiedźmy.

Północ Anglii, moja mała ojczyzna, to mroczne miejsce. Od stuleci uciekali tam ludzie o odmiennych poglądach, a banici mieli się doskonale. Na krótko przed moim narodzeniem Ian Brady i Myra Hindley polowali na dzieci z północy. Kiedy byłam młodą kobietą, moja wolność została mocno ograniczona, bo postrach siał Rozpruwacz z Yorkshire. Mary Ann Cotton, Harold Shipman, Peter Dinsdale, Donald Neilson, wszyscy ci zabójcy pochodzili z północy. Często pytają mnie, dlaczego piszę takie książki. Może to jest odpowiedź.

Ale jest książka, którą zawsze chciałam napisać. To książka o mnie i o kobietach takich jak ja. O kobietach z północy, które wyróżniają się z tłumu i które ten tłum karze za to, że mają śmiałość być inne. Zawsze chciałam napisać książkę o wiedźmach. Czy same dokonują wyboru, czy wybór dokonuje się bez ich udziału? Zwykłam myśleć, że to drugie, że wiedźmy są tworzone przez społeczności. Teraz, po paru latach badań, nie jestem tego pewna. Już nie odrzucam samej idei czarownictwa. Teraz uważam, że spoczywają w nas moce. A niektórzy z nas wiedzą, jak ich użyć.

Mistrz ceremonii to opowieść o kobietach i wiedźmach. O dzieciach, które kochamy i musimy je chronić. I o mężczyznach, którzy nas przerażają.

Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Sharon Bolton

Część 1

Lecz nasyciłem się okropnościami.
Makbet, William Szekspir przeł. Leon Ulrich

1

Wtorek, 10 sierpnia 1999

W najgorętszy dzień roku Larry Glassbrook po raz ostatni wrócił do rodzinnego Lancashire, a mieszkańcy miasta pojawili się, żeby go pożegnać.

Nie byli przyjaźnie nastawieni.

Może mi się tylko wydaje, ale tłum przed kościołem chyba zgęstniał podczas krótkiej, chłodnej mszy pogrzebowej i każdy chciał zająć dobre miejsce, jak przed wielką paradą.

Gdzie nie spojrzałam, stali ludzie. Między nagrobkami, wzdłuż muru, na ścieżkach. Jak jakaś straszna straż honorowa. Wychodzimy za trumną na słońce dość jaskrawe, żeby nim przyżegać rany, a oni na nas patrzą, nic nie mówią, nie ruszają się.

Chociaż datę utrzymywano w tajemnicy, jak długo się dało, dziennikarze stawili się tłumnie. Policjanci w mundurach odpychają ich, oczyszczają z ludzi ścieżki i krużganek, ale fotografowie przynieśli drabiny i wielkie teleskopowe obiektywy. Krągłe puchate mikrofony prezenterów wyglądają tak potężnie, że można by nimi nagrać truchtanie myszy kościelnych.

Patrzę w dół, podsuwam wyżej okulary przeciwsłoneczne, chociaż wiem, że teraz wyglądam inaczej. Trzydzieści lat to dużo czasu.

Kilka metrów przede mną kropelki potu zbierają się na szyjach karawaniarzy niosących trumnę. Zostawiają za sobą ślad, zapach płynu po goleniu, przesiąkniętego piwem potu i zbyt rzadko oddawanych do pralni chemicznej garniturów.

Standardy obniżyły się od czasów Larry'ego. Ludzie pracujący w firmie Glassbrook & Greenwood Pogrzeby nosili garnitury czarne, jak świeżo wyrąbany węgiel. Ich buty i włosy lśniły, a ogoleni byli tak dokładnie, że widać było tylko gołą skórę popstrzoną wysypką. Ludzie Larry'ego nieśli trumnę z szacunkiem, jak dzieło sztuki, którą się zajmowali. Larry nie pozwoliłby na tanią laminowaną trumnę, którą widzę przed sobą.

Gdyby wiedział, że jego pogrzeb będzie poniżej standardów, przy których trwał, byłby gorzko rozczarowany. Z drugiej strony może roześmiałyby się, głośno, okrutnie, jak czasem mu się zdarzało, w najmniej spodziewanych chwilach, kiedy taki śmiech najbardziej wytrącał z równowagi. A potem pewnie przejechałby palcami po czarnych włosach, mrugnąłby znacząco i nadal tańczyłby do taśmy z Elvisem Presleyem, którą ciągle puszczał w warsztacie.

Mimo upływu tylu lat nawet myśl o muzyce Elvise Presleya przyprawia mnie o bicie serca.

Tania trumna z tymi, którzy ją niosą, skręca jak wielki pełzający owad i schodzi ze ścieżki. Zmierzamy na południe, w stronę grobu rodziny Glassbrooków, upał jest tak silny i wnikliwy na naszych twarzach, jak reflektor w zapuszczonej hali z estradą. W Lancashire, wysoko na wrzosowiskach, upalne dni są rzadkością, ale dzisiaj słońce postanowiło dać Larry'emu przedsmak temperatur czekających na niego w następnym miejscu odosobnienia.

Zastanawiam się, jakie słowa powinny znaleźć się na jego nagrobku:

„Kochający mąż, oddany ojciec, bezlitosny zabójca”.

Mijają ostatnie minuty nad ziemią, tłum napiera i cofa się równocześnie, jak pływ, niepewny, czy ma przybrać czy opaść.

Wtedy kątem oka, częściowo zakrytego oprawką okularów słonecznych, spostrzegam nastolatków. Chłopca i dwie dziewczyny – małych, chudych, ubranych w krzykliwe kolorowy poliester. Oczy dorosłych biegają po cmentarzu, z

niepokojem po żałobnikach, z nerwowością po policjantach, z ciekawością po mediach. Nastolatki patrzą tylko na główną żałobnicę, kobietę, która idzie za pastorem, tuż przede mną.

Jest piękna, tak piękna, że kiedy miała piętnaście lat, nikt nie byłby w stanie tego przewidzieć. Włosy są miodowego blond koloru, ciało stało się pełniejsze. Już nie przypomina karnawałowej pacynki z głową za dużą w stosunku do patykowatego ciała. Oczy, które patrzyły jak oczy wystraszonych małpiatek w telewizyjnych programach przyrodniczych, teraz pasują rozmiarem do twarzy. Czarna sukienka, którą nosi, ma świeżą teksturę i kolor nowego nabytku.

Pomruk szeptów poświadcza, że gapie idą za nami. Kobieta w nowej czarnej sukience odwraca głowę. Nie mogę się powstrzymać i robię to co ona. Widzę, że troje nastolatków też tam idzie.

Na ich widok rana na mojej lewej dłoni zaczyna mnie boleć. Wkładam dłoń pod pachę i przyciskam ją, żeby mniej bolało. Trochę pomaga, ale czuję pot spływający mi między łopatkami. Pastor jest równie zrelaksowany jak ja. Wyjął chusteczkę, ociera kark, osusza sobie czoło, ale modlitwy pogrzebowe rozpoczyna w nastroju człowieka, który wie, że zaraz się to skończy. W wyznaczonym czasie karawaniarze zwalniają liny i trumna chwiejnie schodzi w dół, aż przestajemy ją widzieć.

Wtedy to przychodzi nam do głowy. Widzę własne myśli odzwierciedlone w oczach ludzi wokół mnie, a po tłumie rozchodzą się fale niepokojącej energii.

– Zasługiwałeś na coś gorszego, draniu! – woła jakiś głos za mną.

Właśnie to robił Larry swoim młodym ofiarom. Opuszczał je do ziemi. Tylko że nie były martwe.

Jeden z nastolatków, najmłodszy, odłączył się od rówieśników i stanął na pół ukryty za kamieniem nagrobnym. Patrzy na mnie z figlarną ciekawością. Stephen, szybko przypominam sobie jego imię. Chude dziecko w niebieskiej koszuli to Stephen.

Przystojny, spocony karawaniarz podaje mi ziemię, więc biorę garść i zbliżam się do grobu. Na wieku trumny nie ma kwiatów, w kościele też ich nie było. Nie przypominam sobie, że bym kiedyś widziała kościół bez kwiatów, i nagle dopada mnie wizja parafianek, które uroczyście, po cichu wchodzą w nocy do kościoła, żeby je wynieść, bo to nie jest okazja na kwiaty.

Blisko ściany kościoła, ledwie widoczny za tłumem, stoi mężczyzna, który kiedyś był zakrystianem. Teraz włożył czarny garnitur. Nie podnosi wzroku i nie sądzę, żeby ten mój stary przyjaciel mnie zobaczył.

Rzucam ziemię, wiem, że jest podawana stojącym za mną żałobnikom, którzy uprzejmie kręcą głowami. Zatem wzięcie ziemi było niewłaściwym postępkim. Postępkim, który mnie wyróżnił. Znowu.

Modlitwy się skończyły.

– Nie sądzicie – improwizuje pastor, który nagle zrobił się odważny – aby nie być osądzonymi.

Kłania się, nie wiadomo komu, i oddala truchtem.

Karawaniarze wtapiają się w tłum. Też się odsuwam i kobieta o miodowych blond włosach zostaje sama przy grobie.

Nie na długo. Gapie przylepiają się jeden do drugiego, żeby też wziąć udział. Masa powoli pełźnie do przodu. Nastolatki też się zbliżają, chociaż w jaskrawym słońcu trudniej ich dostrzec niż dorosłych.

Gapie zatrzymują się. Kobieta w czerni patrzy wprost na nich, ale nikt nie spogląda jej w oczy.

Potem występuje do przodu sześćdziesięciolatka, aż jej stopy w sandałkach i paznokcie u nóg zabrudzone kurzem dosięgają brzegu grobu. Znam tę kobietę. Przed laty wystąpiła przeciwko mnie, kiedy cierpienie i gniew przeważyły nad poczuciem przyzwoitości. Pamiętam jej gruby palec dźgający w stronę mojej twarzy, jej gorzki oddech, kiedy nachylała się i żądliła mnie groźbami i oskarżeniami. Nazywa się Duxbury, jest matką Susan, pierwszej ofiary Larry’ego.

Stojąc na skraju grobu Larry’ego, wciąga powietrze, nachyla się do przodu i pluje. Chyba pierwszy raz w życiu coś takiego zrobiła. Ślina jest rzadka, spada kroplami. Jeśli słyhać jej uderzenie w drewno, to go nie słyszę. Następna osoba, która podchodzi do grobu ma większą praktykę. Wielki, łysy mężczyzna o byczym karku, chyba młodszy, niżby wskazywały bruzdy na jego skórze. Odchrząkuje, a flegma, solidna jak zasychająca farba, uderza w trumnę. Podchodzą inni, jeden po drugim, trumna u ich stóp musi być pokryta kwiatami splunięć.

Ostatni nad grobem jest starszy mężczyzna, chudy, o ciemnej skórze z oczami jak głazy. Rozgląda się.

– Nic osobistego, kochana – mówi do kobiety w czarnej sukience, a ja próbuję

wyobrazić sobie coś bardziej osobistego niż plucie na grób. – Nigdy nie mieliśmy do ciebie pretensji. – Krzywonogi, złamany artretyzmem, odchodzi.

Przez jakąś minutę, może dłużej, kobieta w czarnej sukience stoi bez ruchu, patrzy na coś w oddali. Potem, nie oglądając się, przechodzi po trawie na dróżkę, pewnie przygotowując się na ścieżkę zdrowia reporterów i fotoreporterów. Podczas mszy trzymali się na odległość, ale przyszli tutaj po coś i nie odejdą bez czegoś.

Idę za nią, ale moją uwagę przyciąga jakiś dźwięk. Zatrzymuję się. Słyszę, jak nastolatki wydają piskliwe, ssące odgłosy i próbując naśladować dorosłych, plują na trumnę Larry’ego. Chyba mają najwięcej powodów, ale to, co robią, jest marne i poniżej ich poziomu. Chyba powinnam z nimi porozmawiać, powiedzieć, że już czas iść, ale kiedy się odwracam, już ich nie widać. Przed trzydziestu laty tych trojga dzieci jeszcze nie było na świecie, a jednak nie mogę się powstrzymać i myślę, że kobieta w czerni też widziała ich duchy.

2

Nie ma sposobu, żebym dokładnie się dowiedziała, co przecierpiała Patricia Wood przez te godziny, odkąd zniknęła. Chyba powinnam uznać to za błogosławieństwo.

Kiedy ją znaleźliśmy, wszyscy mówili, że nie mogą znieść myśli o tym, że to zbyt straszne, żeby sobie to wyobrażać, że nie powinno się zaprzętać sobie tym głowy.

Gdybym tylko mogła się powstrzymać. Wyobraźnia to cenne narzędzie, istotne dla każdego szanującego się detektywa. Jest też najcięższym z krzyży, które dźwigamy.

Więc wyobrażam sobie, jak Patsy powoli odzyskuje świadomość, a jej pierwszą jasną myślą jest, że trudno jej oddychać. Materiał okrywający jej twarz to satyna, lekka, ale przyduszająca w ograniczonej przestrzeni.

Musiał być zły smak w ustach, po części wynik kilku godzin bez picia.

Najgorsza musiała być dezorientacja przez te pierwsze kilka minut, kiedy nie miała pojęcia, gdzie jest ani jak się tam dostała. Wszelkie wspomnienia, które mogła wyłowić, musiały być na wpół uformowane, masa przypadkowych obrazów i urywki rozmów. Pewnie próbowała otworzyć oczy, zamknąć je, znów otworzyć, żeby nie zobaczyć żadnej różnicy.

Myślę, że wtedy próbowała się poruszyć. Podeprzeć się i usiąść. Wtedy naprawdę zaczęła panikować, bo zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych możliwości działania.

Oczywiście było gorzej. Patsy znajdowała się głęboko w ziemi. Pogrzebana żywcem.

3

Jeden z dwóch starszych reporterów patrzy, kiedy odchodzę, mruży oczy, przeszukując wspomnienia. Podjęłam słuszną decyzję, że nie włożyłam dzisiaj munduru. Minie trochę czasu i mnie namierzą, ale ja im tego czasu nie dam. Przepycham się za bramę, idę pod górę, w stronę samochodu. W każdym razie bardziej są zainteresowani kobietą w eleganckiej czarnej sukience o miodowych blond włosach. Musi mieć eskortę policji, żeby przebić się przez tłum. Zerkam na nią, samochód, który na nią czekał, odjeżdża. Patrzy na mnie z fotela dla pasażera. W kościele nie dała żadnego znaku, że choćby wie o mojej obecności. Założyłam, że o mnie zapomniała, że byłam dla niej jeszcze jednym ciekawskim świadkiem wydarzenia. Spojrzenie zza przyciemnianej szyby mówi mi, że pamięta mnie doskonale.

Kiedy przeprowadziłam się do Sabden, wolałam zamieszkać z Glassbrookami niż w jakimś innym pensjonacie, bo w tej rodzinie wyczułam ekscentryzm, który do mnie przemawiał. Czymś się różnili od większości ludzi spotykanych przeze mnie w mieście. Widziałam w nich kolorowe, egzotyczne ptaki, otoczone stadem małych, hałaśliwych, zakurzonych wróbli. Ledwie minęły dwa tygodnie w Lancashire, a już dotarło do mnie, jak bardzo inna jestem w oczach ludzi wokół mnie. Chyba szukałam pokrewnych ptaszków. Nie był to jedyny błąd, który popełniłam w tym mieście.

Glassbrookowie mieszkali na przedmieściach Sabden, w wielkim, wolno stojącym domu jednorodzinnym. Wąski, zwirowany podjazd zarośnięty jest teraz chwastami, a nasiona mleczu szybują w moją stronę jak armia powietrzna. Mech pokrywa niskie kamienne ogrodzenie otaczające ogród, a trawa między drzewami owocowymi nie była przycinana od miesięcy, może nawet lat. Teraz to mała łączka. Białe pęki trybuli leśnej sięgają niemal do najniższych gałęzi drzew, na których śliwki, już zgniłe, obsiedziane są przez osy. Na drzewach rośnie mnóstwo jabłek, ale małych i robaczywych. Papka pod drzewami nasuwa myśl, że kolejne

zbiory spadły i zgniły.

Pokonuję jedyny zakręt na podjeździe i widzę dom. Kamienny dworek zbudowany dla zarządcy fabryki albo kupca handlującego wełną na początku XX wieku. Farba złuszczyła się z robionych na portyk drzwi, a wielkie okno wykuszowe jest brudne i gdzieś tam popękane. Ten pokój był salonem dla lokatorów, w którym spędzałam wieczory, kiedy nie miałam racjonalnego powodu, żeby zostać w pracy, a w moim pokoju czułam się zbyt samotna. Dwaj pozostali lokatorzy byli mężczyznami. Jeszcze jeden posterunkowy, Randall (mówiono na niego Randy) Butterworth i cichy grubasek po czterdziestce, Ron Pickles, który pracował u Larry'ego w przedsiębiorstwie pogrzebowym. Czasem ze sobą rozmawialiśmy, bywało, że zagraliśmy w karty, ale głównie gapiliśmy się w ziarnisty, rozhuśtany ekran dwunastocalowego, czarno-białego telewizora. Mówiło się, że rodzina w większej bawialni, której okna wychodziły na tylny ogród, ma kolorowy telewizor, ale to pozostało w sferze plotek.

Małeńki telewizorek nadal tutaj jest. Podobnie jak pokryte PCW fotele, latem śliskie i lepkie, zbyt chłodne, żeby były wygodne zimą. Nie licząc rozbitych żarówek zaśmiecających dywan, plam wilgoci na ścianach i brudnych szyb, salon dla lokatorów jest dokładnie taki, jak go zapamiętałam.

Poszłam ścieżką na tyły, wpatrując się w ściany i okna domu. W bawialni rodziny zasłony są zaciągnięte, ale i tak nie pamiętam tego pokoju. Nigdy mnie do niego nie zaproszono. Tylne drzwi są otwarte.

Wchodzę i zaglądam do pomieszczenia, które nazywano tylną kuchnią. Jest małe, z wielkim kamiennym zlewem i poplamionymi, drewnianymi blatami. Na przymocowanych do ścian półkach stoją pokryte kurzem naczynia, matowe szkła i wielkie miedziane patelnie. Moja matka nazwałaby to kuchnią butlera, ale słowo „butler” nie należało do słownika mieszkańców Sabden w 1969 roku.

– Jest tam kto? – pytam.

Nikt nie odpowiada. Bolesne rwanie przebiega mi rękę od dłoni po łokieć, kiedy wchodzę do środka. Drzwi naprzeciwko mogą doprowadzić mnie do większej kuchni, w której Sally gotowała posiłki dla rodziny i lokatorów. Wywary i mikstury, jak to nazywał Larry, powstawały w tym pomieszczeniu, a przechowywane były w wielkim kredensie przy tylnych drzwiach. Sally miała kuchenkę gazową, która była już stara w 1969 roku, do gotowania ziół i korzeni.

Kuchenka nadal tu stoi.

Gdzieś z tyłu słyszę ciche brzęczenie, odwracam się i widzę, że pszczołom jakoś udało się dostać do środka, ale już nie na zewnątrz, bo kilkanaście czarnopomarańczowych trupków leży na parapecie. Sally trzymała pszczoły. Na skraju ogrodu stały cztery ule. Zimą i wczesnym latem, kiedy tu mieszkałam, często chodziła karmić pszczoły i sprawdzać, co z nimi. Wkładała wtedy gęsty biały welon i grube rękawice. W gorące dni siedziała i obserwowała przewidywalną trajektorię pszczół robotnic śmigających z uli w stronę kwiatów.

Miała zwyczaj, dziwny, ale czarujący, informowania pszczół o ważnych wydarzeniach w rodzinie. Kiedy Cassie, jej starsza córka, uzyskała stypendium w szkole muzycznej, Sally natychmiast wychodziła, żeby powiedzieć o tym pszczołom. Informacja o śmierci ciotki Larry'ego dotarła do pszczół, zanim dowiedzieli się o tym niektórzy z członków rodziny. Sally powiedziała mi, że nieszczęście spadłoby na dom, gdyby pszczoły trzymane były w niewiedzy.

– W czym mogłabym pomóc? – powiedział ktoś tonem, z którego wynikało, że wcale nie ma zamiaru mi pomagać.

Odwracam się i widzę w drzwiach korpulentną siwowłosą kobietę po siedemdziesiątce. Grzebię w torebce i wyjmuję z niej legitymację policyjną. W Lancashire nie jest ważna, ale wątpię, żeby kobieta o tym wiedziała.

– Zastępca komisarza Florence Lovelady – mówię. – Szukam rodziny.

– Nie mieszkają tu od lat – odpowiada z typową dla niej nutką triumfu przy oznajmianiu złych wieści.

Wiem, kim ona jest. Sally miała „kobietę do wszystkiego”, która przychodziła codziennie, żeby pomagać przy gotowaniu i sprzątanii. Ta kobieta podawała mi śniadanie i kolację przez sześć dni w tygodniu przez pięć miesięcy, a co dwa tygodnie przynosiła do pokoju komplet czystych nylonowych prześcieradeł. Nigdy nie pukała, tylko oznajmiała: „Prześcieradła”, i rzucała je na łóżko. Zawsze wymagano ode mnie, żebym sama słała łóżko, ale jestem całkiem pewna, że ona robiła to za dwóch mężczyzn, którzy tutaj mieszkali. Była z tych kobiet, które są szczęśliwe, że mogą obsługiwać mężczyzn, ale uważają za poniżej swojej godności, żeby to samo robić dla kobiet, szczególnie młodszych od siebie. W końcu lat sześćdziesiątych najgorsza dyskryminacja na tle płci, z jaką musiałam sobie radzić, zawsze przychodziła od innych kobiet.

Wodzę wzrokiem po zakurzonych powierzchniach, spoglądam na martwe owady i mówię:

– Dziwi mnie, że tego nie sprzedali.

– Dziewczyny chciały sprzedać. To Sally trzyma się tego kurczowo.

– Jesteś Mary, prawda? Mieszkałam tutaj. W sześćdziesiątym dziewiątym. – Nie dodaję, „kiedy to się stało”. Chyba nie potrzeba.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Rodzina mówiła do mnie Flossie – dodaję niechętnie. – Miałam wtedy inne włosy. W znacznie jaśniejszym odcieniu czerwieni.

– Rude – mówi Mary. – Koloru marchewki.

– Co u ciebie, Mary? – pytam.

– Miałaś mnóstwo piegów. – Mary robi krok do przodu, jakby chciała sprawdzić, czy nadal je mam. Mam, ale z czasem wyblakły. – Robiłaś się cała czerwona, kiedy ktoś cię zawstydził.

– Wiesz, gdzie jest Sally? Nadal żyje?

– W Barley, w domu opieki. Nie porozmawia z tobą.

W rękę nadal trzymam legitymację.

– Pozwolisz, że się rozejrzę? – pytam.

– Rób, co chcesz – mówi. – Przyszłam po kartofle. Potem zamykam.

Zostawia mnie, idzie w stronę ogrodu warzywnego, a ja wchodzę dalej. Nie otwieram drzwi do bawialni – stare nawyki pozostają – i nie interesuje mnie salon dla lokatorów. Idę natomiast wysoko sklepionym korytarzem prawie do drzwi frontowych, potem skręcam i wchodzę po schodach. Mój pokój był najmniejszy z wynajmowanych lokatorów, na tyłach domu, z widokiem na Wzgórze.

Drzwi przywarły do framugi i przez chwilę kusi mnie, żeby uznać to za znak, że niczego się nie zyska na wyławianiu starych wspomnień. Ale moja żyłka uporu zawsze wygrywa z rozsądkiem i mocno naciskam drzwi.

Liliowo-niebieska narzuta na łóżko, której nie znosiłam, nadal tu jest, ale jej kolory wyblakły po latach ekspozycji na światło słońca. Wąskie łóżko pod oknem jest zaścienione i nie byłabym zaskoczona, gdyby to były prześcieradła, pod którymi sypiałam przed tak wielu laty, a techniki kryminalistyczne niedostępne dla nas w latach sześćdziesiątych wykryłyby moje ślady. W końcu, kto by tu zamieszkał po tym, co się zdarzyło? Drzwi wąskiej szafy są otwarte. Jedna z szuflad w komódce

przy łóżku nie jest domknięta. Zauważam plastikową szczotkę do włosów, która mogła kiedyś być moja. Jakby nikt nie był w tym pokoju, odkąd w pośpiechu z niego się wyprowadziłam. Randy'emu i mnie zakazano wracać po aresztowaniu Larry'ego Glassbrooka. Inni policjanci zabrali nasze rzeczy i resztę czasu w Lancashire spędziłam w pensjonacie po drugiej stronie miasta.

Trzy plakaty policyjne, które przyklepiłam do ściany, nadal wiszą.

„Zaginiony”, głosi pierwszy. „Widzieliście Stephena Shorrocka?” „Zaginiona”, głosi drugi. „Widzieliście Susan Duxbury?” A na trzecim znów: „Zaginiona. Pomóżcie nam znaleźć Patsy”. Wbrew utyskiwaniu Mary, że są makabryczne i uszkodzą tapetę z wiórów drzewnych, zawiesiłam je dokładnie na wprost łóżka. Widziałam je co rano jako pierwszą rzecz po przebudzeniu i jako ostatnią wieczorem.

Podchodząc do domu, unikałam przyglądania się warsztatowi Larry'ego, parterowemu budynkowi z cegły, niedaleko tylnych drzwi, ale teraz nie mogłam uniknąć tego widoku. Płaski dach znajduje się tuż za moim oknem.

Wyciągam rękę i dotykam ściany, żeby utrzymać równowagę, głęboko nabieram tchu, chociaż powietrze wewnątrz jest stęchłe i gorące.

To w warsztacie Larry spędzał większość czasu i puszczał tam muzykę – nie, nie chcę mieć tych piosenek w głowie – i robił trumny i skrzynie na szczątki zmarłych z Sabden.

I nielicznych żywych nieszczęśników.

4

Słowa trumna i skrzynia używane są wymiennie, ale są zupełnie różne. Trumna to sześć- albo ośmiokątne pudło naśladowujące zarysy ciała, rozszerzona w okolicy ramion i zwężająca się w kierunku stóp. Przywodzi na myśl zmartwychwstanie Drakuli. Skrzynia jest większa, kwadratowa, zazwyczaj z wielkim, wygiętym wiekiem.

Larry Glassbrook robił oba te rodzaje, ale skrzynie ze szlachetnego drewna były jego pasją. Mieszkałam u jego rodziny przez pięć miesięcy w 1969 roku i raz – chyba wtedy się nudził – zaprosił mnie do warsztatu. Przy pracy puszczał muzykę – prawie na pewno Elvisa Presleya – i od czasu do czasu robił przerwę, żeby pokręcić biodrami albo szesać do tyłu czarne włosy. Larry był przystojnym mężczyzną i do maksimum wykorzystywał swoje podobieństwo do Króla Rock and Rolla. Nie cierpiał na brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej, ale szczerze mówiąc, trochę mnie przyprawiał o gęsią skórę. Nie było jednak wątpliwości co do jego rzemiosła.

Zaczynał od wieka, sklejał i ścisnął w zaokrąglonym imadle długie dębowe deski. Używał klamer, swego rodzaju wytrzymałych zszywaczy, żeby deski się nie mogły rozejść. Pudło robił w podobny sposób, kleił je, unieruchamiał i umacniał belkami, żeby nadać mu wytrzymałość. Lubił się chwalić, że jego skrzynie wytrzymają ciało ważące sto trzydzieści kilogramów i więcej. Wieko przymocowywał do pudła czterema metalowymi zawiasami i szesnastoma śrubami.

Nikt nie mógł wydostać się ze skrzyni Larry’ego Glassbrooka, kiedy zamknięto go w środku. Szczerze mówiąc, mało kto próbował.

W tamtych czasach trumny i skrzynie nie były hermetycznie zamykane. Gdyby były, Patsy Wood mogłaby umrzeć zanim odzyskałaby świadomość. Zamknięcia skrzyń Larry’ego były jego wynalazkiem. Tuż pod brzegiem wieka, dokładnie naprzeciwko zewnętrznych zawiasów, znajdowały się dwa mechanizmy zamykające, ukryte pod dekoracyjnym wykończeniem. Kiedy zamknięto zatrask,

kawałek metalu po wewnętrznej stronie trumny, ukryty pod wyściółką z materiału, wchodził na swoje miejsce i wieko nie mogło się przemieszczać podczas opuszczania do grobu albo gdyby ktoś niezdarnie obszedł się ze skrzynią. Gdyby Patsy wiedziała, gdzie szukać, gdyby udało się jej rozerwać satynową wyściółkę, mogłaby otworzyć skrzynię.

Nadal musiałyby poradzić sobie z toną ziemi nad sobą.

Nie znalazła zamków. Wiedzieliśmy. Ale i tak wyobrażam sobie, jak gorączkowo szukała w małej przestrzeni, w której ją zamknęto. Chyba wtedy krzyczała, głośno, wystraszona, ale też rozgniewana. W wieku czternastu lat nie potrafimy sobie wyobrazić, że może się nam przydarzyć coś naprawdę strasznego. W takiej chwili musiała sobie pomyśleć, że padła ofiarą potwornego psikusa, ale potrwa to tylko chwilę. Jeśli będzie odpowiednio długo zawodziła, wyciągną ją stąd, gdziekolwiek to „stąd” było.

Musiała wykrzykiwać imiona ludzi, których pamiętała, z którymi była, zanim to się stało. Zastanawiam się nad jednym, gdy myślę o czasie spędzonym przez Patsy w trumnie, kiedy przestała krzyczeć do przyjaciół i zamiast nich zaczęła wzywać matkę.

Myślę, że oprzytomniała gdzieś po półgodzinie, ale wyobrażam sobie, jak powoli mija czas, kiedy jest się uwięzionym pod ziemią.

Skrzynie są większe od trumien. Była w stanie sięgnąć ręką do góry, poczuć gładką, plisowaną satynę parę centymetrów nad głową. Chyba wtedy domyśliła się, w czym ją zamknęto. Znała rodzinę Glassbrooków. Wiedziała, czym zawodowo zajmuje się Larry Glassbrook. Pewnie zaprosił ją do warsztatu albo zakradła się tam z przyjaciółmi, żeby zobaczyć drewniane pudła w różnych stadiach produkcji. Zatem wiedziała, że została zamknęta w skrzyni, chociaż prawdopodobnie nazywała ją trumną.

Wyobrażam sobie, jak zamilkła, sądząc, że koledzy (oczywiście, że to byli koledzy – kto inny mógł tak się z niej nabijać?) stoją na zewnątrz i słuchają jej krzyków. Patsy przemogła się i ucichła, sądząc, że szybciej ją wypuszczą, kiedy pomyślą, że jest w prawdziwych tarapatach. Może nawet ze dwa razy sapnęła, jakby oddychanie sprawiało jej problem.

Kiedy to nie poskutkowało, bo nie mogło – jej przyjaciół nie było w pobliżu – myślę, że znów zaczęła krzyczeć, tym razem długo, głośno, z całej siły. Nie mam

pojęcia, jak długo można krzyczeć, zanim okaże się to niewykonalne. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem. Ale w pewnym momencie, może kiedy przez jakąś godzinę była przytomna, Patsy zamilkła, choćby na chwilę.

Wysiłek musiał ją wyczerpać. Pewnie dyszała. Było gorąco. Pociła się. Chyba zrozumiała, że powietrza jest coraz mniej. Wydaje mi się, że wtedy zaczęła myśleć, szukać jakiejś drogi, żeby się wydostać. Pewnie nieśmiało, z trudem zachowując spokój, zaczęła sprawdzać, co jest wokół niej. I wtedy odkryła coś jeszcze straszniejszego niż to, że zamknięto ją w trumnie.

Nie była sama.

5

Widok warsztatu Larry'ego mocno na mnie podziałał. Siadam na łóżku, bo chcę znów normalnie oddychać, odwracam się, żeby już nie widzieć warsztatu. Patrzę na Wzgórze. Spośród wszystkich pomieszczeń w tym domu, z mojego pokoju najlepiej je widać.

Oczywiście, Wzgórze się nie zmieniło. Wątpię, żeby mogło się zmienić. W sierpniu, w słońcu, jest w nim jakieś dzikie piękno, które odsuwa na dalszy plan pamięć o jego strasznej historii, o bezlitosnej egzekucji bezbronych kobiet, która tam się odbyła. Trawa wyzłociła się, a wrzos rozkwitł na południowym stoku. Nagie skały, w jaskrawym świetle, lśnią jak klejnoty. Ten wielki, płaski na szczycie wapienny monolit stał się kanwą tysiąca ponurych legend. Wznosi się nad miasteczkiem, rzuca cień na życie ludzi mieszkających u jego podnóża.

To jest Pendle. Kraina czarownic.

Wysoko nad wzgórzem, prawie niewidoczny na bezchmurnym chabrowym niebie, stoi zagięty zarys malejącego księżyca. Przyjdzie dzień, kiedy księżyc zupełnie zniknie i znów zacznie rosnać. Już dawno zrezygnowałam z prób otrząśnięcia się z myśli o fazach księżyca i wątpię, żebym znów próbowała o tym zapomnieć. Co wieczór, zanim idę do łóżka, szukam go. Kiedy jest w pełni, trochę mocniej zaciągam zasłony, a kiedy jest w nowiu, wiem, że trudno mi będzie zasnąć.

Dzieci uprowadzono, kiedy księżyc był w nowiu.

Nagle słyszę, że coś byczy, potem małe ciało uderza o twardą powierzchnię. Na parapecie, wśród pszczelich truchełek, jedna pszczoła rozpaczliwie próbuje się uwolnić. Sięgając do zasuwki okna, unikam patrzenia na warsztat, przyglądam się natomiast ulom pod murem ogrodu.

Larry był umierający, kiedy ostatni raz go widziałam. Siedział naprzeciwko mnie w pokoju wizyt, kasłał co chwila w poplamioną krwią chusteczkę. Nie miał jeszcze siedemdziesięciu lat, ale wyglądał znacznie starzej. Włosy, nadal gęste i trochę za

długie, pobielają jak śnieg, twarz skurczyła mu się i pomarszczyła, a w głębi każdej zmarszczki widać było linię więziennego brudu. Więźniowie długodystansowcy nigdy nie wyglądają na czystych. Nos miał wielokrotnie złamany, a rana tuż nad prawym okiem sprawiła, że brew wyglądała jak chropawy, pofałdowany zygzak.

– Nigdy mnie o nic nie pytałaś, Florence – powiedział, sięgając roztrzęsioną dłonią po kolejny z papierosów, które go zabijały. – Dlaczego?

– Ciągle pytam. Przez cały czas. – Próbowałam nie gapić się na jego powykęcane, artretyczne ręce. Te ręce, które kiedyś były takie mądre, teraz ledwie były w stanie utrzymać papierosa.

Podwinął wargę, w stylu Elvisa. Tego afektowanego nawyku nigdy się nie pozbył.

– O Sally i dziewczyny, jak się miewam i czy czegoś nie potrzebuję. Nie w tym rzecz. – Nachylił się trochę bliżej. – Mnie chodzi o to, co było. Nigdy mnie o to nie pytasz.

Przez wszystkie te lata, kiedy odwiedzałam Larry’ego, uważałam, żeby nie wracać do sprawy. Wiedziałam wszystko o grze o władzę między skazanymi zabójcami a policjantami, którzy ich zatrzymali, o tym, jak potrzeba uzyskania informacji potrafi zmienić najmądrzejszego nawet funkcjonariusza w emocjonalnego zakładnika żadnego wniosków, których nigdy nie wydobędzie od tej drugiej strony. W tym, co wiedzieliśmy na temat sprawy Glassbrooka, było wiele luk, ale jakoś z tym żyłam. Nie miałam zamiaru żebrać.

– Więc się zastanawiam – z przebiegłym uśmiechem zignorował moje milczenie – czy to dlatego, że boisz się prawdy.

Udałam, że ciężko wzdycham.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Zamyślił się na chwilę, chociaż do tego czasu już na tyle dobrze poznałam Larry’ego, że potrafiłam rozróżnić, kiedy naprawdę myśli, a kiedy udaje. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie. Powiedziałem to pszczołom.

Coś rusza się w domu, może stara belka, może deska podłogowa, ale przy stanie moich nerwów nagły hałas brzmi jak kroki na schodach. Obracam się na pięcie, bojąc się widoku małej procesji martwych nastolatków idących do mnie po schodach, może i samego Larry’ego. Oczywiście klatka schodowa jest pusta.

Większą część tego trzydziestolecia poświęciłam godzeniu się z moimi „duchami”. Wiem, że naprawdę ich tutaj nie ma. Nie wierzę, żeby martwi zostawali z nami ani że naprawdę ich widzimy po ich śmierci. Jednak czasem wyobrażam sobie, że dysponuję podwójnym widzeniem, że patrzę na dwa światy: na ten, o którym wiem, że jest rzeczywisty, widziany przez wszystkich, i na ten drugi, stworzony z mrocznych miejsc w moim mózgu.

W świecie chorej wyobraźni duchy są moimi wiernymi przyjaciółmi.

Muszę już wyjść z tego ponurego domu i niemal zbiegam po schodach. Ani śladu Mary, więc wchodzę do ogrodu. Nadal jej nie widzę. Powinnam jej powiedzieć, że wychodzę, więc omijam warsztat i idę w stronę, gdzie jak pamiętam, była grządka warzyw. Nie znajduję jej, ale uświadamiam sobie, że jestem blisko uli.

„Powiedz to pszczołom”.

Głupi pomysł. Pszczoły nie zostają w zapuszczonych ulach. Już wiele lat temu musiały porzucić cztery gnijące, drewniane konstrukcje. Ale jestem w nastroju sprzyjającym rytuałom, chcę zamknąć sprawę – bo niby po co tutaj przyszedłam? – więc podchodzę ostrożnie, tak jak zawsze robiłam, chociaż szansa, że pszczoły strażniczki wylecą, żeby odeprzeć atak, jest zerowa.

Nic się nie dzieje. Ule są puste. Mimo to podchodzę bliżej.

„Powiedz to pszczołom”.

– Larry nie żyje – mówię cicho, wiedząc, jak głupio bym wyglądała, gdyby Mary była w pobliżu. – Dwa tygodnie temu zmarł w więzieniu.

Z uli nie dochodzi odpowiedź.

– Przykro mi ze względu na waszą stratę. – Czuję się jak idiotka, już mam zawrócić, kiedy widzę, że górna część jednego z uli jest luźno przymocowana, jakby ktoś ją podniósł i nie położył z powrotem jak trzeba. Mam zamiłowanie do porządku, nie podoba mi się to, więc podchodzę bliżej i ostrożnie, bo nadal nie wiem na sto procent, czy ten ul jest pusty, próbuję wepchnąć górną część na miejsce.

Nie chce się przesunąć. Albo drewno jest wypaczone, albo coś przeszkadza. Podnoszę ostrożnie górną część ula, wstrzymuję oddech i zaglądam do środka. Ramy, w których były plastry miodu, zniknęły, pozostawiając zakurzoną pustą przestrzeń.

Nie całkiem pustą.

Pustą, nie licząc czegoś, co jest niemożliwe.

Patrzę na coś, co okoliczni nazywają „obrazkiem z gliny”. Właściwie to nie jest obrazek, ale trójwymiarowa podobizna. Ma około dwudziestu centymetrów wysokości i ulepiona jest z gliny. Z założenia przedstawia kobietę: mówią mi to włosy, piersi, brzuch i szerokie biodra. Nogi figurki ugięte są w kolanach, a jej stopy są związane, a raczej spętane razem z rękami założonymi na plecach. Gorzej, ostre kawałki drewna – wiem, że to tarnina, bo to zawsze jest tarnina – wbite są w jej oczy, uszy, usta, głowę, klatkę i genitalia.

Odgłosy letniego dnia zanikły. Słyszę tylko równomierne bicie własnego serca.

To niemożliwe. Posiadłość została przeszukana od przodu po tył, od strychu po piwnicę, od żywopłotu po mur ogrodu. Tego nie powinno tutaj być, odkąd Larry został aresztowany.

A jednak kto to później podłożył?

„Powiedz to pszczołom”.

Dłoń strasznie mnie teraz rwie. Zawsze tak jest, kiedy jestem zestresowana, ale nigdy nie było aż tak źle. Wyciągam rękę i dotykam figurki koniuszkiem palca, przechylam ją. Kawałek glinianej postaci kruszy się, a ja czuję się fizycznie obolała, ale udaje mi się na tyle ją obrócić, żeby zobaczyć. Już widziałam długie loki. Podejrzywałam to w chwili, gdy je zobaczyłam. Teraz wiem na pewno.

Przy każdej z ofiar Larry’ego znajdowano taką figurkę. Spętanie rąk i nóg przedstawia brak możliwości poruszania się. Ofiary nie mogą poruszać się w trumnach. Tarnina przebija ich oczy, uszy i usta, bo pod ziemią są głuche, nieme i ślepe. Rany w głowie, klatce i genitaliach symbolizują, że życie z nich uchodzi, co jest nieuchronne po zakopaniu w ziemi.

Przynajmniej tak zakładaliśmy. Larry nie powiedział przesłuchującym go policjantom, dlaczego gliniane figurki są ważne. Może mnie by powiedział, ale nie zapytałam.

A powinnam.

Powinnam zapytać, kiedy miałam okazję.

Ta nowa podobizna ma wystarczającą liczbę szczegółów, zwłaszcza w spętanych dłoniach, żebym jasno i wyraźnie usłyszała przesłanie. Prawa dłoń ma pięć rozcapierzonych palców, tak jak instynktownie zachowują się nasze dłonie, kiedy

cierpimy ból. Lewa dłoń leży bezwładnie, miękko zwinięta, z czterema palcami. Tylko z czterema. Brakuje palca serdecznego, tego na obrączkę ślubną.

Bardzo boli mnie teraz moja lewa dłoń. Podnoszę obie ręce do ust, żeby uśmierzyć ból, i palec serdeczny łatwo wślizguje się w lukę w lewej dłoni. Obrączkę ślubną noszę na łańcuszku na szyi, bo przed laty obcięto mi czwarty palec lewej dłoni.

Obrazek z gliny to ja.

6

Ludzie uwięzieni w trumnach nie żyją długo.

Według uzyskanych przez nas opinii, trwa to od paru minut po kilka dni, ale co do jednego biegli byli zgodni: wszystko zależy od rozmiarów trumny i osoby w niej zamkniętej. Tamtego lata dowiedzieliśmy się mnóstwo o litrach sześciennych powietrza, objętości ciała i tempie zużywania tlenu przez człowieka.

Patsy była mała, jej chude ciało nie zajmowało wiele miejsca w skrzyni: znalazłoby się miejsce na tlen, gdyby nie położono jej na trupie.

Skrzynia z Patsy nie była szczelnie zamknięta i gdyby pozostawiono ją na ziemi, dziewczyna miałaby szansę. (Zapewne szansę na śmierć z pragnienia, ale zawsze szansę). Ale ziemia zgromadzona nad skrzynią była równie skuteczna, jak szczelne zamknięcie. Uznaliśmy, że odkąd została zakopana, zostało jej kilka godzin, najwyżej osiem.

W pewnym momencie musiała wybierać między paniczną szarpaniną, żeby się wydobyć, a leżeniem nieruchomo, żeby zachować tlen, który tam jeszcze był, bo skoro ktoś ją tam włożył, to, na litość boską, ktoś ją wypuści.

Jak długo mogła młoda dziewczyna spokojnie czekać, aż kawalarz wróci i wypuści ją z zakopanej trumny? Godzinę? Powiedzmy dwie.

Po stanie, w jakim ją znaleźliśmy, i stanie skrzyni wiemy, że wiara Patsy zachwiała się. Dziewczyna zdarła sobie skórę z rąk, zerwała kilka paznokci, a satyna wysmarowana była krwią. Wyściółka podarta była na strzępy, jej długimi pasmami owinęła sobie pięści, żeby chronić je przed twardą dębiną wieka. Mimo to połamała sobie kilka kostek. Skrzynia przetrwała bez szwanku.

Kiedy usłyszała – słabo, jak przez mgłę – bawiące się dzieci, bo były jakieś dwa metry nad nią, a ziemia tłumi dźwięki tak jak woda – musiała pomyśleć, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Myślę, że wtedy naprawdę wybuchnęła krzykiem, wrzaskiem i błaganiem, żeby ją wypuścić, żeby pomóc jej, na litość boską, i wyciągnąć ją.

Możemy określić czas z pewną dokładnością. Leżała w ziemi przez cztery i pół godziny, gdy pojawiła się pierwsza realna nadzieja na ratunek.

Nie wzięła pod uwagę zwyczajnego strachu małych dzieci, które usłyszały krzyki ze świeżo wykopanego grobu.

7

Mary! – Stoję przy tylnych drzwiach domu i wołam ją. – Mary, musisz tu natychmiast przyjść. – W krzyku jest gniew. Żałuję, że nie ma go we mnie.

Przez kilka sekund nic się nie dzieje. Patrzę, jak pszczoła frunie z jednej łądygi lawendy na drugą, i wtedy Mary wychodzi zza warsztatu Larry’ego.

– Skąd to się wzięło? – Pokazuję palcem glinianą figurkę, która teraz leży twarzą w dół na blacie. – Nie, nie dotykaj tego. Masz przezroczystą plastikową torbę? Albo jakąś taśmę klejącą? Trzeba będzie pobrać odciski palców.

Mówię bez sensu. Głęboko nabieram powietrza i próbuję od początku.

– Mary, czy poza tobą ktoś przychodzi do tego domu? Ktoś cię widział, jak chodzisz po ogrodzie?

Nie odpowiada.

– To ważne. – Niewiele brakuje, żebym straciła cierpliwość, ale nie ma we mnie gniewu. – Możemy porozmawiać na komisariacie, jeśli wolisz.

Zamiast odpowiedzieć, Mary nachyla się, żeby lepiej przyjrzeć się figurce, i robi coś, czego jeszcze nie widziałam. Warczy, obnażając zęby. Nie potrafię tego lepiej opisać. Podwija wargi i wściekle się przygląda.

– Widziałaś to już?

Kręci głową.

– Gdzie to znalazłaś?

– To ja, prawda? Brakuje jej palca. – Podnoszę lewą dłoń, chociaż Mary dobrze wie, co mi się stało. Wszyscy w mieście o tym wiedzą.

Grzebie w kieszeni i wyciąga klucze. Padają z brzękiem na blat, a z figurki odpadają kolejne okruszki gliny i muszę się z całej siły powstrzymać, bo nie chcę krzyknąć, żeby była ostrożna.

– Zamknij za sobą – mówi, idąc do drzwi. – Zatrzymaj klucze. Nie będą mi potrzebne.

Zostawia mnie samą w domu, chcę jak najszybciej wyjść, ale nie mogę się

poruszyć. Stoję w kuchni, w myśli patrzę w otwartą szufladę komódki w mojej pustej sypialni. Szczotka do włosów. Zostawiłam szczotkę do włosów.

Nie jestem zła. Jestem wystraszona.

Owijam obrazek z gliny w starą ścierkę do naczyń i wkładam go ostrożnie do torby z supermarketu. Potem zamykam drzwi. Nie mam pojęcia, dokąd idę. Mogę myśleć tylko o jednym. *Mają moje włosy.*

Mają moje włosy.

8

Nie myślę, biegnąc podjazdem Glassbrooków, nie patrzę, dokąd biegnę. Nie widzę wysokiej męskiej postaci idącej naprzeciwko, dopóki nie zderzamy się. Zanim zdołałam wziąć się w garść, skomlę jak chłostany pies.

– Co jest, kurwa? – Chłopiec, który niemal zbił mnie z nóg, łapie mnie za ramiona i robi pół kroku w tył, żebyśmy oboje się nie przewrócili. – Mamo, mamo, to ja. Nie, nie, mamo, popatrz na mnie.

Nie mogę oddychać.

– No już. Popatrz na mnie i policz do dziesięciu. Raz, dwa...

Zanim dotarł do dziesięciu, zaczęłam oddychać i dołączyłam się do niego, bezgłośnie kończąc liczenie. Już tak robiliśmy.

– W porządku. – Jestem zakłopotana, więc próbuję zrobić srogą minę.

– Co ci mówiłam o przeklinaniu?

– Co się stało? – Mój nastoletni syn, osiem centymetrów wyższy ode mnie, piękny jak bezchmurny brzask po długiej zimowej nocy, ignoruje połajankę. – Patrzyłem, jak jakaś starucha dwie minuty temu biegnie podjazdem. Potem ty. Co to za dom? – Puszczą mnie i robi krok w stronę posesji.

– Ben, nie...

Powoli odwraca głowę.

– To tutaj mieszkali? Obiecałaś tacie, że tego nie zrobisz.

– Widziałeś Mary. Opiekuje się tym domem. – Prawa dłoń mnie boli. Opuszczam wzrok i widzę, że ściskam klucze. Nie mam pojęcia, dlaczego Mary mi je dała. Ani co z nimi zrobić.

Ben znów patrzy na podjazd Glassbrooków. Jest w nim naturalna dla nastoletnich chłopców fascynacja makabrą. Na pewno nie zostałyby w samochodzie, gdybym powiedziała mu, dokąd naprawdę idę.

– Nie mogę uwierzyć, że żadne z was nie wiedziało – mówi, jakby do siebie. – Mieszkaliście w tym samym domu przez cały ten czas i nie wiedzieliście. – Ogląda

się, ale tylko na chwilę. – Sprowadzał je tutaj? Te dzieci, które porwał?

– Powinniśmy iść. Nie jesteś głodny?

Ostatnie kilka kroków i jesteśmy przy samochodzie. Otwieram bagażnik i wpycham figurkę za torbę podróżną.

– Co miałeś zamiar zrobić? – pytam.

Pociąga nosem.

– Przekłuć parę opon. Zwędzić paczkę papierosów z tamtego sklepu. Podpalić garaż. Aha, i chyba zabiłem psa tym czymś, co trzymasz w schowku.

– Co? – Rzeczywiście, zaczynam rozglądać się po ulicy, szukając martwego psa.

– Proszę, powiedz, że tego nie dotykałeś. – Dopiero wtedy widzę jego minę.

– Skąd w ogóle wiesz, że to tam jest? – pytam.

– Szukałem zapalek. – Podaje mi kluczyki, które dałam mu na przechowanie. – Okej, szukałem miętówek. Ale w bagażniku znalazłem zapalki. Wypadły z twojej torby. Mamo, zabrałaś dziwne rzeczy.

– Wsiadaj – mówię. – I trzymaj się z daleka od schowka. Nie mam słów, żeby ci powiedzieć, jak niebezpieczna jest ta rzecz.

Wsiadamy. Pierwsze, co robi Ben, to otwarcie schowka.

– Nie. – Nachyliam się i zatrząskuję schowek.

– Co to jest?

– To kanister z bojowym gazem łzawiącym. Nie powinnam nawet tego ze sobą mieć, a gdyby dopadli cię z czymś takim, oboje mielibyśmy duże problemy.

– Czy to zabija?

– Nie, ale sprawia ból i unieruchamia na kilka minut. Jest po to, żeby kupić sobie czas na zakucie w kajdanki agresywnego podejrzanego.

– A jest taki? Na kim masz zamiar tego użyć? Na herbaciarce, która ci napyskowała?

Ben wie doskonale, że starsi stopniem policjanci, na kilka miesięcy przed emeryturą, rzadko występują na pierwszej linii walki, ale i tak robi mi złośliwe przytyki. Kiedy odbijamy od krawężnika, patrzy tęsknie na schowek.

– Wiesz co, powinniśmy po prostu pojechać do domu – mówię. – Po lunchu.

– Dopiero co przyjechaliśmy.

– Możemy wracać o szóstej. Góra o siódmej.

– A co robi tato? Złapie stopa na M6?

Dojeżdżamy do końca ulicy. Kiedy tu mieszkałam przed laty, ulica była brukowana i trzeba było jechać ostrożnie. Złotą zasadą było „powoli”. Od tamtego czasu pokryto ją asfaltem.

– Mamo, zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie. Zabierzemy go po kolacji z terminalu 2, a to znaczy, że wieczorem muszę być trzeźwa.

Nie kłamię. Nasze plany rodzinne wypadły mi na sekundę z głowy, to wszystko. Wyczuwam, że Ben na mnie patrzy. Nie odwracam się do niego, bo w ten sposób uznałabym jego niewypowiedziane myśli. Że razem z tatą przez cały czas mieli rację. Nie powinnam tu wracać.

– Jesteśmy na miejscu. – Skręcam z głównej drogi na parking za hotelem, w którym zarezerwowałam pokoje na kolejne dwie doby. Gdy wyłączyłam silnik i sprawdziłam esemesy, widzę, że syn patrzy z przerażeniem na wielki, poczerniały od sadzy budynek z ozdobną kamienną elewacją, wieżyczkami, kwiatonami i dziesiątkami brudnych okien.

– Parę kilometrów stąd, przy autostradzie, jest Premier Inn. – Przepraszająco kładę mu rękę na ramieniu. – Jeśli wolisz, możemy się tam zatrzymać. Nie będzie pełno. Tutaj hotele nigdy nie są pełne.

Powoli kręci głową.

– Chyba będzie w sam raz dla rodziny Adamsów. – Bierze obie nasze torby i razem idziemy do wejścia do Czarnego Psa.

Puszcza mnie przodem. Jak zawsze, w miejscach publicznych, jego maniery są perfekcyjne. Kiedy przekraczam próg i wchodzę do ciemnego holu, słyszę niskie warczenie złego psa. W tym momencie gdzieś, w głębi hotelu, zaczyna grać muzyka Elvisa Presleya *Are You Lonesome Tonight?* i wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, trochę ode mnie młodszy, wyłania się z pokoju na zapleczu i opiera o kontuar recepcji.

– Szeregowa policji Lovelady. – Uśmiecha się, ale przy moim zdenerwowaniu wygląda to raczej szyderczo. – Witamy na starych śmieciach.

Chyba zemdleję. To Larry.

9

Myszę, że Patsy musiała krzyczeć, kiedy dzieci już dawno uciekły z cmentarza. Myszę, że kiedy usłyszała znaki życia, znów wstąpiła w nią nadzieja. Słyszała je: one też musiały ją słyszeć. Pobiegly, żeby powiedzieć rodzicom. Wkrótce wrócą z łopatami.

Jeszcze chwila i usłyszysz biegnące stopy, dźwięk metalu zagłębiającego się w ziemię. Usłyszysz miękkie pacnięcia, kiedy ziemia będzie odrzucana. Usłyszysz głosy, żeby się trzymała, że już tu są, że ją wydobędą. Wyciągną ją na światło dnia, osłonią oczy przed słońcem, wleją w gardło trochę soku pomarańczowego, żeby ugasić to straszne pragnienie.

Zmusiła się do zachowania spokoju, żeby oszczędzać tlen, bo teraz musi im dać czas. Nadchodzą.

Nikt nie przyszedł.

Czworo dzieci z trzech rodzin nie powiedziało nikomu, co słyszały. Nie pozwalano im bawić się na cmentarzu i bardziej bały się cięgów od tatusiów niż potwora spod ziemi, którego w swoim mniemaniu obudziły.

10

Mamo? – pyta Ben.

Mężczyzna za kontuarem wyciąga dłoń do mojego syna.

– John Donnelly – mówi. – Przed laty poznałem twoją mamę. W tych okolicach uchodziła za bohaterkę.

Wrócił mi oddech. To nie Larry. Nawet go nie przypomina. Widzę to, kiedy wzrok przyzwyczył mi się do ciemnego wnętrza. Podobnego wzrostu i budowy, ale ma szerszą szczękę i większy nos. Nie jest tak przystojny jak Larry. To John Donnelly, tyle że dorosły.

Wpisujemy się, wymieniamy grzeczności, on wręcza nam klucze, idziemy z Benem na górę.

– To lalka wudu – mówi Ben, kiedy wychodzę z łazienki i znajduję go siedzącego na moim łóżku. Miał na tyle rozsądku, żeby owinać prawą rękę w plastikową torbę i nie dotykać bezpośrednio figurki. – Cholera, to niby masz być ty?

– Tak pomyślałam – mówię. – Dlatego byłam trochę wystraszona, kiedy mnie zobaczyłeś. Ale niby dlaczego? Skąd ktoś miał wiedzieć, że dzisiaj tutaj będę? I mógłbyś wreszcie przestać przeklinać?

Podnosi wzrok.

– Może nie miałaś tego znaleźć.

– Bardzo się cieszę, że cię z sobą zabrałam.

Ben szeroko, z zamkniętymi ustami, uśmiecha się do mnie. W szkole podstawowej jeden z jego kolegów nazwał go Goofy, bo Ben ma mnóstwo wielkich białych zębów i od tamtych czasów wstydzi się tego. Szkoda, bo kiedy się zapomni i uśmiechnie się, promieniując radością, jego uśmiech jest oślepiający.

– Tato telefonował. – Pokazuje moją komórkę leżącą na łóżku.

– Wszystko w porządku?

– Z nim tak, ale dzisiaj może mu się nie udać wrócić.

– Dlaczego?

– Burze nad lotniskiem Charles'a de Gaulle'a. Mnóstwo samolotów ma opóźnienie. Może uda mu się przylecieć do Londynu, ale nie do Manchesteru.

Nick miał się z nami tutaj spotkać. Mieliśmy spędzić następną dobę w Lancashire i razem pojechać do domu. To była szansa, żeby ponownie odwiedzić okolice, w których spędziłam młodość, i pokazać chłopcu, gdzie zdobywałam szlify. Przynajmniej tak oboje udawaliśmy.

– Prosił, żebyś do niego zadzwoniła – mówi Ben. – Uważa, że powinniśmy wracać do domu.

Też myślę, że powinniśmy wracać do domu. Już to mówiłam. Jeśli Nick nie przyjedzie, żeby się z nami spotkać, nie ma powodu, żeby zostawać.

– Co o tym sądzisz? – pytam.

W pokoju przez chwilę panuje cisza.

– Po co tu przyjechaliśmy? – pyta Ben.

– Przedyskutowaliśmy to przecież. Jeszcze jesteś za młody, żeby zostawiać cię samego.

Patrzy na mnie po swojemu. Twarz w ogóle mu się nie zmienia. Jestem gotowa przysiąc, że nawet rzęsa mu nie drgnie, a jednak to zupełnie inna mina.

– Czy to dyskusja – pyta – kiedy tylko jedna osoba mówi?

– Wielu z nas bierze udział w pogrzebach ludzi, których zamknęliśmy w więzieniu – mówię. – To forma zakończenia sprawy. – Siadam obok niego na wąskim łóżku. – Może dlatego, że cały czas, kiedy siedzą, boimy się dnia, w którym wyjdą. Kiedy umierają, strach się kończy. Właściwie to byłam trochę zaskoczona, że nie zobaczyłam w kościele nikogo ze starego zespołu.

Ben kładzie się i opiera stopy o moje kolana.

– To było trzydzieści lat temu. Już nie żyją.

– Wiesz, jesteś naprawdę słodki.

Przez kilka sekund patrzy na sufit, a ja cieszę się, że jesteśmy tak blisko. Potem przenosi wzrok na figurkę, która nadal stoi na stoliku nocnym, i znów siada.

– Mamo, co się stało z twoim palcem?

W jednej chwili nastrój się zmienia.

– Wiesz, co się stało. Mówiłam ci.

– Nie, chodzi mi o to, co się z nim stało potem, rozumiesz? Zachowałaś go?

Przed odpowiedzią muszę głęboko odetchnąć. Nie widziałam swojego dawno straconego palca od... nawet nie chcę o tym myśleć.

– Nie, nie zachowałam go – mówię. – Został dołączony do dowodów, a potem... Nie pytałam, ale sądzę, że poszedł do szpitalnej kostnicy na spopielenie, jak inne odcięte kończyny.

– Więc nie mógł wpaść w niewłaściwe ręce?

– Niewłaściwe ręce były skute, na ławie oskarżonych – mówię.

Zapada między nami cisza, całkowita odwrotność nieskrępowania.

Mają moje włosy. Mają moje włosy. Nie mam pojęcia, o czym myślałam, kiedy uciekałam z domu Glassbrooka. Nie ma „ich”. Nie ma „niewłaściwych rąk”. Już nie.

Ben szybko wstaje.

– Na skali od jednego do dziesięciu, jak bardzo jesteś na mnie teraz wkurzona? – pyta.

Patrzę mu w oczy.

– Czyżbyś powiedział „wkurzona”? Było sześć. Teraz wzrosło do siedmiu.

Unosi perfekcyjnie ukształtowaną brew.

– Więc trochę mi zostało, żeby jeszcze się pobawić?

Przez piętnaście lat jednego dowiedziałam się o swoim synu: jeśli coś zamierza, nie odpuści.

– Co? – pytam.

– Jesteśmy tutaj ze względu na list?

Odpowiadam mu spojrzeniem.

– Jaki list?

– Ten ze znaczkiem pocztowym „poczta królewska Wormwood Scrubs”. Ten, który przyszedł dwa tygodnie temu. Wysłano go na dzień przed jego śmiercią.

Milczę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. A potem mówię nie to, co powinnam.

– Czytałeś moje listy? Szperałeś w mojej torbie?

Twarz Bena pokrywa się szkarłatem.

– Nie, do diabła. W ostatni wieczór wysypałaś rzeczy z torby na stół kuchenny. Zobaczyłem kopertę, kiedy wstawałem, żeby się napić. Nie czytałem go.

– Przepraszam – mówię. – Chodź, znajdziemy coś na lunch i postanowimy, czy zostajemy. Będziesz mógł go wtedy przeczytać. To nie zabierze dużo czasu.

11

Tu była piekarnia Kenyona – mówię, kiedy Ben wraca do mnie z tacą paczkowanego jedzenia i wielkimi jak kubły pojemnikami na napoje. Nie stałam przed ladą w McDonalddie, odkąd skończył siedem lat i nauczył się liczyć pieniądze. Karty dań i różne połączenia posiłków wykraczają poza moją zdolność rozumienia.

– Lada biegła wzdłuż tych dwóch ścian – mówię dalej. – Kobiety z obsługi nosiły brązowe kombinezony, białe fartuszki i białe czapeczki. Robiły mięsne paszteciki, najsmaczniejsze na świecie. Po tej stronie były stoliki. Zawsze było pełno.

Ben nie słucha. Odprawia rytuał McDonalda, w który wchodzi zamawianie rozmaitych toreb z jedzeniem i dodatkami, przyprawianie keczupem, solą i pieprzem w ustalonym porządku oraz rozkładanie serwetek we właściwych miejscach. Wiem, że nie przyciągnę jego uwagi, dopóki nie skończy. Znajduję moją torbę z czymś, co wydawało mi się najmniej kaloryczne z dostępnych potraw, i zaczynam jeść.

– No to dalej – odzywa się Ben po paru minutach. – Pokaż.

Znajduję kopertę i wręczam mu. Ben oblizuje palce i dopiero wtedy wyciąga pojedynczą kartkę jasnoniebieskiego papieru.

– To jest to? – pyta.

– Mówiłam, że to nie zabierze dużo czasu.

– On to napisał?

– Tak.

Ben nagle podnosi wzrok.

– Na pewno?

– Dostawałam od niego po kilka listów rocznie. Znam jego charakter pisma.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Kiedy miałam ci powiedzieć, że jestem na liście życzeń bożonarodzeniowych

jednego z najsłynniejszych w Wielkiej Brytanii seryjnych morderców? Kiedy miałeś pięć lat? Na twoje dziesiąte urodziny? A może jak stałeś się nastolatkiem?

Ben siada prosto, trochę jak surykotka.

– Kartki na Boże Narodzenie? Możemy je sprzedać?

Podnoszę kawę i wytrzymuję jego wzrok przez parę sekund. Ben znów opuszcza wzrok na ostatni list, który Larry do mnie wysłał.

– Co to znaczy? – pyta Ben.

– Myślałam, że ty mi powiesz.

Ignoruje mój sarkazm.

– Inne listy od niego też takie były?

– Nie. Inne były takie, jak można było się spodziewać. Kiedy zobaczył coś na mój temat w wiadomościach, komentował to. Gratulował, gdy coś poszło dobrze, współczuł, gdy nie poszło. Ale głównie pisał o swojej rodzinie. O tym, co robi Sally i dziewczyny.

– Rozwiódł się?

– Byłbyś zaskoczony, jak wiele małżeństw nie rozwodzi się w podobnych okolicznościach. Sonia Sutcliffe była żoną Petera jeszcze trzynaście lat po jego skazaniu.

– Poszłaś na widzenie z Larrym?

Jest tylko jedna racjonalna odpowiedź na to pytanie. Larry Glassbrook pogrzebał żywcem troje dzieci, nie mówiąc o tym, co ze mną chciał zrobić. Nigdy nie okłamuję syna, czy to dobrze, czy źle.

– I to nie raz – mówię. – Larry raz do roku wysyłał mi prośbę o widzenie, prawie zawsze przychodziłam. I nigdy naprawdę nie wiedziałam dlaczego.

Ben nadal napycha się jedzeniem, mówi między jednym a drugim kęsem. Straciłam apetyt. Ben opuszcza wzrok, ponownie czyta list, tym razem na głos. – „Dzięki mnie były bezpieczne przez trzydzieści lat. Teraz twoja kolej...” – Znów podnosi wzrok. – Musisz mieć jakieś pojęcie, o co mu chodziło. Wiedział, że umiera. Mamo, to święte zobowiązanie.

Może nie chciałam pytać siebie dlaczego.

Uśmiecham się teraz na widok poważnej miny syna.

– Morderca mnie zobowiązał? Mogę tylko zakładać, że pisał o Sally i dziewczynach. Że chciał, żebym na nie uważała.

– Chyba tak. – Ben nachyla się nad stołem i ścisza głos. – Więc co jest z tą lalką wudu?

– Z obrazkiem z gliny – mówię.

– Co?

– W tych okolicach nazywa się to obrazkiem z gliny.

Ben ma keczup na górnej wardze. Korci mnie, żeby wyciągnąć rękę i zetrzeć to, ale wiem, że rozzłościłabym go, więc czekam, żeby sam to zrobił.

– Czarownice i czarownicy z Pendle... Wiesz, ludzie, których w siedemnastym wieku powieszono za czary, robili z gliny obrazki swoich wrogów. Była to część rytuału rzucania zaklęć. Żeby nadać figurkom szczególną moc, zapiekali w nich jakąś rzecz z zamierzonych ofiar. Włos, paznokcie, krew. – Wzruszam ramionami.

– Podobno.

– Larry Glassbrook był czarownikiem? – Oczy Bena robią się wielkie z podniecenia.

Ściszam głos, bo jestem pewna, że ludzie przy stoliku obok przysłuchują się nam.

– Nigdy naprawdę nie dowiedzieliśmy się, po co Larry’emu były potrzebne te obrazki z gliny. – Przerywam, żeby pomyśleć. Jak znam syna i tak się wszystkiego dowie. – Znaleźliśmy po figurce w trumnach z ofiarami. Larry nie powiedział, po co tam były.

Ben też stracił zainteresowanie jedzeniem.

– To były małe dzieci?

– Miały po czternaście, prawie piętnaście lat – mówię, jakby to nie było nic takiego.

Na twarzy Bena pojawia się niepewność.

– Były w moim wieku?

Na sekundę w ruchliwej, hałaśliwej w porze lunchu restauracji, zapada cisza. A może to dzieje się w mojej głowie.

– Tak. Były w twoim wieku.

Jego zainteresowanie starymi historiami rozplywa się. Ben jest synem dwojga policjantów. Wie, że każda sensacyjna sprawa z gazety dla kogoś jest bardzo rzeczywista.

– Ciężkie czasy – mówi.

– Najgorsze z ciężkich czasów – zgadzam się. Wiem, że podejmie wątek z Dickensa. Ale on to ignoruje.

– Więc dlaczego się uśmiechasz? – pyta.

Część 2

*Z grobów wstają w tej godzinie
Rozbudzone duchów koła,
I milczące, po dolinie,
Ciągną ścieżką do kościoła.*
Sen nocy letniej, William Szekspirprzeł. Leon Ulrich

12

Poniedziałek, 16 czerwca 1969

Rodzina Patsy Wood mieszkała w szeregowym domu z dwoma maleńkimi pokojami na górze i dwoma na dole, w długim rzędzie poczerniałych od brudu familiaków. Kiedy przyjechaliśmy, na ulicy stał tylko jeden samochód, biały hillman imp, zaparkowany kilka domów dalej.

Ledwie Tom zaciągnął hamulec ręczny, pojawiły się dzieci. Były jeszcze w szkolnych mundurkach, zwabił je gardłowy ryk silnika, nie mówiąc o gładkich, chociaż za głośnych tonach *I Heard It Through the Grapevine* Marvin'a Gaye'a. Wyłoniły się z uliczek, zza sznurów paciorków wiszących w drzwiach, z meczu w piłkę na skrawku wolnej ziemi. Stały i patrzyły, jak wysiadamy z samochodu.

Posterunkowy z wydziału dochodzeniowo-śledczego Tom Devine, tylko trochę ode mnie starszy, ale z większym doświadczeniem, bo wstąpił do policji w wieku osiemnastu lat, był szpanerem, który nie nosił krawata, jeśli mógł tego uniknąć.

Jego jaskrawa koszula w tureckie wzory była rozpięta pod szyją, a kołnierzyk rozłożony szeroko na klapach marynarki. Tom miał gęste włosy, dłuższe, niż pozwalały na to przepisy policyjne, a baczki szerokie i długie. Widziałam kobiety, w policyjnej hali maszynopisania, ukradkiem poprawiające włosy i szminkę, kiedy usłyszały głos Toma na korytarzu, ale sama przyzwyczajona byłam do ogolonych, krótkowłosych mężczyzn, którzy zmierzali do City, na kursy oficerskie w Sandhurst, albo do domu, żeby zająć się rodzinną farmą. Nie mogłam patrzeć na Toma, nie myśląc, że tacie by się to nie spodobało. Ale Tom był żonaty, więc zdanie taty było kwestią sporną.

Plakaty z zaginionymi dziećmi rozklejone na wszystkich słupach latarni wyglądały z każdego okna od ulicy. Patsy zaginęła przed niecałą dobą, ale jej twarz też tam była.

Jedno z rodzeństwa Patsy zaprowadziło nas prosto „na tył”. Pokój był niski, ciemny i ciasny. Nancy, matka Patsy, nachylała się nad pomarańczowym piecykiem, kiedy weszliśmy. Szybko się wyprostowała, a jej twarz przybrała znękaną, twardego wyraz, który w nadchodzących latach miał się stać dla mnie tak znajomy. Ale wtedy widziałam wrogość, nie strach.

– Żadnych nowych wiadomości, Nancy – powiedział szybko Tom. Kierował wypytywaniem sąsiadów, które zaczęło się wcześniej rano, i teraz wrócił, żeby przekazać rodzinie najnowsze informacje i przeprowadzić dalsze przepytanie. Kazano mi dołączyć do niego, bo komisarz pomyślał, że policjantka może być miłym dodatkiem. Miałam zrobić Nancy herbaty, gdyby nie była w stanie znieść tego wszystkiego.

– Musimy cię o coś zapytać – mówił dalej Tom. – Możesz poświęcić nam minutkę?

– Tylko zaniosę im podwieczorek. – Na stole, przy którym siedziało czworo dzieci, Nancy postawiła metalowe naczynie i zaczęła nakładać jedzenie na talerze. To była kolacja, którą widziałam już na północnym zachodzie: po jajku dla dziecka i syпки, polany mlekiem miejscowy ser, który potem się piecze, aż się zważy.

– Super wyglądają te dzieciaki. – Tom kiwnął głową w kierunku bladych dzieci o szeroko otwartych oczach; nie odwracały od nas wzroku. – Z wami w porządku?

Nancy położyła na każdym talerzu kromki białego chleba, wytarła ręce o fartuch i dopiero wtedy poświęciła nam uwagę.

– Florence, która tu ze mną jest, była dzisiaj w szkole Patsy – powiedział Tom. – Poznałeś już Florence? Posterunkową Lovelady? Jest z południa, ale z czasem zaczniesz ją rozumieć.

Nancy zerknęła w moją stronę.

– Rozmawiała z nauczycielami, wychowawcami, z całą resztą personelu, nawet z kucharkami i dozorcą – mówił Tom.

– Ale głównie z dziećmi – dodałam. – Dzieci zawsze wiedzą najwięcej o tym, co się między nimi dzieje, prawda, proszę pani?

– Ośmielę się coś powiedzieć. – Znów ledwie zaszczyciła mnie spojrzeniem. – Ludzie z Pilkington mówili, że źle zabraliście się do tych morderców z wrzosowisk. Że ten, kto porwał dzieci, nadal jest na wolności i że to on zabrał naszą Patsy.

Dzieci wsłuchiwały się w każde słowo, nawet kiedy napychały się jedzeniem.

– Cholerne bzdury, przepraszam za język – powiedział Tom. – To nie ma nic wspólnego z tym, co stało się w Manchesterze. Nancy, daję ci na to słowo.

– Kilkoro z klasy Patsy twierdzi, że jednak dużo mówiła o Manchesterze. – Próbuję nie reagować na twardy wzrok Nancy zwrócony teraz na mnie. – Mówiła o swoich kuzynach stamtąd, robiła wrażenie, że jest z nimi bardzo blisko. Zastanawialiśmy się, czy może wsiadła do pociągu albo autobusu. Może myślała, że będzie mogła zostać u nich na jakiś czas. Może po jakiejś kłótni w domu?

Spojrzenie Nancy zrobiło się jeszcze twardsze.

– Nikt nie mówi, że Patsy pokłóciła się z tobą albo ze swoim tatą – dodał szybko Tom. – Ale musimy wiedzieć, czy macie rodzinę w Manchesterze.

Krótkie kiwnięcie głową.

– Brat Stana mieszka w Deansgate. Ale Patsy nie wiedziałyby, jak go znaleźć. Była tam tylko raz.

– Dzieci bywają sprytne – powiedziałam. – Mogła znaleźć adres, a ty o tym nie wiedziałaś. W bibliotece publicznej są mapy Manchesteru.

– Nasza Patsy nie zakrada się nigdzie – powiedziała Nancy.

– Coś ci powiem, Nance. Ty dasz nam adres, a my każemy policji z Manchesteru, żeby tam zajrzała – powiedział Tom. – I w ten sposób będziemy mogli zamknąć ten wątek śledztwa, żeby tak powiedzieć.

Nancy niechętnie skinęła głową i odwróciła się w stronę stojącej obok komody.

– Jedna z teorii, nad którą pracujemy, jest taka, że troje zaginionych dzieci przebywa gdzieś razem – powiedziałam, kiedy Nancy wyciągała postrzępioną książkę adresową z szuflady. – Że zaplanowali to jako grupa i uciekli.

– Nasza Patsy nie ma nic wspólnego z tym chłopakiem od Shorrocków. Z Susan Duxbury też nie.

– Całkiem szczerze, pani Wood, teraz to najlepszy scenariusz – powiedziałam. – Bo jeśli troje dzieci jest razem, to będą na siebie uważać. Ale nadal są w dużym niebezpieczeństwie, jeśli mieszkają na ulicy.

– No dobrze, zostawimy was w spokoju. – Tom włożył adres do kieszeni. – Nancy, dziękuję za wszystko. Damy ci znać, jak coś znajdziemy.

Drzwi zatrzasnęły się za nami. Tom oparł się o ścianę i wyjął papierosa.

– Przed tobą świetlana przyszłość za biurkiem, posterunkowa Lovelady.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Doskonale wiedziałam, o co mu chodziło. Wiedziałam, że źle mi poszło w domu Woodów.

– Używałaś słów, których ona nie rozumiała, waliłaś zdaniem na oślep i podkreślałaś swój pedalski południowy akcent.

– Niczego takiego nie robiłam.

Właśnie to robiłam. Zawsze to robiłam. Kiszki się we mnie skręcały, kiedy musiałam zadawać się z prawdziwymi, żywymi ludźmi i mówiłam wtedy różne głupstwa.

Tom poszedł do samochodu, po drodze skopał z drogi porzuconą piłkę do skakania.

– Zawsze tak robisz. Myślisz, że w ten sposób naskoczysz na nich z góry. Cóż, tak się nie da. Wychodzisz wtedy na zarozumiałą krowę i nikomu to nie wychodzi na dobre.

Tom jeździł fordem cortiną 1600E, złotym metalikiem z czarnym winylowym dachem. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wszedł.

– Aha, nie pochwaliłaś jej dzieci i nie zaproponowałaś, że zrobisz herbaty.

– Jestem policjantką, a nie panienką do wszystkiego. – Obeszłam wóz i wsiałam do jego rozgrzanego wnętrza.

– Posłuchaj mnie, nasza Flossie. Nie przeszkadza ci, że będę tak do ciebie mówił?

Nie znosiłam śmiesznego imienia, które nadali mi nowi koledzy. Było pozbawione godności i poniżające.

– Przeszkadza, i to bardzo. Mam na imię Florence.

Tom westchnął.

– Kochana, nie lubią cię na komisariacie. Jesteś za mądra, żeby tego nie wiedzieć.

Wiedziałam. Co godzina miałam na to dowody.

– W tym nie ma niczego osobistego – mówił Tom. – Wszyscy wiemy, że jesteś mądra i nie boisz się harówki, ale przestań postępować, jakbyś była lepsza od nas.

Nie sądziłam, żebym była lepsza. Może lepiej wykształcona. Ale nie lepsza w ogólnym tego pojęcia znaczeniu.

Czyżby?

– Ludzie w komisariacie są nieracjonalnie uprzedzeni do wszystkiego, co jest na południe od Manchesteru. A połowa z nich i tak uważa, że kobieta nie powinna być policjantem.

Tom krótko się roześmiał.

– Prawda. Ale mamy nad tobą przewagę liczebną. Zawsze wygramy.

– Nie mogę zmienić akcentu. Ani płci.

– Kochana, nikt tego od ciebie nie wymaga. Po prostu pamiętaj, że jesteś tu po to, żeby pomagać ludziom.

Odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć. Jego ciemnoniebieskie oczy były lekko przekrwione, jakby poprzedniego wieczoru za dużo wypił albo się nie wyspał, a w ograniczonej przestrzeni samochodu czuć było tanią wodę po goleniu. Na kobietach z hali maszynopisania łatwo było wywrzeć wrażenie.

– Jestem tutaj, żeby zwalczać przestępczość – odparłam.

Pokręcił głową.

– Nie, kochana, wcale nie. – Znów westchnął, włączył silnik i pojechaliśmy. Dopiero kiedy wjechaliśmy na główną ulicę, znów się odezwałam.

– Mówiła o mordercach z wrzosowisk. Wcześniej słyszałam o tym w szkole Patsy. – Musiałam podnieść głos. Tom zawsze głośno nastawiał radio i konkurowałam z *Mrs Robinson* Simona i Garfunkela.

– Usłyszysz to jeszcze nie raz.

– Przecież nikt nie myśli, żeby Hindley i Brady byli niewinni? Że prawdziwy

zabójca tych dzieci nadal jest na wolności?

– Nikt, kto myśli normalnie – odparł Tom. – Ale ludzie nie myślą normalnie, kiedy się boją.

Wyprzedził powoli jadącego triumpha i nacisnął gaz. Przytrzymałam się klamki.

– Minie dużo czasu, zanim miejscowi otrząsną się z tego, co ci dwoje zrobili – powiedział Tom. – Może nigdy tego nie przeboleją. Kiedy coś takiego się zdarza, zostają po tym plamy. Ludzie czują się odpowiedzialni, że nie zapewnili dzieciom bezpieczeństwa, nawet gdy chodzi o dzieci sąsiadów albo dzieci z innej części miasta. Dzieci umierają i winni są wszyscy, a ludzie nie mogą dać sobie z tym rady. Nie tak od razu.

– Czy dlatego udajemy, że ta trójka uciekła z domu? – zapytałam cicho.

– Będę udawał, że tego nie słyszałem.

Nie odpowiedziałam.

Tom ciężko westchnął.

– Kochana, nie jesteśmy głupi, wiemy, co się dzieje. Ale tylko pomyśl. Gdybyśmy zaczęli każdego uspokajać, trzymać wszystkich za rączkę i wszędzie gasić pożary, kto do cholery szukałby dzieci?

O tym nie pomyślałam.

– Florence – powiedział Tom. – Niech Bóg nas strzeże, jeśli na wolności jest kolejny zabójca dzieci. Będzie krew na ulicach.

Zajechaliśmy przed komisariat i zajęliśmy miejsce parkingowe. Tom siedział bez ruchu przez kilka sekund, muzyka nadal ryczała. Potem wyłączył radio i popatrzył na mnie.

– Kochana, przepraszam za krytykę. To nie twoja wina, że jesteś z wyższych sfer niż królowa. Ta sprawa nam wszystkim daje się we znaki.

Uśmiechnął się do mnie, wyłączył silnik, a ja pomyślałam, że ludzie wybaczą Tomowi znacznie więcej niż to minimum szczerości.

– Tom – powiedziałam. – Powiedz, kiedy będziesz uważał, że się wyłamuję, ale mam, hm, pewien pomysł.

13

W tamtych czasach komisariat w Sabden nie przypominał żadnego z policyjnych obiektów, które można spotkać dzisiaj. Wydział kryminalny był na pierwszym piętrze, a jego pomieszczenia podzielone były cienkimi ściankami działowymi dającymi tylko złudzenie prywatności, bo nie blokowały dźwięku. Szyby z cętkowanego szkła zasłonięto żaluzjami na brudnych sznurkach zatłuszczonych tysiącem spoconych dłoni, z listewkami obrośniętymi kurzem. Zagrzechotały, kiedy z Tomem otworzyliśmy pchnięciem drzwi.

Poszliśmy wzdłuż metalowych szafek na dokumenty stojących wzdłuż środka pokoju. Wszystkie szuflady pełne były po brzegi. W 1969 roku papier był królem, na komisariacie aż się przelewał. Pudła z teczkami tworzyły stalagmity wokół pokoju, a kiedy się przewracały, zostawały już tak, jako kaskada papieru i kartonu, póki komuś się to nie znudziło. Wtedy spychał je nogą na bok.

Parapety też były zastawione stosami teczek, wśród których od czasu do czasu znalazł się jakiś podręcznik. Okna rzadko otwierano, ze strachu, żeby przedmioty nie spadały na kupujących na ulicy. A jednak zbiór martwych much rozrastał się z dnia na dzień. Sprzątaczkę nie docierały do wydziału kryminalnego. Brakowało im odwagi.

Większość detektywów paliła i przebywając w tych pomieszczeniach, nie byłam w stanie opanować pieczenia oczu.

Zanim komputery zaczęły gromadzić dane, przypinaliśmy informacje dookoła. Na każdej ścianie pełno było notatek, instrukcji, zawiadomień, map, zdjęć zaginionych, plakatów „poszukiwany”. Niczego nie zdejmowano, po prostu pokrywano to papierem z nowymi informacjami. Gdybyśmy zdjęli to wszystko ze ścian, izolacja dźwiękowa pikowałaby na łeb na szyję. Albo ściany by się zawaliły.

Wydział kryminalny była to niewyraźna masa poruszających się papierów, kurzu i dymu z papierosów. Po drugiej stronie pomieszczenia, w rogu, znajdowało się biuro. Tom zapukał i otworzył drzwi, kiedy usłyszał w odpowiedzi chrząknięcie.

Inspektor Stanley Rushton, wysoki, mocno zbudowany mężczyzna około czterdziestki trzasnął słuchawką telefonu i spojrzał na nas przez gęstą chmurę papierosowego dymu.

– Pieprzona cipa – powiedział do nas.

– Szefie, znowu Earnshaw? – zapytał Tom.

– Skąd, do diabła, wiesz?

Nikt nigdy nie siadał w biurze komisarza. Było tam tylko jego krzesło i chciałabym zobaczyć, jak ktoś odważy się na nim usiąść.

– Chłopaki mówili – odparł Tom. – Musisz się przyzwyczaić, szefie. Zbliżają się wybory do rady.

Jeszcze nie spotkałam się z Johnem Earnshawem, ale wiedziałam, że jest przewodniczącym rady miasta. Miał kilka fabryk, był bogaty i wpływowy.

– Na środę wieczór zwołał zebranie rady – powiedział Rushton. – Chce, żebym wyjaśnił, dlaczego jeszcze nie znaleźliśmy tych dzieci. Chce też, żebym wysłał policjantów do Londynu, bo rozeszły się pogłoski, że widziano je w pociągu jadącym na południe. Moich ludzi potrzebuję na miejscu. Fakt, że daje kilkaset funciaków rocznie na fundusz pomocy, nie daje mu prawa, żeby mi mówił, jak mam wykonywać moje obowiązki.

– Nie daje, szefie – powiedział Tom.

Rushton wściekle popatrzył.

– Czego wy, do cholery, ode mnie chcecie?

– Szefie, Florence ma pomysł. Chcemy przeprowadzić go przez ciebie.

Poczułam, że twarz mi płonie. W tamtych czasach łatwo się czerwieniłam, a upał dodawał swoje.

– Myślałam, że moglibyśmy... – przerwałam i znów spróbowałam. – Hm, rozmawiałam z innymi dziećmi w jej szkole, w szkole Patsy, chodzi mi o Patsy Wood, i można by powiedzieć, że w ogóle nie myślą. Pytałam, czy coś pamiętają, a one mówiły „nie” i na tym koniec.

Komisarz popatrzył na zegarek.

– Pozostała nam nadzieja – powiedział.

– Szefie, wiesz, że jutro wieczorem będziesz w *Look North* z tym apelem? – zapytał Tom. – Florence uważa, że należy skontaktować się z producentem i sprawdzić, czy przedtem puściliby krótki film, który pomoglibyśmy im nakręcić.

Komisarz założył ręce i obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Co, teraz zajmujemy się branżą filmową?

– Sir, myślę, że możemy znaleźć dziewczynę, która wygląda jak Patsy, ta sama budowa, kolor włosów, tak podobną, jak tylko się da, i ubrać ją w to, co nosiła Patsy.

Rushton uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Potem weźmiemy tę dziewczynę, można powiedzieć, nową Patsy i kolegów, z którymi była ostatniego dnia wieczorem, i poprosimy, żeby robili dokładnie to, co robili podczas jej ostatnich paru minut. Rozumie pan, ruszą do domu z parku, pójdą Snape Street, Argyle Street, potem Livesey Fold. Na rogu się żegnają, a potem Patsy idzie Nelson Street.

Komisarz otworzył usta.

– Szefie, już straciłem rachubę, ile razy przesłuchiwałem świadków, którzy mówili, że nic nie pamiętają – włączył się Tom. – A kiedy im się da, jakby to powiedzieć, do myślenia, na przykład, „Claretsowie wychodzili”, zaskakują. „O tak, teraz sobie przypominam. Węglarz odjeżdżał, a ja zobaczyłem faceta na motocyklu. Wyglądał podejrzanie, tak mi się wtedy wydawało”.

– Ludzie myślą obrazami – powiedziałam. – Czasem, jak szturchnie się ich pamięć jednym obrazem, wyjdą też inne. Ludzie pamiętają więcej, niż im się wydaje, ale wspomnienia ukryte są głęboko i trzeba znaleźć sposób, żeby wydobyć je na powierzchnię.

Komisarz zrobił zamyśloną minę.

– Całe miasto będzie cię oglądać w *Look North* – powiedział Tom. – Jeśli pokażemy im ostatnie chwile Patsy, właśnie, pokażemy, a nie powiemy o nich, to może sobie przypomną. Oczywiście, w dole ekranu będzie numer telefonu wypisany wielkimi literami.

– Oczywiście – powiedział Rushton. – Chyba nie sądzicie na poważnie, że rodzice Patsy się na to zgodzą? Nie mówiąc o dzieciach innych ludzi.

– Tom ma naprawdę dobre stosunki z mamą Patsy – powiedziałam. – A ja znam Lunę Glassbrook, jedną z jej koleżanek. Na pewno będzie chętna. – Nie dodałam, że według mnie Luna Glassbrook zrobi wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę.

– Mówicie o rekonstrukcji wydarzeń – powiedział komisarz.

– Właśnie – odparłam. – O rekonstrukcji. Sir, to świetne słowo, żeby to opisać.

– Jeśli to zadziała, osiągniemy przełom – dodał Tom. – Jeśli nie, cóż, przynajmniej będziemy wiedzieli, że zrobiliśmy wszystko, co się dało.

Czekaliśmy. Rushton sam miał małe dzieci. Na jego biurku stało zdjęcie syna, Briana, w plastikowym hełmie policyjnym.

– I byłoby to ważne, gdybyśmy... cóż, nie znaleźli ich całych i zdrowych – powiedział Tom.

– Albo gdyby zaginęło kolejne – dodałam.

Przygnębiająca cisza. Znowu to zrobiłam. Czułam wściekły wzrok Toma na swoich plecach.

– Florence może zadzwonić do *Look North*. Zobaczy się, co oni o tym myślą – rzekł Tom. – Ma akcent z wyższych sfer: będzie z nimi rozmawiała z góry.

Zapadło milczenie, Rushton patrzył na nas.

– Telefon chyba nie zaszkodzi.

Wymieniliśmy z Tomem spojrzenia.

– Jak okaże się, że to czuć czymś innym niż lawendą, powieszę was oboje za to, gdzie słońce nie dochodzi. Jasne? – Rushton popatrzył na nas wściekle. – A teraz spieprzać. Przypomnieliście mi, że muszę pójść do fryzjera.

Wtorek, 17 czerwca 1969

Look North zaskakująco chętnie przyjęło pomysł zorganizowania rekonstrukcji. Nie zaskoczyło mnie, że moi koledzy nie. Uprzejmiejsi, mniej krytyczni, uważali to za stratę czasu. Pozostali – teraz cytuję – za głupi pomysł, który przedstawi nas, w oczach całego kraju, jako jełopów, a w ogóle, co sobie myśli ta cholerna paniusia? Komisarz dotrzymał słowa i zwolnił mnie z porannego wtorkowego obchodu, żebym się przygotowała.

Spędziłam ten czas w szkole i na ulicach, planując trasę. Tuż po drugiej wróciłam do komisariatu, głodna i spocona. Wyczułam, że coś się stało pod moją nieobecność. Dotarło do mnie stłumione, „przyszła”, kiedy szłam zatłoczonym korytarzem w stronę stołówki.

Tom siedział sam przy jednym ze stolików. Kupiłam kanapkę z szynką, nalałam sobie szklankę wody. Wiedziałam, że kilka par oczu obserwuje mnie przez salę.

– Obgadują, co? – zapytał, gdy usiadłam.

Rozejrzałam się. Dwoje szybko opuściło wzrok. Jedno nadal się gapiło.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Tom wytarł brzeg talerza kawałkiem białego chleba z margaryną.

– Jak tu rozmawiamy, szef ma na głowie dwóch członków rady miasta, przewodniczącego klubu Rotary i dyrektora szkoły. Dają mu wycisk. A John Earnshaw najbardziej ze wszystkich.

– Chodzi o rekonstrukcję?

Tom odpowiedział udawanym, roztrzęsionym głosem starca.

– To wywoła niepotrzebną panikę, skieruje uwagę w niepożądanym kierunku, źle wpłynie na biznes i sprowadzi siedem plag egipskich na nasze miłe miasteczko na północy.

– Dziesięć – powiedziałam żałośnie.

– He?

– Dziesięć plag egipskich. Chyba myślałeś o siedmiu grzechach śmiertelnych. Więc nic z tego?

– Ależ przeciwnie. – Odwrócił się do marynarki i zaczął przeszukiwać kieszenie.

– Rushton jest jednym z nielicznych lepszych gości w mieście, którzy nie ulegli pokusie wstąpienia do łoży.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. A papierosy masz w kieszeni koszuli.

Klepnął się ręką po klatce.

– Do wolnomularzy. To oni rządzą miastem, a Rushton nie chce do nich dołączyć. Jak sądzisz, dlaczego władze go nie znoszą?

– Więc naprawdę ma zamiar dla mnie zaryzykować?

– Lubi cię. – Tom zapalił papierosa i dmuchnął na mnie dymem. – Sam tego nie rozumiem.

Kolejną godzinę czekałam, żeby usłyszeć, że rekonstrukcja została odwołana. Zaszłam nawet do sali wydziału kryminalnego, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Z gabinetu Rushtona słychać było podniesione głosy, ale gdy otworzyły się drzwi, komisarz tylko przeszedł przez salę w zapiętej kurtce, czapce na głowie i wychodząc, mruknął:

– Życzę szczęścia wieczorem, chłopaki.

Kiedy nadszedł czas, spotkaliśmy się w Sunnyside Park, gdzie Patsy z kolegami spędzili niedzielny wieczór. Było tuż po trzeciej, przed zakończeniem lekcji, ale operator kamery zapewnił mnie, że filtr na obiektywie wywoła wrażenie, że jest zmierzch.

Z bramy parku wyłoniło się sześcioro nastolatków. Wyglądali naturalnie, tak jak chciałam. Do roli Patsy wybrano dziewczynę o imieniu Maureen. Ubranie, które nosiła zaginiona, zniknęło wraz z nią, ale przeszukałam sklepy z używaną odzieżą w śródmieściu i znalazłam czerwony, zapinany sweter i sukienkę w drukowane kwiaty. Nawet matka Patsy zgodziła się, że to pasuje.

Czekałam z producentem na rogu, kiedy przeszły dzieci. Luna, z oczami większymi niż zazwyczaj, dzięki makijażowi, w którym udało się jej wślizgnąć do szkoły, szła obok Maureen. Za nimi był John Donnelly, górujący nad innymi. Jego ojciec był właścicielem największego pubu w mieście, pokrytej sadzą, gotyckiej budowli o nazwie „Czarny Pies”. W wieku piętnastu lat John wcześniej wyrósł i

wyglądał na naturalnego przywódcę grupy.

Miał jakiś dziwny, ponadczasowy wygląd. Ubranie stare, z naturalnego materiału, a nie z krzykliwie ozdobionych nylonów, które nosili inni, a ciemne włosy miał przystrzyżone krócej, niż nakazywała moda. Był jednak przystojnym chłopcem, o skośnych, ciemnych oczach, bladej skórze i długich, zgrabnych nogach.

Tammy Taylor, idąca obok niego, była śliczna, miała długie ciemne włosy i gęstą grzywkę. Podobnie jak Luna, ubrała się za dobrze na kręcenie się po parku. Za nią szedł Dale Atherton, mały, chudy chłopak z włosami tego samego koloru co moje i jeszcze większą liczbą piegów. Na końcu włókł się Richie Haworth. Był niższy i grubszy od innych, a wiecha blond włosów zasłaniała mu twarz. Kiedy dzieci zbliżyły się do ekipy filmowej, właśnie on nie potrafił się oprzeć nieśmiałości kręceniu tyłkiem.

– Możemy to wyciąć – wymamrotał producent.

Kiedy dzieci odeszły Argyle Street od kamery, Luna zwolniła, żeby zrównać się z Johnem i objęła go ręką za ramiona. Wyglądało to na niezwykle jak na nieśmiałą nastolatkę pokaz uczucia. Z drugiej strony te dzieci wcześniej zaczynały umawiać się na randki. Tego samego dnia, w szkole Patsy, jedna z jej koleżanek z klasy powiedziała mi, że Luna chodzi z Johnem od dwóch miesięcy, że Patsy chciała z nim chodzić, ale jej odmówił.

Spodziewaliśmy się, że przy kręceniu rekonstrukcji będziemy mieli widownię, i faktycznie, ludzie, głównie kobiety, obserwowali nas z drzwi i rogów ulic, ale kiedy dzieci doszły do rogu, zauważyłam grupę czterech mężczyzn w garniturach obok zaparkowanego daimlera. Jeden z nich chyba mnie obserwował, ale jako pierwsza policjantka w Sabden przywykłam, że zwracano na mnie uwagę.

Na rogu ulicy dzieci rozeszły się, tak jak to zrobiły w niedzielę wieczór. Maureen poszła sama, w czerwonym swetrze, który wyraziście, jak krew, odbijał się od poczerńiałych kamieni mijanych domów. Minęła sklep na rogu, który musiał być zamknięty, kiedy Patsy wtedy szła, i pub Pod Białym Lwem, który musiał być wtedy otwarty. Przeszła obok bukmachera i domu, który od frontu służył również jako salon fryzjerski. Kiedy dotarła do alejki między budynkami, zatrzymała się.

Alejki – szerokie, brukowane kamieniami drogi biegnące między rzędami przylegających do siebie domów szeregowych – były powszechne na

przemysłowym północnym zachodzie. Przy każdym domu był ogródek wychodzący na brukowaną alejkę. Ludzie często z nich korzystali, żeby nie zabrudzić schodków od frontu i korytarza.

Patsy musiała wracać taką alejką. Tamtędy było najszybciej, a ona spóźniała się. Tylne drzwi Woodów nigdy nie były zamykane.

W ciepłe dni gospodynie domowe na północy wieszały pranie na linkach rozciągniętych nad alejkami, a w czerwcowy wieczór było się na dworze do późna. O czwartej po południu nie dało się stanąć na końcu alejki i zobaczyć, co jest w oddali. Można było się zgubić między rzędami wiszących ręczników, koszul i prześcieradeł. Każdy mógł wślizgnąć się za wielkie prześcieradło i... bach! Już go nie było.

Na znak producenta Maureen weszła w alejkę, odsunęła pierwsze prześcieradło i zniknęła.

15

W miasteczku Sabden w Lancashire u stóp Pendle Hill, od dzisiejszego wieczoru coraz większy niepokój wzbudza los czternastoletniej Patsy Wood, która późnym, niedzielnym popołudniem zniknęła w okolicy swojego domu. Jest trzecim dzieckiem, które w tym miesiącu zaginęło w tym mieście”.

Prezenter chrząknął i obraz telewizyjny zniknął. Zastąpiła go migająca masa szarych kropek. Rozległ się zbiorowy jęk. Ci z nas, którym kazano odpowiadać na telefony, zebrali się wokół jedyne w komisariacie telewizora, poza posterunkowym Butterworthem, który stał za nim, wysoko trzymając antenę, żeby poprawić sygnał.

Obraz pojawił się znowu, kiedy kamera skręciła w lewo, żeby pokazać powiększone zdjęcia Susan Duxbury i Stephena Shorrocka. Susan była gruba, miała ciemnobrązowe włosy wymagające umycia, mocny trądzik i okulary z przychodni. Stephen był mniejszy, chudszy, miał myszate włosy i spięty wyraz twarzy. Żadne z nich nie było szczególnie atrakcyjne, ale sądzę, że mało kto ładnie wygląda, kiedy jest nastolatkiem.

– Susan Duxbury była w szkole do późna, w poniedziałkowe popołudnie, 17 marca, żeby pomóc nauczycielce w sprzątaniu klasy – czytał prezenter. – Wyszła sama. Ostatni raz widziano ją w śródmieściu, niedaleko jej domu. Stephen Shorrock grał w piłkę, w środę, 16 kwietnia. Kiedy dzieci się rozeszły, poszedł do domu główną ulicą Sabden, ale nie dotarł na miejsce.

Prezenter podniósł na chwilę wzrok znad notatnika. – Oboje dzieci zaobserwowano niedaleko stacji kolejowej i dworca autobusowego, co z początku dało powód do podejrzeń, że mogły z własnej woli wyjechać z Sabden, zapewne po to, żeby uciec z domu – powiedział. – Ale po zniknięciu trzeciego dziecka zaczęto stawiać pytania pod adresem lokalnej policji.

Prezenter odwrócił się w stronę mężczyzny siedzącego po jego prawej stronie, a kamera przesunęła się w tył.

– Komisarzu Rushton, to jest trzecie dziecko, które zaginęło na pańskim terenie w ciągu ostatnich miesięcy. Czy robicie coś nie tak?

– Frank, powinieneś zadać pytanie, dlaczego ludzie, którzy coś wiedzą, nie zgłaszają się do nas – odparł Rushton. „Nastolatki nie znikają tak po prostu. Pracujemy nad teorią, że dzieci, które znały się nawzajem, mogą być gdzieś razem. Jeśli tak jest, ktoś będzie coś wiedział.

– Cała trójka chodziła do tej samej szkoły. Czy pańskim zdaniem to jest ważne?

– Jest tylko jedno gimnazjum w Sabden. Na tym etapie chciałbym powiedzieć...

– Panie komisarzu, według was jedno zniknięcie przypada na miesiąc. Czy spodziewa się pan, że w ciągu kilku najbliższych tygodni zniknie jeszcze jedno dziecko?

– To nie ma nic wspólnego z prawdą. W maju nie zgłoszono ani jednego zaginięcia dziecka.

Prezenter uniósł wysoko brwi.

– Cóż, chyba wszyscy odetchnęliśmy. Więc spodziewa się pan, że w lipcu się nam poszczęści? Czy rodzice z Sabden mogą odetchnąć przez kilka tygodni?

Gdyby Rushton był w komisariacie, już by się wściekał. Ale tam po prostu przestał mrugać.

– Na tym etapie koncentrujemy się na odszukaniu Patsy, Stephena i Susan. Oparte na podejrzeniach panikarstwo nie przyniesie niczego pozytywnego.

– Skoro nie chce pan ich ostrzec, żeby uważali, co powiedziałyby pan ludziom z rodzinnego miasta Patsy Wood? – zapytał prezenter.

Komisarz, starannie dobierając słowa, wygłosił apel do świadków, a potem stacja nadała rekonstrukcję.

Dostałam od tego gęsiej skórki. Chociaż przed paroma godzinami widziałam, jak to kręcono, dystans stworzony przez ekran telewizora uczynił z tego coś bardziej rzeczywistego, jakbyśmy naprawdę widzieli ostatnie chwile Patsy. Kiedy Patsy (oczywiście chodzi mi o Maureen) skręciła w alejkę za Nelson Street, usłyszałam, jak ktoś za mną cicho sapnął.

Gdy się skończyło wstrzymałam oddech, przygotowałam się na powtórkę z pogardliwych komentarzy, których musiałam wysłuchiwać przez cały dzień. Na sali panowała nietypowa cisza. Poczulałam kuksańca w plecy, odwróciłam się, Tom mrugnął do mnie.

Zaczęły się telefony. Wielu dzwoniących było pewnych, że widziało, jak Patsy idzie w stronę śródmieścia. Inni zgłaszali, że widzieli ją na dworcu autobusowym, na stacji kolejowej, znów w parku, nawet na promie wypływającym z przystani w Liverpoolu.

Do Rushtona przybyli goście i niechętnie zgodzili się na rozmowę z jednym z komisarzy, kiedy im powiedziano, że inspektor jest nieobecny. Tylko na nich zerknęłam, ale byłam całkiem pewna, że to ci sami czterej mężczyźni, których widziałam wcześniej, jak przyglądali się filmowaniu rekonstrukcji.

Spośród nadchodzących telefonów ten, który się liczył, skierowany był do mnie, bo nikt inny nie pomyślał, że to coś ważnego.

– Wariat na linii! – krzyknął sierżant. – Chodź Flossie, załatw tę sprawę.

Ugryzłam się w język, podjęłam słuchawkę i usłyszałam historię o kimś, kto wołał pomocy. Ze świeżo wykopanego grobu.

16

Cmentarz przy rzymskokatolickim kościele św. Wilfryda znajdował się tak blisko Wzgórza, że trudno było stwierdzić, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Może leżący osobno kamień, który odtoczył się z muru granicznego, oznaczał to miejsce, a może kępa wrzosu, która zakradła się z dziczy na wypielegnowaną ziemię. W każdym razie gdzieś tam zaczynała się rubież, na której paprocie orlice i sucha trawa wrzosowisk zdecydowanie ustępowały nagrobkom i urnom, gdzie strome zbocze przechodziło w płaski teren. Właśnie tam, na osłoniętym miejscu, między sypiącym się murem a najstarszymi nagrobkami, bawiły się miejscowe dzieci.

Słońce stało nisko na niebie, kiedy otworzyliśmy bramę. Cienie wydłużały się, a złoty blask wcześniejszych minut wyblakł do matowego, nijakiego światła. Ciemność pełzła nad Wzgórzem, zmieniając je z zielonego i żółtego w turkusowe, pogłębiając czerń szczelin. Tę porę dnia miejscowi nazywali furtką dnia. Ani to dzień, ani noc, coś pomiędzy, gdy normalne reguły obu są zawieszane. Czas, kiedy wszystko może się zdarzyć. Mieszkałam w Lancashire zaledwie kilka miesięcy, ale już się dowiedziałam, że furtka dnia to czas, gdy gospodynie domowe zamykają okna, zatrząskują zasuwki u drzwi na podwórko, kiedy małe dzieci wołane są do domu.

Kiedy zadzwonili z niezwykłą informacją o dzieciach, które słyszały dziwne hałasy na cmentarzu, sierżant przekazał mi tę sprawę.

Niegrzeczne dzieci, prawdopodobieństwo małe, wizyta na skraju miasta – coś dla posterunkowej Lovelady. Ku irytacji sierżanta musiał wysłać ze mną kierowcę, więc do domu dzieci, o których była mowa, pojechaliśmy z posterunkowym Randym Butterworthem.

To, co usłyszałam od dzieci, wystarczyło, żeby poprosić rodzinę o użyczenie telefonu. Zadzwoniłam do Toma, który natychmiast przyjechał. Był sceptyczny, ale i tak przyjechał i pierwszy poszedł trawiastą ścieżką do grobu. Ojciec dzieci szedł

tuż za nim. Na końcu ja.

Posterunkowy Butterworth został przy bramie.

Grób, o którym była mowa, wznosił się nad ziemią jak świeżo upieczony bochen, gładki, doskonały, owalny. Górna warstwa ziemi wyschła na słońcu, a cienka posypka piasku, jak pełnoziarnista mąka, unosiła się nad nią jak wzburzony kurz.

Dzieci, które miały sześć i dziewięć lat, nie przyszły z nami, ale widziałam, jak patrzą z górnego okna swojego domu. Nie tylko one. Wiadomość rozeszła się i w każdym oknie wychodzącym na cmentarz widać było twarze. Przy bramie też zbierali się ludzie. Randy stał na straży, tyłem do nas, i powstrzymywał ich.

– Ten – powiedział ojciec.

Grób był blisko muru. Wieńce, nadal świeże, leżały rzędem wokół kopca. W pobliżu znajdowało się sekretne miejsce dzieci, prowizoryczny szałas z blachy falistej.

– Jimmy biegł pierwszy – powiedział mi wcześniej starszy z chłopców. – Ja bym został dłużej, ale kiedy usłyszeliśmy krzyk, zwał, a ja uciekłem razem z nim.

Spojrzelśmy na grób, żadne z nas nie wiedziało, co robić dalej. Potem Tom zdjął marynarkę, podał mi ją, położył się na ziemi i przyłożył do niej ucho.

– Najpierw usłyszeli walenie – powiedział ojciec. – I drapanie. Myśleli, że to szczur.

– Trochę ciszej, chłopie – powiedział Tom.

– Potem krzyk – dodał ojciec. – Obaj przysięgali, że to słyszeli. Rozmawiałem z sąsiadami, Rayem i Elaine, ich Micky też to słyszał. Nie zadzwoniłbym do was, gdyby chodziło tylko o moich dwóch.

– Słyszałeś jakieś słowa? – zapytałam wcześniej młodszego z chłopców, z którym rozmawiałam osobno. – Tylko krzyk czy słowa?

Kiwnął, żebym bliżej się nachyliła, i wyszeptał.

– Pomóżcie mi.

– To dobre chłopaki – mówił teraz ich ojciec. – Nie kłamią. Zazwyczaj, w każdym razie.

Tom zmarszczył w skupieniu twarz.

– Może powinniśmy poczekać przy bramie... – zaczęłam.

– Idzie Dwane – powiedział ojciec.

Usłyszałam, jak brama zamknęła się ze szcękami, odwróciłam się i zobaczyłam dziwną postać, która przekonała posterunkowego Butterwortha, żeby ją przepuścił. Rozmiary dziesięciolatka, barki, ramiona i nogi dorosłego. Gęste ciemnobrązowe włosy, szczęka pokryta szczecina i mocne, spalone słońcem rysy wskazywały na mężczyznę około trzydziestki. Miał ogromne oczy i samą głowę miał wielką. Ubrany w matowoszare i brązowe ciuchy robocze trzymał na ramieniu wielką łopatę.

– Zakrystian – powiedział ojciec. – Do niego należy opieka nad grobami.

– Jest coś? – zapytałam Toma.

– Gdybyście wszyscy zamknęli się na sekundę, może będę miał szansę – warknął w odpowiedzi.

Podniosłam jedną rękę, a drugą przycisnęłam do ust, kiedy mały człowiek podchodził coraz bliżej. Wiatr zaszeleścił w drzewach, zaskrzeczał ptak. Z oddali dochodziły do mnie głosy, a od czasu do czasu ryk silnika samochodowego.

Odwróciłam wzrok i zobaczyłam, że nasza widownia wzrosła. Coraz więcej ludzi gromadziło się na skraju cmentarza.

Nie byłam w stanie dłużej się powstrzymać. Dołączyłam do Toma i położyłam się po drugiej stronie grobu. Ziemię czuć było popiołem, rąbanym drewnem i czymś kwiatowo słodkim. Podniosłam wzrok i zobaczyłam frezje, jakieś piętnaście centymetrów ode mnie, a za nimi twarz Toma Devine'a w pozycji horyzontalnej. Przez sekundę patrzyliśmy sobie w oczy. Poczułam niewytłumaczalne, ale mocne skrępowanie. Potem Tom zrobił do mnie minę i wstał.

– Patsy – powiedziałam, za cicho, żeby mieć nadzieję, że słowo dotrze pod ziemię. Chciałam je wykrzyczeć, ale nawet ja wiedziałam, jakie byłoby to widowisko, gdybym wykrzykiwała imię zaginionej dziewczyny w stronę świeżego grobu. – Patsy – powtórzyłam na tyle głośno, na ile się odważyłam.

– Wstań, Lovelady – odezwał się nowy głos. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że nad nami stoi komisarz z dwoma sierżantami.

Komisarz Jack Sharples musiał mieć jakieś metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, bo takie było minimum dla policjanta w tamtych czasach, ale był tak chudy i kruchy, że wyglądał na niższego. Był milczkiem, ale posiadał zdolność odrzucania zbędnych szczegółów i wgryzania się od razu w sedno każdej sprawy. Mówiono na niego Sharples bez Kitu. Był też swego rodzaju legendą w policji, bo

zajmował się sprawą morderców z wrzosowisk. Plotka głosiła, że wyjechał z Manchesteru, bo nie byłby w stanie zająć się kolejną sprawą z martwymi dziećmi.

Dźwignęłam się z trudem. W latach sześćdziesiątych policjantki nosiły dopasowane, czarne spódnice. Były plisowane z tyłu, żebyśmy mogły biegać, ale nie dawały poczucia skromności, kiedy trzeba było podnieść się z ziemi w obecności wyższych rangą policjantów. Zauważyłam z przerażeniem, że obecny jest również ksiądz. I jeszcze jeden człowiek. Tuż po czterdziestce, gruby, o piaskowych włosach, ubrany w garnitur. Znałam tę twarz, chociaż nie pamiętałam nazwiska. Był jednym z tych, którzy siedzieli w daimlerze i przyglądali się wczoraj kręceniu filmu, a wieczorem przyszedł na komisariat.

– Jest coś? – Wyraz twarzy Sharplesa nie pozostawił mi złudzeń, jakiej odpowiedzi po nas się spodziewał.

– Nic. Ale Florence może mieć bystrzejszy słuch niż ja – powiedział Tom.

Pokręciłam głową.

– To nietknięty grób – powiedział wysoki, bezpłciowy głos. Dwane, zakrystian, zajął pozycję u wezgowia przyzmy. Pokiwał głową. – W takim stanie go zostawiłem.

Grób, pokryty wieńcami, wyglądał dla mnie tylko na stos ziemi.

– Skąd ta pewność? – zapytałam.

– Bo jest gładki. – Popatrzył na mnie, jakby pierwszy raz mnie zobaczył. – Ludzie myślą, że kopanie grobów jest łatwe – tylko wykopać i zakopać. Tak się nie da. Gdyby ktoś rozkopał mój grób, wiedziałbym o tym.

– Dwane jest bardzo skrupulatny – powiedział ksiądz. – I bardzo staranny.

Ubrany w garnitur mężczyzna o piaskowych włosach spoglądał za siebie, na ludzi przy kościelnej bramie.

– Naprawdę nie podoba mi się zainteresowanie, jakie to przyciąga – powiedział.

– Dosyć, ludziska. – Komisarz odwrócił się, żeby odejść. – Mamy robotę. Przepraszam, że wyciągnąłem księdza o tej porze, panie Bannister.

– Sir! – Słowo wyleciało mi z ust, zanim zdążyłam pomyśleć, co powiem dalej. Komisarz obejrzał się przez ramię. Tom nie ruszył się, ale patrzył na swoje buty.

– Mamy czworo świadków, którzy twierdzą, że słyszeli głosy dochodzące z tego grobu.

– Czworo dzieci – poprawił mnie Sharples. – Ile lat ma ta dzieciarnia?

– Od sześciu do dziesięciu – włączył się Tom, zanim zdołałam otworzyć usta. Zobaczył, że wściekle się na niego gapię. – Ale to mądre dzieci – wymamrotał. – Nie jołopy.

– Oglądali *Rodzinę Adamsów*, co? – zapytał mężczyzna, do którego zwracano się per Bannister.

– Ich matka na to nie pozwala – powiedział ojciec. – Naprawdę to lubią *Doktora Who*.

– Cóż, sprawa jasna. – Sharples obrzucił mnie wzrokiem. – Lovelady, doprowadź się do porządku, zanim wrócisz.

Spojrzałam w dół. Rajstopy miałam porwane, a na czarnej spódnicy były plamy po trawie.

– Sir, uważam, że powinniśmy się upewnić. – Znów go zatrzymałam, kiedy już miał odejść. Drugi mężczyzna, Bannister, popatrzył na mnie i pokręcił głową.

Zignorowałam go.

– Sir, to nie jest niemożliwe.

– Nikt nie dotykał tego grobu – powiedział Dwane.

– Florence, chyba i tak byśmy jej nie usłyszeli – rzekł Tom. – Naprawdę nie wydaje mi się, żeby dźwięk dochodził przez ziemię.

– Na pewno nie z drewnianego pudła sto osiemdziesiąt centymetrów pod ziemią – powiedział Bannister ze wstrętnym uśmiechem.

– Sto trzydzieści pięć centymetrów – poprawił go Dwaine. – Grób ma sto osiemdziesiąt centymetrów głębokości, trumna ma wysokość czterdzieści pięć centymetrów. Na wierzchu jest sto trzydzieści pięć centymetrów ziemi.

– Nawet jedna stopa może być za dużo – powiedział Tom.

– Skąd wiesz? – zapytałam. – Skąd to w ogóle można wiedzieć? Ktoś próbował?

– Sharples, to się wymyka spod kontroli, mógłbyś wpłynąć na swoją policjantkę? – zapytał Bannister.

Komisarz zrobił krok w moim kierunku.

– Lovelady, mam troje zaginionych dzieci, a gdyby przypadkiem umknęło twojej uwadze, tu jest z nami ta cholerna publiczność. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli opowiadać, że dzieci pochowano żywcem.

– Rozmawiałam z tamtymi chłopcami, sir. Nie sędzę, żeby kłamali.

Komisarz spojrzał na ojca.

– Jestem pewien, że nie kłamali, ale dzieci mają bardzo bujną wyobraźnię. Zabawa na cmentarzu podsuwa im rozmaite pomysły.

– Nie wolno im tutaj się bawić – odparł ojciec. – Raz im powiedzieliśmy, to powiemy jeszcze dziesięć razy. Te stare kamienie bywają niebezpieczne. Zgłaszałem to, ale nie było o czym gadać.

– Utrzymanie cmentarza to obowiązek rady, a nie kościoła – powiedział Bannister. – Tak jak kontrola nad nieposłusznymi dziećmi to obowiązek rodziców.

Ojciec dzieciaków zgarbił się.

– Cięcia – powiedział Sharples. – Wszyscy musimy dawać sobie z nimi radę. O, świetnie, mamy tu teraz cholernych przedsiębiorców pogrzebowych.

Wszyscy skierowaliśmy wzrok na Larry’ego Glassbrooka, który szedł ścieżką w naszą stronę. Nosił sztruksową marynarkę z liliowym obrębkim. Czarne włosy miał zgarbięte do góry. Niebieska koszula była rozpięta pod szyją. Bardziej nie mógł wyglądać na przedsiębiorcę pogrzebowego. Obok szedł jego partner, Roy Greenwood, starszy, wyższy, chudszy mężczyzna, ubrany w dyskretny czarny garnitur.

– Jest coś, co powinienem wiedzieć? – Larry skierował słowa do komisarza, ale uklonił się mnie. – Flossie – powiedział. – Pewnie ci gorąco. Biegłaś?

Sharples chrząknął.

– Posterunkowa Lovelady uważa, że nasza zaginiona nastolatka może się ukrywać w jednej z twoich trumien, Larry.

– Skrzyń – poprawił go Larry. – Cedr z posrebrzanymi okuciami. Piękna sztuka. Wykładana na żółto. Wolę niebieski i czerwony ze srebrem i ciemnym drewnem, ale żółty był ulubionym kolorem starego.

– Pana Simmondsa – powiedział Roy Greenwood zaledwie z cieniem upomnienia. – Pan Douglas Simmonds, lat siedemdziesiąt trzy, zmarł w pokoju, we własnym domu, w ostatnią środę.

– Nikt nie tknął tego grobu – powiedział zakrystian.

– Czy to jest możliwe, panie Glassbrook? – zapytał Tom. – Może nam pan powiedzieć, co dzieje się z trumną, kiedy jest zamykana? Żeby uspokoić Florence.

Bannister głośno wypuścił powietrze. Ksiądz wyglądał na zaniepokojonego.

– Dla Florence wszystko – rzekł Larry. – Stary leży w trumnie już czwarty dzień, odkąd w piątek go zabalsamowaliśmy. Pogrzeb odbył się wczoraj, wcześniej rano,

więc nie było ostatniego pokazu ciała.

– Nigdy tego nie robimy, jeśli msza jest przed jedenastą – powiedział partner Larry’ego. – Wtedy wkładanie trumny do karawanu byłoby trochę za szybkie, a i rodzina zrobiłaby się nerwowa.

Otworzyłam usta. Tom podniósł palec, dając mi znak, żebym znów je zamknęła.

– Więc nikt nie zaglądał do tej trumny, chciałem powiedzieć skrzyni, od... właściwie od kiedy? – zapytał Tom.

– Od piątej po południu w niedzielę – odparł Larry. – Przyszła wdowa po nim z jednym z synów, żeby zobaczyć zmarłego. Pobyli około dziesięciu minut i wyszli.

– A potem pan zabił trumnę gwoździami?

Larry skrzywił się i zaczął tłumaczyć Tomowi i nam wszystkim, jak zamykane są jego skrzynie.

– Więc od tamtego czasu nikt nie miał do niej dostępu? – Bannisterowi chyba wydawało się, że to rozstrzyga sprawę.

– Patsy zaginęła w niedzielę wieczorem – powiedziałam. – Było całkowicie możliwe, że ktoś otworzył skrzynię po tym, jak pan ją zamknął.

– To pewnie tak było – powiedział Dwane.

– Musiałby wiedzieć, jak działa mechanizm. – Larry zignorował Dwane’a.

– Albo być na tyle sprytny, żeby to rozpracować – powiedziałam.

– I musiał mieć dostęp do naszej kaplicy cmentarnej – rzekł Greenwood, chyba najchudszy człowiek, jakiego w życiu widziałam. Górna część jego ciała nachylała się do przodu, jakby kręgosłup nie był w stanie utrzymać całości w pionie. Miał zwyczaj pochylania się nad ludźmi, z którymi rozmawiał.

– Mam nadzieję, że zamykanie drzwi na klucz – powiedział Bannister.

– Zawsze – potwierdził Greenwood niskim, bezbarwnym głosem. – Chyba że spodziewamy się dostawy zwłok. Gdyby ktoś wszedł, nie wiedząc, że dokonujemy balsamowania, nie wyszłoby mu to na dobre. Ale zarówno budynek, jak i podwórze są zamykane na noc.

– Jeśli dzieci rzeczywiście słyszały krzyk, to znaczyłoby, że Patsy żyła – zwrócił się do mnie Tom. – Jak można włożyć żywe dziecko do trumny, nie podnosząc rabanu?

– Nic nie słyszałem, kiedy opuszczałem trumnę – powiedział Dwane.

– Uśpić – odpowiedziałam Tomowi. – Uderzyć czymś w głowę. Oszukać, że to

taki żart.

– Mówiłem Rushtonowi, że pożałuje, zatrudniając kobietę – powiedział Bannister. – Histeria.

– Teraz już nie żyje – stwierdził Dwane. – Mogła wytrzymać parę godzin, od pogrzebu do chwili, kiedy usłyszały ją dzieci, ale nie przez całą noc. Można spokojnie zostawić ją tam, gdzie jest. Nie ma sensu niszczenie tak ładnie usypanego grobu.

– Właśnie, ja wracam – oświadczył komisarz. – Lovelady razem z Butterworthem możecie jeszcze przez godzinę stać na straży przy obu wejściach na cmentarz. Nie, niech będą dwie godziny. Nasz pobyt tutaj rozwiąże ludziom języki, a ja nie chcę, żeby turyści i łowcy duchów włóczyli się i denerwowali rodzinę.

– A na mnie spadnie posprzątanie całego bałaganu – powiedział Dwane.

Sharples odszedł ścieżką. Za nim poszli Bannister i ksiądz, potem Larry i Roy Greenwood. Kiedy Larry odwracał się, poczułam powiew płynu po goleniu, którego zawsze używał. Old Spice. Widziałam pod schodami nowe butelki, jeszcze w pudełkach, które czekały, aż zanieśie się je do łazienki.

– Sir. – Wyminęłam innych, żeby podejść do Sharplesa. – Musimy być pewni. A jeśli ona jest tam, na dole, a my po prostu odchodzimy? Nie można tak.

Bannister wymruczał coś niezrozumiałego, a Sharples ciężko westchnął.

– Nie wolno mi dokonać ekshumacji bez zezwolenia z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zgadza się ojcze?

– Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy się usprawiedliwiać przed najmłodszą policjantką na służbie – zareagował na to Bannister.

– Sir, nie mówię o ekshumacji. Wystarczy usunąć trochę ziemi i poprosić Larry’ego, żeby otworzył skrzynię. Doprowadzimy wszystko do porządku w ciągu godziny.

– Kto zapłaci mi za nadgodziny? – zapytał Dwane.

– Nie słyszałem tego. – Komisarz szedł, nie zatrzymując się.

– Sir, jeśli mamy powód, żeby uznać, że życie jest w niebezpieczeństwie, zwyczajne reguły nie mają zastosowania.

– Lovelady, porozmawiam z tobą o tym na komisariacie – warknął Sharples.

– Szefie, ona ma rację – powiedział Tom. – Możemy rozstawić namiot. Poczekać, aż się ściemni.

– Nie, nie możemy czekać – powiedziałam. – Ile powietrza mogło jej zostać?
– Nic nie zostało – powiedział Dwane. – Dziewczyna nie żyje.
– Tom, ile mieliśmy wieczorem telefonów z informacją, że widziano Patsy na stacji kolejowej? – zapytał komisarz.
– Ponad tuzin – musiał przyznać Tom.
– Właśnie. Wyjechała z miasta pociągiem i wcześniej albo później dowiemy się dokąd. I tak niedobrze, że wygłupiliśmy się z telewizją, Lovelady. Nie przekraczaj granic.

– Daj spokój, Florence – powiedział Tom, kiedy inni odjechali. Wyjął papierosy, zastanowił się i znów je schował.

Spojrzałam w dół. Sto trzydzieści pięć centymetrów luźnej, zawilgotniałej ziemi. Dwane mógłby to odkopać w godzinę.

– Odprowadzę cię do bramy.

Ze strony Toma to nie była propozycja wspólnego spaceru, chciał odciągnąć mnie od grobu. Szłam powoli, opierając się lekkiemu naciskowi na ramię.

– Kim był ten człowiek obok księdza? – zapytałam.

– Reg Bannister, administrator kościoła. Członek Rotary Club.

– I loży?

– Kto wie? Pewnie tak. Słuchaj, kochana, musisz być rozumna i nie węszyć przez kilka dni.

Doszliśmy do ścieżki. Ludzie, którzy przyglądali się dramatowi zza bramy, zaczęli się rozchodzić. Zastanawiałam się, co Sharples im powiedział.

– W mieście jest mnóstwo reporterów – mówił dalej Tom. – W Czarnym Psie nie wynajmiesz pokoju, a tam zawsze były miejsca, odkąd umarła stara królowa. Ta twoja rekonstrukcja – widzisz, wcale nie uważam, że pomysł był zły – tak ich nakręciła.

– Rozgłos pomoże nam znaleźć dzieci – powiedziałam.

Tom zatrzymał się, ja też stanęłam. Nadal trzymał mnie za ramię. Odwrócił się twarzą do mnie.

– Nie wszyscy tak to widzą. Jutro wieczorem będzie zebranie w ratuszu. Potem sprawa zostanie zamknięta. Kierujący się najlepszymi intencjami plotkarze i napastliwe ciule będą pytać, dlaczego policja robi za mało, żeby znaleźć zaginione

dzieci, a inspektor nie będzie miał odpowiedzi. Więc w ciągu doby przeszliśmy od niewygodnego spokoju, kiedy większość przyjęła, że dzieciaki dały nogę z domu, do przekonania, że gdzieś czai się potwór, a chłopaki w niebieskim są bezradni. A kiedy wszystko diabli wezmą, cała wina spadnie na ciebie.

– To nie jest w porządku.

– Nie powiedziałem, że jest. Łatwy z ciebie cel Flossie – przepraszam wymknęło mi się – bo jesteś nowa, młoda i do tego dziewczyna. Ale jesteś też mądra i nie boisz się mówić, co myślisz. Więc ci, którzy inaczej siedzieliby cicho, rzucają się na ciebie, bo nikt nie chce, żeby go zawstydziła dziewczyna. Dotarło?

Dotarło. Nie tylko wystawiłam głowę ponad parapet, odstawiłam na nim stopowanie.

– Też tak uważasz? – zapytałam.

– Nie, ale jestem mądrzejszy od większości z nich.

Zrobiłam minę. W Tomie było wiele: był przystojny, śmieszny, czarujący, kiedy chciał, ale mądry?

Znów wziął mnie za ramię.

– Pozwól, że coś ci poradzę, Florence. Nie zaszkodzi, jak ludzie będą myśleli, że jesteś puszczalska. Może spróbujesz?

Dotarliśmy do bramy. Wyjął z kieszeni kluczyki i skinął do Randy'ego, ale zanim się odwrócił, po raz ostatni nachylił się do mnie.

– Inspektor jest pod wielkim naciskiem, a ty się do tego dołączyłaś. Obiecuj, że już nie zrobisz niczego głupiego.

Obiecałam. Musiałam. Nie oszczędłby, dopóki bym tego nie zrobiła.

17

Szłam podjazdem, było trochę po dziesiątej, kiedy usłyszałam silnik samochodu.

– Flossie. – Sally Glassbrook uśmiechnęła się, wysiadając, ale był to zmęczony uśmiech, a jej płócienna torba położonej wypchana była poplamionym krwią materiałem. – Coś nowego?

– Obawiam się, że żadnych konkretów.

– Zajdź do nas. – Wyciągnęła z samochodu także torbę z cięższym wyposażeniem. – Zrobię ci herbaty.

Niczego bardziej nie pragnęłam, niż położyć się do łóżka, ale wiedziałam, że Sally jest zaniepokojona, więc poszłam za nią do kuchennych drzwi, potem przez zewnętrzną spiżarnię do kuchni, w której przy stole siedziała Luna Glassbrook i marszczyła brwi nad podręcznikiem.

Z głębi domu dochodziły dźwięki pianina. Wydawało mi się, że rozpoznaję Mozarta, ale w kółko grano ten sam krótki kawałek, więc trudno było o pewność.

– Kochana, dlaczego jeszcze nie śpisz?

Luna zignorowała matkę.

– Flossie, widziałaś? Czy to było w porządku? Wydawało mi się, że to głupio wygląda, kiedy zatrzymaliśmy się na Snape Street. Brat Richiego...

– Było doskonale – powiedziałam. – Wszyscy byli naprawdę zadowoleni. To była dobra reakcja.

Jej twarz rozjaśniła się na ułamek sekundy. Potem brwi znów się zeszyły.

– Zdziałało? – Zniżyła głos. – Znaleźliście ją?

– Obawiam się, że jeszcze nie. Ale odebraliśmy mnóstwo telefonów. Trzeba będzie czasu, żeby z nich wyciągnąć wnioski.

– Wuj Richiego powiedział, że wezwano cię do św. Wilfryda, że jakieś dzieci słyszały głosy i że rozkopywaliście groby. Ona nie leży w grobie, prawda?

– Nie. To zupełnie nie ma związku. – Nie podobało mi się, że kłamię, ale taką odpowiedź uzgodniliśmy w komisariacie. Wizyta przy kościele św. Wilfryda była

związana z podejrzeniem wandalizmu. Nie miała nic wspólnego z zaginionymi dziećmi. Jak długo kłamstwo się utrzyma? Można było tylko zgadywać.

Luna zrobiła minę, oczy wypełniły się jej łzami. Pomyślałam, że to pewnie prawdziwe łyzy. Z Luną nigdy nic nie było wiadomo.

– Nie można sobie wyobrazić niczego gorszego – powiedziała.

W pokoju obok Sally wyrzuciła zakrwawione materiały i ręczniki z torby do podwójnej wanny. Sięgnęła po wiązki wysuszonych ziół zwisających z podsufitowych belek i zerwała parę garści. Domyśliłam się, że to lawenda dla zapachu i rozmaryn, ze względu na jego właściwości dezynfekcyjne. Odkąd tam zamieszkałam, nauczyłam się mnóstwo na temat ziół.

– Nie dręcz Flossie. – Pralka zaczęła mechanicznie chlupotać, a Sally podeszła do czajnika. – Wiesz, że niczego nie może nam powiedzieć.

– Pozwól, że ja to zrobię – zwróciłam się do Sally. – Musisz być wykończona.

– To był łatwy wieczór. – Zapaliła zapalką gaz. – Czwooro dzieci praktycznie samo wyszło. Pięćdziesiąt minut od odejścia wód do odebrania łożyska.

– Ma...mo – jęknęła Luna.

– Co się dzieje z łożyskiem?

Wszystkie się odwróciłyśmy i zobaczyłyśmy Cassie, srebrnowłosą, szarooką starszą córkę, jak opiera się o framugę. Potrafiła poruszać się w całkowitym milczeniu. Od pięciu miesięcy mieszkałam z tą rodziną, ale nadal wyprowadzało mnie to z równowagi. Miała też zwyczaj lunatykowania, a od tego jeszcze bardziej można było dostać gęsiej skórki, bo w żadnej z sypialni w tym domu drzwi nie zamykały się na klucz. Wkrótce po wprowadzeniu się obudziłam się pewnej nocy i zobaczyłam ją, jak stoi w otwartych drzwiach do mojego pokoju. Krzyk przerażenia nie obudził jej. Po prostu odwróciła się i odeszła korytarzem.

– Obrzydliwe – wymruczała siostra Cassie.

– Większość matek zjada je. – Sally sypała łyżeczką susz herbaciany do imbryka. Mrugnęła do mnie, zamykając wieczko.

– Żartujesz? – Luna zostawiła pracę domową i gapiała się na matkę tymi ogromnymi oczami, które zawsze – wiem, że to okrutne – przywodziły mi na myśl rzekotkę.

– Niektóre mamy są trochę przeczulone – kontynuowała Sally. – Szczególnie te, które rodzą po raz pierwszy. Zakopywanie łożyska pod drzewem jest dość

powszechne. Wiele daje je położnym, żeby sobie zabrały do domu. Jak tam wieczorna herbatka?

– Znaleźliście ją? – zapytała Cassie, kiedy Luna udawała, że wymiotuje.

Pokręciłam głową.

– Mieliśmy mnóstwo telefonów i jest parę tropów, będziemy nadal szukać.

– Ona nie żyje, prawda?

Luna gwałtownie uniosła głowę.

– Mówisz o mojej przyjaciółce.

– Od kiedy? – Cassie była kilka centymetrów wyższa od Luny i drwiny nieźle jej wychodziły. – Kiedy żyła, nie miałaś dla niej czasu.

– Przepraszam, ale nikt tu nie mówi, że ona umarła. Flossie, wcale nie uważasz, żeby ona nie żyła, prawda?

– Do łóżka. – Uniesione ramię Sally wskazywało drzwi. – Obie.

– Zimny trup, tak jak Susan i Stephen, i to tylko kwestia czasu, kiedy on znajdzie sobie jeszcze kogoś.

Cassie złośliwie się uśmiechała.

– Porywa je, jedno po drugim i nikt nie wie, gdzie znowu uderzy. Luna, sprawdź dzisiaj pod łóżkiem.

Nie mogłam się powstrzymać.

– Cassie, straszysz siostrę.

Starsza z dziewczyn odwróciła się i zdenerwowana wyszła z pokoju. Luna poszła za nią.

– Tak uważasz? – Sally nalała wrzącej wody do imbryka. Sporo wody rozlało się po bokach. – Ktoś to robi?

– Za wcześnie na takie wnioski. – Próbowałam nie myśleć o świeżym grobie jakieś półtora kilometra stąd.

– Czy powinnam zaostrzyć dla dziewczyn zasady domowe? Może wprowadzić ustaloną godzinę powrotu? I upewnić się, żeby nigdzie same nie wychodziły.

– Nie mamy powodu, żeby sądzić, że Patsy i pozostałym stała się jakaś krzywda... – zaczęłam.

Sally popatrzyła na mnie z uprzejmym uśmiechem, który zawsze jej towarzyszył, i nagle zamrugła, a szare oczy zaszyły jej łzami.

– Ja bym tak zrobiła – odparłam. – Tak, na pewno tak. Bezpieczeństwo przede

wszystkim.

Środa, 18 lipca 1969

Bylaam zmęczona, ale długo nie mogłam zasnąć. Rekonstrukcja wydawała się takim dobrym pomysłem, ale skoro nie doprowadziła do niczego konkretnego, to przyciągnęliśmy tylko więcej uwagi do naszej porażki w rozwiązaniu trzech zaginięć. Inspektor odpowie za to przed narodem, ale Tom miał rację: tutaj, w Sabden, wszystko zwałą na mnie.

Kiedy zasnęłam, spałam źle. Budziłam się i znów zapadałam w sugestywne, przerażające koszmary. Jak dało się przewidzieć, byłam zamknięta w ciemnej, ograniczonej przestrzeni. Tom i Dwane stali nade mną, walili w wieko, czekali na odpowiedź, ale ja nie byłam w stanie nic powiedzieć.

Kiedy wrócił mi głos, Tom i Dwane poszli, a ja krzykiem wzywałam matkę.

Nagle obudziłam się, owinięta w wilgotne, nylonowe prześcieradła i przez chwilę bałam się, że krzyczałam na głos. Ale w domu nie było słyhać żadnych dźwięków – w końcu były to milczące krzyki – usiadłam i odsłoniłam zasłony. Nie widziałam księżycy, światło gwiazd było łagodne i stłumione, a Wzgórze widać było tylko jak niewyraźny kształt, ciemniejszy od otoczenia.

Nie sądziłam, że jeszcze zasnę tamtej nocy.

Moja matka. Myśl o niej ścisłała mi serce jak imadło, więc najczęściej starałam się nie mieć takich myśli. Ale często zaskakiwała mnie nieprzygotowaną, wślizgiwała się do moich snów albo przypadkowych myśli. I zawsze przychodziła po coś konkretnego.

Tamtej nocy myślałam o czasach, kiedy miałam dwanaście lat i jechałam z nią gdzieś samochodem. Byłyśmy w wozie tylko we dwie – bracia byli w domu, z nianią – i rzadka przyjemność, jej niepodzielna uwaga, uczyniła mnie bardziej rozmowną, ufniejszą niż zazwyczaj. Nie pamiętam, co jej powiedziałam, ale pamiętam, jak zatrzymała samochód na poboczu i zaproponowała, żebyśmy

wysiadły i rozprostowały nogi. Wspięłyśmy się na przełaz w ogrodzeniu, przeszłyśmy przez pole maków, potem wspięłyśmy się na kolejny przełaz, zatrzymałyśmy się na nim i popatrzyłyśmy w stronę wielkiej wsi, odległej o jakiś kilometr. Potem dowiedziałam się, że to było Bletchley. W jej środku stał wielki wiktoriański dwór z wysokimi ścianami szczytowymi z czerwonej cegły, ze sklepieniami bramami i wypukłym ołowianym dachem nad okrągłym oknem na rogu.

– Pewnego dnia Florence – powiedziała matka – usłyszysz, jak wywołują twoje imię.

Na końcu języka miałam, że słyszę je przez cały czas. Przy trzech młodszych braciach dorośli zawsze potrzebowali mojej pomocy, ale wyczułam, że chodzi jej o coś zupełnie innego.

Patrzyła w stronę dworu z czerwonej cegły.

– Kiedy tak będzie, nie wolno ci się schować i udawać, że nie słyszałaś. Musisz podnieść rękę i powiedzieć: „Jestem tutaj”.

W kolejnych latach zrozumiałam, bo nie powiedziano mi, że matka brała udział w wojnie. Coś ją przyniosło z rodzinnego Hampshire do Buckinghamshire, gdzie spotkała i poślubiła ojca. Nigdy o tym nie mówiła, a ja całe lata nie myślałam o tamtym dniu, ale wspomnienie wróciło, kiedy siedziałam na łóżku, patrząc na Pendle Hill.

Gdzieś, w ciemności, Patsy Wood wywoływała moje imię.

Na dworze Wzgórze wyglądało jak cień na horyzoncie. Odwróciłam się do niego plecami i otworzyłam zamek ogrodowej szopy kluczem, który wzięłam z kuchni. Nieśmiało pchnęłam drzwi, bo wiedziałam, że skrzypią. W szopie nie było okien, przez sekundę, dwie, nic nie widziałam. Już miałam zaryzykować i włączyć latarkę, kiedy usłyszałam niskie, gardłowe warczenie.

W rogu szopy leżał czarny pies, zrobił sobie poślanie z worków. Był mały i chudy, miał krótką sierść. Zamrugął, kiedy poświeciłam mu latarką w pysk. Z długim nosem, wielkimi, jak u nietoperza uszami. Pies, nie suka. Jeszcze go nie widziałam. Glassbrookowie nie mieli psa, przynajmniej nic o tym nie wiedziałam.

Chart wyścigowy – tak mi się wydawało – znów warknął. Ale nie ruszył się, nie wydawało mi się, żeby stanowił dla mnie zagrożenie. Właściwie największym zagrożeniem byłoby, gdyby zaczął szczekać i obudził dom.

Więc zignorowałam go, zauważyłam ciężki szpadel, po który przyszłam, i wzięłam go. Zamknęłam drzwi, przekręciłam klucz w zamku. Z psem uporam się później.

Dotarcie do cmentarza drogami zajęłoby mi czterdzieści minut albo i więcej, więc poszłam na przełaj, przelazłam przez mur ogrodu Glassbrooków, a potem poszłam wzdłuż działek u stóp Wzgórza. Z początku było łatwo – szłam dobrze ubitą ścieżką, a szpadel służył mi za laskę – ale po jakichś dziesięciu minutach skończyły się krzewy i zaczęło otwarte wrzosowisko, na którym musiałam przedzierać się przez gęsto rosnące paprocie.

W pewnej chwili potknęłam się i kiedy zatrzymałam się, żeby złapać oddech, zobaczyłam światła na Wzgórzu.

Przetarłam oczy i znów spojrzałam. Bez wątpienia światła, latarki, albo latarnie, w połowie drogi na górę i większe światło, pewnie ognisko. Na Wzgórzu, w środku nocy, byli ludzie. Sam widok tych świateł, skaczących i tańczących, przeczył wszystkim moim policyjnym przekonaniom co do normalności i racjonalności zachowania. Teraz, kiedy stanęłam bez ruchu, usłyszałam także bębnienie.

Odległych, od czasu do czasu ledwie słyszalnych, niesionych w moją stronę wiatrem, ciągłych, rytmicznych uderzeń, prawie na pewno nie było słyhać w mieście. Różniły się od zwyczajnego, monotonnego rytmu maszerującej orkiestry: uderzenia brzmiały znacznie bardziej prymitywnie. Byłam zupełnie pewna, że dochodzą ze Wzgórza, z miejsca, w którym widziałam światła.

Powinnam to zgłosić. Najbliższa policyjna budka telefoniczna była dziesięć minut marszu od św. Wilfryda. Oficer dyżurny mógłby wysłać radiowóz dla sprawdzenia.

A ja musiałabym wyjaśniać, co tam robiłam o drugiej nad ranem uzbrojona w szpadel.

Odwróciłam się plecami do świateł i ruszyłam szybko, aż odgłos moich kroków zagłuszył bębny, ale straciłam pewność siebie. W dalszej części wyprawy na cmentarz towarzyszyła mi mocna świadomość rozpościerającej się wokół mnie nocy, szelestu w koronach drzew zagłuszającego inne dźwięki, paproci poruszających się z wiatrem w różne strony. Przeskoczyłam przez mur i kiedy znalazłam się wśród zmarłych, przyjęłam to niemal z ulgą.

Grób był w takim samym stanie, w jakim go zostawiłam, podobnie kryjówka

dzieci. Stałam u stóp grobu. Wiedziałam, że za parę godzin ludzie zaczną wstawać na wczesne zmiany w fabryce i że muszę podjąć decyzję. Jak do tej pory nie zrobiłam niczego niewłaściwego. Kiedy zaczęłabym kopać, popełniłabym poważne przestępstwo. Gdyby mnie złapano, byłby to koniec mojej policyjnej kariery, a może nawet zostałabym oskarżona.

I to za co? Nawet gdyby Patsy leżała pod ziemią, do tej pory byłaby martwa. Powinnam obrócić się na pięcie i wrócić do domu. A jednak...

„Pomóżcie mi”, sześciolatek usłyszał spod ziemi. Niemal sama to teraz słyszałam, jak zrozpaczonym głosem dziewczyna błaga, żeby nie zostawić jej własnemu losowi.

W istocie nie miałam wyboru. Martwa czy żywa, nie zostanie pod ziemią, porzucona przez wszystkich, którzy powinni się nią opiekować. Zdjęłam wieńce jeden po drugim i ułożyłam je wzdłuż grobu. Potem zaczęłam kopać.

Wbić, podnieść, rzucić. Wbić, podnieść, rzucić.

Po dwudziestu minutach porzuciłam wszelką nadzieję, że uda mi się przywrócić nienaruszoną postać grobu. Powinnam po prostu uciec, zwiać, zanim pokaże się brzask.

Wbić, podnieść, rzucić. I znowu, i znowu, i znowu. Wkrótce się spociłam, mimo że noc była chłodna. Po jakimś czasie przestałam się co parę sekund rozglądać na wszystkie strony, żeby się upewnić, że jestem sama. Byłam zbyt zmęczona, żeby uważać. Wbić, podnieść, rzucić. Kwietne oznaki szacunku wkrótce skryły się pod wykopaną ziemią. Dziura była dla mnie za głęboka, żebym mogła zostać na wierzchu grobu, więc ustąpiłam przed nieuchronnym i zesłam na dół.

Kopałam dalej. Było mi gorąco, zmęczyłam się, dłonie miałam obolałe, ale z każdą minutą coraz bardziej wkopywałam się w głąb.

Głuche uderzenie. Szpadel uderzył o drewno. Kontynuowałam pracę. Już nie kopałam, rozgarniałam, zdrapywałam, ślizgałam szpadlem po wierzchu skrzyni.

Wtedy coś usłyszałam. To nie był wiatr ani spadająca z powrotem poruszona ziemia. Coś jak... jęk?

Zebrałam się w sobie i pracowałam dalej. Martwi się nie obudzą. Nawet jeśli ktoś wali szpadlem w ich drzwi. Ręce, którymi trzymałam trzonek drząky, więc kopałam szybciej.

Wiatr przybrał na sile, szelest drzew brzmiał jak wyszeptywane groźby. Kiedy

zobaczyłam już całe wieko skrzyni, niebo straciło nieubłagany mrok, a ja już nie mogłam ignorować poczucia, że coś się zmieniło. Niepokój, który spychałam na tył głowy, odkąd weszłam na cmentarz, bardzo się pogłębił. Już nie było mi gorąco, właściwie zrobiło mi się zimno.

Nie wierzyłam w duchy. Nie wierzyłam, żeby zmarli mogli coś zrobić żywym, ale kiedy marzłam w grobie, w końcu byłam w stanie skryzalizować ten niepokojący strach, który mnie ogarniał. To było naprawdę proste. Już nie byłam sama.

Ledwie to do mnie dotarło, zobaczyłam na ziemi cień. Ktoś – albo coś – stał tuż za mną na skraju grobu.

19

Wszystko w porządku, Florence? – zapytał Tom Devine. – Pomóc ci w czymś?

Powoli się odwróciłam, nie chciałam pokazywać, jaki to był dla mnie wstrząs. Tom, w dżinsach i dżinsowej kurtce, stał nad grobem.

– Od dawna tu jesteś?

– Chcesz usłyszeć całą zenującą historię, czy damy sobie z tym spokój? – Sięgnął w dół. – Wyłaź, do diabła. Nie otworzymy wieka, kiedy na nim stoisz całym ciężarem.

Podaliśmy Tomowi rękę, bo nic innego nie mogłam zrobić. Mimo tego, co powiedział o moim ciężarze, wyciągnął mnie bez trudu.

– Chyba nie pamiętasz, co ten facet, ten przedsiębiorca pogrzebowy powiedział o zamknięciu? – zapytał.

Moja stanowczość skończyła się.

– Tom, nie mówisz tego na serio. Narobimy sobie kłopotów.

– Florence, pomińmy liczbę mnogą. Jeśli nic nie znajdziemy, to mnie tu nie ma. Jesteś na własną rękę.

Cóż, nie mógł być bardziej prawdopodobny. Skończyliśmy gadać, ukłękneliśmy i położyliśmy się płasko. Oboje sięgnęliśmy w dół, znaleźliśmy ukryte zamki. Wytłumaczyłam mu, jak przekręcać i ciągnąć, żeby uruchomić mechanizm, i wieko trumny podskoczyło o dwa, trzy centymetry.

Uderzył w nas straszny smród. Spodziewałam się, że będzie źle, ale nie aż tak. Jakby coś materialnego wypadło z otwartej skrzyni i trzasnęło mnie z całej siły w twarz.

– Florence, stań na kolanach i odsuń się trochę. – Tom nie podniósł wzroku. – Właściwie, to chcę, żebyś pobiegła ścieżką i zawiadomiła komisariat. Niech ktoś tu przyjedzie.

– Najpierw musimy się upewnić. – Łyknęłam świeżego powietrza i znów się nachyliłam. – Daj spokój, ze mną w porządku. – Próbowałam mówić na bezdechu.

Miałam nadzieję, że uda mi się wstrzymać oddech, aż to się skończy.

– Florence, zabalsamowane ciało tak nie śmierdzi.

Zaryzykowałam kolejny oddech. Nie miałam pojęcia, czym czuć zabalsamowane zwłoki, ale wydawało mi się, że silne chemikalia przysłoniłyby rozkładające się ciało. Żadnych wymiocin. Żadnych ekskrementów i uryny. Żadnego gnijącego mięsa. Nic z obrzydliwego koktajlu, który teraz kaził wokół nas powietrze.

– Florence, chyba miałaś rację. – Nadal było całkiem ciemno, ale kiedy spojrzałam przed siebie, pomyślałam, że twarz Toma jest wyraźnie bledsza. – Ona chyba tutaj jest i chyba nie żyje. Sądzę, że nie musisz tego oglądać.

Kiedy później pomyślałam o jego rycerskiej postawie, nie byłam pewna, czy czułam się dowartościowana, czy potraktowana protekcyjnie. Wtedy sięgnęłam w dół i chwyciłam wieko. Tom zrobił to samo. Wieko samo nie zostałooby w górze, więc przytrzymałam je, a Tom oświetlił latarką martwą, żalostną twarz Patsy Wood.

Kiedy czekaliśmy, aż przyjadą inni, zrobiliśmy kordon wokół grobu za pomocą taśmy z samochodu Toma i paru gałązek wierzby. Przez cały czas, kiedy pracowaliśmy, próbowałam ukryć przed nim twarz. Jak się okazało, była to strata czasu.

– Gdyby to pomogło, też chciałbym zapłakać – powiedział, kiedy zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić, i oparliśmy się o cmentarny mur. – Ale wolałbym mieć to z głowy, zanim przyjadą inni.

Nie miałam zamiaru płakać, nie tak, jak płakać trzeba. Nie mogłam powstrzymać łez, ale...

– Od dawna...? – zaczęłam. – Kiedy...? Jak?

– Wiedziałem, że masz zamiar zrobić coś głupiego – powiedział Tom, kiedy w oddali zobaczyliśmy pierwsze błysnięcie niebieskich świateł. – Przyszedłem, żeby dać ci nauczkę na twoich błędach. Nie pojawiłaś się do północy, zaczęło mżyć, więc wcisnąłem się do tej kryjówki dzieci. – Kiwnął głową w stronę szałasiku, który wcześniej widzieliśmy. – Zasnąłem – przyznał.

– Spałeś? Przez cały czas, kiedy kopałam?

Wyjął papierosa.

– Co mam powiedzieć? Mocno śpiam. I wypilem parę piw w Star. Obudziłem

się dopiero, kiedy szczęknęłaś szpadlem o wieko. To złe, co miało się stać, już się stało.

Zadałam pytanie, na które nie chciałam usłyszeć odpowiedzi.

– Myślałaś, że ona żyje? Kiedy byliśmy tu wcześniej?

Jego papieros ciepło żarzył się w chłodnym powietrzu.

– Nie – powiedział. – Z całą pewnością nie. Dopiero co ją widziałaś. Nie żyła od paru dobrych godzin. – Głęboko się zaciągnął.

Łzy wróciły. Tym razem nie byłam w stanie ich powstrzymać.

– Tom, co ona musiała przecierpieć...

– Nie – powiedział, odwracając się w moją stronę. – Daj sobie spokój. Jej rodzina będzie się tym dręczyć. Jej przyjaciele też. My mamy pracę do wykonania. Musimy znaleźć drania, który ją tam włożył.

Nadjechał pierwszy z radiowozów. Migoczące światła zgasły, wysiadł z niego policjant w mundurze.

– Tak się cieszę, że tutaj jesteś – powiedziałam do Toma.

– Cieszę się, że tym się zajęłaś – odparł. – Musimy uporządkować nasze wersje. Nie mogłaś zasnąć, wróciłaś, żeby oddać wyrazy szacunku temu, kto jest tu pochowany zgodnie z prawem – mogłaś przecież sprawdzić, kto to taki – i usłyszałaś hałasy spod ziemi. Nie miałaś wyboru, musiałaś kopać. Użyłaś szpadla, który na szczęście leżał obok. Kiedy zobaczyłaś, że to jednak Patsy, zadzwoniłaś, żebym ci poradził, co robić. Przyjechałem, sprawdziłem i zgłosiliśmy sprawę. Może być?

Dwóch policjantów w mundurach szło teraz w naszą stronę. Za nimi zatrzymał się drugi radiowóz.

Oddać wyrazy szacunku? Szpadel, który leżał obok?

– Nigdy w to nie uwierzą.

– Nie szkodzi. To będzie dla nich na tyle wiarygodne, żeby udawali, że wierzą. A ty, Flossie, bądź przez następne kilka dni bardziej pokorna niż Uriah Heep. Nikt nie lubi mądralińskich.

20

Gdy wróciłam do domu Glassbrooków, pod zewnętrznym kranem splukałam szpadel i odstawiłam go do szopy. Byłam zdumiona i trochę wystraszona, kiedy zobaczyłam, że czarny piesek zniknął, mimo że szopa była zamknięta na klucz, ale gdy szłam z powrotem do domu, spostrzegłam bladą twarz obserwującą mnie przez kuchenne okno. Cassie Glassbrook wstała wyjątkowo wcześnie. Chyba wiedziałam, kto był za to odpowiedzialny.

Kiedy dotarłam do pracy, dwie kobiety z cywilnej obsługi komisariatu stały w damskiej toalecie, Elaine z hali maszynowej i Brenda, która pracowała w centralce telefonicznej. Zazdrościłam im, że mogły ubrać się w sukienki dopasowane do upału. Elaine była najwyraźniej nowa, sądząc po tym, jak oglądała się w lustrze, wykręcając się, żeby zobaczyć się od tyłu. Jej sukienka była krótka, bez rękawów, wielokolorowa w dziwne wirujące wzory. Nie podobała mi się, ale w granatowej spódnicy i grubych rajstopach już było mi gorąco. Chętnie bym się z nią zamieniła.

– Dzień dobry.

Nie zauważyłam od razu, że żadna z nich nie odpowiedziała, bo drzwi do mojej szafki były uchylone. Otworzyłam je ostrożnie i poczułam ten sam smród, który unosi się latem wokół publicznych toalet i w ciemnych uliczkach obok pubów. Kurtka mundurowa wyglądała na nietkniętą, ale czapka nie leżała tam, gdzie ją zostawiłam. Zanim ją podniosłam, wiedziałam, że będzie wilgotna. Ktoś nasikał mi do czapki.

– Coś wiecie na ten temat? – Obie kobiety udawały, że nie patrzą na mnie, gdy niosłam czapkę do zlewu, ale słabe z nich były aktorki.

– Na jaki temat? – Elaine strząsnęła popiół z papierosa do zlewu.

– Masz problem? – Brenda oglądała paznokcie.

Ani jedna nie wpadła na to, że w lustrach odbija się ich wyraz twarzy, a może po prostu było im obojętne, że zobaczą ich krzywe uśmiešky.

Wyjęłam czapkę i starałam się jak najlepiej wysuszyć ją cienkim, obrotowym ręcznikiem. Miałam nadzieję, że zmočenje – dwa zmočenja – nie zniszczą jej, bo zostałabym ukarana finansowo.

Zdążyłam spóźnić się na przegląd. Zaledwie kilka sekund, ale takie to moje szczęście, że kiedy się wślizgnęłam, Rushton już był w pokoju odpraw, a policjanci ze zmiany stali na baczność.

– Miło z twojej strony, że przyszłaś, Flossie – powiedział sierżant, kiedy zajmowałam miejsce na końcu szeregu. Czuję, że twarz mi płonie. Posterunkowy obok mnie pociągnął nosem i odsunął się o krok. W całym pokoju rozległy się śmieszki, które szybko przeszły w kasłanie.

– Cześć chłopaki, dziewczyno. – Inspektor zrobił krok do przodu. – Wszyscy słyszeliście plotki o tym, co się stało nad ranem, a ja przyszedłem, żeby te plotki ukrócić.

Rushton utrzymywał kontakt wzrokowy ze wszystkimi w pokoju, dziewięcioma posterunkowymi, tylko ze mną nie.

– Opadła na nas szarańcza z Fleet Street – mówił dalej. – Niektórzy przyjechali przed wschodem słońca, ale domyślałam się, że światło dnia im szkodzi. Chodzi mi o to, że jak się dowiem, że ktoś rozmawiał z nimi o sprawie Patsy Wood, to każę temu facetowi – spojrzał znacząco w moją stronę – albo facetce tak długo szorować kible w komisariacie, aż zarobią na swoją wypłatę. Czy to jasne?

Chór „tak jest” rozbrzmiał w całym pokoju.

– To samo dotyczy mieszkańców. Z nikim nie rozmawiamy. Jeszcze dzisiaj przedstawię oficjalną wersję wydarzeń. Miłego dnia chłopaki.

Rushton zatrzymał się w drzwiach, żeby wymienić parę słów z sierżantem. Nie słyszałam rozmowy, ale sierżant spoglądał w moją stronę.

Dostałam drugi rewir i, kiedy tylko nas wypuszczono z odprawy, poszłam w stronę drzwi, żeby jak najszybciej uciec od spojrzeń z ukosa i ostentacyjnego unikania mnie przez innych posterunkowych, nie mówiąc już o zaczepkach reporterów, między którymi będziemy biec po wyjściu z budynku.

Kiedy miałam przejść przez recepcję, poczułam szturchnięcie w bark. Odwróciłam się i zobaczyłam jednego ze starszych posterunkowych, Colina, którego nazywano cudzoziemcem, ponieważ przed dziesięciu laty przeprowadził

się tutaj z Yorkshire.

Skoro tak, to ja chyba jestem Marsjanką.

– Mam cię podwieźć do ulicy. – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i poszedł w stronę podwórka, na którym stały pojazdy.

– Dlaczego? – Poszłam za nim. Złapałam drzwi, które mało nie zamknęły mi się przed nosem. Znalazłam odpowiedź, gdy przemknęliśmy obok tłumku dziennikarzy zebranego przed komisariatem. Usłyszałam swoje imię, kiedy zobaczyli mnie na fotelu dla pasażera w samochodzie Colina. Jeden nawet zaczął za nami biec.

Colin pociągnął nosem.

– Opuść okno – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Dziękuję – odpowiedziałam, gdy zatrzymał się dwieście metrów dalej, przy drodze. Patrzył przed siebie, przez przednią szybę i chyba nie powinnam usłyszeć tego, co powiedział.

– Nie wracaj szybko.

Przez sekundę – mądrą, sensowną sekundę – niemal bez trzasku zamykałam drzwi, żeby odejść. Ale potem pomyślałam o dziewczynce pogrzebanej żywcem w najbardziej przerażającym miejscu, jakie można było sobie wyobrazić, i o pozostałych dwojgu, którzy prawdopodobnie podzielili jej los. I pomyślałam o ich zabójcy, który prawie na pewno był gdzieś w mieście, chodził po ulicach, obserwował dzieci, czekał na kolejną okazję.

Minęła sekunda, nachyliłam się, żeby zobaczyć jego profil.

– Co niby miałam zrobić? Zostawić ją tam, w grobie?

Wtedy się odwrócił, zaniepokoiła mnie jego mina.

– Odpierdol się – powiedział.

Co też uczyniłam.

21

Rewiry to określone obszary miasta, które ma patrolować policjant, w określonym czasie, kiedy ma służbę. Dobrze znałam drugi rewir: był jednym ze spokojniejszych w ciągu dnia. Uważano go za odpowiedni dla samotnej policjantki. Głównie dzielnice mieszkalne i kilka nowych sklepów na rogach. Była tam szkoła podstawowa i stara przędzalnia bawełny, która kilka lat wcześniej została zamknięta.

Moim podstawowym zadaniem było rozejrzeć się wokół przędzalni, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Kiedy skręciłam w ulicę, usłyszałam, jak Tom Jones gorzko pyta o motyw kobiety o imieniu Delilah. Głos Toma został zastąpiony przez płacz niemowlęcia, przez kobietę krzyczącą na swoje dzieci, żeby się pospieszyły, przez wysoki wibrujący tryl kogoś słuchającego magnetofonu. Chyba wszystkie okna były otwarte. Niektóre kobiety już wyszły, w podomkach, fartuchach i lokówkach we włosach. Szorowały schody przed drzwiami. To był prawie rytuał na północnym zachodzie: rodzina wychodziła z domu na cały dzień, a gospodynie domowe szorowały schodki na ich powrót. Większość robiła to za pomocą wielkich drewnianych szczotek, ale niektóre nadal miały tradycyjne kamienie do szlifowania. Niektóre powiedziały mi dzień dobry, inne patrzyły, jak przechodzę.

Zazwyczaj spokojna w ciągu dnia Stara Fabryka była i tak dobrze znana w komisariacie. Minął ledwie tydzień bez raportów o jakichś nocnych czy innych problemach. We wczesnych godzinach rannych, kiedy ja przedzierałam się przez wrzosowiska, wezwano dwóch z naszych posterunkowych, żeby sprawdzić, czy nie było tam włamania. Niczego nie znaleźli, ale sierżant chciał, żeby sprawdzić to jeszcze za dnia.

Przędzalnia leżała na końcu krótkiej uliczki mieszkalnej Jubilee Street. Brama zakładu, z solidnego żelaza, była zaryglowana i owinięta łańcuchem z kłódką. Stanowiła jedyne odciążenie wysokiego i brudnego ceglanego muru otaczającego

przędzalnię i jej dziedzińce. Wierzch muru posypany był tłuczonym szkłem. W kominie uwiła sobie gniazdo para myszołowów. Kiedy podchodziłam, widziałam, jak robią koła.

Na ulicy, zaledwie parę metrów od bramy zakładu, zaparkowany był czarny daimler. Szybko rozejrzałam się. Byłam na siebie zła, że nie spisałam numerów wozu, który widziałam wczoraj po południu. Luksusowe samochody nie były znów taką rzadkością w Sabden – przędzalnie i fabryki oraz otaczające miasto farmy, uczyniły niektórych bogaczami – ale na pęczki też ich nie było.

Byłam na tyle wysoka, żeby spojrzeć nad murem na sadzawkę fabryczną. Na jej powierzchni pływały śmieci, a wąski pas ziemi, który ją otaczał, zarośnięty był jeżynami, pokrzywami i czarnym bzem. Po brzegach rosły wysokie, majestatyczne wawrzyny, a bladożółte irysy wystawiały główki z wody. Wokół rosły także krzaki omżyny, których purpurowe kwiecie zeschło i zbrązowiło. W porannym upale ich zapach był mocny i wymiotny.

Przeszłam na tyły przędzalni. Tam też była brama, ale już nie tak wysoka. Moją uwagę przykuło graffiti wykonane tłustą, białą farbą.

„Założ zbroję Boga, abyś mógł stanąć przeciwko diabelskim knowaniom”.

Był także symbol w kształcie diamentu. Graffiti było świeże. Kiedy podeszłam bliżej, poczułam chemiczny zapach farby.

Religijne graffiti. Kto to słyszał? I dlaczego na całym nieużywanym budynku było jedynym śladem wandalizmu?

Od tylnej bramy widziałam podwórze i całe zaplecze budynku. Wielkie metalowe drzwi dla dostaw dawały dostęp do środka budowli. Niższe okna były zakratowane, niektóre miały powybijane szyby. Przybudówki tuliły się do muru. Jak na porzucony budynek, było tu zaskakująco czysto. Wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Za chwilę to się zmieniło. Ktoś był w środku. Przez sekundę, może dwie, w jednym z niżej położonych okien pojawił się cień człowieka. Teraz musiałam dokonać wyboru. Mogłam podbiec do najbliższej policyjnej budki telefonicznej i zgłosić to albo sprawdzić na własną rękę. Nie podobała mi się myśl o włożeniu na bramę, ale na pewno zrobiliby to moi wszyscy koledzy mężczyźni.

Rozejrzałam się – nikt nie patrzył – i postawiłam stopę na najniższej poprzeczce bramy. Uważając na spódnicę, przerzuciłam nogę i zeskoczyłam.

Po drugiej stronie muru wszystko było zupełnie inne. Przędzalnia wydawała się większa, podwórze ciemniejsze. Wysoki pisk jednego z myszołowów skierowany był chyba wyłącznie pod moim adresem. Myszołowy to ptaki, które bronią swojego terenu.

Ruszyłam przez podwórze w stronę okna, w którym widziałam postać, ale szyba była nieprzezroczysta i brudna, nic nie było za nią widać. Przeszłam do kolejnej szyby, potem do jeszcze jednej. W środku nie zauważyłam żadnego ruchu.

Przecież nie wyobraziłam sobie tego cienia.

– Co tu robisz, do jasnej cholery?

Odwróciłam się i zobaczyłam dwóch mężczyzn wychodzących zza rogu. Jednym z nich był Terry Parker, znany przestępca. Szczupły, ale umięśniony typ o szczurzej twarzy. Przesłuchiwano go po zniknięciu Stephena, po części ze względu na jego przeszłość, po części dlatego, że mieszkał bardzo blisko rodziny Shorrocków. Trzymał się teraz za młodszym, większym mężczyzną.

Człowiek, którego chyba już widziałam, ale nie potrafiłam go umiejscowić, trzymał w ręce wielkie koło z kluczami. Był po czterdziestce, miał krótkie brązowe włosy i grubo ciosane rysy twarzy. Ubrany był w garnitur, ale brzuch wystawał mu zza paska, a kołnierzyk koszuli wpijał się w fałdy na szyi.

– Wczoraj wieczorem mieliśmy zgłoszenia o jakichś zajściach, sir – powiedziałam. – Mogę pana prosić o nazwisko i powód, dla którego pan tu przebywa?

Doliczyłam do czterech, zanim odpowiedział.

– Earnshaw, właściciel nieruchomości. A teraz ja mogę prosić o pani nazwisko?

– Posterunkowa Lovelady, sir. – Spojrzałam za niego, Terry próbował chyłkiem odejść. – Terry, żebyśmy nie musiały sprawdzać tego z pomocą sierżanta, możesz poświadczyć tożsamość pana Earnshawa?

Terry drgnął i nadal się wycofywał. Jego milczenie przyjąłam za zgodę.

– Wiem, kim jesteś – powiedział ten większy. – Jesteś nową sługuską Stana Rushtona. Nie mają już żadnych cel, które wymagałyby szorowania?

– Panie Earnshaw, czy dzisiaj rano był pan w przędzalni?

Podszedł bliżej, aż poczułam stęchły alkohol i papierosy w jego oddechu.

– Trudno mi przyjąć do wiadomości, że muszę się przedstawiać na terenie własnej posiadłości.

– A jednak, sir, mieliśmy zgłoszenia włamania. Widział pan jakieś oznaki zakłócenia porządku?

Nachylił się bliżej, aż musiałam zwalczyć pokusę odsunięcia się od niego. Potem wystawił palec i dźgnął powietrze o parę centymetrów od kieszeni mojej kurtki.

– Słuchaj, kochana, ja nie dzwoniłem do was wczoraj wieczorem, Terry też nie dzwonił. Tylko my mamy klucze i tylko my mamy prawo zgłaszać zakłócenia porządku. Więc jeśli nie usłyszysz czegoś od nas, proponuję, żebyś na przyszłość została w komisariacie i skupiła się na robieniu herbaty dla wyższych rangą policjantów.

Skinęłam głową w stronę przedzalni.

– Pozwoli pan, że się rozejrzę?

– No jasne. A teraz zmiataj, zanim zamienię słowo ze Stanem Rushtonem na temat twojego zachowania.

Bez nakazu albo jego pozwolenia nie mogłam nic więcej zrobić. Pożegnałam się z nimi dwoma i odeszłam. Przeszło mi przez głowę, żeby poprosić ich o otwarcie bramy, ale coś czułam, że i tego by odmówili. Znów więc przelazłam górą, świadoma, że się gapią. Kiedy znalazłam się po drugiej stronie, usłyszałam słowa Earnshawa.

– Terry, zetrzyj to świństwo z muru. Nie płacę ci za to, żeby malowali tu graffiti.

Przedstawiłam raport oficerowi dyżurnemu. Kiedy zamykałam policyjną budkę telefoniczną, odczułam niepokój, że ktoś mnie obserwuje. Spojrzałam na drugą stronę ulicy i zobaczyłam Toma, jak opiera się o swój wóz. Przez sekundę patrzyliśmy na siebie. Wydawało mi się, że w jego oczach widzę coś, co niezupełnie pasowało do Toma, którego znałam. Przeszłam przez ulicę. Nic nie powiedział.

– Gdzie byłeś? – Nie widziałam go, odkąd wyszliśmy z cmentarza przy św. Wilfrydzie.

– W domu Woodów. Potem w szpitalu. Zabrałem ojca Patsy, żeby zidentyfikował ciało.

– Przekazałeś informację?

– Razem z inspektorem. Powiedział, że ode mnie łatwiej to przyjmą.

– Czy oni... – przerwałam.

– Czy są w porządku? Nie, Florence, daleko im do bycia w porządku.

– A ty?

Otworzył drzwi samochodu.

– Inspektor wysłał mnie po ciebie – powiedział. – Wyglądał na wściekłego.

Wsiadłam.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, kiedy odjechaliśmy od krawężnika. Radio, jak rzadko, nie było włączone.

– Nie tam, gdzie byś chciała – odparł.

22

Czy to kara? – zapytałam, kiedy szliśmy z Tomem wykładanym kafelkami korytarzem na parterze Szpitala Królewskiego Blackburn. Jeszcze nigdy nie byłam przy sekcji zwłok i nie chciałam tego zaczynać od obdukcji Patsy. Nie podobała mi się też myśl, że wszyscy w komisariacie będą się śmiali, jak usłyszą, że zwymiotowałam albo nawet zemdlałam.

– Chyba jeszcze nie poznałaś naprawdę Rushtona, co? – Tom zauważył napis „Nie palić” i rozglądał się, gdzie zostawić papierosa. Nie znalazł właściwego miejsca, więc go wyrzucił.

Na końcu korytarza, przez podwójne drzwi, zobaczyliśmy inspektora Rushtona z trzema najwyższymi rangą detektywami wydziału kryminalnego: komisarzem Sharplesem, który nawet nie spojrzał w moją stronę i dwoma sierżantami pracującymi bezpośrednio pod jego rozkazami, Bobem Greenem i Garrym Brownem. Green, nazywany Gustym, był po trzydziestce, miał długie, cienkie włosy, które rozwiewały mu się na wszystkie strony, jakby nieustannie wiał na niego wiatr. Z początku myślałam, że to niecodzienna fryzura była przyczyną nadania mu takiego przydomka, ale wkrótce dowiedziałam się, że wynikało ono z czegoś zupełnie innego. Brown, dziesięć lat starszy od Greena, był nazywany Woodsmoke i do tej pory nie wiem, skąd się to przydomko wzięło. Wtedy wszyscy mężczyźni cuchnęli dymem. Brown palił fajkę, a nie papierosa, ale zrobiona była z czegoś, co wyglądało jak polerowany, czarny lakier, a nie drewno.

Parę sekund po naszym przyjściu pojawił się anatomopatolog. Jego wzrok spoczął na mnie.

– Czy ta młoda dama idzie z nami? – zapytał.

– Idzie – odparł Rushton.

Lekarz ściągnął wargi i poszedł przodem.

Wielka, sześciokątna kostnica wyglądała jak łaźnia publiczna w Sabden, w której bywałam co najmniej raz w tygodniu, żeby uzupełnić racje gorącej wody

otrzymywane w pensjonacie. Wszystko było tu funkcjonalne, a przy tym wyszukane, w misterne, pretensjonalne wzorki tak lubiane przez ludzi z epoki wiktoriańskiej. Dźwięk odbijał się od wykładanych kafelkami ścian i dopiero potem niknął pod sufitem.

Otaczały nas łukowate okna. Te wielkie, osadzone nisko w ścianach, zostały pokryte czernią ze względu na prywatność, ale te osadzone wyżej nadal wpuszczały naturalne światło. Przez jedno z nich widziałam liściaste gałęzie klonu. Ignorując chude, przykryte materią ciało leżące na marmurowym stole, skupiłam wzrok na kołyszących się liściach. Anatomopatolog, doktor Dodds, zapytał:

– Cóż, wszyscy gotowi? – I zdjął prześcieradło.

Zapadła cisza. Opuściłam wzrok i spojrzałam na Patsy.

Rysy twarzy miała spokojne, co mnie ucieszyło. Wcześniejszy wyraz twarzy, wyszczerzone ironicznie zęby, które tak przerażająco wyglądały w świetle latarki, że aż pomyślałam o jakimś gryzoniu złapanym w pułapkę, złagodniał i dziewczyna wyglądała, jakby spała. Ale było tak wcześnie rano, że nie dostrzegłam strasznych ran na jej dłoniach i przedramionach. Jeszcze jej nie umyto i były pokryte krwią.

Jej wargi straciły kolor, były koszmarnie popękane. One też były pokrwawione. Na lewym policzku miała głębokie zadrapania w miejscach, w których poryła własną twarz.

– Widzimy zwłoki nastolatki – zaczął anatomopatolog. – Białej. Waży około czterdziestu pięciu kilogramów, przy wzroście około stu sześćdziesięciu centymetrów.

Patsy była rozebrana. Wiedziałam, że to normalne, ale nie mogłam się powstrzymać przed uczuciem smutku. Jak to nastolatka, musiała być szczególnie uwrażliwiona na swoje sprawy cielesne i pewnie niewiele gorszych sytuacji mogła sobie wyobrazić niż leżenie nago przed obliczami sześciu mężczyzn.

Musiałam przestać myśleć o niej jak o kimś żywym.

– Raczej chuda – powiedział anatomopatolog – ale poza tym wygląda na to, że przed zgonem cieszyła się dobrym zdrowiem.

– Przyczyna śmierci? – Rushton stał najdalej od stołu. Nawet nie wiem, czy patrzył na Patsy, czy w jakiś nieokreślony punkt parę centymetrów nad nią. Od rana zdążył się ogolić, ale marnie. Dwa razy się zaciął i zostawił kępki zarostu.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że kiedy ją znaleźliście, leżała w nieprzepuszczającym

powietrza zamknięciu, w ubogim w tlen środowisku, widzę asfiksję jako przyczynę śmierci – odparł anatomopatolog. – W tej chwili nie widzę niczego, co mogłoby świadczyć o innym powodzie zejścia. Rany na rękach i palcach – uniósł lewą rękę Patsy i oświetlił latarką dwa palce środkowe, oba bez paznokci – mówią, że była żywa, kiedy złożono ją do trumny.

Rushton zadrżał na całym ciele.

– Jej ubranie było zabrudzone uryną i fekaliami – powiedział Brown, którego obarczono zadaniem zestawienia dowodów z trumny, a nie z samego ciała Patsy. – Także wymiociny. I znów, to sugerowałyby, że została pochowana żywcem.

Znów spojrzałam na kłon.

– Wiemy, że żyła – stwierdził Tom. – Niemal udało się jej zniszczyć trumnę, kiedy usiłowała się z niej wydostać.

Chyba wszyscy w pomieszczeniu, poza patologiem, zareagowali na to. Wszyscy widzieliśmy trumnę nad ranem. Wszyscy widzieliśmy podartą, pokrwawioną satynę, wymiociny we włosach zmarłego, dla którego miało to być ostatnie miejsce spoczynku. Biedna Patsy została położona bezpośrednio na trupie. Musiała być przerażona. On też zasługiwał na coś lepszego. Próbowałam przypomnieć sobie jego nazwisko. Chyba Douglas. Douglas Simmonds.

Patolog zmarszczył brwi.

– Trochę bardziej zaskakujące jest, że nie widzę żadnych śladów wiązania.

– Jak to? – zapytał Rushton.

– Brak oczywistych siniaków wokół ramion czy szyi. – Lekarz przeszedł do stojącego obok blatu i tak nastawił lampę, żeby lepiej oświetlić górną część ciała Patsy. – Wiemy, że jej nadgarstki i kostki nie były związane. Więc powinni panowie zadać pytanie, jak komuś udało się ją tam włożyć.

– Może została oszołomiona? – podpowiedziałam. – Może chloroformem? Jakiś środek znieczulający?

Ktoś po drugiej stronie zrobił wydech. Chyba Sharples.

Dodds odczekał dobre pięć sekund, zanim odpowiedział.

– Może nam to powiedzieć analiza tkanek. Chociaż środki znieczulające nie są powszechnie dostępne.

– Kiedy umarła? – zapytał Rushton. – Może pan podać godzinę śmierci, doktorze?

Znów zwróciłam wzrok na klon.

– Hm, minęło zeszywnienie pośmiertne, na plecach i pośladkach rozwinęły się plamy opadowe. Powiedziałbym, że śmierć nastąpiła w godzinach dzielących poniedziałkowy wieczór, od wtorkowego poranka. – Popatrzył na nas. – Jakiś czas przed wczorajszym, kiedy wezwano was na cmentarz.

Usłyszałam kilka westchnień ulgi, jednym z nich było na pewno moje westchnienie. Tylko Rushton zaledwie zamknął oczy. Daliśmy mu tę chwilę, której najwyraźniej potrzebował, i patrzyliśmy, jak na twarz znów wracają mu kolory. Tymczasem Dodds otworzył metalowym instrumentem usta Patsy i świecił w nie małą latarką.

– Interesujące – powiedział.

Popatrzyliśmy po sobie. Czekaliśmy.

– Wygląda na to, że ostatnio usunięto jej ząb – ciągnął Dodds. – Górny prawy kiel. Ekstrakcja trochę niezgrabna. Może będziecie chcieli sprawdzić to u dentysty.

Brown wzdrygnął się. Rzucił spojrzenie szefowi i otworzył usta.

– Jakiś ślad, że coś z nią robiono? – zapytał Sharples.

Brown ściągnął brwi i znów zamknął usta, kiedy Dodds przeszedł do dolnej części ciała Patsy.

Nie miałam zamiaru tego oglądać. Skierowałam wzrok w dół, na kafelki podłogi, które miały kolor maślanki, na brud w ich łączeniach, na wielką centralną studzienkę odpływową. Słyszałam odgłos martwego ciała przesuwanego po marmurze, instrumentów uderzających w twardą powierzchnię. Nikt się nie odzywał.

– Trudno stwierdzić na tym etapie – powiedział Dodds.

Podniosłam wzrok i natychmiast go opuściłam. Dodds wyjął spod stołu coś przypominającego odwrócone strzemiona i wpiął w nie cienkie białe nogi Patsy.

– Nie widzę tutaj szczególnych znaków krwawienia – mówił dalej Dodds. – I nie ma wyraźnych zasinień ani rozdarć. – Chrząknął, jak robią ludzie, którzy siadają albo wstają z niskiego stołka. – Błona dziewicza wydaje się nietknięta – powiedział lekarz – ale samo to niczego nie dowodzi, jeśli wziąć pod uwagę, jakie są dzieci w dzisiejszych czasach. Badanie jej ubrania może dać wam więcej, ale teraz mogę powiedzieć, że nic z tych rzeczy się nie stało.

Wokół znów rozbrzmiało kilka westchnień, kiedy Dodds zdjął strzemiona i

położył nogi Patsy.

– Cóż, rozpocznę badanie wewnętrzne – powiedział. – Które z was chce zostać?
– Podeszedł do blatu i wziął skalpel.

Nie chcieliśmy. Podziękowaliśmy mu i wyszliśmy z pomieszczenia. Pół godziny później mężczyźni znaleźli się w pokoju odpraw obok gabinetu Rushtona. Ja byłam w kuchni. Robiłam herbatę.

23

Rushton miał sekretarkę, która zazwyczaj robiła herbatę na zebrania ze swoim szefem, ale nawet nie podniosła wzroku, kiedy niosłam obok jej biurka zastawioną tacę. Ani nie pomogła mi otworzyć drzwi do sali. Mężczyźni stali.

– Kazałem paru chłopakom porozmawiać z dyrektorami zakładów pogrzebowych w okolicy – mówił Green. – Sporządzić listę pogrzebów od czasu, gdy zaginęła Susan. Możemy dyskretnie odwiedzić groby, sprawdzić, czy któryś wygląda na prawdopodobne miejsce.

– Chyba trzeba będzie się trochę cofnąć – powiedział Brown. – Jeśli ktoś chowa ciała w grobach, niekoniecznie musi wybierać ostatnie pochówki.

– Ale ziemia po jakimś czasie twardnieje – powiedziałam. – W nowszych grobach łatwiej jest kopać.

Milczenie. Postawiłam tacę.

– Chylimy czoło przed twoim większym doświadczeniem – stwierdził inspektor.

– Gusty, może wrócimy do początku roku. Nie może tego być tak dużo. Nie mieliśmy zarazy.

Zostałam tam, gdzie byłam, oparta niezgrabnie o stół, niepewna, czy mam podać herbatę, czy wyjść. Tom uśmiechnął się do mnie zaciśniętymi wargami.

– Właśnie. – Rushton przyciągnął krzesło do szczytu stołu. – Siadajcie panowie. Mam coś do powiedzenia posterunkowej Lovelady. – Inspektor patrzył wprost na mnie. Czułam, jak twarz zaczyna mi płonąć. Skrzypienie krzeseł ucichło.

– Florence, cieszę się, że to zrobiłaś – powiedział inspektor. – Było w tym mnóstwo tupetu i mieliśmy rezultat, chociaż nie taki, jaki chcieliśmy.

Paru innych wymruczało, że się zgadza. Sharples patrzył na mnie zimnym, kamiennym wzrokiem.

– Z drugiej strony wykręciłaś taki numer, że gdybyś płynęła rzeką gówna, nie dałbym ci wioseł. – Rushton nachylił się w moją stronę nad stołem. – Chcę, żeby moi policjanci trzymali się przepisów i myśleli o sobie, a nie wystawiali się na

ryzyko, idąc za przeczuciami, które mogą ich i mnie utopić w łąjnie. Jasno się wyrażam, kochana?

– Całkowicie, sir. Przepraszam – odparłam.

Rushton rozparł się w krzesło i popatrzył na sufit.

– A skoro już o tym mowa – kontynuował – mógłbym powiedzieć parę słów policjantom, którzy powinni lepiej się zastanowić, zamiast dać się wpuszczać ładnym buziom w lekkomyślne wybryki. Ale zostawię to waszym sumieniom.

Milczenie wokół stołu. Wysiłając się, żeby nie patrzeć na Toma, zrobiłam krok w tył, w stronę drzwi.

– Druga sprawa, Flossie – powiedział Rushton – zdejmuję cię z rewiru i przenoszę na górę na najbliższy czas. Każę komuś przynieść ci biurko.

– Pozwolisz szefie, że zapytam dlaczego? – Sharples wyglądał, jakby wysał niedojrzałą cytrynę. – W tej chwili potrzebni nam są policjanci w rewirach. Nawet jeśli są... cóż.

– Chcę mieć mały zespół prowadzący to dochodzenie, a Flossie sama się w to wepchnęła – odparł Rushton. – Poza tym będzie nam potrzebny sztab szybko piszących maszynistek, a ja nie chcę, żeby te sprawy przechodziły przez halę maszyn. Flossie, i lepiej włóż cywilne ubranie. W ciągu najbliższych tygodni mogą się zdarzyć sytuacje, kiedy nie będę chciał, żeby ludzie od razu widzieli w tobie policjantkę.

– Tak jest – wydobyłam z siebie z nieprzyjemnym przeczuciem, że właściwie nie zasłużyłam sobie na dołączenie do tego zespołu, że Rushton po prostu chce mieć na mnie oko. Był też problem, że zasadniczo nie mogłam...

– I będzie nam potrzebna regularna dostawa herbaty – powiedział Brown. – Mleko, dwie kostki cukru poproszę, Flossie.

Podniosłam imbryk, opuściłam wzrok. Jak będę cicho i na coś się przydam, może mnie nie wykopią.

– No dobrze, skoro już ustawiliśmy Flossie, ta sprawa jest nawet ważniejsza – powiedział Rushton. – Nie życzę sobie, żeby poza tą grupą ktoś używał słów „pogrzebana żywcem”. W sumie, nie chcę, żeby któryś z was w ogóle mówił to na głos, dokąd nie dowiemy się, z czym mamy do czynienia.

Podniosłam wzrok.

– Sir, ale nie możemy... – przerwałam. Ja i ta moja niewyparzona gęba. Sharples

już nie udawał, uśmiechał się szyderczo.

– Florence, o co ci chodzi? – zapytał inspektor.

– To wyjdzie przy dochodzeniu – powiedziałam.

– Wyjdzie, ale za parę dni, a może za parę tygodni. Będziemy mieli trochę czasu na nabranie oddechu.

– Z tym, sir, że sprawa przyciąga ogromne zainteresowanie – powiedział Green.

– Dzięki Flossie i jej telewizyjnej rekonstrukcji. Od rana, ledwie ludzie wyjdą za drzwi, a już natykają się na pismaków i miejscowych naprawiaczy świata. Czeka nas mnóstwo trudnych pytań.

– Rano wydamy oświadczenie – powiedział Rushton. – Flossie, dobrze ci idzie ze słowami, więc możesz je napisać. Patsy Wood została znaleziona w świeżo wykopanym grobie, po którym było widać, że go rozkopano. Nie wspominaj, że ty go rozkopałaś. Żadnych komentarzy nie będzie do ukończenia śledztwa. Ple-ple i ple-ple. Możesz to podkreślić, żeby robiło wrażenie.

Nie umiałam pisać na maszynie. Ukończyłam uniwersytet, a nie szkołę dla sekretarek.

– Nadal mamy dwoje zaginionych nastolatków – mówił dalej Rushton – a jeśli wyjdzie, że zakopano ich żywcem, na każdym rogu ulicy będziemy mieli tłum z widłami i wszystkie groby, stąd do Burnley, zbezczeszczone. O co ci chodzi teraz, Flossie?

Podawałam herbatę sierżantowi Brownowi, kiedy coś przyszło mi do głowy. Najwyraźniej musiałam popracować nad ukrywaniem myśli.

– Przepraszam sir – powiedziałam. – Chodzi o ten brakujący ząb Patsy, sierżant Brown wygląda, jakby coś chciał powiedzieć.

Brown nie wyglądał na zachwyconego, że wywołałam go do odpowiedzi.

– Woodsmoke, chcesz nam coś powiedzieć?

– Nie bardzo – odparł Brown. – Ale wychowałem się w tych stronach i moja babcia bardzo lubiła stare opowieści. Czasem straszyla nas na śmierć. Jej ulubienicami były czarownice. Mówiła o ich zaklęciach, o czarnej magii, tego rodzaju sprawy. Mówiła, że rozkopywały groby, żeby dostać się do części ciała.

– Ja nie bardzo... – odezwał się Sharples.

– I miała co do tego rację – przerwał mu Brown. – To zostało udokumentowane w procesie w Pendle z tysiąc sześćset... jakoś tak. Miejscowy sędzia został

wezwany w pewną niedzielę, bo w lesie, obok pewnego kościoła, rozkopano grób. Świeży grób i w ogóle. Ludzie przyszedli do kościoła i zobaczyli rozrzucone szczątki rodziny zmarłych. – Rozejrzył się po nas. – Nie opowiadam historii o duchach. To prawdziwa sprawa.

– Dla mnie brzmi to jak paskudne zastraszanie – rzekł Rushton.

– Tylko że, według babci, nie chodziło tylko o denerwowanie ludzi – powiedział Brown. – Powiedziała, że czarownicom były potrzebne części ciała, żeby zaklęcia działały.

– Cudownie – ucieszył się Sharples. – Już starczy mleka, Lovelady, nie mam niedoboru wapnia.

– Włosy i paznokcie są dobre, ale zęby i kości są lepsze – kontynuował Brown. – Może pan krzywo patrzeć, szefie, ale moja babcia zawsze wyrzucała obcięte paznokcie i pasma włosów do kominka, żeby nie wpadły w ręce czarownic. Mnóstwo ludzi z jej pokolenia tak robiło.

Rozległo się stukanie do drzwi i sekretarka inspektora wsunęła głowę do pokoju.

– Sir, ci od dowodów proszą na słowo – powiedziała. – To pilne.

– Musimy jeszcze wrócić do dwóch poprzednich zaginięć. – Rushton wstał. – Porozmawiajcie jeszcze raz w szkole z ich koleżankami, zobaczcie, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Flossie, tobie najbliższej do uczniów, ty pokierujesz sprawą. Chyba będziemy musieli przydzielić ci samochód.

Za inspektorem zamknęły się drzwi.

– Lovelady, czy ty właściwie umiesz prowadzić? – zapytał Sharples.

– Tak jest – odparłam. – Dostałam prawo jazdy, kiedy miałam siedemnaście lat.

Wrócił inspektor. Był blady.

– Chodźcie – powiedział. – Wszyscy. Ci od dowodów chcą się z wami natychmiast widzieć. Znaleźli coś w trumnie.

24

Mała figurka przedstawiająca kobietę, znaleziona w skrzyni z Patsy, była groteskowa. Miała trochę ponad piętnaście centymetrów długości, ulepiono ją z jakiejś czerwonawobrazowej gliny, jej stopy i ręce były związane za plecami. Cienkie, drewniane drzazgi, było ich trzynaście – szybko policzyłam – przekłuwały jej stopy, oczy i usta, genitalia i odbył, górę głowy i środek klatki piersiowej.

– O rany – powiedział Sharples.

To było odrażające, ale żadne z nas nie potrafiło odwrócić od tego wzroku. Włosy sięgały do ramion figurki, przytrzymała je cienka wstążka. Rysy twarzy były maleńkie, ale doskonale uformowane. Widać było nawet zwężenie przy skroniach i wysokie czoło. Wokół ust było coś trochę dziwnego, ale poza tym...

– Wygląda jak Patsy. – Odsunęłam się wzdłuż stołu. Nie chciałam być blisko tego czegoś.

– Gdzie to znaleźliście? – zapytał Rushton.

Dwaj policjanci zajmujący się dowodami odsunęli się, żeby przypuścić naszą szóstkę do stołu.

– Było wepchnięte pod satynę – powiedział jeden z nich. – Znaleźliśmy to dopiero, kiedy rozciąliśmy materiał.

Skrzynia, w której znaleźliśmy Patsy, też tam była, zajmowała za dużo miejsca w małym, ciasnym pomieszczeniu. Nie miałam pojęcia, dokąd zabrano ciało Douglasa Simmonsa, a chwila nie była właściwa, żeby zapytać.

– To lalka wudu – powiedział Brown.

– Ale to nie są szpilki – stwierdził szybko Green. – Jak dla mnie, wyglądają na kawałki drewna. W lalkach wudu są szpilki.

Brown ukucnął, żeby znaleźć się na poziomie stołu.

– Coś ma w ustach. Coś wepchnięto, kiedy ją... jak to się mówi, wypalano? Szefie, to wygląda na ząb.

Tom i Green dołączyli do niego.

Brakujący kieł Patsy. Wszyscy tak pomyśleliśmy.

– Woodsmoke – powiedział inspektor, który znów pobladł. – Możesz jak najszybciej sprawdzić to u dentysty Patsy? Zobacz, czy nie wyrwano jej zęba. Nie podoba mi się to, naprawdę nie podoba.

Wszyscy drgnęliśmy na pukanie do drzwi. Sharples zarzucił na figurkę kawałek materiału na sekundę przed tym, jak jedna z sekretarek otworzyła drzwi i poprosiła Rushtona.

Kiedy wyszedł, nikt nie odsłonił figurki. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Podeszłam do drugiego końca stołu, gdzie wyłożono ubranie Patsy: czerwony rozpinany sweter, sukienkę w drukowane kwiaty, skarpetki, majtki, kamizelkę i buty.

– Czy nie wydaje się wam, że są wyjątkowo czyste? – zapytałam.

– Nie. – Brown zerknął z ukosa na innych. Nadal stali przy pokrytej materiałem figurce.

– Nie mówię o krwi i wymiocinach – stwierdziłam. – Mówię o tym, czego tutaj nie ma. Nie widzę zabrudzeń od ziemi. Jeśli została złożona do grobu po oficjalnym pogrzebie, byłyby chociaż ślady ziemi. Jej ubranie nie byłoby takie czyste.

Przestałam mówić, bo nikt mnie nie słuchał. Drzwi otworzyły się i inspektor wrócił.

– Na dole są Roy Greenwood i Larry Glassbrook – powiedział. – Chcą złożyć zeznania.

Sharples spiął się, zanim sięgnął ręką, żeby odkryć figurkę z gliny.

– Dobrze – powiedział. – Zapytamy, czy już coś takiego widzieli.

Figurka, podobizna Patsy, leżała naga na drewnianym stole, jej ślepe oczy patrzyły na mnie.

25

Florence może ich przesłuchać – powiedział inspektor.

– Z całym szacunkiem, sir, nie możemy wysłać nowej policjantki na przesłuchanie podejrzanych – powiedział Sharples. – Ja powinienem to zrobić.

– Oni nie są podejrzаныmi – stwierdził Rushton. – Przyszli z własnej woli, żeby złożyć zeznania, a ty byś ich przestraszył. Idź im się podchlebić, Flossie. Przy tobie nie będą uważać na słowa. Tom, pójdź z nią. Udawaj trochę głupiego. Wiesz, tak jak zwykle robisz.

Dwóch przedsiębiorców pogrzebowych wprowadzono do pokoju przesłuchań, tego z lustrem weneckim. Pierwszy poszedł do nich Tom i podziękował im, że przyszli. Ja weszłam kilka minut później z tacą z herbatą, ołówkiem i notatnikiem. Kiedy otworzyłam drzwi, buchnęło męskimi kosmetykami. Tom używał brut 33, trochę za dużo jak na mój gust, a old spice Larry'ego był dobrze mi znany. W pokoju było czuć jeszcze lepką, tłustą woń, domyśliłam się, że to olejek we włosach Greenwooda.

– Przyszliśmy, żeby wyrazić zaniepokojenie tym, co się stało dziś nad ranem na cmentarzu przy kościele św. Wilfryda – powiedział Roy Greenwood, gdy Tom zapytał, co może zrobić dla „obu panów”.

Roy Greenwood miał zęby w doskonałym stanie, zaskakujące bielą sztucznej szczęki, ale miał zwyczaj podwijania górnej wargi, kiedy mówił, jakby dobrze nie pasowała. Oczy, głęboko osadzone, były matowobrazowe, a twarz i dłonie blade, co dobrze komponowało się z jego zawodem. Larry, obok niego, wyglądał jak gwiazda rocka.

– Chcemy powiedzieć, że to wstrząsnęło nami tak samo jak wszystkimi – mówił Greenwood – i że zrobimy wszystko, żeby pomóc policji w dochodzeniu.

– Ładnie z waszej strony – powiedział Tom, kiedy nalewałam herbaty do trzech filiżanek.

– Służymy temu miastu prawie dwadzieścia lat – rzekł Greenwood – i

niepokoiły się, że nasze godne szacunku przedsiębiorstwo zostało wplątane w tak ohydny zbrodnie.

Chyba jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś używał słowa „ohydne”.

– Panie Glassbrook, chciałby pan coś dodać? – zapytał Tom Larry’ego.

Larry pokręcił głową.

– Roy powiedział to za nas obu. – Poruszył palcami. – Ja przemawiam dłońmi.

– Kto ma klucze do domu pogrzebowego? – zapytał Tom, kiedy dodałam mleka i zaproponowałam gościom cukier.

– Obaj mamy – odparł Greenwood.

– I Sally ma – dodał Larry.

Greenwood odwrócił głowę w bok.

– Sally ma klucze? Do domu pogrzebowego?

Larry wzruszył ramionami.

– Na wypadek gdybym zgubił swoje.

Greenwood poruszył nozdrzami.

– Zapiszę, żeby sprawdzić, czy pani Greenwood nie zapomniała gdzie tych kluczy. – Usiadłam przy dalszym końcu stołu. – Może po herbatniku dla panów?

– Chyba powiedział pan wczoraj, że dom pogrzebowy był zamknięty, kiedy wyszliście w niedzielę wieczorem? – przypomniał Tom.

– Sam go zamknąłem – powiedział Greenwood. – W domu pogrzebowym są ciała zmarłych. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś przy nich grzebał. – Uśmiechnął się do Toma tak szeroko i niestosownie, że aż musiałam powstrzymać dreszcze.

Jeśli Tom był wstrząśnięty, nie pokazał tego po sobie.

– Czy ktoś mógł wejść na podwórko na tyłach?

– Musiałby wspiąć się przez mur i otworzyć bramę od środka – powiedział Greenwood. – Ale i tak nie dałby rady wejść przez tylne drzwi. Są zablokowane, tak jak i te od frontu.

– Sir. – Tomowi zajęło sekundę, zanim domyślił się, że chodzi o niego. – Kazał mi pan sobie przypomnieć, żeby zapytać o wymiary skrzyni. – Spojrzałam na Larry’ego. – Dziś, wcześniej rano, ekshumowano skrzynię, z polerowanego cedru ze srebrnymi ozdobami – przy okazji, coś pięknego; wyglądała dla mnie na bardzo dużą.

Larry zmrużył oczy, patrząc na mnie.

– Skrzynie celowo robi się takie wielkie. Chodzi o prestiż.

– Więc jest mnóstwo miejsca dla przyjaciela – powiedział Tom.

Greenwood tak mocno wciągnął policzki, że zobaczyłam zarys jego szczęki.

– Już wkładaliśmy więcej niż jedno ciało do skrzyni – powiedział Larry. – Chociaż to rzadko się zdarza. Mąż i żona umierają razem. Matka umiera przy porodzie, a dziecko rodzi się martwe. Bywa.

– Bardzo rzadko – dodał Greenwood.

– Panie Greenwood, pamiętam, jak mi pan mówił, kiedy pokazywał pan, jak robi się skrzynie – zaczęłam – że w środku jest swego rodzaju winda, żeby unieść zmarłą osobę.

– Prosty, obsługiwany ręcznie mechanizm – zgodził się Larry. – W zależności od rozmiarów zmarłej osoby możemy dostosować wysokość.

– Więc ktoś mógł opuścić ciało na dno skrzyni, żeby zostawić miejsce na górze. Patsy można było położyć na zmarłym, ale pod wyściółką z satyny – zerknęłam na Toma. – Przepraszam sir, nie chciałam przerywać, trochę mnie poniosło.

– Kochana, nie ma problemu – odparł. – Przyjmujemy wszelką pomoc. – Jest jeszcze herbata w imbryku?

– Cóż, teoretycznie to jest możliwe – zaczął Larry – ale...

– To absurd – powiedział Greenwood. – Nikt nie majstruje przy naszych skrzyniach. A poza tym dodatkowa waga byłaby oczywista, gdy karawaniarze zaczęliby iść w procesji.

Napełniłam ich filiżanki, ale zapomniałam o sitku, kiedy nalewałam Tomowi.

– Jeden z moich kolegów chciałby później spotkać się z panami. – Tom podniósł filiżankę. – Chce usłyszeć o szczegółach pogrzebów, które przeprowadziliście w tym roku.

– Szczegóły są poufne – zaprotestował Greenwood, a Tom zrobił minę i podejrzliwie spojrzął na dno filiżanki.

– Nie są – powiedziałam. – Śmierć odnotowywana jest w archiwach publicznych.

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, kiedy zrezygnowałam z udawania „głupiej sekretarki”. Opuściłam wzrok i ugryzłam się w język.

Tom chrząknął.

– Zanim podsumujemy sprawę, czy mógłbym prosić o potwierdzenie, że żaden z

was nie otwierał trumny w poniedziałek rano? – zapytał.

– Skrzyni – poprawił go Larry.

Tom czekał.

– Żaden z nas tego nie robił – powiedział Greenwood. – Tamtego dnia rano otworzyłem dom pogrzebowy i nie wychodziłem z niego, póki nie przeniesiono skrzyni na karawan. Jestem pewien, że wtedy nie było jej w środku.

26

Talerz rozbił się o podłogę, kiedy weszłam do jadalni liceum w Sabden, a dzieci podniosły owację. Nauczyciel wrzasnął, żeby się „zamknęły” i wysłał jakiegoś niedorajdę po szczotkę i mop. Kobieta o łagodnej twarzy, w niebieskim kombinezonie – z wyglądu pochodząca z Indii Zachodnich – popychała wózek do potraw w stronę bałaganu. Wyglądała, jakby cała sprawa jej nie obchodziła, a zarazem nikt jej nie widział.

Ale mnie zobaczyli.

Zapadła cisza. Wszystkie głowy się odwróciły. Dzieci gapily się, dorośli marszczyli brwi i szeptali coś między sobą. Od stołu dla nauczycieli wstał wysoki, chudy mężczyzna o długich włosach i rozczochranej brodzie.

– Wcześniej pani przyszła – powiedział. To nie była prawda, ale nie protestowałam.

Nie podał mi ręki.

– Mam dyżur na podwórku – powiedział. – Możemy porozmawiać na zewnątrz.

– Gliniara – syknęło któreś z dzieci i chichoty rozeszły się po jadalni jak dzikie zwierzę, które wypuszczono na wolność.

Kiedy wyszłam za nauczycielem, zobaczyłam, że kucharka podchodzi do stołu dla nauczycieli i uprząta jego miejsce. Szczątki rozbitego talerza już zniknęły. Czarna kobieta łagodnie się uśmiechała. Dwie sprawy mnie zastanowiły. Pierwsza, że to zwyczajny dla niej wyraz twarzy, i druga, że prawdopodobnie mina nie oddaje jej myśli.

Poszłam za panem Milnerem, nauczycielem geografii i robót w drewnie oraz wychowawcą czwartej klasy, na podwórko za budynkiem szkolnym. Podwórze miało nieregularny kształt, było wyasfaltowane i otoczone wysokim murem, jakby to był spacerniak w więzieniu, a nie wielki plac zabaw otoczony kołyszącymi się lipami, który zapamiętałam z własnej szkoły. Właśnie grano tam w nogę, a tornistry służyły za słupki bramki. Dziewczyny trzymały się po bokach, uważając,

żeby nie dostać źle wymierzoną piłką.

– Cholera – zaklął Milner.

Po drugiej stronie podwórza, w grupie chłopców, zobaczyłam Johna Donnelly'ego. Łatwo było go zauważyć, bo górował nad innymi.

– Czy mogę prosić o potwierdzenie, że jest pan byłym wychowawcą Patsy Wood, Stephen Shorrocka i Susan Duxbury?

Donnelly też mnie zauważył.

– Winien. – Milner spojrział na mnie z ukosa. – Mówią, że pochowano ją żywcem. Skomentuje to pani?

Skąd mógł to wiedzieć? Wyczułam, że dzieci podchodzą bliżej, próbują podsłuchiwać. Zastanawiałam się, czy powinnam nalegać, żebyśmy weszli do środka i porozmawiali prywatnie.

– Obawiam się, że nie dysponuję szczegółami – powiedziałam. – Czy według pana ta trójka dobrze się znała?

Grupa otaczająca Donnelly'ego rozproszyła się. On sam podbiegł kawałek i dołączył do gry w piłkę. Ale tylko udawał, co chwila oglądał się za siebie, trzymał się z boku.

Milner głęboko nabrał powietrza.

– Smith! Zostaw go, nie wiesz, gdzie wcześniej był. Natychmiast, Smith, bo każę ci zostać w klasie.

– Sir, czy tych troje było przyjaciółmi?

Donnelly zostawił grę i podszedł do grupy dziewcząt, wśród których spostrzegłam rude włosy Luny. Nachylił do niej głowę i chociaż żadne z nich nie rozglądało się, wiedziałam, że rozmawiają o mnie.

Milner westchnął.

– Słuchaj, kochana. – Znów obrzucił mnie wzrokiem. – Mówiłaś, że jak się nazywasz?

– Posterunkowa Lovelady, sir. Byli w tej samej klasie?

– Posterunkowa, gdyby pani dała mi szansę coś powiedzieć, stwierdziłaby pani, że umiejętność słuchania jest równie ważna, jak umiejętność zadawania pytań. Byli na tym samym roku, ale to dotyczy ponad setki dzieci. Podzielone są na cztery klasy, mniej więcej dwadzieścia pięć osób w klasie. Patsy była w 4 C, Stephen w 4 M, a Susan... wydaje mi się, że Susan też była w 4 M.

– Czy według pańskiej wiedzy chodzili do tych samych klubów?

– O co pani chodzi? O kluby młodzieżowe? O skautki? Doprawdy nie wiem.

– Czy ktoś z personelu szkoły znałby lepiej tych troje niż pan? Może pielęgniarka szkolna? Może pedagog szkolny?

– Do pielęgniarki chodzą tylko wtedy, kiedy są chore. I szkolny kto? – Nagle odszedł ode mnie, wyjął z kieszeni gwizdek i chrapliwie gwizdnął. Kiedy znów się z nim zrównałam, był w połowie podwórka i w każdej chwili groziło nam, że dostaniemy szybko lecącą piłką.

Westchnęłam.

– Sir, proszę, czy mógłby pan znaleźć jakieś zastępstwo na dyżur na podwórku? Musimy na jakiś czas usiąść, bo chciałam zadać panu pytania w sprawie tych trojga.

Otworzył usta, żeby zaprotestować.

– Chcę wiedzieć, jakich przedmiotów się uczyli, obok kogo siedzieli w klasach, jakie sporty uprawiali, z kim się kolegowali, z którymi nauczycielami dobrze im szło, a którzy mieli z nimi kłopoty, kto odprowadzał ich do domu, a z kim się pokłócili w ciągu ostatnich paru miesięcy. Wreszcie, chciałam porozmawiać o ich sprawach domowych. Czy ich rodzice zajmowali się nimi, czy któreś z nich pracowało dorywczo, czy któreś było szczególnie nieszczęśliwe w domu.

Milner popatrzył na zegarek.

– Nie będę miał czasu. Lunch kończy się za kwadrans.

– Sir, to jest śledztwo w sprawie morderstwa.

Zrobił krok do tyłu.

– Niech pani porozmawia z sekretarką dyrektora. Opatruje dzieciom zadrapania, kiedy się przewrócą. Zna je równie dobrze jak my wszyscy.

Sekretarka dyrektora nie była bardziej przyjazna od Milnera, ale dostałam to, po co przysłałam: mnóstwo informacji o dynamice czwartej klasy i życiu trojga zaginionych. Jedną ze spraw, które mnie zainteresowały, było to, że dwoje zaginionych dzieci miało ojców działających w miejscowych związkach zawodowych. Jim Shorrock, ojciec Stephena, był przedstawicielem załogi w Fabryce Pilkintona w śródmieściu, a Stan Wood – sekretarzem miejscowego oddziału Kongresu Związków Zawodowych.

– Czy związki zawodowe są bardzo aktywne w mieście? – zapytałam sekretarkę.

– W tym roku nie tak bardzo. W ubiegłym roku było bardzo źle. Kilka strajków, niektóre potrwały dłużej. Dzieci przychodziły głodne do szkoły.

– A co z ojcem Susan?

Zrobiła minę.

– To piąte koło u wozu? Niedawno wyszedł z więzienia. I nikt już go nie zatrudni. Więcej razy przyłapano go na kradzieży w miejscu pracy, niż ja mam loków w ondulacji. – Uśmiechnęła się lekko ze swojego dowcipu.

Uzyskałam też informację, od której upalny dzień zrobił się znacznie chłodniejszy. Sekretarka potwierdziła, że dzieci musiały mieć pozwolenie, żeby wyjść ze szkoły na umówione wizyty lekarskie i że ostatnia wizyta Patsy u dentysty odbyła się dwa miesiące temu. Ekstrakcja, którą zauważył patolog, była znacznie późniejsza.

Gdy szłam do głównych drzwi, musiałam odsunąć się na bok, żeby przepuścić grupę rozgadanej młodzieży. Dzieci niosły kawałki roślin – gałązki, liście, trawy – a za nimi szła ta sama spokojna kobieta, którą widziałam w stołówce. Zmieniła niebieski kombinezon na poplamiony na brązowo plastikowy fartuch. Większość dzieci nosiła podobne fartuchy. Garncarskie fartuchy.

Postąpiłam odruchowo. Utrzymując dystans, poszłam za nimi korytarzem. Korytarz się skończył, weszły na schody. Kobieta w fartuchu trzymała się na

końcu. Z pierwszego piętra poszły na drugie. Kobieta nie oglądała się, ale odniosłam wrażenie, że wie o mojej obecności. Była z tych szczupłych. Jej włosy wyglądały jak masa czarnych, skręconych spiralnie loków. Odsunęła je z twarzy, pozwalając, żeby rozłożyły się jej wokół głowy jak aureola. Miała może trzydzieści lat albo troszeczkę więcej. Kiedy weszliśmy wyżej, zauważyłam, że ma długie, mocne paznokcie pomalowane na szkarłatny odcień czerwieni.

Doszliśmy do drugiego piętra i dotarło do mnie, że jesteśmy w wieży. Kiedy dzieci wlały się do okrągłego pomieszczenia o szklanych ścianach, zatrzymała się przy drzwiach i puściła mnie przodem. Wtedy zobaczyłam nazwisko na identyfikatorze: pani Labaddee.

Przez wielkie okna, które formowały prawie zamknięty krąg, zobaczyłam wrzosowiska, pobliskie wsie, drzewa w parku miejskim, liczne kominy fabryk. Wlewały się potoki światła i upału. Większość okien była otwarta, żeby wpuszczać wietrzyk, ale nosiłam wełniany mundur i w klasie było mi nieznośnie gorąco. To była pracownia sztuki. Wokół ścian biegł blat zawalony farbami, pędzlami, ołówkami. Były też dwa koła garncarskie.

Nauczycielką była młoda kobieta w okularach. Miała jasnobrązowe włosy. Nosila płócienny fartuch jeszcze bardziej poplamiony niż fartuchy dzieci. Ręce też miała w brązowych plamach.

– No dobrze – powiedziała do klasy, kiedy wyjaśniłam, kim jestem, i poprosiłam o trochę czasu. – Chcę, żebyście dzisiaj wykończyli talerze. Marlene, wydaję mi się, że Shelley potrzebna jest pomoc przy jej żołądźkach.

Kiedy czarna – Marlene Labaddee – podeszła do jednej z dziewczyn, razem z nauczycielką sztuki przeszliśmy w stronę drzwi.

– To może się wydać dziwne, ale chciałam panią zapytać o glinę garncarską – powiedziałam. – Z jakiej korzystacie i skąd ją bierzecie?

– Używamy głównie brązowej, kamionkowej ze sklepu zaopatrującego szkoły w Bury – powiedziała.

Dzieci rozproszyły się teraz po klasie i za pomocą folii robiły wzory na wilgotnych, glinianych talerzach leżących na blacie.

– Jaki kolor ma ta glina, kiedy wyschnie? – zapytałam.

Nauczycielka wskazała półkę, na której stało kilka wypalonych, niepomalowanych wyrobów. Wszystkie miały ciemny, brązowawy odcień szarości.

– Ostatnio natknęłam się na figurkę znacznie bardziej czerwonawą – powiedziałam. – Czy można kupić różne rodzaje gliny?

– Tonami – odparła nauczycielka. – Chociaż w sklepach zaopatrujących szkoły są spore ograniczenia. Mamy kilka podstawowych rodzajów ceramiki, na której uczą się dzieci. I trochę białej kamionki dla bardziej zaawansowanych. Jest jednak mnóstwo podkategorii. To zależy od tego, co chce się uzyskać.

Patrzyłyśmy, jak Marlene podchodzi do chłopca, który trudził się nad talerzem. Zrobiła z talerza kulę i zaczęła mu nadawać nowy kształt, lejąc z dzbanka wodę, aż glina załśniła w jej rękach. Paznokcie wbijały się w błotnistą substancję i wychodziły z niej, jak tańczące żuczki.

– Glinę można dostać na miejscu – powiedziała nauczycielka. – Jest jej wiele w miejskim muzeum. Nie zalecałabym jednak pracy z tym materiałem. Wieki trzeba go ugniatać i jest w nim mnóstwo zanieczyszczeń.

– Mówi pani, jakby pani się z tym zetknęła.

– Nigdy z tą gliną nie pracowałam, ale pan Milner, nauczyciel geografii, chciał poznać miejscową glinę na użytek jednej z jego klas – odparła nauczycielka. – Nauczał chyba miejscowej geologii. Przeszkoliłam go pobieżnie, jak radzić sobie z tym materiałem. Nie wiem, czy mu się to udało.

– Nie, nie należy łączyć japońskiego klonu z tarniną. – Kobieta z Indii Zachodnich odezwała się po raz pierwszy w mojej obecności. Miała niski, ciepły i głęboki głos. – To pierwsze jest importowanym drzewem, to drugie pochodzi z Anglii. Oba liście razem gryzłyby się i fatalnie by wyglądały.

– Pani Labaddee wygląda na kompetentną – zauważyłam. – Czy to ją widziałam w stołówce kilka minut temu, czy ma bliźniaczą siostrę?

– Niestety, jest tylko jedna – powiedziała nauczycielka sztuki. – Czasem zastanawiamy się, co byśmy zrobili bez Marlene. Jest także florystką. Flower Pot, ten sklep przy głównej ulicy, należy do niej.

– Wiem – powiedziałam, myśląc o sklepiku z zieloną ścianą od frontu. – Pracowita kobieta.

– Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? – zwróciła się do mnie nauczycielka. – Bo naprawdę muszę skończyć z tą klasą przed dzwonkiem.

Sharples czekał na mnie, kiedy wróciłam do wydziału kryminalnego.

– Lovelady, czy kręciłaś się bez zezwolenia po szkole i nieproszona wchodziłaś do klas?

Wszyscy podnieśli wzrok. Rozmowy ustały. Kobieta z kantyny przestała zbierać filiżanki.

Tom, siedzący przy swoim biurku pośrodku pomieszczenia, podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry Alice – mówił głośno, nawet jak na swoje standardy. – Próbuję dodzwonić się pod numer z Manchesteru. Mogłabyś spróbować? Dziękuję, kochana, jestem zobowiązany. – Wykręcił numer.

– Byłam tylko w jednej klasie, sir – powiedziałam do Sharplesa. – W klasie garncarstwa. To była za dobra okazja, żeby ją zmarnować. W szkole i tak wiadano, że przyszłam. Umówiłam się i zgłosiłam w biurze, kiedy tam się pojawiłam.

– Tak, hm, mamy skargę, że denerwowałaś dzieci – powiedział Sharples.

– Poczekaj Doreen, nie skończyłem. – Tom wstał, zostawił słuchawkę. Dyndała na sznurze i objęła się o jego krzesło. Przeszedł przez pokój i popatrzył na górną półkę stolika na kółkach. – Och, pomyliłem się. Kochana, przytrzymam ci drzwi. Przepraszam, Florence.

Tom przeszedł obok mnie, otworzył drzwi i kiwnął na kobietę z kantyny. Marszcząc brwi, podjechała do niego z wózkiem.

– Nic dziwnego, że dzieci były zdenerwowane – zwróciłam się do Sharplesa. – Troje z nich zginęło, jedno zginęło straszną śmiercią. – Odsunęłam się od drzwi. Nie bardzo wiedziałam, co robią Tom i kobieta z kantyny, ale wyglądało na to, że walczą o kontrolę nad wózkiem.

– Coś smacznego na kolację? – usłyszałam jego słowa.

– Tom, kurwa, zamknij się – warknął Sharples. – Lovelady, nie obchodzi mnie, że szef z miejsca cię polubił. Jeszcze raz wyjdiesz przed szereg, każę ci stanąć do raportu.

Tom chyba zaczął, za moimi plecami, wymawiać moje imię.

– Z całym szacunkiem sir. Powinniśmy ostrzec dzieci. Już mi nosem wychodzi, kiedy słyszę, że Stephen i Susan mogli uciec z domu. Powinniśmy powiedzieć dzieciom, żeby nie wychodziły same z domu, mówiły rodzicom, gdzie będą, wracały przed zmierzchem. Patsy nie była pierwszą, której stała się krzywda, i nie będzie ostatnią, jeśli nie zaczniemy liczyć się z faktami.

Kiedy Sharples zaczął iść w moją stronę, drzwi do gabinetu Rushtona otworzyły się.

– Flossie, wybierz się do kościoła św. Wilfryda, dobrze? – poprosił inspektor. – Ojciec Edward przyprawia mnie o ból głowy, ciągle pyta, co się dzieje. Pogłaszcz go po zmierzwionych piórkach, co? Jack, Flossie nie będzie ci teraz potrzebna?

Sharples nie odwracał ode mnie wzroku.

– W ogóle nie będzie potrzebna, szefie – powiedział.

Wnawie św. Wilfryda było cudownie chłodno po jeździe rowerem na północ miasta. Dochodziła druga, ale nie zanosilo się, żeby miało się ochłodzić.

Księżda znalazłam w zakrystii. Ojciec Edward był niski i pulchny, miał grzywę siwych włosów. Byłby z niego doskonały Święty Mikołaj, gdyby nie było to poniżej jego godności.

– Ty? – Nie wstał. – Spodziewałem się inspektora Rushtona.

Otworzyłam usta, żeby mu przypomnieć, że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i że moi koledzy z komisariatu są trochę zajęci, kiedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Jakbym zobaczyła Toma z zakasanyimi rękawami, z bardzo wysoko uniesionymi brwiami, opierającego się o parapet. I przypomniałam sobie, że ojca Edwarda obudzono we wczesnych godzinach rannych, żeby mu powiedzieć o nieoficjalnej ekshumacji na cmentarzu przy jego kościele. I że jest on już dość starym człowiekiem.

– Pan Rushton prosił, żebym ojcu podziękowała – powiedziałam. – Za dyskrecję i cierpliwość. Zdajemy sobie sprawę, że to koszmarny czas dla kościoła św. Wilfryda.

Ojciec Edward prychnął przez nos, jakby powietrze uchodziło z dętki rowerowej, i pokazał krzesło. Za oknem urojony Tom pochylił głowę na znak aprobaty. Tak ustawiłam krzesło, żebym mogła go widzieć.

– Większą część dzisiejszego ranka byłem z rodziną. – Ojciec Edward uniósł ręce w zaskakująco kobiecym geście. – I co powiesz! Nie chcą słuchać, że ich dziecko jest w lepszym miejscu. Bo kto by tego słuchał?

– Mają szczęście, że ojciec poszedł do nich z pociechą – Proszono mnie, żebym powiedziała, że nie możemy oddać ciała do końca śledztwa, a to może potrwać parę tygodni. Oczywiście, powiadomimy rodzinę, ale inspektor chciał, żeby ojciec dowiedział się o tym pierwszy.

Ksiądz machnął ręką w stronę okna.

– A co z tym, co się dzieje poza kościołem? Co ze sprofanowanym grobem? Mam jeszcze jedną pogrążoną w smutku rodzinę, z którą muszę się uporać. Nie mówiąc o reszcie parafian.

– Jak tylko wrócę, poproszę o oszacowanie, jak długo to potrwa.

Uśmiechnęłam się do starego księdza. Zrobiłam to, po co mnie wysłali. Jeszcze parę minut uprzejmej rozmowy i będę mogła wracać.

Albo robić, co do mnie należy.

– Ojcie, obawiam się, że będę musiała zadać ojcu pytanie – powiedziałam. – Przepraszam, że zadaję ojcu jeszcze więcej bólu, ale...

Westchnął.

– Wszystko, czego zapragniesz, moja droga. Zakładam, że szukasz tych dwojga zaginionych dzieci w... podobnych miejscach?

– Musimy być przygotowani na wszystkie ewentualności – powiedziałam. – Więc muszę ojca zapytać, czy w ciągu ostatnich miesięcy zauważył ojciec jakieś nieprawidłowości na cmentarzu?

Ksiądz patrzył na mnie przez kilka długich sekund, potem wstał. Podeszedł do okna, zmuszając mnie do przestawienia krzesła.

Urojony Tom najwyraźniej uznał, że od tej chwili sama dam sobie radę. Zniknął.

Musiała minąć minuta, zanim ksiądz się odezwał.

– Dwadzieścia lat temu wróciłem późnym wieczorem – powiedział. – Byłem u parafianina, dawałem mu ostatnie namaszczenie. To był mody człowiek, żonaty, dzieciaty i sprawa była bardzo smutna. Kiedy wracałem do domu, okazało się, że potrzebuję czegoś z kościoła – nie pamiętam, co to było. Nie włączyłem światła. Wiedziałem, że gdybym to zrobił, ktoś z którejs z pobliskich ulic zwróciłby na to uwagę i przyszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jakies kochane panie z parafii. Cóż, chciałyby dobrze. Tamtego wieczoru nie chciałem z nikim rozmawiać.

Zerknął na mnie.

– Kiedy wszedłem do środka, deszcz przybrał na sile i pomyślałem, że poczekam, aż trochę ustąpi – powiedział ksiądz. – Stałem tutaj, przy tym oknie, patrzyłem na kruchtę i przypominałem sobie tę starą legendę o dniu Wszystkich Świętych. Mówiłem, że to było we Wszystkich Świętych?

– Chyba nie. – Zerknęłam nieznacznie na zegarek.

– Cóż, jest w niej mowa o tym, że jeśli człowiek znajdzie się w kruchcie w

przeddzień dnia Wszystkich Świętych, zobaczy duchy wszystkich, którym przeznaczona jest śmierć w nadchodzącym roku, jak idą na cmentarz. Zastanawiałem się, czy starczy mi odwagi i czy ktokolwiek chciałby znaleźć się w podobnej sytuacji. Przypomniałem sobie starą opowieść o księdzu, który tak zrobił i zobaczył własnego ducha. Wtedy spostrzegłem, że coś się rusza na cmentarzu. Niech pani podejdzie i stanie obok mnie. Pokażę, gdzie to było.

Stałem obok niego przy oknie i z trudem nie drgnęłam, kiedy objął mnie w pasie. Drugą ręką wskazał miejsce niedaleko rogu.

– Tam zobaczyłem ruch – powiedział. – Wyglądało to jak dwóch ludzi ubranych na czarno. Nie modlili się. Ale trudno powiedzieć, bo obaj klęczeli.

– Klęczeli przy grobie?

– Tak to wyglądało. Ale ruszali się. Nie modlili się. Coś robili. A była trzecia nad ranem.

– Co ojciec zrobił?

– Zostałem tutaj. Właściwie, to chyba obróciłem się, żeby sprawdzić, czy drzwi do zakrystii są zamknięte. Nie muszę pani mówić, że w tym było coś, co wywoływało dreszcze.

– Nie zadzwonił ojciec po pomoc?

Roześmiał się cicho.

– Moja droga, to był tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy. W mieście prawie nie było telefonów, nie mówiąc o kościele. Należało raczej obudzić zakrystiana, przypadkiem to był ojciec Dwane'a, ale nie miałem odwagi, żeby w nocy wychodzić. – Odwrócił się w stronę nawy. – Więc usiadłem na tym krześle, na dokładnie tym samym krześle, i czekałem na świt.

Odsunęłam się niby po to, żeby popatrzeć na sfatygowane krzesło za jego biurkiem, ale naprawdę chciałam znaleźć się poza zasięgiem jego ręki.

– I co ojciec znalazł o świcie? – zapytałam.

– Przy grobie coś robiono, co do tego nie było wątpliwości – odparł ksiądz.

– I co się stało?

– Nic. Zgłosiłem to na policję, ale oni doszli do wniosku, że to robota lisów.

– Ale ojciec widział ludzi.

Wrócił do fotela.

– Coś widziałem, ale było ciemno. Byłem zmęczony. I smutny. Wiedziałem, że

niczego nie zyskam, upierając się.

Stary ksiądz zwiesił głowę tak, że skronie oparł na koniuszkach palców.

– W tym mieście są ludzie, ważni ludzie, którzy nie lubią, kiedy robi się zamieszanie. – Teraz mówił do posadzki z kamiennych płyt. – Mniej więcej wtedy zacząłem mieć problemy z biskupem. Oskarżenia były bezpodstawne, ale błoto przylega. – Zamknął oczy.

– Ojcie, wygląda na to, że ktoś chciał zamknąć ojcu usta.

Zadrzał, podniósł wzrok i słabo się do mnie uśmiechnął.

– Nonsens, moja droga. Ludzie, co zrozumiałe, bardzo się niepokoją, kiedy desakralizuje się groby. To, co zrobiliście ostatniej nocy – och, wiem, mieliście powód – nie zostanie dobrze przyjęte w parafii.

Niech diabli wezmą parafię. Otworzyłam usta i – nie żartuję – znów pojawił się Tom, tuż obok starego księdza.

– Czy później też to się zdarzało? – zapytałam.

Nie spojrzał mi w oczy, popatrzył gdzieś daleko, nad moim lewym ramieniem.

– Powiedzmy tylko, że jak się jest tak blisko Wzgórza, mogą się zdarzać problemy z dzikimi zwierzętami.

– I tak było? Widział to ojciec? A może ojciec znów widział ludzi?

– To był chyba ostatni raz, kiedy przyszedłem w nocy do kościoła. – Popatrzył na zegarek. – Moja droga, wybac mi teraz. Czeka na mnie parafianin i muszę cię przeprosić.

Stałam pod trzema kamiennymi schodami, zastanawiałam się, czy zostanie to uznane za wyjście przed szereg. W oczach komisarza Sharplesa pewnie tak. A jednak zgłoszenie okradania grobów, nawet sprzed dwudziestu lat, było czymś, czym warto się zająć, prawda? Szczególnie jeśli, jak uważał ojciec Edward, wywarto nacisk, żeby nie prześledzić tego tak, jak należało.

Schodów nie zamiatano ani nie szorowano, a drzwi od lat nie były malowane. W rogach drewno próchniało, a zawiasy pokryte były rdzą. Brakowało paru gwoździ.

– Och, cześć – powiedziałam, kiedy drzwi się otworzyły.

Znałam tę kobietę w średnim wieku z siwiejącymi włosami i pobrużdżoną twarzą.

– Pracujesz w komisariacie, prawda? – mówiłam dalej. – W kantynie?

Nie odpowiedziała i po paru niezręcznych sekundach przestałam się uśmiechać.

– Czy mogłabym porozmawiać z panem Dwane’em Ogilvym? – Podniosłam identyfikator.

– O czym? – zapytała. Udało się jej to powiedzieć bez wymawiania litery m.

Czułam, że gdybym się odwróciła, zobaczyłabym Toma przy końcu ścieżki, więc nie odwróciłam się.

– Prowadzimy poważne śledztwo – odparłam. – Czy on jest w domu?

– Od tyłu – odparła, obracając się na pięcie.

Poszłam za nią ciemnym korytarzem, tak wąskim, że gdybym miała wystawić łokcie, to ocierałyby się o ściany. Weszliśmy do pomieszczenia, które służyło za kuchnię, jadalnię i salon rodzinny.

Dwoje dzieci, małych i nieproporcjonalnie zbudowanych, za dużych na pieluchy, które nosiły, siedziało na dywaniku przed piecem i kłóciło się o jakieś kolorowe klocki. Inne dziecko, o normalnych kształtach, ale nieobecne duchem, patrzyło w ekran wyłączzonego telewizora.

Na ociekaczu przy zlewie stał magiel, a spomiędzy wałków zwisał rękaw szarej roboczej koszuli. Pani Ogilvy wróciła do magla i skinęła głową w stronę drzwi.

– Z tyłu – powiedziała.

Pchnęłam drzwi i weszłam na tylne podwórko Ogilvych. Sznur do suszenia bielizny zwisający z muru ogradzającego podwórko biegł po nim zygzakiem. Wisiały na nim koszule, poszewki na poduszki, sukienki i stroje do spania. Krochmal aż palił mnie w nozdrza, kiedy przechodząc pod pierwszym odcinkiem linki, zaplątałam się w pranie.

– Dwane?! – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi, ale usłyszałam regularne, rytmiczne drapanie, jakby piłowanie drewna. Ogródek był wąski i długi, schylałam się pod linkami z praniem, idąc w stronę, z której dochodziło drapanie.

Odsunęłam pięć linek, zanim znalazłam Dwane’a. Siedział na długim, wąskim, przewróconym pudle, opiłowując kawałek drewna. Za nim stała wielka szopa z drzwiami pośrodku i oknami po obu stronach.

Dwane podniósł wzrok i jego oczy ukryte pod wystającymi brwiami otworzyły się bardzo szeroko.

– Jestem posterunkowa Lovelady – powiedziałam. – Wczoraj się spotkaliśmy,

przy kościele. Pamiętasz?

– Ty ją wykopałaś.

Nie potwierdziłam tego ani nie poprawiłam go.

– Wszystko cholernie rozbabrałaś. Myślę, że przyszedł prosić, żebym znów zakopał dół. – Wstał. W jednej ręce trzymał metalowy pilnik, w drugiej spory kawał drewna. Był dobre trzydzieści centymetrów niższy ode mnie, ale przyznaję, że cofnęłam się o krok. Kiwnął głową w stronę pudła, z którego właśnie wstał.

– Możesz se klapnąć – powiedział.

Siadanie, kiedy stał nade mną z pilnikiem, było ostatnią rzeczą, którą chciałam zrobić, ale zrozumiałam, że to wyraz uprzejmości z jego strony, więc przysiadłam na brzegu pudła.

– Trzeba by było użyć czegoś takiego – powiedział, pokazując pudło, na którym siedziałam. – Stawia się je obok grobu i wysypuje do niego ziemię. Potem, kiedy jest się gotowym, żeby grób zasypać, cała ziemia jest w pudle, a nie wszędzie dookoła.

– Chcę cię zapytać, skąd pewność, że grobu nie rozkopywano – powiedziałam. – Według jednej z teorii, nad którymi pracujemy, ciało dziewczyny zostało włożone do skrzyni po pogrzebie.

– Nikt nie tykał tamtego grobu – powiedział Dwane. – Nie słuchałaś? Myślisz, że każdy potrafi wykopać grób?

Odwrócił się i podszedł do dalej położonego muru. Miał specyficzny, rozkołysany chód. Przy każdym kroku trochę się chwiało na boki, jakby nogi musiały bardziej pracować, żeby nosić jego przerośnięte ciało.

Pod murem stały ciężkie narzędzia. Zobaczyłam mocny szpadel o małym piórze, znacznie większą łopatę, kilof, widły. I wielki drewniany prostokąt pusty w środku. Natychmiast zrozumiałam, że to szablon grobu.

– Najpierw trzeba usunąć darń – powiedział, podnosząc mniejszy szpadel. – Wycina się ją starannie i każdy kawałek układa w odpowiednim miejscu, żeby można go położyć z powrotem. – Pokazał mur z drugiej strony. Odwróciłam się i zobaczyłam płytę ze sklejki. – To moja miara darni. Potem kopie się w ziemi. – Pokazał kilof i widły. – To może zająć godziny, jeśli nie wie się, jak to zrobić – mówił dalej. – W nienaruszonej ziemi potrafię wykopać grób w trzy godziny. Ile tobie by to zajęło?

Trzy godziny to całkiem sporo, ale nie miałam zamiaru mu odpowiadać. Poza

tym kopałam w miękkiej ziemi.

– Powiedzmy, że ktoś przyglądał się twojej pracy – odparłam. – Powiedzmy, że wiedział o odkładaniu darni i wsypywaniu ziemi do pudła. Takie narzędzia jak twoje można znaleźć w każdym sklepie z materiałami żelaznymi. Czy nie jest chociaż trochę prawdopodobne, że ktoś mógł się tego od ciebie nauczyć? Nie pracował przy świeżej ziemi, pamiętasz? Ułatwiłeś mu robotę.

Przez sekundę się nad tym zastanawiał, jego grube, wilgotne usta uchyliły się. Pokręcił głową.

– Nikt tego nie tykał. Chcesz wiedzieć, skąd ja to wiem?

– Tak, proszę.

– Uformowałem grób. – Zaczął wymachiwać szpadlem, jakby uklepywał nim ziemię. – W specjalny sposób. Tylko ja wiem, jak ubić taki kształt. Mogę ci pokazać, jeśli chcesz.

– Kiedy wczoraj po południu tam byliśmy, grób miał kształt taki, jak mówisz?

Powoli pokiwał głową, wargi miał zaciśnięte. Jeśli mówił prawdę, jeśli miał jakiś szczególny sposób wykańczania grobu, jak cukiernik tortu, to Patsy musiała już być w skrzyni, kiedy ją zakopywano. To znaczyło, że ktoś miał dostęp do domu pogrzebowego.

– Proszę pana, muszę zapytać, gdzie pan był w niedzielę wieczorem, między dziewiątą a jedenastą.

W tym czasie Patsy zaginęła. Jeśli Dwane rozumiał wagę tego pytania, to nie pokazał tego po sobie.

– Tutaj – powiedział. – Oglądałem telewizję.

– A w środę, szesnastego kwietnia, w tym samym czasie?

– Tutaj, oglądałem telewizję.

– Jest pan pewien? Może pan sprawdzić w notatniku. Może w kalendarzu?

Gapił się na mnie.

– A w poniedziałek, siedemnastego marca? – zapytałam.

– Czarny Pies – powiedział.

– Przepraszam?

– Czarny Pies – powtórzył. – Pub na Riley Street.

– Wygląda na to, że jest pan tego bardzo pewny – powiedziałam. – To było trzy miesiące temu.

– W piątki i soboty wieczorem idę do pubu. Od siódmej do jedenastej. W niedziele mama nie pozwala mi chodzić. Chodzę w poniedziałki i wtorki. W środy i czwartki jestem zazwyczaj bez grosza. Wypłatę dostaję w piątki.

– Rozumiem. Więc restaurator potwierdzi twoje słowa?

– Restaurator jest ululany przed wpół do dziesiątej.

– Chcesz powiedzieć, że jest pijany?

Kiwnął głową.

– Z Teda Donnelly’ego zawsze był duży pijak. Jego paniusia też nieźle katowała. Rozumiesz, ale to jej nie przeszkadzało... – przerwał, miał zakłopotaną minę. – Mam własny stółek – dokończył.

– Zanim tu przyszłam, rozmawiałam z ojcem Edwardem – powiedziałam. – Powiedział mi, że cmentarz bywa czasem nachodzony.

Dwane opuścił wzrok.

– Spokój cmentarny czasem bywa zakłócany. To się zdarza.

– Dał do zrozumienia, że zwierzęta są za to odpowiedzialne – lisy, może borsuki, pewnie nawet psy.

– Podoba mi się sposób, w jaki o tym mówisz – rzekł Dwane.

– Dziękuję. Więc co o tym sądzisz? Myślisz, że jest problem z dzikimi zwierzętami?

Wzruszył ramionami, ale nadal nie patrzył na mnie.

– A z czym innym? Lubisz małe rzeczy?

– Słucham?

– Małe rzeczy, czy je lubisz?

Czy miał siebie na myśli?

– Chyba tak – odpowiedziałam nerwowo. – Jakiego rodzaju małe rzeczy?

Zrobił gest, żebym wstała i poszła za nim do szopy. Stała zaledwie trzy kroki od niego, jeden ode mnie. Otworzył drzwi i pokazał, żebym weszła pierwsza.

Pośrodku szopy stał stary stół bilardowy. Rozpoznałam grube, rzeźbione nogi i zobaczyłam kawałek zielonego filcu pod przykrywającą stół sklejką.

Na sklejce stało miniaturowe miasto. Model Sabden. Nie byłam w stanie zliczyć ulic, ale rozpoznałam śródmieście, pomnik bohaterów wojennych, park i podest dla orkiestry. Wszystkie sklepy przy głównej ulicy zostały perfekcyjnie oddane. Zobaczyłam Glassbrooka i Greenwooda, piekarnię Kenyona, sklep z płytami,

mięśny Sherwina, Flower Pot. Zobaczyłam miniatury rynku i ratusza, wielką, otwartą przestrzeń, na której były przystanki autobusów i tramwajów. Znalazłam Czarnego Psa z szyldem pubu kołyszącym się na zewnątrz budynku i wielkie drzwi do piwnicy wychodzące na ulicę. Beczki z piwem wyładowywano z ciężarówki browaru Thwaitesa.

Długie rzędy szeregowców rozchodziły się w stronę wrzosowisk na brzegach miasta. Były pomalowane na szaro, żeby oddać poczerniały od sadzy kamień. Ulice nie były gładkie. Z wahaniem wysunęłam palec, ale Dwane nie powstrzymał mnie, więc dotknęłam powierzchni brukowanych kocimi łbami uliczek i poczułam wyboje. To były prawdziwe kamienie. Uliczki zrobił z maleńkich odłamków otoczaków.

Musiało mu to zająć lata. Pranie wisiało w poprzek alejek, maleńkie kawałki białego materiału zwisające z bawełnianych nici. Były płoty z zapalek i maleńkie cynowe samochody.

Zorientowałam się w swoim położeniu i prześledziłam drogę z komisariatu – komisariat też tam był z maleńkim posterunkowym w hełmie na schodach – do kościoła. Święty Wilfryd oddany był perfekcyjnie. Mur wokół cmentarza, drzewa, nagrobki – było wszystko.

To była dokładna reprodukcja miasta. Obeszłam stół wzdłuż zewnętrznych granic, aż do wzgórza, do domu Glassbrooków.

– To okno w mojej sypialni – powiedziałam. – Ale zasłonki nie są takie jak trzeba. Moje są niebieskie, a te są liliowe.

Zatrzymałam się, zmartwiona, że powiedziałam coś nie tak, ale Dwane nie wyglądał na zmartwionego. Obserwował mnie, jak koty obserwują ptaki.

– To jest znakomite – powiedziałam szybko. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Ależ z ciebie rzemieślnik. – Już miałam dodać, że marnuje się, kopiąc groby, ale coś zmieniło się w jego twarzy. Nie dało się opisać Dwane'a jako przystojnego, ale teraz w jego minie było coś zdecydowanie nieprzyjemnego. Oczy zagłębiły mu się w twarzy, brwi ściągnęły się, aż stały się jedną grubą linią na wysuniętym czole. Usta się otworzyły, a wargi zrobiły się mokre i błyszczące.

– Dlaczego to powiedziałaś?

Odsunął się ode mnie o krok. Patrzył na mnie w taki sposób, że zrobiło mi się nieprzyjemnie, a jednak wyglądało na to, że się mnie boi.

– Muszę wracać do komisariatu – powiedziałam. – Dziękuję ci za czas, który mi poświęciłeś.

Wycofał się, nie zdejmując ze mnie wzroku. Poszłam przed nim przez dom. Zatrzymałam się na krótko, żeby podziękować pani Ogilvy i zrobić krok nad rozciągniętym na podłodze dzieckiem. Zeszłam już ze schodków i szłam w stronę roweru, kiedy Dwane zawołał do mnie.

– Trzeba było przyjść do mnie – powiedział. – Wykopałbym ją dla ciebie.

29

Wykopałbym ją dla ciebie?” Muszę przyznać Flossie, że to podryw na całego... – Sierżant Green odłożył szklany przycisk do papierów, który podziwiał. Był to prezent od moich dziadków i miał kształt policyjnej budki telefonicznej.

– Sierżancie, co pan sądzi o tym bezczeszczeniu grobów? Jestem pewna, że ojciec Edward i Dwane wiedzą więcej, niż mówią.

– Tom, wiesz coś o okradaniu grobów?! – krzyknął Green nad szafami na dokumenty.

W pokoju byliśmy tylko z Tomem i Greenem. Rushton, Sharples i dwóch posterunkowych wyszli na zebranie na mieście, w każdej chwili mieli wrócić. Reszta wydziału chodziła po ulicach, po pubach i fabrykach. Kontynuowali śledztwo. Zaczęło do mnie trafiać, że wydział kryminalny pracuje, póki nie wykona zadania.

Głowa Toma ukazała się nad szafami.

– Sierżancie, nie mogę powiedzieć, żebym coś o tym wiedział – stwierdził.

– Czy tu jest jakiś związek? – zapytał Green. – Ten, kto włożył Patsy do skrzyni, dodawał coś do grobu, jeśli chwytasz, o co mi chodzi, nie rabował go.

– Ojciec Edward mówił też o ważnych ludziach w mieście, którzy niechętnie podchodzili do robienia zamieszania. To jego słowa. Myślę, że go uciszono.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu. To było irytujące. „Co ona znowu?”, tak to odebrałam. Tom chyba chciał coś powiedzieć, kiedy usłyszeliśmy kroki, drzwi otworzyły się szeroko i wszedł sierżant Brown.

– W tym roku pięćdziesiąt pochówków w Sabden – oświadczył. – Jeszcze parę we wsiach.

Tom nadal był głową bez ciała unoszącą się nad szafami na dokumenty.

– To mnóstwo grobów do rozkopania – powiedział.

– Mam nadzieję, że jesteś w formie, Flossie – rzekł Green.

Brown odwrócił się, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Co z tym oświadczeniem dla prasy?

Tom uprzedził mnie.

– Naszkicowane i zaakceptowane przez inspektora, ale każę je przepisać Elaine dopiero rano. Tam jest pewien szczególny styl, którego wytłumaczenie Florence zajęłoby za dużo czasu.

Spędziłam ponad godzinę, walcząc ze starą maszyną do pisania, zanim uratował mnie Tom. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

– To spotkanie jeszcze się nie skończyło? – zapytał Brown.

Jak na dany znak drzwi otworzyły się i wszedł Sharples.

– Jak jest? – zapytał Green komisarza.

– Zwyczajne bzdury – parsknął Sharples. – Wszyscy chcą odpowiedzi. Earnshaw pyskuje. Szef dostaje lanie. Na szczęście ani słowa o Patsy, którą... no wiecie.

– Zakopano żywcem? – powiedział bez potrzeby Tom.

Sharples spojrział wściekle na niego.

– Jak ci poszło w szpitalu?

Głowa Toma zniknęła. Kilka sekund później pojawił się po naszej stronie szaf na dokumenty.

– Rozmawiałem z jednym z głównych anestezjologów, pytałem, czy to możliwe, żeby obezwładnić i utrzymać w nieprzytomności dziecko tych rozmiarów aż dziesięć godzin.

– I?

– To możliwe, ale trudne, powiedział, szczególnie jeśli się chce, żeby pod koniec samo się obudziło. – Tom przeglądał swój notatnik. – Myśli, że najlepiej byłoby za pomocą którejś z benzodiazepin, jak diazepam, zapewne połączonego z alkoholem, może z morfiną.

Sharples zrobił tę swoją zamyśloną minę, kiedy mięśnie kurczą mu się wokół oczu.

– Ale to byłoby ryzykowne. – Tom oparł się o szafy i coś upadło z drugiej strony. – Powtórzył to kilka razy. Chyba że ktoś naprawdę wiedział, co robi, bo inaczej prawdopodobnie zabiłby ją.

– Może miał taki zamiar – powiedziałam. – Może nie miała się obudzić.

– To chyba dużo kłopotu, skoro można było przydusić ją poduszką – rzekł Sharples. – No i gdzie ten wasz przeciętny facet mógł dostać... Jeszcze raz, co to

takiego?

– Benzodiazepiny – powiedziałam, kiedy Tom próbował znaleźć właściwe miejsce w notatniku. – To pospolity środek uspokajający. Sir, jeśli ma pan minutkę, to zrobiłam coś takiego.

Wyciągnęłam zwinięty wykres z szuflady mojego biurka.

– Przepraszam, to jest nadal bardzo przybliżone, ale tu mam wykres dotyczący trojga tych dzieci.

Wszyscy stanęli dookoła, Sharples ułamek sekundy później.

– W nagłówku są ich imiona. – Próbowałam rozprostować wykres. – A wzdłuż osi pionowej spisałam przedmioty, których się uczyły, ich przyjaciół, ich wrogów, kluby, do których należały, zainteresowania pozaszkolne. Potrzebuję znacznie więcej informacji, ale...

– O co tu chodzi? – zapytał Green, a wykres znów się zwinął.

– To nam pokazuje, co miały ze sobą wspólnego. – Tom pomógł mi rozprostować kartę. – A to doprowadzi nas do kogoś, kto je porwał.

– Jest coś, co już wyszło na jaw – powiedziałam. – Stephen Shorroock i Paty Wood są dziećmi ważnych działaczy związkowych. Ojciec Susan Duxbury to znany złodziej.

Czekałam. Nikt się nie odezwał.

– Wszystkie są dziećmi rodziców, którzy sprawiają kłopoty.

– Ale z trzech różnych fabryk – stwierdził Tom.

Drzwi znów się otworzyły i zajrzał oficer dyżurny. Brakowało mu tchu.

– Kłopoty przy starej przędzalni – powiedział. – Możliwe, że ktoś dostał. Nie mogę znaleźć nikogo, kto dojechałby tam w mniej niż w kwadrans.

Wszyscy czterej mężczyźni wrócili do swoich biurków, złapali kluczyki, portfele, legitymacje policyjne.

– Chcecie, żebym pojechała? – zapytałam.

Sharples zmarszczył brwi.

– Raczej nie.

Tom zatrzymał się w drzwiach.

– Szefie, rodzina Shorroocka mieszka przy tej przędzalni. A Linda Shorroock ogłupiała, odkąd Stephen zniknął. Jeśli mają coś z tym wspólnego, będzie nam potrzebny ktoś, kto z nimi porozmawia, zrobi im herbatkę.

Sharples krótko skinął głową. Chwyciłam czapkę i kurtkę i wybiegłam za nimi.

– Czekałem na to – powiedział Green, kiedy Tom wyjechał pędem z parkingu. Sharples siedział na miejscu dla pasażera. Ja byłam ściśnięta z tyłu między dwoma sierżantami.

– Pochodnie i widły – wymruczał Brown.

– Wiemy, kto dostał? – zapytałam.

Nikt nie odpowiedział. Sharples rozmawiał przez radio bezpośrednio z dyżurką.

– Ile samochodów możecie tam wysłać?... Hm, znajdź więcej. I powiadom szefa. Powiedział, że jedzie do domu.

Widzieliśmy, że zaczęły się problemy, już ze stu metrów. Ludzie stali pośrodku głównej ulicy, na rogu z Jubilee Street, patrzyli w stronę budynku przędzalni. Niektórzy czmychnęli na nasz widok, ale większość pobiegła w stronę fabryki, nie w przeciwnym kierunku.

– To Randy – powiedział Tom.

Posterunkowy w mundurze opierał się o mur na rogu, nie miał hełmu, przyciskał rękę do skroni. Tom zatrzymał się i policjant odkleił się od muru.

– Flossie, myślę, że nie powinnaś się stąd ruszać – rzucił za siebie Green. Nie zwróciłam na niego uwagi i pobiegłam do Randy'ego. Pozostali poszli na róg. Randy'emu krew ściekała ze skroni. Wyglądał upiornie blado w świetle latarni ulicznej.

– Chodź, usiądź. – Podłożyłam mu rękę pod ramię i próbowałam pokierować go w stronę samochodu. – Co się stało?

Opierał się.

– Jakiś drań rzucił we mnie cegłą. Ale nic mi nie jest.

Razem z Randym podeszliśmy do rogu i dołączyliśmy do pozostałych. Jubilee Street miała nie więcej niż sto metrów. Kończyła się na przędzalni.

– Sir, w środku jest Terry Parker – powiedział Randy. – Drzwi są zamknięte. Tłum nie może się tam teraz dostać, ale wielu bardzo się stara.

Na ulicy nie było latarni. Nie było ich też wokół przędzalni. Te trochę światła, które zostało jeszcze na niebie, nie docierało do tego zaniedbanego zakątka miasta. Mimo to zobaczyłam jakichś pięćdziesięcioro ludzi pod bramą fabryki. Głównie mężczyzn. Kobiety z dziećmi były nadal w domach. Je też widziałam, ich

zdenerwowane twarze widniały w każdym oknie, śmielsze wychodziły na próg.

– Terry Parker dostał kilka upomnień za to, że włóczył się wokół placów zabaw – powiedział Randy, do nikogo w szczególności nie kierując tych słów. – Całe lata temu, ale ludzie mają dobrą pamięć.

Zauważono nas. Widziałam, jak ludzie trącają się łokciami, patrzą w naszą stronę. Jakiś dzieciak ruszył biegiem w stronę przędzalni.

– Robimy za was robotę! – wrzasnął ktoś do nas od progu.

– Tych cholernych zboczeńców trzeba powywieszać! – krzyknął ktoś inny.

– Dlaczego teraz? – Sharples zapytał Randy’ego. – Dlaczego zaczęło się teraz?

– Śmieciarze znaleźli but Stephena na podwórku Terry’ego – odparł Randy. – Jeden z nich zaniósł go do pubu, gdzie siedział podcięty Jim Shorrock z kolegami. Wszyscy ruszyli do domu Terry’ego, ale jemu udało się wymknąć od tyłu i schować w przędzalni. Zamknął się tam, ale to kwestia czasu, kiedy tłum wyważy bramę.

– Był dozorcą, prawda? – zapytał Brown. – Musiał sobie zostawić jakieś klucze.

W tym momencie rozległ się głośny huk, kłódka puściła i brama rozwarła się szeroko. Tłum naparł do przodu.

– Randy, wracaj do samochodu i połącz się z dyżurką – powiedział Sharples. – Teraz potrzebujemy wsparcia, potrzebna jest też straż pożarna i parę karet pogotowia ratunkowego. Lovelady pójdziesz z nim.

– Sir, mogę zejść od tyłu...

Nie dał mi szansy.

– Kiedy ja dowodzę, nie będzie ranna ani jedna kobieta. Wracaj do samochodu.

– Sir, z całym szacunkiem, znam tę przędzalnię i...

Rzucił się w moją stronę.

– Dość! – Kropelki śliny padły mi na twarz. – To i tak jest niebezpieczne bez nadętej samochwały prosto ze szkółki, która trzyma nas za poły płaszczy. Ruszaj, ale już. Randy, ona ma zostać z tobą. Przypilnuj tego. Wy trzej, idziemy.

Tom dał mi kluczyki, a potem we czterech pobiegli, krzycząc:

– „Policja! Niech nikt się nie rusza!”

Randy zaciągnął mnie z powrotem do samochodu. Spojrzałam przez ramię. Czterej moi koledzy próbowali przepchnąć się przez tłum. Otoczono ich w kilka sekund.

– Pilnie potrzebujemy wsparcia. Powtarzam, pilnie potrzebujemy wsparcia. Czterech policjantów jest zagrożonych. – Randy wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć, ale przekazał informację tak, jak trzeba. Przez chwilę myślałam, potem sięgnęłam pod fotel kierowcy i pociągnęłam go do przodu.

– Co robisz? – zapytał Randy, kiedy przekreśliłam kluczyk.

– Powiedział, żebyśmy zostali w samochodzie. Nie mówił, że to ma być zaparkowany samochód.

Ulica przed nami była pusta. Większość ludzi z tłumu weszła na podwórzec przedzalni, a ci, którzy trzymali się z tyłu, stali przed swoimi drzwiami, gdy przejeżdżaliśmy z włączonymi światłami drogowymi. Na końcu ulicy minęliśmy stary magazyn przerobiony na kościół, ale drzwi do świątyni były zamknięte, a w budynku panowała ciemność. Przejechałam przez bramę przedzalni i zatrzymałam się przy tłumie. Niektórzy rozstępowali się przed nami. Ale nie wszyscy. Kiedy nie mogłam już jechać dalej, zaciągnęłam hamulec ręczny. Ludzie podeszli bliżej.

– Powiedz mi, proszę, co dzięki temu osiągnęłaś? – zapytał Randy, gdy siedzieliśmy z włączonym silnikiem, otoczeni przez pijanych, rozwścieczonych mężczyzn. Na dachu wylądował kamień. Wzdrygnęłam się na myśl o lakierze na samochodzie Toma.

„Nadęta samochwała prosto ze szkółki”. Czy naprawdę wszyscy tak o mnie myśleli?

Kilka metrów przed nami Sharples i inni stali przed drzwiami do fabryki, blokując drogę tłumowi. Światła drogowe Toma były bardzo silne, oświetlały większą część ciemnego podwórza fabryki. Szybko się rozejrzałam. Wysoki, kamienny mur, kilka zabudowań gospodarczych. Z tego miejsca nie widzieliśmy tylnej bramy, przez którą przelazłam dziś rano.

Czterej detektywi wyglądali na nieporanionych, ale nie byli bez szwanku. Timowi oderwano klapę od marynarki. Gusty wyglądał, jakby dopadł go huragan.

– Teraz widzą, co narobili – powiedziałam.

– Tak, znacznie łatwiej trafić w cel – odparł Randy.

Nie czekałam, żeby przemyśleć jego słowa, i wysiadłam z wozu. Kiedy szłam w stronę fabryki, mężczyźni otaczający samochód przepuszczali mnie, chociaż niechętnie.

– Dziewczyno, idź do domu, to nie miejsce dla ciebie – usłyszałam jakiś głos.

Przepchnęłam się przez tłum mężczyzn w stronę drzwi do przędzalni. Czułam, że za mną idzie Randy. Sharples otworzył usta.

– To są drzwi z ośmiocentymetrowego, solidnego dębu z okuciami z lanego żelaza! – wrzasnął. – Tak samo jest od tyłu. Wiem, bo mój tato pracował tutaj, póki fabryki nie zamknęli. Nikt tu nie wejdzie bez klucza, a ja jestem gotów się założyć, że nikt go nie ma. Więc dlaczego nie odejdziecie, nie wróćcie do pubu albo do waszych wygodnych, ciepłych łóżek, żebyśmy mogli zrobić, co do nas należy?

– Wy, cholera, nic nie robicie, może nie? W każdym razie nie ze zwierzętami na wolności takimi jak Parker!

Doszliśmy z Randym na sam przód i odwróciliśmy się w stronę tłumu, zajmując miejsce przy pozostałych policjantach. Usłyszałam, jak Sharples zaklął pod nosem.

Światła samochodu Toma oświetlały nas i sporą część budynku przędzalni, ale twarze tych, co stali przed nami, ukryte były w cieniu. Ledwie widzieliśmy mężczyzn, którzy nam grozili. Widać było tylko błyszczące oczy. Oczy były wszędzie. W tłumie, w oknach pobliskich domów. Zewsząd dochodził połysk patrzących na nas oczu.

On tutaj jest. Ta myśl przyszła znikąd, ale nie można było jej zaprzeczyć. Gdzieś, w tłumie wściekłych, przerażonych mężczyzn biło chłodne serce mordercy. On tutaj był, bawiło go to, cieszył się ze swoich dokonań.

Ktoś z tyłu zaczął skandować.

– Dawać go. Dawać go.

– To brudny, cholerny zboczeniec! – krzyknął ktoś.

– Przypadkiem taki jest! – odkrzyknął Sharples. – Ale to mój brudny, cholerny zboczeniec, z którym zrobię to, co uznam za stosowne. Teraz rozejdźcie się, zanim aresztuję was, pieprzona bando.

Tłum przez cały czas gęstniał, bo coraz więcej ludzi wślizgiwało się przez bramę. Przyglądałam się twarzom, szukałam błysku w oczach, które byłyby jakieś inne. Między tymi rozpalonymi oczami szukałam lodu.

– Dawać go. Dawać go. – Dołączyły się inne głosy. Brzmiało to jak walenie w bęben, ciche, ale groźne i coraz głośniejsze. Wkrótce osiągnie poziom, przy którym nie będzie już słychać niczego innego, i wtedy stracimy to minimalne panowanie nad sytuacją, którym jeszcze dysponowaliśmy.

– Jimie Shorrock! – krzyknął Sharples w stronę tłumu. – Wiem, że ty się za tym

kryjesz. Gdzie jesteś, człowieku?

Tłum rozstąpił się na przedzie i wyszedł jakiś człowiek. Widziałam go w komisariacie po zaginięciu Stephena. Chudy, żyłasty mężczyzna przed czterdziestką. Nos miał trochę wąski i lekko zagięty, kiedy mówił, usta mu się wykrzywiały. Był dorosłym obrazem Stephena. Wystąpił naprzód, stanął dokładnie naprzeciwko Sharplesa. Obu mężczyzn dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Patrzyli na siebie jak dwóch bokserów. Sharples by starszy, niższy i chudszy, ale nie miał zamiaru ustępować.

Wtedy na twarzy Shorrocka pojawiła się mina, którą mogłam określić tylko jednym słowem – wstręt.

– Czy masz, do cholery, świadomość, co się ze mną dzieje? – zapytał.

Sharples otworzył usta, ale go uprzedziłam.

– Tak – odparłam. Obaj mężczyźni byli zaskoczeni, że się odezwałam. To dało mi kilka dodatkowych sekund. – Masz złamane serce.

Shorrock odwrócił głowę. Patrzył na mnie wściekle bladymi oczami. Podwinął górną wargę.

Podeszłam do niego trochę bliżej. To samo zaskoczenie, które na chwilę zamknęło usta obu mężczyznom, teraz dotarło i do mnie – co mi się uroiło? – ale wiedziałam, że nie mogę się wycofać.

– Masz złamane serce, bo bardzo tęsknisz za synem – powiedziałam. – I nie możesz znieść widoku rozpaczony żony. Jesteś na nas wściekły, bo jeszcze go nie znaleźliśmy, i jesteś zły na siebie, bo myślisz, że mogłeś postąpić inaczej, chociaż nie mogłeś. Nie można cię za nic winić.

Shorrock zmrużył oczy i jakby przysunął się do mnie.

– I boisz się – dodałam szybko. – Bo niczego tak nie pragniesz, jak mu pomóc, a nie wiesz, jak to zrobić. Panie Shorrock, dzielimy pańskie uczucia. Nie czujemy tego wszystkiego tak jak pan, ale jednak. Prawda sir?

Sekunda milczenia.

– Tak, Florence, myślimy to samo – odparł Sharples, a do mnie dotarło, że skandowanie ustało.

– Czy to ten but? – Zauważyłam coś w kieszeni Shorrocka i wyciągnęłam rękę. – Mogę? – Kiedy nie zaprotestował, wzięłam mały, wąski trampek i podniosłam go. – Jest granatowy jak trampek Stephena – powiedziałam. – I ma białe sznurowadła.

– Odwróciłam go i sprawdziłam numer na podeszwie. – Ale nie wydaje mi się, żeby to był but Stephena, panie Shorrock. To jest rozmiar ósmy, a Stephen używa rozmiaru siódmego. – Zerknęłam z ukosa na Sharplesa. – Kilka razy przeczytałam teczkę sir. Mam dobrą pamięć do takich rzeczy. Jestem pewna, że trampki Stephena miały numer siedem.

Shorrock głęboko zaczerpnął tchu, co tylko niewiele różniło się od szlochu. Zobaczyłam, że drży na całym ciele. Podałam trampek komuś obok mnie i wzięłam Shorrocka za rękę.

– No, już, daj spokój. Powinieneś iść do domu. – Odwróciłam go twarzą do bramy. – Żona cię potrzebuje, inne twoje dzieci też cię potrzebują. Powinieneś być z rodziną. Nastawię czajnik, zrobię ci herbaty. Panowie, moglibyście nas przepuścić?

Tłum się rozstał, kiedy z Shorrockiem, ramię w ramię, ruszyliśmy w stronę bramy. Po drodze obeszliliśmy samochód Toma. Usłyszałam z tyłu słowa Sharplesa.

– Randy, idź z nią.

Kiedy przechodziliśmy przez bramę, usłyszałam stukot kroków, odgłos ciężkich, okutych stalą buciorów na kocich łbach. Mężczyźni z Jubilee Street wychodzili za nami.

Nie oglądałam się. Jak Orfeusz wychodzący z Hadesu, czułam, że jeśli się obejrzę, wszystko pójdzie źle, że znów zagrają emocje tłumu i wieczór zakończy się linczem. Więc szliśmy, nie zatrzymując się, i zanim się zorientowałam, znaleźliśmy się w pokoju na tyłach domu Shorrocka, w połowie ulicy.

Też zaczęłam się trząść. Nadęta samochwała prosto ze szkółki? Właśnie pokazałam mu, że ma rację. Czekają mnie kłopoty.

Linda Shorrock siedziała przed piecem i patrzyła przez otwarte drzwiczki na żarzące się węgle. Ledwie podniosła wzrok. Jim zapadł się w jednym z foteli, a Randy poszedł na górę, sprawdzić, co z dziećmi. Znalazłam czajnik, nasypałam herbatę wprost do wielkich kubków i zalałam to wrzącą wodą, tak jak widziałam w komisariacie, kiedy ludzie robili sobie herbatę. Dodałam cukru i mleka, a potem ukucnęłam, żeby wcisnąć kubek w rękę Lindy.

– On przychodzi do mnie we śnie – powiedziała, a oczy miała szeroko otwarte, zrozpaczone. – Łapie mnie. Ciągnie za włosy i mówi: „Pomóż mi, mammo. Chcę wrócić do domu”.

Mogłam tylko nie zapłakać – herbata była gorąca, aż parzyła – ale większa jej część wylała się Lindzie na rękę. Prawie tego nie zauważyła. Odstawiłam swój kubek, Linda chwyciła mnie za nadgarstki.

– Tak mi przykro, że jeszcze go nie znaleźliśmy – powiedziałam. – Ale nie zaprzestaniemy poszukiwań. – Zerknęłam na Jima, ale nie wyglądał na przytomnego. – Nigdy nie skończymy – dodałam, gdy Randy pojawił się na piętrze i kiwnął do mnie głową.

– On jest blisko, czuję to. – Linda nie puszczała. – On nie uciekł. Jest gdzieś blisko i chce tylko wrócić do domu.

Uchwyciłam spojrzenie Randy’ego. Wiedziałam, co myśli. Kiedy ci ludzie dowiedzą się, co stało się z Patsy, ich nieszczęście będzie bezgraniczne.

– Puść dziewczynę. – Jim zwrócił się do żony. – Już idź, kochana, masz co robić. Z nami będzie w porządku.

Znów spojrzałam na Randy’ego. Kiwnął głową. Nic więcej nie mogliśmy zrobić dla Shorrocków, poza odnalezieniem ich syna.

Szliśmy z Randym pustą ulicą. Ludzie nadal byli na zewnątrz, ale tylko patrzyli na nas z drzwi, z chodników.

– Zgarnęliśmy Terry’ego, kiedy Stephen zaginął – powiedział Randy. – Nic nie wiedział. Mieszkał przy ulicy Stephena, dlatego mieliśmy go nie zgarnąć. Miał alibi na tamten wieczór. Wykluczyliśmy go.

Kiedy weszliśmy na podwórze, w drzwiach przedzalni pojawił się Tom. Miał zadrapanie na prawym policzku, przygryzał dolną wargę. Cienka strużka krwi zaschnęła mu na podbródku. Kłapa marynarki była urwana, widać było, że już nie da się jej naprawić. Tom lubił swoje ubrania. Samochód też lubił. Cieszyłam się, że jest ciemno i jeszcze nie widać uszkodzeń.

– Znaleźliście go? – zapytał Randy.

Tom pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Na Boga, przecież to nie powinno być trudne. Tu jest tylko jedno piętro. Parę zamkniętych pomieszczeń. Chyba że gnojek wspiał się na komin. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie się schował.

– Jego tu nie ma. – Ruszyłam w stronę budynku gospodarczego, który wcześniej zauważyłam. Był wciśnięty w kąt podwórka i zbudowany z kamienia, tak jak mur

fabryczny. Jego drzwi prawie nie było widać zza rozrośniętych krzaków budlei. Za oknem zobaczyłam błysk. To na pewno czyjeś oczy.

Sięgnęłam do drzwi i bez trudu je otworzyłam. Randy i Tom świecili latarkami spoza moich pleców. Terry Parker trząśił się skulony w rogu, prawie całkiem zasłonięty workami.

Daliśmy Terry'emu filiżankę herbaty i wsadziliśmy go na noc do celi. Dla jego bezpieczeństwa.

Powiedział nam, że to był jego trampek i nawet udało mu się znaleźć kwit. Nie mieliśmy nic przeciwko niemu, więc wiedzieliśmy, że rano będziemy musieli go wypuścić, chociaż nie przyjął tego z entuzjazmem.

O północy byliśmy w Square & Compass, śródmiejskim pubie. Poszły ostatnie zamówienia, restaurator zamknął drzwi, a my piliśmy dalej.

To był mój pierwszy raz w tym pubie, byłam zaskoczona, że tak mi się spodobał. Kolumny ozdobione powtarzającymi się wzorami przypominającymi rybie łuski podtrzymywały stiukowy sufit wyrzeźbiony w zachodzące na siebie kręgi i czerwone róże Lancashire. Posadzka była w dziwne wzorki z czarnych i białych kafelków, a w oknach wstawiono trawione szyby. Niektóre okna były okrągłe, jak bulaje na statku.

– Ich wymiana drogo by kosztowała. – Zatrzymałam się w drzwiach, żeby podziwiać szyby. Myślałam o pijackich bijatykach w sobotnie wieczory.

– Nikt nie rzucił cegły w te okna. – Brown położył ręce na moich ramionach, żebym poszła dalej. – Nikt się nie ośmielił.

W Square & Compass stoliki nie stały w różnych miejscach wokół baru, jak to zazwyczaj bywa w pubach, ale osłonięte były szeregiem rzeźbionych przegród z drewnianych paneli biegnących wzdłuż ścian zewnętrznych. Wzór, który powtarzał się na szybach, na drewnianych panelach, nad barem, przedstawiał dwa złączone trójkąty, które razem tworzyły kształt diamentu. Chyba wcześniej tego nie widziałam, ale było w tym coś, co przyciągnęło moją uwagę. Zajęło mi kilka minut, zanim zrozumiałam, że górny z dwóch trójkątów to cyrkiel kreślarza, a dolny to ekierka.

To nie był pub dla klasy pracującej. Większość pijących ubrana była w garnitury, paru nosiło odzież rekreacyjną, jaką mężczyźni zwykli wkładać, idąc na golf.

Znaleźliśmy kubik w rogu, z przekonaniem, całkiem racjonalnym, że nikt nas nie podsłucha. Byłam jedyną kobietą w pubie – nawet barmani byli mężczyznami – i spojrzenia ciągnęły się za mną długo po naszym wejściu.

– Podoba ci się tutaj, Flossie? – zapytał mnie Sharples po raz czwarty, patrząc na napój pomarańczowy, nad którym męczyłam się przez ostatnią godzinę.

Zaczęto odtwarzać ostatni przebój Andy’ego Williamsa. Wtedy Andy był moim ulubionym piosenkarzem, uwielbiałam jego nowy hit, *Can’t Take My Eyes Off You*.

– Ze mną w porządku, szefie. Dziękuję. – Upiłam kolejny łyk, żeby pokazać, jak mi dobrze. Połączenie skoncentrowanego cukru i sztucznego aromatu pomarańczowego paliło moje kubki smakowe.

Po drugiej stronie stołu Tom bezgłośnie powtarzał słowa piosenki i gapił się na mnie.

– Flossie, chyba na coś wpadłaś z tymi twoimi wykresami, ale będzie ci potrzebna pomoc – powiedział Sharples. – Woodsmoke, mógłbyś zatrudnić swoich ludzi, żeby wyszukali dla niej informacje?

– Sir – powiedziałam – niczego nie obiecuję, ale gdybym mogła zerknąć na szczegóły dotyczące pogrzebów, które odszukał sierżant Brown, może bym coś zauważyła.

– Co to znaczy coś? I o jakie szczegóły chodzi? – Brown wyglądał, jakbym zapytała o rozmiar jego spodni.

– Nazwisko, płeć i wiek zmarłego. Czas, data i miejsce pogrzebu. Skrzynia czy trumna. Koszt pogrzebu. Wszystko. Nie wiem, co będzie, póki tego nie zobaczę.

– I co to da?

– Może zobaczę jakiś schemat – powiedziałam. – Byłam dobra z matematyki i mogę... Och, trudno to wyjaśnić. Patrę na informację i widzę, czy jest w niej jakiś schemat, a nawet odstępstwo od schematu, jakaś anomalia.

Znów cisza. Brown rzucił niedopałek i zmiażdżył go butem. Widziałam, jak wszystkim przychodzi na myśl jedno: samochwała prosto ze szkółki.

– Nie zaszkodzi – powiedział Tom. – Prawda?

– To sporo roboty – powiedział Brown. – Mnóstwo informacji. Czy naprawdę nie można lepiej wykorzystać czasu Flossie?

– I tak będzie miała mnóstwo pracy – powiedział Sharples. – Jutro rano idzie do

biblioteki. W czasie lunchu do muzeum.

– Szefie, co ona będzie robić w bibliotece i w muzeum? – zapytał Green.

– Potrzebujemy wszystkiego, czego można się dowiedzieć o tej lalce wudu – odparł Sharples. – To gadanie o rabowaniu grobów mnie też nie daje spokoju. Nawet jeśli to było dwadzieścia lat temu. Chyba będziemy musieli pokusić się o własnego specjalistę od czarnej magii, czarów i czczenia diabła, a Florence ciągle nam przypomina, że była na uniwersytecie.

Dokończył piwo, wstał i pchnął drzwi kubika.

– Mnie wystarczy – powiedział. – Chłopaki, nie siedźcie tu za długo. Jutro mamy mnóstwo roboty. I niech ktoś dopilnuje, żeby Florence dotarła do domu. Jest niewiele starsza od tamtych dzieci i byłoby troszkę głupio, gdyby coś się jej stało.

Kiwnął do mnie głową, mruknął coś, czego nie dosłyszałam, i wyszedł.

– Co on powiedział? – zapytałam, chociaż nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć.

– Powiedział: „Brawo” – wyjaśnił mi Brown.

Wszyscy gapili się na mnie.

– Co? – zapytałam.

– U Sharplesa bez Kitu to propozycja małżeństwa – powiedział Tom.

30

Czwartek, 19 czerwca 1969

Wyszliśmy z pubu o pierwszej nad ranem. Na moje nalegania. Znudziło mnie przyglądanie się, jak we trzech powoli się upijają. Kiedy ich wzrok stracił ostrość, a wymowa zrobiła się bełkotliwa, zaczęli słuchać, kiedy im się mówiło, co mają zrobić. Gusty, któremu nie pozwalano siadać za kółkiem po paru piwach, ruszył na piechotę do domu w śródmieściu. Woodsmoke'a podrzuciłam do głównej ulicy. Wreszcie Tom. Nadal śpiewał piosenkę Andy'ego Williamsa, kiedy zatrzymałam samochód. Słabo ją znał.

Jego dom był większy, niż się spodziewałam, nowy bliźniak z mansardami na dachu.

– Dlaczego zostawiłaś mnie na koniec? – Oparł się o drzwi pasażera i nie miał zamiaru wysiąść.

– Mieszkasz najbliżej komisariatu – powiedziałam. – Zostawię tam na noc twój samochód.

Mina mu się wydłużyła.

– Nie musisz tego robić. Zabierz wóz do domu. Ufam ci. Dobry z ciebie kierowca. Jak na dziewczynę.

Prowadziłam, odkąd miałam dwanaście lat. Uczyłam się w prywatnej posiadłości niedaleko mojego domu rodzinnego i wzięłam udział z bratem w paru rajdach samochodowych, kiedy oboje byliśmy na studiach. Pewnie mogłabym wyprzedzić każdego kolegę z komisariatu.

– Nie jestem przyzwyczajona do tak dużych maszyn – I mogę sobie pospacerować na świeżym powietrzu. Ależ to był dzień.

Milczenie.

– Dobrej nocy – powiedziałam.

– Tobie też, Florence. Śpij dobrze.

– Pewnie lepiej byś się wyspał, gdybyś wysiadł z samochodu i poszedł do domu, do łóżka.

Nadal się nie ruszał.

– Miło było – rzekł – napić się z tobą. Dziękuję, że przyszłaś.

– Dziękuję za zaproszenie.

Mój ton był chyba bardziej uszczypliwy, niż zamierzałam. A może nie spodziewałam się, że nie zwróci na to uwagi. Spojrzał mi prosto w oczy.

– To nie tak, że nie chcieliśmy, żebyś przyszła – powiedział. – Bardzo nam się spodobało, że z nami byłaś. Teraz jesteś jedną z nas.

Wcale tego nie czułam. Ale z Toma był miły facet. Miły, pijany facet.

– Nie o to chodzi, że jesteś dziewczyną albo cipą z południa, albo mądrzejszą od nas wszystkich do kupy. Zgadzą się na to. Rzecz w tym, że nie pijesz.

– Co?

– Musisz to zobaczyć naszymi oczami. Wszyscy się narąbaliśmy – w tej pracy inaczej nie da rady – i zaczęliśmy gadać i zachowywać się jak jełopy, a ty siedziałaś, piłaś tę swoją oranżadkę i oceniałaś nas.

– Wcale nie.

Popatrzył na mnie.

Okej, patrzyłam, oceniałam, ale nie miałam złych zamiarów. To było dla mnie śmieszne, że zaczęli mieć mętne spojrzenia i że wraz z upływem wieczoru wygadywali coraz większe bzdury.

– Florence, jesteś zaproszona na stałe. Wychodź z nami za każdym razem, będzie dobrze, ale będziesz musiała zatkać nos i wypić parę gruszczyków.

– Tom wysiadka. Do łóżka.

Wreszcie odsunął się od drzwi, otworzył je i mało nie wypadł na ulicę. Wziął się w garść, przeszedł wężykiem przed samochodem i po paru próbach otworzył kluczem drzwi do domu.

Zobaczyłam, jak drga zasłona na jednym z okien na parterze.

Stacja wyglądała na pustą, nie licząc oficera dyżurnego. Nikogo nie zobaczyłam, kiedy weszłam od tyłu na pierwsze piętro. Kluczyki od samochodu Toma zostawiłam w szufladzie jego biurka i wtedy zaczął dzwonić telefon.

Aż podskoczyłam. W budynku było tak cicho. To nawet nie był mój telefon, co

miałoby jakiś sens, ale ten, który stał na biurku sierżanta Browna.

Zatrzymałam się. Chyba wyrwało mi się westchnienie ulgi.

Zaczął dzwonić inny telefon. Po drugiej stronie pokoju, nie było go widać zza szaf na dokumenty. Dzwonił nienaturalnie głośno.

To on. Wie, że tutaj jestem. Będzie dzwonił na każdy telefon w pokoju, aż znajdzie mój.

Po czterech dzwonekach telefon umilkł.

Zachowywałam się nedorzecznie. System telefoniczny był tak zaprogramowany, żeby przeszukiwać pokój. Jeśli po czterech dzwonekach nie odbierano, sygnał automatycznie przenosił się do następnego aparatu w grupie.

Znów zaczął dzwonić. Biurko Toma, nie przestraszyłam się. Podeszłam do biurka. Podniosłam słuchawkę po czwartym dzwonku, ale po drugiej stronie była cisza. Odłożyłam słuchawkę, rozejrzałam się, próbując przewidzieć, który telefon odezwie się następnym. Tym razem szybko go odbiorę.

Nic. Jakby dzwoniący zrezygnował.

Zaczął dzwonić telefon sierżanta Greena. Był blisko, łatwo było go dopaść. Podbiegłam i chwyciłam słuchawkę.

– Halo – powiedziałam. – Komisariat w Sabden, wydział kryminalny.

Cisza na linii. Ale nie martwa cisza.

To on.

– Wydział kryminalny Sabden, mówi posterunkowa Lovelady.

– Ta dziewczyna, którą znalazłaś.

Znów cisza.

– Kto dzwoni?

– Gdzie ona jest? Gdzie ją położyliście?

– O jakiej dziewczynie mowa? Można prosić o pańskie nazwisko?

– Ta martwa dziewczyna. Ta którą znalazłaś w grobie. Gdzie ona jest?

– Obawiam się, że nie wolno mi podawać takich informacji. Kto dzwoni?

– Ma być skremowana.

– Cóż, to wybór jej rodziców. Nie mogę dalej o tym mówić, chyba że poda pan...

– Nie wolno z powrotem jej grzebać. Nie zazna odpoczynku.

Zesztywniałam. Obejrzałam się za siebie.

– Co pan chciał przez to powiedzieć?

– Spalcie ją. Słyszysz mnie? Musicie ją spalić.

Połączenie skończyło się. Wzięłam torbę i zgasiłam światło. Lubię o sobie myśleć, że niełatwo mną wstrząsnąć, ale słyszałam, że moje kroki przyspieszyły, kiedy schodziłam ze schodów. W innej sytuacji byłyby wolniejsze.

– Sierzancie – powiedziałam, zanim dotarłam do biurka – czy w ciągu ostatnich paru minut łączył pan jakiś telefon?

Sierzanta nie było przy biurku. Pił herbatę z posterunkowym w mundurze, który wpadł na przerwę.

– Nie byłem pewien, przy którym biurku pani siedzi – odparł. – Odebrała pani?

– Tak, dziękuję. Czy dzwoniący podał nazwisko?

Mina mu zrzędła.

– Kochana, szczerze mówiąc, myślałem, że dzwoni facet. Ale nazwiska nie podał. Jakiś problem?

Pokręciłam głową i życzyłam obu dobrej nocy. Kiedy wyszłam, przez chwilę żałowałam, że zostawiłam kluczyki Toma na górze.

Tego wieczoru szybko jechałam na rowerze, nie zatrzymywałam się nawet na światłach i wróciłam do domu Glassbrooków bez dalszych przygód. To znaczy, dopóki nie próbowałam otworzyć wielkich drzwi od frontu, nikogo nie budząc.

O coś potknęłam się na ganku.

Odsunęłam się, byłam bardziej zdenerwowana, niż ośmieliłam się przyznać przed sobą. Znalazłam latarkę i oświetliłam nią wykładaną kafelkami posadzkę ganku. Kwiaty. Nie jakieś stare kwiaty, ale czerwone róże, piękne, na długich łodyżkach, zawinięte w papier. Schyliłam się, żeby je podnieść i zauważyłam swoje nazwisko wypisane ołówkiem na papierze. Były dla mnie.

Cicho weszłam do środka z różami – bez kolców i zapachu, takie kupuje się zazwyczaj w kwiaciarni – wetkniętymi pod pachę. W kuchni znalazłam dzbanek i nalałam do niego wody. Dopiero kiedy odwijalam róże, wypadła kartka. Z Flower Pot, sklepu Marlene. Napisane na nim były trzy litery.

RIP.

31

Biblioteka publiczna w Sabden, zbudowana we wspaniałym, wiktoriańskim stylu, który zdominował tak wiele budynków komunalnych, szczyciła się wielkimi oknami wykuszowymi na parterze i zdobionymi fałszywymi balkonami na pierwszym piętrze. Dach był pofalowany od przyczółków i rzeźbionych kwiatonów. Pośrodku znajdowała się okrągła wieża pokryta kopułą z wypolerowanej miedzi.

Nie po raz pierwszy pomyślałam o bogactwie Sabden. Miasto nie było duże, a dziewięćdziesiąt pięć procent jego mieszkańców żyło bardzo skromnie, ale spacer po śródmieściu i zwiedzenie jego imponujących, doskonale utrzymanych budynków publicznych mówiły jednoznacznie, że tu były pieniądze.

Ważni ludzie, którzy nie lubią, kiedy robi się zamieszanie?

Przez obrotowe drzwi weszłam do centralnego holu biblioteki. Sklepiony sufit wisiał wysoko nad moją głową. Przez świetliki wpadało słońce, a wokół mnie kurz błyszczał jak drobiny złota. Zakaszlałam, chociaż nic nie siedziało mi w gardle, potem głośno pociągnęłam nosem. Było tu coś takiego, co zmuszało mnie do hałasowania.

Czytelnia dla dzieci była po mojej prawej. Półki z książkami dla dorosłych stały wzdłuż ścian zewnętrznych. Wielkie drewniane stoły i krzesła dla czytelników rozsiane były po całej sali. Recepcja była ogromnym kołem z dębiny, w którym pracowały trzy kobiety, ubrane w różne odcienie brązu i szarości. Dwie z nich były w średnim wieku. Trzecia wyglądała na znacznie starszą i była zatopiona w pracy, wpisywaniu czegoś do wielkiej księgi, wyglądającej na księgę rachunkową.

– Dzień dobry – powiedziałam radośnie i centralnym atrium poszłam do katalogów. Napis na drzwiach powiedział mi, że po przejściu progu powinno się – nie, należy – zachować ciszę. Pozwoliłam, żeby drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Byłam zmęczona. Drugą noc z rzędu ledwie spałam. RIP? O co w tym chodziło?

Kolejny marny dowcipas czy coś bardziej ponurego?

Narastało uczucie, że po Sabden hula coś mrocznego. Kiedy byłam sama, nawet krótko, niemal widziałam przed sobą jakiś cień, który wymykał się wzrokowi, a gdy przestawałam się ruszać, nawet na kilka sekund, cisza wokół mnie stawała się przerażająca. Kiedy budziłam się w nocy, zaraz zaczynałam nasłuchiwać dźwięków spoza mojego pokoju.

Zdałam sobie sprawę, że nigdzie nie czuję się bezpiecznie. Ani w domu Glassbrooków, gdzie nie mogłam nawet zamknąć mojego pokoju na klucz, ani w komisariacie, gdzie wszyscy mieli do mnie pretensje, a już na pewno nie w mieście, bo każda para oczu, w które spojrzałam, mogła być tymi oczami, które Patsy Wood widziała po raz ostatni.

Chciałam wrócić do pracy, znaleźć się pośrodku wydarzeń, a nie tkwić w bibliotece publicznej. Szczególnie że domyślałam się, dlaczego Sharples wysłał mnie tutaj. Chciał się mnie pozbyć.

I nieprawda, że ciągle mówiłam o uniwersytecie, który ukończyłam.

Znalazłam dział, którego szukałam, wyjęłam kilka książek i usiadłam. Natychmiast poczułam, jak ciężą mi powieki.

– Chyba uda się pani to przeczytać – usłyszałam głos z za pleców. – Napisano to w staroszkockim.

– Właśnie widzę. – Podniosłam wzrok, przecierając oczy.

Bibliotekarka, która do mnie podeszła, nie miała makijażu, a niesforne brwi świadczyły, że nie marnuje za dużo czasu przed lustrem. Ale kiedy w pewien szczególny sposób poruszyła głową, uchwyciłam lśnienie rubinowych kolczyków. Miała grube, męskie palce, ale szkarłatne, doskonale przypilowane paznokcie. Nazwisko na identyfikatorze brzmiało D. Reece.

– Dam radę, ale ciężko mi idzie. – Spróbowałam bezskutecznie stłumić ziewnięcie. Spojrzenie na zegarek powiedziało mi, że minęła godzina.

Pani Reece przyciągnęła krzesło i usiadła obok mnie.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? Wygląda pani na troszkę przytłoczoną.

Róg mojego stołu w czytelnicy zavalony był książkami. Ta niezbyt duża biblioteka okazała się dobrze zaopatrzona w teksty dotyczące okultyzmu.

– Może mi pani powie, co opętało króla Anglii, że napisał książkę o

czarownictwie. – Zamknęłam egzemplarz, żebyśmy obie mogły zobaczyć okładkę.

Demonologia w formie dialogu, napisana przez wielkiego i potężnego księcia Jamesa, z łaski bożej króla Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii.

– A właściwie niech pani da sobie z tym spokój. Nie obchodzi mnie to. niech mi pani powie, dlaczego tyle kobiet przez stulecia zostało straconych za coś, co w naszym mniemaniu jest kompletną bzdurą.

Jeśli pani Reece zauważyła mój gniew, nie pokazała tego po sobie.

– Inne czasy – powiedziała. – Wiara religijna była bezdyskusyjna. Ludzie wierzyli w diabła i różne złe rzeczy. – Uniosła rękę, żeby podrapać się za uchem. Znów pochwaliła się pięknymi rubinowymi kolczykami. – Kiedy uznano, że ludzie, szczególnie kobiety, zachowują się niekonwencjonalnie – szczególnie gdy odnieśli jakiś niewytłumaczalny sukces – łatwo było oskarżyć ich, że dysponują nadnaturalnymi siłami. – Jej szare oczy błysnęły, jakby chciała uronić łzę. – I nie wolno nam zapominać, że większość się przyznawała.

Okładka zachrobotła na stole, kiedy odsunęłam książkę. Naprawdę już nie chciałam jej czytać. Albo innej, którą zdjęłam z półki, *Cudowne wykrycie czarownic w hrabstwie Lancashire*, napisanej przez Thomasa Potts.

Ta książka opowiadała historię wydarzeń prowadzących do procesu dwadzieścioro ludzi, głównie kobiet, który odbył się w sądzie przysięgłych Lancaster w 1612 roku. Połowa pochodziła z Pendle, oskarżono ich o czary. Większość uznano za winnych i powieszono. Według mojego przekonania *Cudowne wykrycie czarownic* napisano, żeby wychwalać masowe morderstwo.

– Nie ma czegoś takiego jak czarnoksiężstwo – powiedziałam. – Nie było wtedy, nie ma teraz. Co naprawdę za tym stało?

– Powiedziałabym, że w istocie chodziło o nędzę – rzekła pani Reece. – W tamtych czasach kobiety pozbawione nieruchomości, bez męża, który by o nie zadbał, miały ogromny problem z zarabianiem na życie. Bardzo niewiele zawodów było dla nich dostępnych, a nawet żebranina była zakazana prawie zawsze w tamtych czasach.

To przynajmniej miało jakiś sens.

– A więc chodziło po prostu o zarabianie na życie?

– Mnóstwo ludzi uznałoby wiedźmy z Pendle za oszustki – odparła. – Otumaniały ludzi, że potrafią rzucać zaklęcia, uzdrawiać chorych, pomagać

zbiorom i tego rodzaju sprawy. Najsłynniejsza z nich, matka Demdike, była nazywana błogosławiącą. Farmerzy płacili jej za pobłogosławienie zbiorów albo chorego zwierzęcia. Czasem chorej osoby. Przychodziła, mruzczała parę modlitw, pewnie zostawiała trochę ziół i wieczorem miała co jeść razem z rodziną.

– Ale gdy coś się nie powiodło, kiedy chory umarł, winę zrzucano na nie? – zapytałam.

– Na wiele różnych sposobów same były swoimi najgorszymi wrogami – odparła pani Reece. – Pozwalały ludziom wierzyć, że dysponują mocami, które mogą zarówno pomagać, jak i szkodzić. Demdike miała w zwyczaju mówienie ludziom, którzy się jej sprzeciwiali, że będzie się za nich „modliła długo i uporczywie”. Potem stawała jak posąg i mamrotała coś do siebie. Nie ma się co dziwić ludziom, że uważali się za obłożonych klątwą.

Będę się za was modliła długo i uporczywie. To wywoływało ciarki.

– Ale czy one rzeczywiście takie były? – zapytałam. – Czy były wiedźmami?

– Prawie na pewno – powiedziała pani Reece. – Ale czy były winne tego, za co je powieszono? To zupełnie inne pytanie.

– To absurd – zauważyłam. – Nie mogły dysponować tego rodzaju siłami. Nikt nimi nie dysponuje.

– Bardzo nieliczni.

Miałam dosyć. Wzięłam książkę króla Jamesa i odniosłam ją na półkę.

– Nie wierzę, żeby król James wierzył w czary – powiedziałam. – Żaden z tych ludzi nie wierzył. Te kobiety zastraszano, torturowano. To niemożliwe, żeby nawet setki lat temu ludzie byli tacy głupi i wierzyli, że zeznania wyciągnięte na mękach mają jakąkolwiek wartość.

Pani Reece też wstała, trochę się nachyliła, chociaż stała bardzo blisko mnie.

– Coś panią wystraszyło. Co?

– Cieszę się, że żyjemy w bardziej oświeconych czasach. – Sięgnęłam po torebkę. Przyjście tutaj było stratą czasu. W bibliotece panował dziwny nastrój i niezwykły zapach, jednocześnie duszny i ziołowy, aż głowa mnie rozboleła i nie mogłam się skoncentrować. Nawet nie byłam w stanie przypomnieć sobie, po co właściwie tu przyszłam. – Koniec z mizoginistycznymi wendetami, z polowaniami na czarownice, z czarownicami.

Chciałam odejść, ale zatrzymał mnie skupiony wzrok pani Reece.

– Ach, moja droga – powiedziała bibliotekarka. – Zawsze będą polowania na czarownice. Coś mi się wydaje, że sama jesteś czarownicą.

Trochę mnie zdenerwowała jej pewność siebie.

– Nie wierzę w czarownice – powiedziałam.

Uśmiechnęła się dziwnie, zaciskając usta.

– Ostatnia ustawa o czarownictwie została zniesiona w 1951 roku. Cóż za strata czasu parlamentarzystów, skoro już nie ma więdzm.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie pamiętałam co, i zagapiłam się na nią, przyciągnięta tymi jej błyszczącymi szarymi oczami. Trudno mi było nawet mrugnąć.

Potem bibliotekarka uśmiechnęła się, pokazując wielkie, żółte zęby.

– Nie denerwuj się tak, kochana. Już nie zamieniamy ludzi w ropuchy.

Odsunęła się i atmosfera trochę się oczyściła, jakby ktoś otworzył drzwi i napłynęło słodkie powietrze.

– Czy mogłabym pani pomóc w czymś jeszcze? – zapytała. – Zbliża się czas przerwy na lunch.

Przypomniałam sobie, po co przysłam.

– Jestem policjantką. – Widziałam, jak brwi pani Reece drgają, kiedy ogląda moją legitymację.

– Jakże miło panią poznać, posterunkowa Lovelady.

– Prowadzę śledztwo w sprawie, która może mieć związek z czarownictwem. Chyba będzie pani w stanie mi pomóc.

– Czy ma to coś wspólnego z morderstwami dzieci?

– Dlaczego pani pyta?

– Wszyscy o tym mówią. Biedną Patsy znaleziono na cmentarzu i ludzie niezmiennie, chociaż fałszywie, łączą to, co dzieje się na cmentarzu, z czarodziejstwem.

– Proszę pani, chciałabym pani coś pokazać. Naprawdę doceniłabym, gdyby to zostało między nami.

– Oczywiście.

Wyciągnęłam z torebki zdjęcie glinianej figurki. Włożyła na nos okulary i przyjrzała się zdjęciu.

– Dobry Boże – powiedziała, gdy znów spojrzała na mnie. – Gdzie pani to

znalazła?

– Obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć. Przepraszam. Czy mogłaby pani skomentować to zdjęcie?

Znów spojrzała na zdjęcie z polaroidu.

– To gliniana kukielka.

– Co?

– Współcześnie zapewne nazwano by to podobizną, ale w dawnych czasach mówiono o tym kukielka. Wiedźmy z Lancashire zostały oskarżone o robienie kukielek swoich wrogów. – Zmarszczyła brwi i nachyliła się nad fotografią. – Co przebija figurkę? To nie wygląda na szpilki.

– Drewniane drzazgi – powiedziałam.

Powoli pokiwała głową.

– Tarnina. Od dawna kojarzy się ją z czarodziejstwem. Różdżki i laski czarownic były prawdopodobnie robione z drzewa tarniny. – Popatrzyła na mnie. – Czy to ma być Patsy?

Nie odpowiedziałam.

– Rozumiem. Nie wolno pani mi tego powiedzieć – stwierdziła. Wie pani co? Chyba już to widziałam. Proszę poczekać.

Przeszła przez salę, nachyliła się nad inną szufladą, wyciągnęła książkę w zniszczonej skórzanej oprawie i przekartkowała ją.

– Wiedziałam – powiedziała, kładąc książkę przede mną. – To kopia lalki z Luwru.

Znów usiadłam i popatrzyłam. Czarno-biała fotografia była prawie taka sama jak ta, którą z sobą przyniosłam. Ukazywała gliniany wizerunek kobiety ze związanymi rękami i nogami. Trzyńście szpilek albo ostrych gałązek przebijało jej ciało. To było zbyt podobne, żeby mogło chodzić o przypadek.

Wstałam.

– Proszę pani, proszę położyć tę książkę na stole. I proszę jej nie dotykać.

Zmarszczyła brwi i zrobiła, co jej kazałam.

– Teraz stąd wyjdziemy. Potem poproszę, żeby pani stanęła przed drzwiami, kiedy z pani telefonu zadzwonię do komisariatu – powiedziałam.

Wyglądała na zdumioną, nawet na z lekka przestraszoną.

– Co u diabła...?

– Będzie pani musiała zamknąć katalog na parę godzin – powiedziałam. – Z tej książki, a właściwie z całego pomieszczenia, zostaną zebrane odciski palców.

– Dobra robota, Flossie – powiedział godzinę później Green.

Katalog został tymczasowo zamknięty, a zespół od odcisków palców pokrywał wszystko proszkiem. Pani Reece zaglądała przez szklaną ściankę działową i stuknęła w nią za każdym razem, gdy zbliżaliśmy się do książki, którą uważała za cenną.

Inspektor Sharples, sierżant Green, Tom i ja siedzieliśmy przy jednym z ciężkich dębowych stołów.

– No, to co nam powiesz o tej lalce z Lu...? – zapytał Sharples.

– O lalce z Luwru – poprawiłam. – Jej nazwa pochodzi od muzeum w Paryżu, w którym jest przechowywana.

Z książki właśnie pobierano odciski palców, potem zapakowano ją do torby na dowody i zabrano, ale zrobiliśmy polaroidem zdjęcie każdej strony, a ja spisałam notatki.

– To artefakt z Egiptu, z czwartego wieku – powiedziałam. – Gliniana figurka przebita trzynastoma igłami z brązu. Znalaziono ją w wazie z terrakoty razem z ołowianą tabliczką z klątwą wiążącą.

– Co to jest klątwa wiążąca? – zapytał Tom.

– To rodzaj klątwy, w której ktoś prosi bogów, żeby skrzywdzili kogoś innego. Ale ta jest naprawdę przerażająca. Zapisałam ją – powiedziałam. – Mogę?

– Dawaj – zgodził się Sharples.

Pisałam w pośpiechu i musiałam się skoncentrować:

– „Sprowadź do mnie Ptolemais, którą Aias zrodziła, córkę Horigenesa – przeczytałam. – Niech nie je i nie pije, póki do mnie nie przyjdzie, Sarapammon, którego Area zrodziła, nie pozwól, aby doświadczyła innego mężczyzny niżli ja. Przyciągnij ją za włosy, za wątpia, aż stanie u mego boku... aż wezmę ją posłuszną na całe życie moje i będzie mnie kochać, pożądać mnie i mówić, co myśli”.

– To zaklęcie miłosne. – Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na twarzy Toma. – Chce, żeby była jego cizią.

– Tak sądzisz? – zapytałam. – A ja uważam, że chce zrobić z niej swoją niewolnicę.

32

Pani Reece, powiem pani, co mnie zastanawia w tym czymś – sierżant Brown opuścił wzrok – w tej lalce z Luwru. – Wymówił to „Luwra”. – Ile książek jest w bibliotece publicznej w Sabden? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy?

Zerknął na Randy’ego, który siedział obok. Randy wzruszył ramionami.

– Trzydzieści sześć tysięcy pięćset czterdzieści jeden – powiedziała pani Reece. Już dowiedzieliśmy się, że ma na imię Daphne. Nie mogłam się powstrzymać przed myślą, że w tej chwili wyssała tę liczbę z palca.

Brown pochylił głowę.

– Wszystkie je pani przeczytała? – zapytał.

– Niech pan nie będzie prostakiem.

Tom zachichotał, a Sharples spojrział wściekle. Lustro weneckie, za którym staliśmy, nie było dźwiękoszczelne. W całym pokoiku były napisy ostrzegające, żeby zachować się cicho podczas przesłuchania.

– A jednak w ciągu paru sekund po tym, jak posterunkowa Lovelady pokazała pani zdjęcie podobnej figurki, znalazła pani właściwą książkę z fotografią.

– Dobrze znam książki z działu okultyzmu – powiedziała Daphne. – Lalka z Luwru rzuca się w oczy. Mało kto jej nie zapamięta, jeśli choć raz ją zobaczy.

– Co pani wie o jej historii?

– Tylko to, co tam napisano.

– Proszę pani – powiedział Randy – czy przypadkiem nie wie pani, kto mógł zaglądać do tej książki w ciągu ostatnich paru miesięcy?

Daphne zrobiła pełną żalu minę.

– Jedna z osób z obsługi prowadzi spis wszystkich książek wynoszonych z biblioteki – powiedziała. – Nie wierzy w system biletowy. Próbuje także nadzorować to, co się dzieje w księgozbiornym podręcznym, ale nie zawsze może odejść z działu wydawania książek. Już sprawdzałam. Nie ma śladu po kimś, kto przez ostatnie trzy lata zaglądałby do tego egzemplarza. Dopiero dzisiaj.

– A ta oryginalna lalka, o ile się orientuję, została znaleziona z jakimś zaklęciem – powiedział Brown.

– Tak, z zaklęciem miłosnym.

Tom dał mi kuksańca w bok. Spojrzałam na niego, robił minę, „a nie mówiłem”. Gniewnie odwróciłam wzrok.

– Więc jak to działa? – zapytał Brown.

– Zaklęcia miłosne to bardzo stara magia – powiedziała Daphne. Spojrzała w lustro, a ja pomyślałam, że wie, kto za nim stoi. – Figurka musiała zostać tak ulepiona, żeby dokładnie przypominała obiekt. Im bliższe podobieństwo, tym potężniejsza magia. I powinna zawierać coś bardzo osobistego.

– Co takiego? – zapytał Randy.

– Coś z jej ciała. Włosy albo paznokcie są dobre. Krew, zęby albo kość są potężniejsze, ale trudniej je zdobyć. Ubranie albo jakaś własność osobista byłyby lepsze niż nic. Cokolwiek by to było, ta esencja osoby musi zostać zawarta w figurce. – Znów spojrzała w lustro. – Jeśli podobizna, którą znaleźliście, ma cokolwiek wspólnego z tym biednym dzieckiem, to będzie zawierała jakiś jej osobisty ślad.

Wszyscy troje, za lustrem, spojrzeliśmy na siebie. Ząb Patsy.

– Zaklęcie, tekst na tabliczce, jeśli chodzi o lalkę z Luwru, dotyczy tego, co chciałoby się wprowadzić w życie. – Daphne była teraz w swoim żywiole. – W magii trzeba przedstawiać sprawy bardzo jasno. Ostatnie, czego by się chciało, to żeby energia zmyliła drogę i poszła w złym kierunku.

Skończyła.

Brown i Randy czekali.

– To wszystko? – zapytał po chwili Brown.

– Nie, trzeba jeszcze rzucić zaklęcie, żeby powiązać całość.

– Jak się to robi? – zapytał Randy.

– Są różne sposoby. Nie mam pojęcia, co zrobił mężczyzna z Egiptu w czwartym wieku.

– Proszę pani, posterunkowa Lovelady ma teorię na pani temat – powiedział Brown. – Trochę niemądra, ale to młoda laska. Ona sądzi, że pani sama może trochę jest wiedźmą.

Oczy Daphne rozświekliły się.

– Jest bardzo mądrą młodą kobietą.

Brown i Randy wymienili spojrzenia.

– Przyznaje pani, że jest wiedźmą? – zapytał Brown.

– Jestem z tego dumna.

Policjanci znów na siebie popatrzyli. Ciężkie westchnienie ze strony Daphne. I wydawało mi się, że spotkałyśmy się wzrokiem przez lustro.

– Czy rzucała pani kiedykolwiek zaklęcie miłosne? – zapytał Randy.

Daphne znalazła coś interesującego na swoich jaskrawoczerwonych paznokciach.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Dla mnie pomysł wymuszonego uczucia jest odrażający. Nie mam nic wspólnego z czarną magią.

– A co dokładnie pani robi jako wiedźma? – zapytał Brown. – Jeśli nie rzuca pani zaklęć miłosnych, to jakie?

– Nasze rytuały są prywatne. Nie mogę o nich rozmawiać z każdym.

– Proszę pani, ja nie jestem każdy – powiedział Brown. – Jestem sierżantem wydziału kryminalnego i prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

– A ja nie jestem aresztowana. – Założyła ramiona i oparła je o stół. Musiałam jej to przyznać: Daphne Reece była chłodna jak lodowa miętówka.

– Powiedziała pani „nasze” rytuały – zauważył Brown. – Więc jest was więcej? Więcej niż jedna wiedźma?

– Tak, cały sabat.

Brown, zachęcony, nachylił się do przodu.

– A ile was jest w sabacie?

– Powinno być trzynaście, chociaż niektóre sabaty mają ograniczoną liczbę członkiń.

– Jeśli wolno zapytać, co robi sabat?

Daphne głośno się roześmiała, aż mi się wydało, że obaj policjanci trochę się wzdrygnęli na widok jej wielkich żółtych zębów.

– To forum do dzielenia się doświadczeniami i wzajemnej zachęty – powiedziała Daphne. – Stanowimy grupę o podobnych przekonaniach, głównie kobiet, które uważają, że trzeba działać razem dla powszechnego dobra.

– Dzięki Bogu i za to. Randy, nic o nich nie wiedziałem, ale sądziłem, że pani Reece będzie mówić o uprawianiu magii.

– Och, to też robimy. Czy byłby pan tym zainteresowany, sierżancie? Nasz sabat jest obecnie pełny, ale możemy na pana poczekać...

Tym razem parsknięcie Toma musiało być słyszalne na końcu korytarza. Sharples spojrział na nas z wściekłością. Musiałam przygryźć dolną wargę.

Brown wziął pióro.

– Mogłaby pani podać ich nazwiska?

Reece powoli, ale stanowczo pokręciła głową.

– Nie, bez ich zgody.

Biedny Woodsmoke.

– Proszę pani, gdzie pani była w niedzielę wieczór, piętnastego czerwca?

Nawet się nie zastanawiała.

– Na próbie.

– Jakiej próbie?

– *Makbeta*.

Nie, teraz pozwoliła sobie na zbyt wiele. Spojrzałam na Toma, ale odpowiedzią było puste spojrzenie.

– Słucham?

– Szekspir – powiedziała. – Jedna z tragedii. Według mnie nie z tych jego najlepszych, ale to nie ja dobieram sztuki. Oczywiście, większość aktorów nie powie *Makbet*. Nazwie to szkocką sztuką. Ale ja zawsze uważałam, że to stek przesądów.

Brown przejechał ręką po włosach.

– Czy mówimy o teatrze amatorskim?

– Oczywiście. Aktorzy z Biblioteki w Sabden. To nasz występ. Prowadzimy próby od końca maja. Premiera jest w piątek, trzydziestego pierwszego października, a przedstawienia trwają przez trzy wieczory.

– Zwodzi nas – wyszeptałam. Tom mnie uciszył.

– Gram Duncana – kontynuowała Daphne. – Brakuje nam mężczyzn. I żeby oszczędzić czas, panie sierżancie, bo nie bardzo pan to ogarnia, spotykamy się o siódmej, a kończymy o dziewiątej. Potem idziemy do Eagle and Child na Snape Street. Tamtego wieczora dotarłam do domu o jedenastej, podwiozła mnie inna aktorka. Od razu poszłam do łóżka. Nie sama. W sumie przedstawiłabym panu jakiś tuzin alibi.

– Dziękuję – powiedział słabym głosem Brown. – A środa, szesnastego kwietnia?

– Dzień, w którym zniknął Stephen Shorrock? Niech pan się tak nie podnieca, śledziłam sprawę. Nie było mnie w kraju. Alpy szwajcarskie, żeby sprawę dokładnie przedstawić, na obozie wędrownym z Bibliotekarskim Stowarzyszeniem Turystów z Północnej Anglii. Wróciłam w niedzielę.

– Poniedziałek, siedemnastego marca? – Brown pytał zrezygnowanym tonem. – Kiedy po raz ostatni widziano Susan Duxbury?

– Nie jestem pewna, ale poniedziałki spędzam zazwyczaj z przyjaciółmi.

– Z sabatem? – zapytał Brown. Była to ostatnia, rozpaczliwa próba.

– Tylko przy pełni księżyca – odparła Daphne.

33

Terry'ego Parkera wypuściliśmy następnego dnia, w piątek. Nie było powodów, żeby go przetrzymywać i mimo niechęci, z jaką odniósł się do ponownego wyjścia na świat, oddaliśmy mu jego rzeczy i wysłaliśmy go w drogę. Wróciłam do biblioteki publicznej i z pomocą Daphne odszukałam i przejrzałam wszelkie dostępne książki na temat okultyzmu, folkloru i czarownictwa. W nadchodzących dniach czekały mnie bardzo interesujące sny.

Sierżant Brown poszedł na spotkanie z dentystą Patsy, który powiedział, że chociaż dziewczyna przyszła do niego ostatnio z wizytą, to nie miała ekstrakcji przez ponad rok.

– Ale niektóre rodziny same dają sobie radę z problemami natury stomatologicznej – powiedział Brown, kiedy wrócił do komisariatu. – Jeden koniec bawełnianej nitki na ząb, drugi na klamkę otwartych drzwi. Zatrzaszkuje się drzwi i po sprawie. Nie możemy zakładać, że brakujący ząb Patsy został wyrwany przez zabójcę. Chyba że się okaże, że w tej laleczce wudu tkwi jej ząb. Wtedy możemy sobie pozwolić na takie założenie. Ale cholerne zamieszanie. – Woodsmoke, kręcąc głową, wyszedł z pokoju. Zobaczyłam go parę minut później, jak paląc, stał na parkingu ze wzrokiem wbitym w asfalt.

Ponownie powiedziałam Sharplesowi, że powinniśmy odwiedzać szkoły i ostrzegać dzieci, żeby uważały na siebie. Ponownie dowiedziałam się, że mam się zamknąć i zająć się swoją pracą.

Tego samego dnia, kiedy personel wyższego stopnia i detektywi zaczęli powtórnie przesłuchiwać wszystkich znanych w mieście przestępców, młodszy z nas systematycznie przeszukiwali miejskie cmentarze. Szukaliśmy grobów, szczególnie niedawno powstałych, przy których ktoś mógł grzebać. Większość z nas nie nosiła mundurów, jeździliśmy na rowerach i nieoznakowanymi radiowozami, żeby nie było nas za bardzo widać. Dyskretnie wypytywaliśmy o akty wandalizmu, które zdarzały się późnym wieczorem, o problemy z dzikimi zwierzętami, ale kiedy

tamtego dnia zatrzymałam się po raz ostatni i już wychodziłam z cmentarza, podszedł mężczyzna w kremowych spodniach i sportowej kurtce.

Nie zwrócił uwagi na Randy'ego, który siedział za kierownicą, i odezwał się do mnie.

– Florence, spodziewaliście się, że tutaj znajdziecie Stephena i Susan?

Musiałam przejść obok niego. Nie miałam pojęcia, skąd zna moje imię.

– Florence, będą jeszcze jakieś ekshumacje? – Reporter szedł za nami ulicą do nieoznakowanego radiowozu.

– Koleś, wszystkie pytania kieruj do komisariatu – zwrócił się do niego Randy.

– Florence, skąd wiedziałaś, gdzie szukać Patsy? – Chwycił drzwi samochodu, gdy wsiadałam, i musiałam mu je wyrywać.

– Jakiś twój przyjaciel? – zapytał Randy, kiedy wracaliśmy do komisariatu.

– Nigdy w życiu go nie widziałam ani z nim nie rozmawiałam.

Randy nie zareagował na moje słowa.

Tamtego wieczoru, na kiosku z gazetami widniał tytuł: „Patsy, policja przeszukuje cmentarze”. Ktoś zostawił na moim biurku egzemplarz „Manchester Evening News”. Na drugiej stronie było zdjęcie pokazujące, jak stoję przy grobie i robię notatki.

Pracowaliśmy do późna, a kiedy inni poszli do pubu, wsiadłam na rower i pojechałam do domu. Na ulicach było więcej ludzi niż zazwyczaj, dwa razy słyszałam za sobą wyzwiska. Poszłam prosto do łóżka, podsunęłam krzesło pod kłamkę, ale spało mi się źle.

W sobotę rano tytuły pytały: „Stephen i Susan: nadal gdzieś tu są?” W „Lancashire Morning Post” był tekst, że detektywi nadal przesłuchują znanych kryminalistów, ale nie trafili na żaden wątek. Zamieszczono spekulacje, że telewizyjna rekonstrukcja opóźniła śledztwo, pokazując zbyt wiele fałszywych śladów i zwodniczych tropów. Jasne, że ten artykuł także znalazłam na biurku.

Tuż przed lunchem wstałam, wyszłam z pokoju i zamknęłam się w kabinie, w damskiej toalecie. Płakałam dziesięć minut, chociaż nie było powodu.

Daphne znów została przesłuchana, tym razem w obecności swojej adwokat, wysokiej, chudej kobiety o ciemnych, kędzierzawych włosach. Ponownie odmówiła podania nazwisk członkiń sabatu. Sharples był wściekły, ale alibi

Daphne były nienaruszalne i nie było sposobu, żeby oskarżyć ją o coś związanego ze zniknięciami nastolatków. Sharples mamrotał o utrudnianiu policyjnego śledztwa, ale Rushton nie chciał wydać zgody na aresztowanie i oskarżenie Daphne. Podczas przesłuchania pytała o „tamtą miłą, młodą posterunkową Lovelady”.

Dano mi kluczyki do samochodu służbowego, jasnoniebieskiego vauxhalla vivy. Moja radość skończyła się, kiedy wyjechałam z parkingu przy komisariacie i zobaczyłam na słupie lampy ulicznej plakat ze zdjęciem Patsy.

Sharples wysłał policjanta, żeby przeprowadził dochodzenie w szkolnej pracowni garncarskiej, ale jego człowiek wrócił z informacją, że nikt szczególnie nie interesował się lepieniem figurek przedstawiających ludzi ani pracą z gliną pochodzącą z Sabden. Kiedy wieczorem dotarłam do domu, zapytałam Sally, czy mogę wykopać trochę gliny z ich ogrodu i spróbować modelowania.

O dziewiątej, kiedy byłam sama w pokoju, Cassie zawołała, żebym przyszła na dół, do drzwi. Był tam ten sam dziennikarz, który próbował ze mną rozmawiać na cmentarzu. Miał ciemne i mokre od upału włosy.

– Cześć Florence – powiedział. – Tak sobie myślałem, czy poszłabyś na drinka?

– Nie, dziękuję.

Dał mi kuksańca w ramię.

– Kochana, daj spokój. Szybkie porto z cytryną w Star, co masz do stracenia?

Już chciałam powiedzieć, że nic poza pracą, ale powstrzymałam się. Powiedziałam, że jeśli chce o coś zapytać, żeby skontaktował się rano z komisariatem, i zamknęłam drzwi.

Chyba nikt nie spał dobrze tamtej nocy. Słyszałam, jak kilka osób chodziło po domu, a ktoś, chyba Luna, płakał we śnie.

Następnego dnia, wczesnie rano, ulepiłam kulę i rybę z gliny z ogrodu.

– Flossie, nie zaniedbuj codziennych obowiązków – powiedział Larry.

Kiedy zjawiłam się w pracy, moim pierwszym obowiązkiem było odszukanie kogoś, kto przypiął mi nad biurkiem paletę kolorów producenta farb Crown Paints. Dziesięć coraz głębszych odcieni, od blad różowego po ciemnoczerwony. Ten ktoś przekreślił markowe nazwy farb – rumieniec, mak, purpurowe niebo, szkarłatna litera, wiśniowy dżem, pierś drozda i tak dalej – i napisał: okradanie grobów,

centrum zainteresowania, opieprz od szefa, ucieczka na piętro, ściganie podejrzanych, podniecenie seksualne. Kiedy wrzuciłam to do kosza, wszystkie oczy w pokoju patrzyły w inną stronę. Nie miałam pojęcia, jaki był w tamtej chwili kolor mojej twarzy, ale określenie całkowicie i kompletnie upokorzony nie byłoby odległe od rzeczywistości.

Z laboratorium, do którego wysłaliśmy glinianą podobiznę, otrzymaliśmy odpowiedź, że ciało obce w ustach figurki to ząb młodego reprezentanta rodzaju ludzkiego. Doktor Dodds potwierdził, że to może być kiel, którego brakowało w ustach Patsy. Przez jakiś czas potem sierżant Brown był nietypowo milczący.

Daphne Reece złożyła oficjalną skargę na ciągłą obecność policji przed jej domem. Avril Cunningham, jej adwokatka, zgłosiła, że zniszczono jej samochód zaparkowany przed tym samym domem.

W niedzielę wieczorem już nie mogliśmy zaprzeczyć, że w opinii ludności miasta nasza obecność na ulicach nie wystarczała, żeby zapewnić ich dzieciom bezpieczeństwo. Ludzie zbierali się w grupy na rogach i patrolowali ulice do zmroku. Takie patrole niezmiennie kończyły się w pubie. W niedzielę, późnym wieczorem, miały miejsce dwie większe bijatyki, a w poniedziałek rano pięciu mężczyzn dochodziło do siebie w celach, z kacem i podbitymi oczami. Tytuł z tamtego dnia: „Sabden – czy policja straciła kontrolę?”

Wydział kryminalny spędził poniedziałek na przesłuchiowaniu rodzin i dalszych znajomych trojga ofiar. Sprawdzano zeznania i alibi. Po południu usłyszałam plotkę, że coś się dzieje w pokoju przesłuchań. Już chciałam się tam wślizgnąć, ale zanim zebrałam się na odwagę, pojawili się Tom z Sharplesem.

– Larry Glassbrook właśnie przyznał się, że kłamał w sprawie swojego alibi – oświadczył komisarz.

– Którego? – Brown podniósł wzrok znad biurka.

– Wszystkich trzech. – Tom nerwowo na mnie spojrział, w całym pokoju zaległa cisza. – Nie było go w domu, gdy zaginęło tych troje, chociaż wcześniej twierdził, że był, chociaż potwierdziła to jego żona.

Więcej niż jedna osoba patrzyła w moją stronę. Wszyscy wiedzieli, że mieszkałam u Glassbrooków.

– Więc gdzie był? – zapytał Woodsmoke.

– W Czarnym Psie, tak teraz twierdzi – powiedział Tom.

– Dlaczego kłamał?

– Bo nie był w barze z innymi klientami, którzy mogliby potwierdzić jego nowe alibi. Był na pięterku i miał pozamałżeński stosunek z Beryl Donnelly.

Znów cisza. Beryl Donnelly była żoną Teda Donnelly'ego, właściciela pubu i matką Johna Donnelly'ego, przyjaciela Luny.

– To możliwe – powiedział ktoś.

– Tak, to może być prawda – odparł Sharples – ale bardzo starannie przepytamy Beryl Donnelly i przyjrzymy się naszemu przyjacielowi, panu Glassbrookowi.

Jakby mało było rozrywek na jeden dzień, wyszły wieczorne wydania gazet, ale najważniejszy materiał ukazał się w „Manchester Evening News”. Był to także poważny problem dla nas: „Patsy: pochowana żywcem?”.

– Kto, kurwa, rozmawiał z prasą?

Jeszcze nie widziałam, żeby Rushton był tak wściekły. Szyba w drzwiach jego gabinetu zadrzała, kiedy zatrzasnął drzwi za sobą. Niejeden spojrzał w moją stronę.

Rushton obejmował wzrokiem cały pokój, nie ruszał nawet głową.

– Kto? Kto rozmawiał z jakimkolwiek dziennikarzem, odkąd znaleźliśmy Patsy?

– Florence? – zapytał Sharples.

Wstałam.

– Dwa razy, sir – powiedziałam, wiedząc, że szybko zbliżam się od centrum zainteresowania do opieprzu od szefa. – Próbował się ze mną skontaktować ten sam człowiek. Nic mu nie powiedziałam i za każdym razem to zgłaszałam.

Rushton kiwnął głową, ale odwracając się, popatrzył na mnie.

Tamtego wieczoru na ulicy było jeszcze więcej ludzi, jeszcze więcej wezwań, żeby załatwić sprawę, a we wtorek rano całe mnóstwo telefonów. Kiedy jechałam do pracy, pojawiły się nowe tytuły. „Sabden: policja twierdzi, że wszystkie dzieci są zagrożone”, a także: „Stephen i Susan: czy ich zawiedliśmy?”

Wszyscy byli spięci i nerwowi. Ludzie przeklinali częściej niż zazwyczaj, warczeli na kolegów i nie sądzę, żeby tak się działo ze względu na upał.

Kazano mi znów założyć mundur i odwiedzać szkoły, także podstawowe. Słaby był ze mnie mówca, za bardzo się jąkałam, mówiłam szybko i czerwieniłam się, ale

napisałam sobie przemówienie i przećwiczyłam je w domu. Ulepiłam więcej glinianych figurek i wypaliłam je w piecu Sally.

W środę rano tytuły głośiły: „Policja twierdzi, że nadal nie znalazła tropu”. Zabrałam figurki do pracy i ustawiłam je na parapecie. Rybę, królika, ptaka, kota i – przynajmniej według mnie – postać ludzką.

– Kurwa, co to jest? *Błękitny Piotruś*? – zapytał sierżant Green, ale inni zrozumieli, o co mi chodzi. Ten, kto ulepił figurkę, którą znaleźliśmy z Patsy, musiał mieć zdolności garncarskie. Tego samego dnia przyszły wyniki badania tkanki z autopsji Patsy. Nie znaleziono benzodiazepiny i morfiny. Był za to alkohol. Toksykolog przeprowadził testy na kilka innych narkotyków, ale niczego nie znalazł. Było prawie niemożliwe, żeby sam alkohol spowodował, że Patsy była tak długo nieprzytomna w trumnie, przed pogrzebem i podczas uroczystości. Wyniki uzyskane przez toksykologa umocniły teorię, że włożono ją do grobu po pochówku.

Ale nadal niepokoiło mnie to, że jej ubranie nie było powalane ziemią. I słowa Dwane’a, że grób nie był naruszony. Glassbrook i Greenwood przeprowadzali dwa pogrzeby. Znalazłam jakiś pretekst, żeby wyjść z komisariatu i obserwować ich obu od chwili, kiedy konduktory wychodziły z domu pogrzebowego do pochówku na pobliskim cmentarzu. Przyglądałam się wszystkiemu, co robili przedsiębiorcy pogrzebowi i ich ludzie. Długo nad tym myślałam.

Inspektor wprowadził przymusowe nadgodziny i wysłał mnie z powrotem na obchód.

– Dziewczyno, zrobiłaś dobrą robotę – powiedział ku memu zaskoczeniu. – A Jack nadal chce mieć cię do swojej dyspozycji, ale przez najbliższe kilka dni chcę, żeby po mieście chodziło tylu mundurowych, ilu zdołam wysłać.

Więc wróciłam do patrolowania ulic. Zauważyłam, że dzieci mniej bawią się na rogach i nawet dorośli spieszą się do domów, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

Zdałam sobie sprawę, że konieczność złapania mordercy Patsy zastąpił strach przed porwaniem kolejnego dziecka.

34

Sobota, 28 czerwca 1969

Pierwszy raz od trzynastu dni rano spałam u siebie. Śniadanie w weekendy u Glassbrooków podawano później, ale i tak spóźniałam się na nie.

W kuchni była tylko Cassie. Siedziała przy stole, jasne włosy opadały jej na twarz. Polerowała coś, co wyglądało na biżuterię.

– Piękna sukienka – powiedziałam, chociaż naprawdę uważałam, że muślinowa kreacja robiła z niej tandetną hippisowską narzeczoną. – Co robisz?

– Czyszczę kryształy – odpowiedziała.

Patrzyłam na nią, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Na stole przed nią nie leżała biżuteria, ale kamienie, jasne i błyszczące. Cztery były srebrzystobiałe, jeden różowawy.

– Czym je czyścisz? – zapytałam bardziej, żeby podtrzymać rozmowę, niż żebym była choć trochę zainteresowana. Mętne rozmarzenie Cassie zawsze trochę mnie irytowało.

– Jedwabiem i światłem księżyca – powiedziała.

Ostentacyjnie wyjrzałam za okno. Księżyc nie było.

– Zostawiłam je na noc za oknem – powiedziała Cassie. – Jutro też tak zrobię. Jest pełnia.

– Od dłuższego czasu nie widziałam twojego psa – stwierdziłam. – Dałaś go komuś pod opiekę?

– Jakiego psa? – Oczy miała szeroko otwarte, usta zaciśnięte w ciup. Zaczęła okręcać pasemko jasnych włosów wokół palca.

– Tego, którego znalazłam zamkniętego w waszej szopie dwa tygodnie temu.

– Czy to było tej nocy, kiedy rozkopałaś grób?

Odwróciłam się, że niby chcę zrobić herbatę.

– A może często zdarza ci się kraść klucze mojego ojca, żeby wchodzić do jego

prywatnej szopy? – zapytała, mówiąc do tyłu mojej głowy.

Odwróciłam się. Nie podobał mi się filuterny uśmiezek błakający się po jej wargach.

– Jeśli znów się na niego natknę, będę musiała powiedzieć twoim rodzicom – odparłam. – Nie wolno trzymać psa zamkniętego w szopie. To okrucieństwo.

– Nie uwierzą ci. – Patrzyła na mnie przez kilka sekund, nie mrugając. Przypomniałam sobie, że lunatkuje, a to podobno jest oznaka napięć emocjonalnych z dzieciństwa.

– Cassie, czy coś cię martwi? – zapytałam.

Zmrużyła srebrnoszare oczy.

– Tak, Flossie – odparła. – Porywają i mordują dzieci w moim wieku, a policja nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

– Chodzi mi o coś w domu. Coś, co trudno byłoby ci powiedzieć rodzicom.

– Rodzicom mówię wszystko. Powiem im, o co właśnie mnie zapytałaś.

Zamieszałam herbatę w imbryku i nalałam do kubka. Znalazłam mleko i dodałam je. Denerwowało mnie, że ręka mi się trzęsie. Jeszcze bardziej mnie zdenerwowało, że drgnęłam, kiedy Cassie znów się odezwała.

– W okolicy uważa się, że to zły znak, kiedy widzi się czarnego psa. Jesteś pewna, że to był prawdziwy pies, a nie zła wróżka?

Przez ostatnie dwa tygodnie sporo się naczytałam o wszelkich aspektach zjawisk nadprzyrodzonych i znałam legendę o upiornym czarnym psie, który był zwiastunem śmierci. Ale nie chciałam dzielić się tym z Cassie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Zniosłam łyżeczkę do zlewu i opłukałam ją. Dzbanek z mlekiem odstawiłam do lodówki.

– A może go znasz? Na poważnie, Flossie, dotykałaś go?

– Cassie, robisz się męcząca.

Zabrałam herbatę do ogrodu. Chociaż było wcześniej, słońce powodowało upał. Z warsztatu Larry’ego dochodziło mnie ostre jęczenie elektrycznego narzędzia, które przypominało złapanego owada. Odeszłam w odległy kąt, rozłożyłam krzesło Sally i usiadłam.

Piłam herbatę, na twarzy czułam gorące słońce i obserwowałam, jak pszczoły wylatują z ula i wracają, wypełniając powietrze cichym buczeniem, tak jak brzoskwińowe róże zwisające z pobliskiej jabłonki wypełniały je aromatem.

Pszczoly tańczyły, wracając, ich maleńkie, tłuste ciała lśniły, kiedy zbierały się razem, jakby pogrążone w rozmowie.

Poczułam, że opadają mi powieki. Nie dopiłam herbaty, pomyślałam, że to dobry pomysł, żeby ją odstawić.

Kiedy się obudziłam, byłam w cieniu. Coś mi mówiło, że tylko na chwilę się zdrzemnęłam, ale już nie byłam sama. Otaczało mnie sześcioro ludzi. Jeden z nich, najwyższy, stał między mną a słońcem.

Inny miał w ręku radio tranzystorowe. Leciał, cicho i z zakłóceniami, hit Lulu *Boom Bang-a-Bang*, który kilka miesięcy wcześniej zwyciężył w konkursie Eurowizji.

– Co robisz, Luno? – Kątem oka dostrzegłam jej rude włosy. Chłopiec, który stał przede mną i zasłaniał słońce, to był John Donnelly. Rozejrzałam się i zobaczyłam Richiego Hawortha, Tammy Taylor, Dale’a Athertona i czarną dziewczynę, której nie znałam. To byli przyjaciele Patsy, ostatni, którzy widzieli ją żywą, nie licząc jej zabójcy.

John patrzył na swoje buty. Były stare i poobijane, w niektórych miejscach skóra była popękana.

– Zastanawialiśmy się, czy pani może powiedzieć nam coś o Patsy.

– Mnóstwo informacji trafiło do komisariatu po rekonstrukcji, w której wzięliście udział – powiedziałam. – Trzeba czasu, żeby je przerobić.

Dzieci wymieniły spojrzenia.

– Czy jesteśmy zagrożeni? – zapytała Luna, a ja wiedziałam, że chciała, żebym powiedziała tak.

Chciałam powiedzieć, że tak.

– Nie, jeśli jesteście rozsądni – powiedziałam zamiast tego. – Nie, jeśli trzymacie się w grupie.

– Moja mama widziała nianię Patsy dziś rano w mieście – powiedziała Tammy.

– Po południu ciało Patsy zostanie przeniesione do domu pogrzebowego w Burnley.

Pochyliłam się, żeby podnieść kubek.

– Wiecie więcej niż ja – powiedziałam. – Nie słyszałam o tym.

– Chcemy tam pójść, żeby ją zobaczyć – powiedział Richie Haworth. – Dziś po

południu pojedziemy autobusem.

– Naprawdę? – Popatrzyłam na Johna, który wydawał się najrozsądniejszy z nich wszystkich. – Cóż, wasza sprawa. Ale dobrze bym to przemyślała, gdybym była na waszym miejscu. Nigdy nie jest miło patrzeć na trupy. – Podparłam się i wstałam. – Miłej soboty, cokolwiek mielibyście robić.

– Proszę pani!

Przeszłam ledwie dziesięć metrów, kiedy John Donnelly ruszył za mną długim krokiem.

– Długo pani była w szkole – powiedział.

Czekałam.

– Bardzo się pani dopytywała o Patsy i tamtych dwoje. I o wszystkich ich przyjaciół.

– Zgadza się. Pytałam.

– Więc zastanawiam się, czy pani zdaniem winien jest ktoś ze szkoły.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jeśli Patsy, Stephen i Susan zostali uprowadzeni przez tę samą osobę – tego nie jesteśmy pewni, ale gdyby tak było – byłby między nimi jakiś związek. Wiesz co to znaczy wspólny mianownik?

Niepewnie skinął głową.

– To termin matematyczny – powiedział.

– To znaczy również wspólna cecha całej grupy. Patsy i pozostali musieli mieć ze sobą coś wspólnego. Cokolwiek by to było, wskaże porywacza.

– Znalazła coś pani?

Nie znalazłam. Godzinami zbierałam wszelkie informacje o życiu tych dzieci. Jeszcze dłużej wpisywałam je na różne wykresy, a znacznie dłużej wpatrywałam się w nie, czekając, aż coś zauważę.

– Jeszcze nie – powiedziałam. – Ale jeśli coś tam jest, znajdę to. Do zobaczenia John. Uważaj na siebie.

Weszłam do domu, a on wrócił do przyjaciół. Zebrali się w kółku za ulami, głowy trzymali blisko siebie, od czasu do czasu spoglądając na dom.

– Coś mają zamiar zrobić.

Cassie podeszła do mnie niespodzianie. Patrzyła nad moim ramieniem, była nieprzyjemnie blisko.

– To dzieci – powiedziałam. – Dzieci zawsze coś mają zamiar zrobić.

– Wczoraj wieczorem słyszałam, jak Luna rozmawia przez telefon.

Przez ramię Cassie znów zobaczyłam dzieci. Przełaziły przez mur na wrzosowiska.

– Słyszałam, jak trzy razy powiedziała Patsy – rzekła Cassie. – Rozmawiała z Unique Labaddee, tą czarną dziewczyną. Cała jej rodzina jest dziwna.

– Unique Labaddee? Czy jej matka ma na imię Marlene?

– Chyba tak. Prowadzi kwiaciarnię przy głównej ulicy.

– Coś jeszcze? – Aż przykro mi było pytać.

Pokręciła głową.

– Nie, ale wszystko to było bardzo tajemnicze.

Opłukałam kubek i zostawiłam Cassie w kuchni. Nie lubiłam jej. Nie podobał mi się jej zwyczaj podkradania się i byłam pewna, że nastolatki nie miały bardziej złowieszczych zamiarów niż makabryczne poszukiwanie dreszczyku emocji kosztem ich zmarłej przyjaciółki. Mimo wszystko, kiedy wróciłam do swojego pokoju, wyjrzałam przez okno. Dzieci były już dość daleko, zmierzały nie w stronę miasta, ale na otwarte pola. Chyba szły w stronę Wzgórza.

W ogrodzie było ich sześcioro. Nie byłam pewna, ale teraz widziałam ich chyba tylko pięcioro. Były za daleko, żebym mogła rozpoznać, kto ubył.

Przypomniałam sobie światła, które widziałam w nocy, kiedy znalazłam Patsy. To nie mogły być dzieci: wszystkie leżały w łózkach. Więc dlaczego teraz dokądś poszły?

Well Head Road była polną drogą, jednokierunkową prawie na całej długości, okrążała Pendle Hill i prowadziła od południa do Sabden. Na wschód od niej było Barley, na północy przechodziła przez Downham, a potem na zachodzie przez Pendleton. W połowie drogi między Sabden a Barley ogólnie dostępna ścieżka nazywana Lych Way prowadziła pod górę przez jedno z najbardziej stromych, ale najniższych wzniesień. Jeśli dzieci zmierzały w stronę Wzgórza, byłam całkowicie pewna, że przejdą obok miejsca, w którym widziałam światła.

Zanim dotarłam do Lych Way, nie było już po nich śladu. Szłam szybko, ale znalezienie swetra i butów z cholewami zajęło mi trochę czasu, a oni byli młodzi i, co za tym idzie, bardzo sprawni. Szłam drogą polną, wzdłuż której rosły klony, mijałam świnie, kurczaki i hałaśliwego, ale przyjaznego collie. Po jakimś

kilometrze ścieżka rozwidlała się w miejscu, w którym z ziemi wystawał wielki, płaski kamień. Lych Way, już niedostępna dla pojazdów, biegła dalej, przez pole i przez dziurę w kamiennym murku.

Lych Way brzmiało znajomo. Miałam wrażenie, że coś o niej czytałam, ale mi umknęło.

Nie widziałam dzieci, ale byłam całkowicie pewna, że są przede mną. Skręciłam w jedno z rozgałęzień i zaczęłam się wspinać. Szło mi łatwo, chociaż wyłożona kamieniami droga była bardzo stroma. Jakbym wspinała się po niekończących się schodach.

Trawa wokół była pożółkła po ostatniej fali upałów i gdzieniegdzie zwęglona, w miejscach, w których na wzgórzu wybuchły pożary. Mijałam krzaki czarnych jagód i pączkujące wrzosa w różnych odcieniach. Wszędzie były owce.

Kiedy doszłam do wniosku, że jestem w połowie drogi, ścieżka skręciła, a ja zatrzymałam się, żeby wyrównać oddech. Z tego miejsca znów zobaczyłam Lych Way, ciemniejszy ślad na trawie biegł po polach wzdłuż kamiennego muru, prowadził przez przełazy w płotach i przez wąski strumyk. Jakies półtora kilometra dalej wchodził w zagajnik, za którym widać było niewyraźny zarys budynku.

Lych Way? Lych Way? Nie, nie mogłam sobie przypomnieć.

Znów ruszyłam, za zakrętem szlak zmienił się w szeroką, płaską powierzchnię. Albo wycięto ją we Wzgórzu, albo był to naturalny płaskowyż. Pod trawą i paprociami widać było kamienne płyty. Mury zbudowane z wielkich kawałów pociemniałego kamienia niknęły w krzakach. W pobliżu wąski strumień spływał do małego stawu, z którego przez skarpe wylewał się wodospad.

Tutaj mieszkali ludzie. Na Wzgórzu zbyt wystawionym na działanie sił natury, żeby utrzymały się tutaj jakieś prawdziwe drzewa, rosły trzy rozgałęzione buki, osłonięte małym urwiskiem. Był tu nawet krzak róży, dzikiej, ale jakoś przypominającej ogród.

Pośrodku znajdował się wielki poczerniały krąg ziemi wypełniony popiołem i kawałkami zwęglonego drewna. Przynajmniej dobrze namierzyłam to miejsce, ale dzieci nigdzie nie było. Poślizgnęłam się i kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam ogarek woskowej świecy.

Kto zabiera świece na wyprawę turystyczną?

I kto rozpałił ognisko pośrodku wrzosowiska?

Nagle dotarło do mnie z całą wyrazistością, że jestem zupełnie sama i daleko od miasta. Podeszłam do skraju płaskowyżu. Nadal ani śladu dzieci. Zbocze stromo opadało w dół. Tutaj nie wolno tracić oparcia. Spojrzałam w dół i na pewno dlatego, że jeszcze nie jadłam, poczułam strach i zawroty głowy.

35

Kiedy wróciłam, Larry był w ogrodzie, wygodnie opierał się o ścianę warsztatu. Włosy szesane miał z czoła brylantyną, a koszulę rozpiętą na kilka guzików. Gdy szłam po trawie, przyglądał mi się spod półprzymkniętych powiek.

Już miałam się do niego zdawkowo uśmiechnąć i pójść dalej, kiedy coś sobie przypomniałam.

– Larry, na pewno mnóstwo czasu spędzasz na cmentarzach. Przynajmniej część z tego czasu poświęcasz na różne miejsca pochówku i cmentarzyki przykościelne.

Wydymuchał kółko dymu.

– Mam kilka ulubionych miejsc. Mnóstwo cichych zakątków, nikt nie przeszkadza.

Wiedziałam, że muszę uważać. Nie kazano mi przesłuchiwać Larry'ego.

– Więc tak hipotetycznie, jeśli od czasu do czasu zgłaszano by naruszenie grobów, docierałoby to do ciebie?

– Flossie, w tym nie ma niczego hipotetycznego. To się zdarza.

Zrobiłam krok w jego stronę. Wyjął papierosa z ust.

– Przejrzałam teczki w komisariacie. Nie znalazłam ani jednego zgłoszenia.

– Cóż, i nie znajdziesz.

– Dlaczego?

Znów włożył papierosa do ust.

– Flossie, przesłuchujesz mnie? A jeśli nie będę współpracować?

– Ojciec Edward powiedział mi, że są ważni ludzie, którzy nie lubią, gdy robi się zamieszanie. Boi się ich.

Larry nie odpowiedział.

– Boisz się ich?

Zacisnął wargi.

– Coś wiesz o mularzach, Flossie?

Pokręciłam głową.

– Chodzi ci o murarzy?

– O wolnomularzy. Tyle mogę ci powiedzieć na ten temat. Sprawdź ich.

Wolnomularze. Tom wspominał o nich, że Rushton nie chce do nich wstąpić i że wyrobił sobie w ten sposób paru wpływowych wrogów.

– Dziękuję. – Znów się odwróciłam.

– Może wpadlibyśmy wieczorem na drinka?

Zatrzymałam się. To był błąd, bo natychmiast znalazł się za mną.

– Moglibyśmy się przejechać – mówił mi cicho do ucha. – W Barley Mow's w soboty nie ma zbyt wielu ludzi.

– Pracuję. – Czuję, jak za mną patrzy, kiedy szłam do drzwi domu. Poziom cukru we krwi opadł mi i trochę drżałam, gdy wchodziłam po schodach do mojego pokoju.

Otworzyłam drzwi. Przez sekundę gapiłam się, nie rozumiejąc, co widzę.

Na łóżku leżał pies, ten sam czarny chart, którego widziałam w szopie.

W świetle dnia, tuż pod oknem, dobrze go widziałam. Wyglądał staro, miał wychudłe boki i trochę posiwiały pysk. Obwódki wokół czarnych oczu były czerwone, jakby chorował na jakąś niegroźną infekcję.

– Cassie! – Nie miałam większych wątpliwości, że dziewczyna stoi za drzwiami swojej sypialni i słucha, jak zareaguję. – Cassie, chodź tu natychmiast.

Żadnego ruchu. Żadne drzwi się nie otworzyły.

– Cassie, zabierz tego psa z mojego pokoju!

Pies warknął, zdenerwował go hałas, którego byłam źródłem. Nie spuszczać ze mnie wzroku, wstał, położył uszy wzdłuż łba, odsłonił zęby.

– Sio! Wynoś się! – Usunęłam się, żeby mógł wyjść. – Cassie! Sally!

Nic. Jakbym była sama w domu, nie licząc tego czarnego stworzenia.

„Jesteś pewna, że to był prawdziwy pies, a nie zła wróżka?”

– No, dalej, wynoś się.

Nie miałam zamiaru go dotykać. Wiedziałam, że charty to łagodne psy, ale ten wyglądał na złośliwego. Widziałam, że na łbie ma stare blizny, a nawet ślad krwi pod pyskiem.

– Faj! Wynoś się!

Wreszcie pies odprężył się i przeciągnął. Nie patrząc już na mnie, zeskokczył z łóżka i truchtem wyniósł się z pokoju. Poszłam za nim, żeby się upewnić, czy

wyjdzie z domu, ale pies błyskawicznie zbiegł ze schodów. Kiedy dotarłam na parter, już go nie było.

Niespotykana cisza w domu Glassbrooków zaczynała robić się dziwaczna. Dotarłam do warsztatu Larry'ego i załomotałam do drzwi.

– Larry! Musisz wyjść.

Pojawił się kilka sekund później.

– Co jest, kurwa? – zapytał. Jeszcze nie słyszałam, żeby przeklinał.

– W mojej sypialni był pies.

– Co było?

– Trzyma go Cassie. Pewnie to bezpański pies i chyba robi to bez twojej wiedzy.

Kilka tygodni temu znalazłam go w szopie, a teraz leżał na moim łóżku.

– Pokaż. – Przepchnął się obok mnie i ruszył w stronę domu.

– Hm, już go tam nie ma. Uciekł.

Nie słuchał, szybko wszedł do domu. Kiedy byliśmy w połowie schodów, Cassie wyszła ze swojego pokoju.

Ziewnęła i wyciągnęła ramiona w stronę sufitu.

– O co chodzi? – wybełkotała.

– Florence mówi, że w jej sypialni jest pies – odparł Larry. Dotarł do końca schodów i stanął na progu mojego pokoju. – Gdzie on jest?

– Mówiłam ci, że uciekł. Był tam, leżał na moim łóżku, kiedy weszłam.

Larry podszedł bliżej łóżka.

– Nie widzę śladu po psie – powiedział. Żadnej psiej sierści, żadnego błota. – Popatrzył mi przez ramię. – Cass, wiesz coś o jakimś psie?

– Nie mamy psa, tato – odpowiedziała, szerzej otwierając oczy.

– Zadowolona? – zwrócił się Larry do mnie.

– Ani trochę. Nie pozwolę, żeby twoje dzieci wchodziły do mojej sypialni i robiły głupie psikusy. Co z tego, że to twój dom. Mam prawo do prywatności i bezpieczeństwa. – Położyłam rękę na klamce. – Jeszcze dziś chcę dostać klucz do tych drzwi.

– To nasz dom. My nie zamykamy drzwi na klucz. – Odwróciłam się i zobaczyłam, że Sally po cichu weszła na schody, kiedy się kłóciliśmy. Zawsze lubiłam Sally. Była dla mnie miła. Teraz, kiedy stała na najwyższym stopniu, zauważyłam, jak podobna jest do Cassie. Te same owalne twarze i jasnoszare oczy.

– Słyszałaś, co powiedziała moja żona. – Larry oparł się o framugę. – Jak ci się tu nie podoba, znajdź sobie inne miejsce.

Sally nie wyraziła sprzeciwu. Kiedy spojrzałam na Cassie, zobaczyłam ten sam ironiczny uśmiezek, który często widywałam na ustach Luny.

Dotarło do mnie, że chcą się mnie pozbyć. Zrobiły to celowo.

Śmieszny pomysł. Pies to był głupi dowcipas nastolatek, i tylko tyle. Głupio było podejrzewać Larry'ego i Sally, że brali w tym udział, ale kiedy tak stałam wobec ich rozgniewanych min, nie widziałam w tym niczego śmiesznego.

– Wyprowadzam się w następną sobotę – powiedziałam. – Chyba że zwróćcie mi czynsz. Wtedy wyprowadzę się natychmiast. – Kiedy to mówiłam, jednocześnie myślałam: Co ja robię? Jak znajdę inny pokój w ciągu tygodnia?

– Proszę bardzo – powiedział Larry. – A w ogóle to jesteś nadętą krową.

Wszyscy odeszli. Nie zaproponowali mi zwrotu czynszu. Miałam tydzień.

36

Larry Glassbrook nie był wtedy moim ulubieńcem, ale posłuchałam jego słów i po godzinie szperania w archiwum policyjnym, znalazłam starą teczkę na temat masonów w West Lancashire. Miałam tylko bardzo blade pojęcie, kim w ogóle są ci wolnomularze. „Błazny, które nie lubią kobiet”, powiedziała o nich kiedyś moja babka. „Są bardzo aktywni w dziedzinie dobroczynności”, odparł tato. Jedyne, co wiedziałam, to że są jakąś siecią klubów dla mężczyzn obejmującą cały kraj.

Teczka niewiele mi dała. Parę zgłoszeń wandalizmu i włamania do łoży w zachodniej części miasta, wycinek z gazety przedstawiający, jak inspektor z czasów przed Rushtonem uczestniczy w eleganckiej kolacji, podczas której niektórzy z mężczyzn nosili białe rękawiczki i szerokie, ceremonialne szarfy.

Była tam też mapa pokazująca lokalizację wszystkich łoż masońskich we Wschodnim Lancashire. Zaskoczyła mnie sama ich liczba, a jeszcze bardziej ich rozmieszczenie. Na obszarze północnym, otaczającym las Pendle, Wzgórze i miasta Burnley i Blackburn, było dwanaście łoż. Na południu i wschodzie, obszarach geograficznie równie wielkich, pięć i cztery.

Kimkolwiek byli ci wolnomularze, w tej części Lancashire aż się od nich roiło.

Kiedy wróciłam do pokoju wydziału kryminalnego, zobaczyłam, że Sharples siedzi przy moim biurku i przygląda się wykresom, które sporządziłam w sprawie zaginionych dzieci. Poza nim w pokoju był tylko Brown.

– Muszę dołączyć do tego jeszcze parę rzeczy – powiedziałam. – Wczoraj wieczorem opracowywałam w domu duplikat.

Sharples z roztargnieniem kiwnął głową, a Brown podszedł do mojego biurka.

– Sir – zaczęłam – trzech ludzi powiedziało mi albo wyraźnie dało do zrozumienia, że ktoś bezcześcił cmentarze na terenie miasta, ale nie prowadzono śledztw w tych sprawach, bo... – nie skończyłam.

– Bo co? – ponaglił mnie Sharples.

– Bo są ważni ludzie, którzy wiedzą, że zdarzają się takie dziwaczne sprawy, i

patrzą na nie przez palce. Może właśnie oni to robią. A co do Larry'ego – tak, wiem, że jest w kręgu podejrzanych, ale mimo to – właśnie Larry powiedział mi, że powinnam przyjrzeć się wolnomularzom.

Sharples i Brown wymienili spojrzenia.

– I przyjrzałam się. A przynajmniej próbowałam. Niczego nie ma. Poza tym, że w okolicy jest ich bardzo wielu.

Obaj patrzyli na mnie bez słowa.

Są wolnomularzami, pomyślałam. Ci dwaj to wolnomularze.

Brown wyciągnął rękę, aż drgnęłam, ale trzymał w niej tylko jednofuntowy banknot.

– Kup bilet – powiedział.

– Daphne Reece spotyka się z przyjaciółkami w łaźni tureckiej. Najczęściej w sobotnie popołudnia – rzekł Sharples. – Idź tam. Sprawdź, czego można się dowiedzieć.

– Chce pan, żebym przesłuchała Daphne Reece w tureckiej łaźni? – Nadal wirowało mi w głowie, czego się dowiedziałam o tych dwóch, a raczej o co ich podejrzewałam. Czy byłam śmieszna?

– Nie, Lovelady, nie przesłuchanie – powiedział Sharples. – Nie bądź naiwna. Po prostu pogawędz. Wiesz, dziewczyna z dziewczynami. Nie jestem przekonany, że wszystko nam powiedziała, a ta jej przemądrzała adwokatka też mi się nie podobała. Może tobie lepiej się powie. Spodobałaś się jej.

– Łaźnie tureckie?

– To nic takiego. Siedzisz z gołym tyłkiem i jest ci gorąco. Chodzę tam w prawie każdą środę wieczorem. Soboty są dla kobiet – wyjaśnił Brown.

– Chce pan, żebym się dowiedziała, czy te przyjaciółki, z którymi się spotyka, należą do tajemniczego sabatu?

– Lovelady, przecież głupia nie jesteś – rzekł Sharples. – Jeśli ci to nie odpowiada, zapomnij. W celi numer trzy są wymiociny, które trzeba posprzątać.

Łaźnie publiczne w Sabden były wielkim budynkiem z szerokimi kamiennymi stopniami i kolumnami w rzymskim stylu. Znajdowały się na zachodnim skraju miasta. Ubrojona w bilet poszłam w stronę tablicy z napisem „Łaźnie tureckie, sauna, łaźnia parowa”. Byłam trochę zdenerwowana. Jeszcze nie byłam w tej części

budynku. Drzwi na końcu korytarza otwierały się na wielkie pomieszczenie pachnące damskimi kosmetykami. Stało w nim mnóstwo szezlongów.

Tylko trzy były zajęte. Nie rozpoznawałam żadnej z tych kobiet. Jedna z nich malowała paznokcie u stóp jaskrawą czerwienią, druga kręciła sobie włosy, a trzecia drzemała. Po prostu kobiety czy więdźmy?

Zostałam łowczynią czarownic. Gdyby nie to, co stało się rano, pewnie bym się roześmiała.

W saunie było pusto, podobnie pod prysznicami. Pachnące powietrze w łaźni parowej uderzyło mnie, ledwie weszłam, kurczowo trzymając ręcznik, który wydawał się za mały. Praktycznie niczego nie widziałam. Nawet ręka przed twarzą była zamazanym napomknięciem kształtu w gorącej mgle. Opadłam na najbliższą ławę.

– I rozluźnij się – powiedział głos wychodzący z pary, głos melodyjny i głęboki.

– Wdech, wydech.

Dźwięk ślizgania się i nerwowe sapnięcie.

– Co? – Czyjś głos.

– Ta kobieta jest wyraźnie zestresowana. Próbuję jej pomóc.

– Nie rozumiem, dlaczego myślisz, że wszyscy chcą twojej pomocy – powiedział inny głos. Daphne, znalazłam ją.

– Do mnie mówisz? – Ledwie widziałam dwie postacie na ławie naprzeciwko, jakiś metr ode mnie. Wyczuwałam jednak, że w łaźni jest nas więcej niż trzy.

– Pokrop trochę bardziej mentolem Em, dobrze? – powiedziała Daphne.

Ktoś się poruszył na najwyższej ławie, rozległo się syczenie i w powietrzu rozszedł się ostry, kłujący mentol, który szczypał mnie w nos i zmusił do zamknięcia oczu. Próbowałam głęboko oddychać, rozluźnić się w gorącej parze, aż po kilku sekundach ogarnął mnie dziwny letarg. Oparłam się o ciepłą, wilgotną ścianę, poczułam, że oczy same mi się zamykają.

– Tak, mówiłam do ciebie – odezwał się znów pierwszy głos. Nie było w nim żadnego akcentu, północnego, południowego ani spomiędzy północy i południa, który byłabym w stanie rozpoznać. – Kiedy weszłaś, wyraźnie było widać, że jesteś zdenerwowana.

– Przepraszam – powiedziałam. – Miałam trudny dzień.

– Mam nadzieję, że to nie problemy w pracy – powiedziała Daphne. – Chcemy,

żeby mężczyźni i kobiety w niebieskich mundurach byli w szczytowej kondycji w tych ciężkich czasach.

Zastanawiałam się, czy można się tutaj położyć. Pomyślałam, że chyba nie. Nadal wydawało mi się, że w pomieszczeniu jest kilka kobiet i niektórych jeszcze nie słyszałam. Otworzyłam oczy i próbowałam przebić wzrokiem kłęby pary, ale para zgęstniała.

– W pracy idzie świetnie – odparłam. – Dziękuję. – Przez chwilę zastanawiałam się, czy mam udawać, że jej nie znam, ale pomyślałam, że się zorientuje. – Dzień dobry, pani Reece – powiedziałam. – Skąd pani wiedziała, że to ja?

– Rzuciły mi się w oczy pani włosy, kiedy pani weszła – odparła Daphne. – I ma pani bardzo charakterystyczny głos. Właśnie odkryłam, że ja też.

– Od lat ci to mówię – odezwał się pierwszy głos.

– To Avril Cunningham – powiedziała Daphne. – Kochana, to nasza czarująca posterunkowa Lovelady, o której ci opowiadałam.

Avril Cunningham była adwokatką Daphne. Nie spotkałyśmy się. Tylko obserwowałam ją zza lustro.

– Florence – poprawiłam ją.

– Oczywiście. Konwenanse są trochę wymuszone, kiedy jest się nagą – powiedziała Avril. – Więc co cię gnębi, kochana Florence?

Wyczułam okazję i opowiedziałam im o pensjonacie i irytującej nastolatce, Cassie. Kiedy wspomniałam o psie, z tyłu łaźni doszły mnie syczenie i pomruki. Czuło się w tym tłumioną ekscytację.

„Jesteś pewna, że to był prawdziwy pies, a nie zła wróżka?”

Skończyłam na tym, że za tydzień będę bezdomna.

– Hm, to żaden problem – powiedziała Avril. – W mieście na pewno jest wiele domów, w których bardziej niż z zadowoleniem wynajmą pokój uprzejmej, młodej policjantce.

Para znów zgęstniała, a zapach eukaliptusa zrobił się mocniejszy. Zdumiało mnie, jak łatwo można tu zasnąć. I jak niebezpiecznie. Było naprawdę bardzo gorąco. Przyszło mi do głowy, że dowcipnisie w pracy mogliby dodać do tego ich kolorowego wykresu „Pocić się jak świnia w łaźni parowej”.

– Czy możemy mieć nadzieję na jakieś pozytywne informacje na temat dochodzenia w sprawie morderstwa? – zapytała Avril.

Właściwą odpowiedzią byłoby, oczywiście, że prowadzimy śledztwo w kilku różnych kierunkach i że komendant, lub jeden z jego zastępców, w odpowiednim czasie wyda oświadczenie. Ale wysłano mnie tutaj, żebym zyskała ich zaufanie.

– Nie – odparłam. – Nie wiemy, co robić. – Chyba udało mi się nawet powiedzieć to drżącym głosem.

– O kurczę, to niepokojące – powiedziała Avril. – Robiliśmy wszystko, na co było nas stać – dodała. – Ale kiedy mamy do czynienia z problemem takich rozmiarów...

„Robiliśmy wszystko, na co było nas stać”?

Postanowiłam pójść za ciosem.

– Mam nadzieję, że nie będziecie miały nic przeciwko mojemu pytaniu. Czy jesteście członkiniami sabatu Daphne?

– Oczywiście – odparła Avril. – Chociaż nie nazwałabym tego „sabatem Daphne”. Oj, przestań.

Przepychanka, jakieś gmeranie w kłębach pary. Avril Cunningham, adwokatka. Musiałam to zapamiętać.

– Czy przypadkiem nie spotykacie się na Pendle Hill? Gdzieś w połowie drogi na południowym zboczu, na polanie, na której kiedyś stał jakiś budynek?

– Och, mądra z ciebie dziewczyna! – powiedziała Daphne.

– Jak to rozpracowałaś? – zapytała Avril. – Jestem pewna, że żadna z nas ci tego nie powiedziała.

– Nie ja – odezwał się trzeci głos, z tyłu pomieszczenia. To tajemnicza Em, która skropiła parę mentolem, ale prawie się nie odzywała. A więc dowiedziałam się, kim są dwie z czarownic. Kurczę, dobra byłam w tym detektywistycznym cyrku.

– Dwa tygodnie temu zobaczyłam tam światła – ciągnęłam. – O północy. I coś, co wyglądało na ognisko. Dzisiaj tam weszłam i znalazłam ogarek świecy.

– Tak się kończy przyjaźń z detektywem – powiedziała Daphne. – Wykryje wszystkie tajemnice, które człowiek chce zachować.

– Po co się tam spotykacie? – zapytałam. – Nieźle się trzeba wspinać, a w ciemności pewnie tam jest niebezpiecznie? Dlaczego na dworze? A w końcu, co tam robicie?

– Mnóstwo pytań – powiedziała Avril. – Jeszcze nie nauczyli cię techniki przesłuchiwania?

To miał być żart – poznałam po tonie – ale trafił w dziesiątkę.

– Nie, nie jestem prawdziwym detektywem, tylko zwyczajną posterunkową – odparłam. – Dołączyli mnie do zespołu, ale chyba na krótko.

– Bzdura, jesteś po prostu genialna – powiedziała Daphne. – I masz rację, tam trzeba się sporo wspinać. Nie spotykamy się tam za każdym razem, tylko wtedy, kiedy mamy do zrobienia coś ważnego. To bardzo pomysłne miejsce. Prawie na pewno tam znajdowała się Malkin Tower. Oczywiście wiesz, co to było?

Wiedziałam.

– Dom starej matki Demdike i jej rodziny – odparłam. Mówiłam o jednej z najbardziej osławionych wież z Lancashire. – Ale podobno nikt nie wie, gdzie była ta wieża.

– Nikt nie wie, gdzie dokładnie była – rzekła Avril. – Ale te z nas, które studiują dzieje czarownictwa, dysponują krótką listą prawdopodobnych miejsc i dla większości to miejsce wyróżnia się. Malkin Tower prawie na pewno pierwotnie została zbudowana w celach obronnych i stamtąd wszystko doskonale widać. Kiedy wieża nie nadawała się już do odbudowy, ktoś mógł chcieć zamieszkać w połowie stoku, jeśli nie najbiedniejsze z rodzin?

– A w niektóre noce z tego miejsca bardzo wyraźnie widzimy księżyc.

– Jesteśmy sabatem księżyca – powiedziała Avril. – Oczywiście, możemy pracować także w inne dni i spotykałyśmy się już w południe, o wschodzie słońca, przed świtem, ale największe sukcesy odnosimy, kiedy współpracujemy z księżycem.

– Ciągłe mówisz „praca” – powiedziałam. – O jakiej pracy mówisz?

– O magii oczywiście – odezwał się głos Em i jakoś tak wydobył się z kłębow pary, że wytrącił mnie z równowagi.

Próbowałam sobie przypomnieć, co Daphne mówiła mi o czarownictwie w bibliotece i co przeczytałam przez ostatnie dwa tygodnie.

– A tę magię, tę pracę wykonują... Przepraszam, nie mogę...

– Używamy rytuałów i symboli, żeby osiągnąć skupienie, ale kluczowe jest wytworzenie energii – powiedziała Avril. – Robimy to, tańcząc, skandując i bijąc w bębny. – Nie, to Daphne mówiła. Przez chwilę jej głos był taki podobny do głosu Avril. Zastanawiałam się, czy nie zamieniły się miejscami w obłokach pary. Właściwie, to zaczynałam być trochę zdezorientowana.

– Niektóre sabaty używają seksu do tworzenia energii, ale nie my. Czy tamtej nocy słyszałaś bębny?

Słyszałam. Przeszły mnie ciarki.

– Bardzo wyraźnie. Chyba wiatr wiał w moją stronę.

– W chwili rzucania czaru uwalnia się energia – powiedziała któraś z nich. Zupełnie nie orientowałam się która. – Wizualizujemy jej kierunek tam, gdzie jest potrzebna.

– I to działa? – zapytałam.

– Oczywiście. Znalazłaś to biedne dziecko tamtej nocy, prawda? – powiedziała Avril. Chyba Avril. – Chociaż nie mogłyśmy wiedzieć, że energia popłynie w twoją stronę, Florence, kiedy ją nakierowałyśmy.

To chyba przez to gorąco. W głowie zaczęło mi się mącić.

– Czy sądzicie, że bliskość wpłynęła na to? – zapytała Daphne. Z niskiego tonu wywnioskowałam, że teraz zwracała się do tamtych dwóch, nie do mnie. – Fakt, że Florence była tuż pod Wzgórzem i między nami nie było żadnej fizycznej przeszkody?

– Interesujące pytanie – powiedziała Avril. – Nie powinna, ale wcześniej nie zdarzył nam się aż tak wspaniały sukces.

– Na pewno nie zadziałało to tak szybko – odezwała się Daphne.

– Może Florence jest kanałem – powiedziała Em.

Miałam wrażenie, że kilka kobiet zbliża się do mnie. A przecież było ich tylko trzy. Nikogo więcej nie słyszałam.

– Myślicie, że magia, którą praktykowałyście na Wzgórzach, była powodem, dla którego znalazłam Patsy?

– Oczywiście – odpowiedziały jednym głosem.

– Więc dlaczego nie znalazłyście Stephena Shorrocka i Susan Duxbury? – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to krytykancko, ale pomysł, że działałam pod kontrolą tych kobiet, był śmieszny.

– Jasne, że próbowałyśmy – stwierdziła Avril. – Odkąd zaginęło pierwsze dziecko, cała nasza praca zmierzała do wyśledzenia ich.

– Oj! Oj! Mam genialny pomysł – zawołała Daphne.

– Zasady rachunku prawdopodobieństwa – odezwała się Avril. – Czasem to musi się zdarzyć.

– Muszę stąd wyjść – stwierdziła Em. – Cała płonę.

Wyczułam, nie zobaczyłam, poruszenie w łaźni, potem poczułam, że ktoś się do mnie przyciska. Podwinęłam nogi, a ciemny kształt zszedł z wyższej ławki i poszedł w stronę drzwi. Kiedy Em przechodziła obok mnie, poczułam zapach leśnych, ziemistych perfum, które pamiętałam z uniwersytetu. Paczuli. I zobaczyłam, że to kobieta z Indii Wschodnich. Więc nie Em, co jest zdrobnieniem od Emma albo Emily, ale litera M., skrót od Marlene.

Dowiedziałam się jeszcze czegoś. Teraz wiedziałam, kto zadzwonił do komisariatu, gdy wieczorem nieomal wybuchły zamieszki pod przędzalnią, i powiedział, że trzeba spalić ciało Patsy.

37

Nie mogę tego zrobić – powiedziałam. – To byłoby całkowicie niezgodne z etyką... Dziękuję. To wygląda cudownie... Przy okazji, znalazłyście Patsy bez żadnej z jej rzeczy. Nie mogłybyście zrobić tego jeszcze raz?

Parę godzin później byłam w domu Daphne i Avril. Mieszkały po przeciwnej stronie miasta niż Glassbrookowie, ale w domu o podobnych rozmiarach i wieku. Zbudowano go z kamienia, miał wysokie sufity, ozdobne tynki i wielkie okna wykuszowe ze starego, pofałdowanego szkła. Meble sfatygowane, ale wygodne. Wszędzie były książki. Leżały w wysokich stosach na półkach, chwiały się na każdym stoliku, a nawet wyrastały jak dziwne kolumny z podłogi z twardego drewna.

Jedna z kobiet była malarką. Na każdej ścianie wisały olejne krajobrazy, a w całym domu czuć było terpentynę.

Avril, z którą spotkałam się formalnie pod prysznicami (i zapisałam sobie w pamięci, żeby nie pozwalać więcej na przedstawianie się komuś, kiedy jestem naga), miała około czterdziestki i była trochę młodsza od Daphne. Nosła tiarę ciemnych włosów do ramion, której nawet para nie była w stanie przylepić do głowy. Twarz miała wychudłą, wielkie brązowe oczy i tak zapadnięte policzki, że widać było pod nimi kości. Kiedy się ubrała, nosła płaskie czółenka, obcisłe spodnie do połowy łydki, przylegający do ciała ciemny sweter i czarny beret.

Podobała mi się. Obie mi się podobały, ale to, o co mnie prosiły, stawiało mnie w trudnej sytuacji.

– Gdybyśmy miały coś, co należało do Stephena albo Susan, mogłybyśmy bardziej się skupić na ich odnalezieniu – powiedziała Daphne.

Jeszcze kiedy byłyśmy w łaźni parowej, zaprosiły mnie na kolację. Aha, i zaprosiły mnie, żebym z nimi zamieszkała. Na dwa tygodnie, może na miesiąc, póki nie znajdę sobie czegoś innego. Pospiesznie wróciłam do komisariatu i przedstawiłam sprawę Sharplesowi, który dał mi zielone światło, żebym zbliżyła

się, jak tylko się da, do Daphne i jej przyjaciółek. Wychodząc z pokoju, nie mogłam nie usłyszeć chichotów.

Ale moja teoria, że to Marlene Labaddee, jedna z wiedźm, dzwoniła anonimowo do komisariatu, wieczorem po nocy, kiedy znaleźliśmy zwłoki Patsy, nie zrobiła wrażenia na komisarzu. „Lovelady, w mieście są dziesiątki kobiet z Indii Wschodnich”, powiedział. „Wszystkie mają ten sam akcent”.

Avril naląła sobie wina do kieliszka, potem zrobiła to Daphne. Odmówiłam ich propozycjom, żeby się napić.

– Kiedy korzystacie z psów policyjnych musicie się spieszyć, prawda? – zapytała. – Tylko przez krótki czas psy mogą podjąć trop?

– Zazwyczaj przez pół godziny – powiedziałam. – Potem jest trudniej.

– Hm, tak samo jest z nami – zauważyła Avril. – Znalazłyśmy Patsy, bo ślad był świeży. Susan i Stephen zaginęli wcześniej, więc potrzebna nam jest dodatkowa pomoc.

To ja miałam wyciągać z nich informacje, a nie one ze mnie.

– Więc wasza magia przyniosła wam też inne sukcesy? – zapytałam. – Mam nadzieję, że to nie jest nieuprzejmość z mojej strony. Jeszcze nie spotykałam się z wiedźmami.

Obie popatrzyły na mnie i uśmiechnęły się.

– To jest takie fascynujące – powiedziałam. Miałam wrażenie, że mnie przejrzały na wylot.

– Gdybyś nam powiedziała, kiedy ma miejsce jakieś konkretne poszukiwanie, mogłybyśmy tak ustawić nasze spotkanie, żeby z tym współgrało – stwierdziła Avril.

– Tak, dodałoby wam mocy – powiedziała Daphne. – Nakierowałoby was na właściwy kierunek. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Stephen i Susan leżą na cmentarzach, tak jak leżała Patsy? Ile jest cmentarzy w mieście – sześć? – Daphne popatrzyła na Avril. – Kochana, możemy na każdym z nich przeprowadzić rytuał namierzania.

– Mamy powód, żeby unikać cmentarzy – powiedziała Avril.

– Uzdrowiłyście kogoś? – Próbowałam przypomnieć sobie to, co przeczytałam o wiedźmach z Pendle. – Albo uratowałyście zbiór zaatakowany przez...

Uprzejmie czekały.

– Śniedź? – Zastanawiałam się, czy mogę skończyć, skoro już zaczęłam. Daphne głosem, jakim rozmawia się z małym dzieckiem, powiedziała:

– Są trzy dyscypliny czarownictwa: uzdrawianie, wróżenie i magia. Chciałam ci to wyjaśnić w bibliotece, ale przeszkodzono nam. Przekonasz się, że wszystkie wiedźmy w naturalny sposób wybierają jedną z tych specjalizacji. Em, którą spotkałaś w łaźni, jest jedną z naszych uzdrowicielek. Oczywiście, chętnie przyjęłybyśmy Sally – jakież byłby z nas silny zespół – ale ona odmawia przystąpienia do sabatu. Niektóre wiedźmy wolą pracować indywidualnie.

Czekałam na właściwy moment, żeby zapytać więcej o Marlene, ale ta sprawa całkowicie mnie zaskoczyła.

– Sally? Czy chodzi wam o Sally Glassbrook?

Sally była wiedźmą? Trochę dziwna, no pewnie, i wiedziała mnóstwo o ziołach i roślinach, ale wiedźma?

– Sally jest bardzo utalentowaną wiedźmą uzdrowicielką – rzekła Daphne. – Położne często nimi są. Avril zawsze pociągało wróżenie. Magia to moja specjalność.

– Niestety nie da się udzielić spójnej odpowiedzi – stwierdziła Avril. – Florence, z samej swojej natury nasza praca musi być wykonana indywidualnie. Em potrzebuje spokoju i skupienia, żeby zgłębiać jakość roślin i tworzyć związki o najmocniejszym działaniu. Potrzebuję tego samego, kiedy odczytuję tarota albo runy, albo wróżę z kryształów. Kiedy spotykamy się, jako sabat, robimy to, żeby wzajemnie czerpać z siebie duchową siłę i uprawiać magię.

– Pozwólcie, że zapytam, co chcecie osiągnąć? Oczywiście poza znalezieniem zaginionych dzieci.

– Cóż, kiedy się spotykamy, po powitaniach i rytuałach otwierających pytamy, czy jest jakaś praca, którą trzeba wykonać. Ktoś może powiedzieć, że przyjaciel albo krewny zachorował, i wtedy pracujemy po to, żeby temu komuś poprawiło się. Ktoś może stać przed podjęciem szczególnie ciężkiej decyzji i trzeba go poprowadzić we właściwą stronę. Komuś innemu potrzebny jest łut szczęścia.

Zamyśliłam się na sekundę.

– A wygrana na loterii?

– Magia rzadko działa na rzecz osobistego zysku. – W głosie Avril pojawiła się nutka dezaprobaty. – Nie pracujemy też, żeby osiągnąć coś negatywnego, coś, co

spowodowałyby krzywdę.

– I każda z grupy ma inne umiejętności? – zapytałam. – Czy więcej jest uzdrowicielek niż... tych od magii? – Chciałam uzyskać więcej nazwisk, ale po ich uprzejmych uśmiechach rozpoznałam, że wiedzą, o co mi chodzi.

– Najsilniejsze sabaty są najbardziej zrównoważone. – Avril wstała. – Napijmy się kawy na dworze.

– Florence. – Avril postawiła dzbanek z kawą na stole. – Jesteś pewna, że nie możemy ci pomóc? Nie chcę być nieuprzejma, ale twoi koledzy z policji nie zaszli za daleko.

– To oczywiste, że mamy do czynienia z czarną magią – powiedziała Daphne. – A przynajmniej z próbą. Gliniana figurka, dzieci znikające podczas nowiu. Jestem pewna, że ty też tak uważasz – widać, że temat cię fascynuje.

– Przepraszam, że jak? Co chciałaś powiedzieć przez to, że znikają podczas nowiu?

Kobiety popatrzyły po sobie.

– Myślałyśmy, że wiesz – powiedziała Avril.

– Nie mów, że nie wiedziałaś – dodała Daphne. – To oczywiste.

– Dla mnie nie. Nikt nie wspominał o nowiu. Jesteście pewne? I co to w ogóle znaczy?

– Naprawdę musisz popracować nad techniką przesłuchań. – Avril wstała. – Gdzie jest kalendarz?

– Troje nastolatków zniknęło bardzo blisko nowiu – odezwała się do mnie Daphne, kiedy Avril zniknęła w drzwiach. – Ktoś mógłby się upierać, że to z przyczyn czysto praktycznych, kiedy na niebie nie ma księżyca, noc jest znacznie ciemniejsza. Nie widać występów.

Podniosłam wzrok na turkusowe niebo. Nie zobaczyłam księżyca.

– Wziedzie o dziewiątej trzydzieści pięć – powiedziała Daphne. – Za dzień będzie pełnia.

– Skąd wiesz?

– Jestem naczelną wiedźmą sabatu księżycowego – odparła. – Zawsze wiem, co księżyc ma zamiar zrobić.

– Ma kalendarz. – Avril wróciła i szła do nas przez patio. – I nie jesteś naczelną

wiedźmą. Stanowimy zgromadzenie równych. Proszę, Florence. Kalendarz księżycowy.

Kalendarz był barwny, z okładką pokrytą ilustracjami przedstawiającymi zwierzęta i rośliny. Wzięłam go i zaczęłam kartkować. Księżyc w nowiu w marcu był osiemnastego dnia miesiąca. Susan zaginęła siedemnastego. W kwietniu nów przypadał na szesnastego, w dzień zniknięcia Stephena. Patsy zaginęła w niedzielę, piętnastego czerwca. Wtedy też był nów.

– Dlaczego to takie istotne? – Podniosłam wzrok, obie mi się przyglądały. – Wiem, że tak uważacie.

Przez chwilę nic nie mówiły – przynajmniej na głos – ale ich oczy szybko się poruszały, jakby były skoordynowane w milczącej rozmowie, do której nie byłam w stanie się przyłączyć.

Wreszcie odezwała się Avril.

– Wiedźmy uważają, że ich praca ma większe szanse na sukces, kiedy księżyc przyrasta.

– Gdybyśmy miały uprawiać czarną magię – powiedziała Daphne – czego, tak na marginesie, nigdy nie robiłyśmy – to tylko podczas nowiu.

– Uważasz, że dzieci porwano ze względu na jakiś rodzaj czarnej magii? – zapytałam.

– Znaleźliście glinianą figurkę przekłutą trzynastoma cierniami – powiedziała Avril. – Potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów?

– Oryginalna lalka z Luwru służyła zakłębom miłosnym – odparłam. – Chociaż kiedy przeczytałam zakłęcie, pomyślałam, że chodzi raczej o niewolnictwo. Z martwego niewolnika nikt nie miałby użytku.

Daphne zabłyszczały oczy.

– O czym pomyślałaś? – zapytałam.

– Nic takiego, kochana, po drinku, dwóch, daleko mi do mojej najlepszej formy.

– Albo po trzech – dodała Avril.

– Jeśli ktoś uprawia czarną magię, to kto? – zapytałam. – Czy w Sabden jest jeszcze jeden sabat?

Nie odezwały się.

– Jest? – powtórzyłam.

Avril wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Daphne.

– Jeśli jest, to nic o nim nie wiemy. Kurczę, czy wam też zrobiło się zimno?

Wkrótce po wpół do dziesiątej wyszłam z domu Daphne i Avril, obiecując, że pomyślę o zamieszkaniu w ich wolnym pokoju. Zanim wyszłam, Daphne wzięła mnie za rękę i przytrzymała je, żeby im się przypatrzeć.

– Masz śliczne ręce, moja droga – powiedziała. – I w ogóle jesteś piękną, młodą kobietą. Ale powinnaś trochę bardziej o siebie zadbać. Żdziebko szminki, może jakiś lakier na paznokcie. – Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła buteleczkę. – Proszę. – Mówiła dalej, mimo że Avril kręciła głową. – Flakonik z lakierem owoc dzikiej róży. Jeśli jest mężczyzna, którego chcesz przyciągnąć, takie drobnostki są ważne.

– Księżę Charles jest chyba wolny – powiedziała Avril.

– Nie chcę nikogo przyciągać – odparłam. – Skupiam się teraz na swojej pracy. – I wtedy naszła mnie wizja Toma Devine’a, jak wala się pijany na fotelu pasażera w swoim samochodzie. – Naprawdę, nie. Ale to bardzo uprzejme z twojej strony. Dziękuję.

Kiedy dotarłam do domu, była prawie za kwadrans dziesiąta, a księżyc faktycznie pojawił się nad horyzontem. Był piękny, bladozłoty, prawie w pełni.

Powoli obróciłam klucz, chciałam zachować ciszę. Naprawdę nie chciałam kolejnej sprzeczki jednego dnia. Jak się okazało, marnowałam czas. W chwili, gdy otworzyłam drzwi, z kuchni wyszła Sally. Tuż za nią szedł Larry.

– Flossie, dzięki Bogu – powiedziała i podbiegła do mnie. – Luna zaginęła.

38

Byliśmy w kuchni Glassbrooków. Sally, Larry i Cassie, John Donnelly, którego obecności jeszcze nie rozumiałam, i ja. Kazałam im usiąść przy stole głównie dlatego, żeby przestali biegać po domu i wrzeszczeć mi, wszyscy na raz, prosto w twarz.

Nie zadzwonili na policję. Już mieli to zrobić, kiedy otworzyłam drzwi.

– W porządku, opowiedz – zwróciłam się do Johna. – Ale szybko i jasno.

– Pokłóciliśmy się – odparł, a z miny pozostałych wyczytałam, że już to słyszeli.

– O co? – zapytałam.

– Czy to ważne? – Sally była bledsza niż zazwyczaj i widziałam, że z trudem potrafi usiedzieć.

– Tak – odparłam. – O co?

– O nic. To było głupie. Ale ona wyszła. – John zwrócił się do Sally. – Nie powinienem jej pozwolić. Naprawdę mi przykro.

– Skup się – warknęłam. – O której to było i gdzie?

Lekko pokręcił głową, jakby chciał ją oczyścić.

– Pół godziny temu – powiedział.

Teraz była dziewiąta czterdzieści siedem.

– Na końcu Wraith Road – mówił dalej. – Sam odszedłem po dziesięciu minutach. Pomyślałem, żeby mieć ją na oku, ale nie potrafiłem dotrzymać jej kroku. – Głęboko nabrał powietrza, jakby przebiegł sprintem jakąś odległość. Powstrzymywał panikę. Nawet ręce Cassie drżały.

– O której John tutaj przyszedł? – zapytałam.

Larry'ego opuściła jego zwyczajna zarozumiałość. Nawet natłuszczone włosy mu opadły i leżały bezwładnie na czole.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Kiedy wróciłem, zobaczyłem go w ogrodzie. Patrzył w okno Luny.

– Często to robi – dodała Cassie.

– Rzucałem kamykami – powiedział John. – Małymi, za małymi, żeby coś rozbić. Chciałem tylko, żeby usłyszała, żeby się upewnić, że z nią wszystko w porządku.

– To chyba było wpół do dziesiątej – odezwała się Sally. – Oglądałam *Mission Impossible*, właśnie szły reklamy.

– Gdzie byłeś? – zapytałam Larry’ego, kiedy Sally zakwiliła z rozpaczy.

– W pubie – odparł Larry.

Nie rozwijałam tego. Później się sprawdzi.

– Sprawdziliście potem jej pokój? – zapytałam, kierując pytanie do wszystkich. – Kiedy pojawił się John?

– Ja sprawdziłam – powiedziała Cassie. – Poszłam, żeby powiedzieć, że jej chłopak znowu jest na dworze, ale jej tam nie było.

– Czy był jakiś ślad, że wróciła? Płaszcz? Zmięte łóżko?

Cassie pokręciła głową.

Podeszłam do drzwi.

– W porządku. Zadzwoń na policję. Zostańcie tutaj i pomyślcie, dokąd mogła pójść, kiedy rozstała się z Johnem. Do przyjaciół, sąsiadów, swoich kryjówek. Cassie, weź pióro i spisz listę.

Z telefonu w korytarzu zadzwoniłam do komisariatu. Szacowałam, że za kwadrans, pół godziny pojawi się policja.

– Potrzebuję zezwolenia na przeszukanie domu – powiedziałam, kiedy wróciłam do kuchni. – Sally, proszę, pójdz ze mną. Larry, weź latarkę i upewnij się, że Lunny nie ma w twoim warsztacie ani w szopie ogrodowej, czy w ogóle gdzieś w ogrodzie. Cassie i John, wy myślcie dalej. Chcę dostać tę listę, kiedy zejdziesz do was.

Zaczęłyśmy z Sally w sypialni Lunny. Łóżko było ładnie zasłane. Okno zamknięte, zasłony odsłonięte.

– Posprzątałam, kiedy wyszła – powiedziała Sally. – Jest beznadziejna, jeśli chodzi o składanie ubrań. Nie sądzę, żeby wróciła.

Nie mogłam się nie zgodzić: pokój wyglądał, jakby nikogo w nim wcześniej nie było.

– Nie słyszałaś, jak wchodzi? – zapytałam.

– Nie, ale telewizor był włączony, a my nie spodziewaliśmy się, że wróci przed dziesiątą – odparła Sally. – Obiecała, że będzie się trzymać z innymi.

Z pokoju Luny poszliśmy na górę. Sprawdziliśmy strych, pełen pudeł i miejsc, w których można było się schować, ale to przeszukanie mogłam spokojnie zostawić psom. Zajrzałyśmy do każdego pokoju na piętrze, włączając mój pokój, potem zrobiłyśmy to samo na parterze. Kiedy wróciłyśmy do kuchni, Larry już tam był.

– Nic. – Położył latarkę na stole.

Wtedy usłyszeliśmy samochód chrzęszczący kołami na żwirze i zobaczyliśmy niebieskie światło migoczące w ciemności.

– Powiedz, o co pokłóciliście się z Luną? – zapytałam godzinę później Johna Donnelly’ego, gdy siedzieliśmy w pokoju przesłuchań razem z Tomem i dyżurnym adwokatem.

– Już mówiłem, to nic takiego. – Przez ostatnią godzinę z pewnego siebie, cokolwiek aroganckiego chłopca, którego znałam, zrobiła się nerwowa, roztrzęsiona galareta. Skubał skórkę wokół paznokcia kciuka, aż pojawiła się krew. Ciągle wzdychał i kręcił się na krześle.

– Ludzie nie kłócą się o nic – powiedziałam. – Luna musiała uznać to za coś ważnego, skoro była gotowa pójść samotnie do domu. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, co się ostatnio wydarzyło.

Popatrzył obok mnie, w lustro weneckie.

– Kto za nim stoi? – zapytał.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia lustra.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Może nikt. Jesteśmy teraz bardzo zajęci.

Przejechał dłonią po włosach. Ten gest przypominał mi Larry’ego.

– A rodzice Luny? Mogą tam być?

Pokręciłam głową.

– Z całą pewnością nie. Pan Glassbrook jest z ekipą poszukiwawczą, a pani Glassbrook została w domu z Cassie. Zresztą nie pozwolilibyśmy, żeby inni świadkowie usłyszeli, co masz do powiedzenia.

– Wiesz co? – Tom wstał. – Sprawdź. – Zniknął, pojawił się po paru sekundach.

– Nikogo nie ma – powiedział. – Wszyscy, którzy mają służbę, wyszli z komisariatu i szukają Luny, tak jak powinni robić. Więc dlaczego nie odpowiesz po prostu posterunkowej Lovelady na jej pytanie. Potem zajmiemy się resztą.

John opuścił oczy na stolik, przy którym siedzieliśmy.

– Chciała uprawiać ze mną seks – powiedział.

Nie patrzyłam na Toma.

– I to był problem? – zapytałam.

John podniósł wzrok.

– Ona ma tylko piętnaście lat. Jej tato zabiłby mnie.

– Jestem pewny, że by to zrobił – powiedział Tom. – I jestem pewien, że dla większości piętnastolatków groźba ze strony złego taty nie byłaby przeszkodą, gdyby zaproponowano im seks.

John wściekle popatrzył na Toma.

– Ona ma tylko piętnaście lat. To jest niezgodne z prawem.

– Bardzo rozsądnie – powiedziałam.

– Od dłuższego czasu zawracała mi głowę. – John skupił się teraz na mnie. – Mówiłem, że powinniśmy poczekać, ale ona zaczęła wtedy, że mi się nie podoba. Oskarżyła mnie, że chcę ją zdradzić z Tammy. A potem chciała wiedzieć, czy uprawiałem seks z Patsy, bo... – przerwał.

– Bo wszyscy wiedzieli, że Patsy miała na ciebie oko – dokończyłam.

– Wcale tego z nią nie robiłem, przysięgam.

– A Susan Duxbury? – zapytał Tom. – Uprawiałeś z nią seks?

John podwinął z niesmakiem wargi.

– Ledwie ją znałem.

– Ta sama klasa. Jesteś przystojnym chłopakiem. Wiele dziewczyn musiało się tobą interesować. Nie powiesz chyba, że wszystkim odmawiałeś?

John znów spojrział obok mnie w lustro.

– Nadal tam nikogo nie ma?

– O ile wiem, nie – stwierdziłam. – Czego tak bardzo nie chcesz powiedzieć?

– Kto jeszcze dowie się o tym, co ci powiem?

– To zależy, jakie to będzie miało znaczenie dla śledztwa – odparłam. – Jeśli to jest coś o Lunie, naprawdę nie powinieneś zachowywać tego dla siebie.

Przejechał dłońmi po podbródku.

– Nie chodzi o Lunę, chodzi o mnie. Hm, może trochę o Lunę i inne dziewczyny. Chcę, żebyście wiedzieli, że między mną a nimi niczego nie było.

Czułam, że wiem, co John chce nam powiedzieć.

– Nie jestem pewien, czy tak bardzo interesują mnie dziewczyny – powiedział. –

Nie z tego powodu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Tom. – Że jesteś pedziem?

– Mnóstwo nastolatków nie jest pewne co do swojej seksualności. – Żałowałam, że nie mogę kopnąć Toma tak, żeby nie było tego widać. – Ze mną tak było bardzo długo. Nie ma się czym martwić.

Próbowałam się uśmiechnąć do Johna, ale wlepił wzrok w swoje kolana.

– Dziękuję, że nam to powiedziałaś – dodałam.

– Powiesz mojemu tacie? – wymamrotał.

– Nie – odparłam stanowczo. – Tom też nie powie.

Po czterdziestu minutach skończyliśmy przesłuchanie. John poszedł do swojej matki, która czekała w recepcji. Ja z Tomem wróciliśmy do wydziału kryminalnego.

– On nic nie wie, prawda? – zapytał Tom.

– Chyba nie wie. Ale dwoje jego przyjaciół zaginęło do tej pory. Czy miał już wcześniej jakieś problemy?

Doszliśmy do schodów.

– Nic szczególnego – powiedział Tom. – Jakiś rok temu dostał upomnienie, bo jeździł furgonetką taty po parkingu przy pubie i zadrapał inny wóz. Nie było szczególnych strat.

Kiedy przyszliliśmy, Rushton był w wydziale kryminalnym.

– W porządku – mówił. – Ludzie z psami mogą skończyć robotę. Nie ma śladów, które można by podjąć. Randy przejmuje dowodzenie nad poszukiwaniami terenowymi. Od dwóch lat mieszka w tej części miasta i dobrze ją zna. Ma piętnastu ludzi. Przyłączyło się paru sąsiadów. Szczerze mówiąc, to jest trochę na zasadzie prób i błędów, bo ktoś mógł ją wywieźć, dokąd chciał, w samochodzie, ale niech ludzie widzą, że to robimy. Gusty kieruje przepytaniem od drzwi do drzwi.

– Mamy policjantów na dworcu kolejowym i autobusowym – dodał Shraples. – Dzięki szybkiej akcji Florence są tam, odkąd minęło pół godziny od zaginięcia Luni. Na szczęście młoda Elanor wyróżnia się wyglądem.

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę zdjęcia na tablicy z informacjami. Głowa wydawała się trochę za duża w stosunku do chudego ciała. Wielkie oczy, długie

rude włosy, ostry podbródek i nadmiernie wyskubane brwi. Jutro to zdjęcie znajdzie się w świeżej partii plakatów.

Zapomniałam, że Luna naprawdę ma na imię Elanor, ale przypomniałam sobie, że Sally mówiła mi o tym, kiedy się do nich wprowadziłam. Powiedziała, że wymawia się to tak jak u Tolkiena. Nie tak jak u Jane Austen i nie tak... Nie zapamiętałam tej drugiej wersji. Wszystko było znacznie trudniejsze, kiedy zaginione dziecko było kimś, kogo znałam.

Otworzyły się drzwi i wszedł Brown.

– Co masz, Woodsmoke? – zapytał Rushton.

– Wyciągnąłem Roya Greenwooda z łóżka i zawiozłem go do domu pogrzebowego. – Brown wyciągnął z kieszeni papierosy. – Wszystko sprawdziliśmy. Trzech sztywnych w kaplicy cmentarnej, wszystko jak trzeba, ani śladu dziewczyny.

– Chcę, żeby w poniedziałek rano w każdym domu pogrzebowym na tym obszarze pojawił się policjant. I to od razu – powiedział Rushton. – Nie wolno zamknąć żadnej trumny, dopóki jej nie sprawdzimy. Chcę też, żeby przez okrągłą dobę pilnowano wszystkich cmentarzy w mieście. Tajniacy. Dyskretnie. Zacząć dziś wieczór. Nie ty, Florence. Ty idziesz do domu, żeby dobrze się wyspać. Rano musi być paru wypoczętych policjantów.

– Sir, ja bym bardzo chętnie...

Wycelował we mnie palec.

– Młode kobiety nie będą pracować na nocną zmianę, póki ja jestem szefem i, do cholery, nie będą obserwować cmentarzy.

Nawet ja wiedziałam, kiedy trzeba zakończyć dyskusję.

39

Twarz Sally była nienaturalnie pomarszczona, jak zmięta ścierka do naczyń, którą rozłożono, żeby wyschła. Nie czekałam, aż się odezwie, nawet nie zamknęłam za sobą drzwi i podsumowałam, co już zrobiono i co będzie zrobione w ciągu nocy.

Podeszła krępująco blisko w ciemnym korytarzu.

– Flossie, tak mi przykro ze względu na to, do czego doszło wcześniej. Wcale nie o to nam chodziło. Oczywiście nie chcemy, żebyś odeszła. Nie rób tego, proszę. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy Luny. I później też nie, chyba że zechcesz.

No, to miałam o jeden problem mniej. Poklepałam ją po ramieniu.

– Zostanę tak długo, jak będę wam potrzebna.

Sally szła tuż za mną, kiedy wchodziłam po schodach.

– Flossie, co się stało, że Luna zniknęła? – zapytała. – Ciągłe o tym myślę. Mieszkamy dwa kilometry od miejsc, w których zaginęły inne dzieci. Musiała przejść dwiema ulicami. Obie są szerokie, obie są dobrze oświetlone. Potem dotarła do domu. Jeśli ktoś ją porwał z ogrodu, tobym to słyszała.

Nie byłam tego pewna, telewizor był włączony, ale kiwnęłam głową.

– A Larry przyszedł do domu właściwie tą samą drogą. Dlaczego jej nie widział ani nie słyszał?

Weszła za mną do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– A jeśli włożyli ją do trumny? A jeśli leży w ziemi tak jak Patsy? Ona ma klaustrofobię. Pewnie traci zmysły.

– Nie leży w trumnie.

Powiedziałam jej o tym, że byliśmy już w domach pogrzebowych, i o tym, co mamy zamiar zrobić następnego dnia rano.

– Sally, nie ma mowy, żeby włożono ją do trumny. Nawet nie zbliżyła się do nich.

– Wykopią grób, tak jak zrobili, żeby pochować Patsy.

– Nie wykopią, bo wszystkie cmentarze w okolicy są pod obserwacją. Od tej

chwili.

Sally odrzuciła głowę do tyłu i zawyła. Podeszłam bliżej i objęłam ją. Przyłgnęła do mnie.

– Larry ma romans – wyszłochała mi w ramię. – Był z tamtą wieczorem. Kiedy potwór porwał nasze dziecko, on pieprzył tamtą dziwkę.

Wiele bym dała, żeby teraz stać na cmentarzu.

– Jaką dziwkę? – powiedziałam i poprawiłam się. – Chciałam powiedzieć kogo?

Mocno pociągnęła nosem.

– Beryl Donnelly, mamę Johna.

Bardzo łagodnie odsunęłam się od Sally.

– Naprawdę bardzo mi z tego powodu przykro, ale teraz musimy się skupić na znalezieniu Luny.

Sally znów pociągnęła nosem. Uznałam to za zgodę.

Randy przyszedł wkrótce po północy, ale tylko, żeby włożyć cieplejsze ubranie. Pokręcił głową, kiedy zobaczył moje wzniesione brwi, i po dziesięciu minutach znów wyszedł na cmentarz przy kościele św. Józefa, po drugiej stronie miasta. Przekonałam Sally, żeby poszła na górę i wzięła kąpiel. Kiedy jej nie było, pomalowałam paznokcie lakierem od Daphne. Zrobiłam to tylko dlatego, żeby zająć czymś ręce. Sally wróciła na dół. Siedziałam z nią, póki tuż przed drugą nad ranem nie wrócił Larry. Do tej pory nie było żadnych informacji, on też nic nie wiedział.

Larry nalał sobie coś do picia, a Sally położyła głowę na stole i już jej nie podniosła. Larry odstawił picie i wziął ją w ramiona. Otworzyłam drzwi, kiedy ją wynosił.

Patrzyłam, jak wchodzi po schodach ze śpiącą żoną na rękach. Pomyślałam, że jest bardzo silny. I bardzo przystojny, chociaż przez pół nocy nie spał i musiał zżerać go niepokój. I o tym, jak bardzo bym chciała, żeby Sally się myliła co do Beryl z Czarnego Psa, chociaż wiedziałam, że się nie myli. Który mężczyzna zauważy, że kobieta ma polakierowane paznokcie, kiedy jego córka zaginęła?

Dwie godziny później, po godzinie niespokojnego snu, już nie próbowałam

zasnąć.

Zaparkowałam przed kościołem św. Wilfryda. Niebo przed świtem miało kolor stalowoszary, nieliczne cmentarne drzewa wyglądały na jego tle jak surowy, ciemny relief.

Stałam przy skrzydlatym posągu anioła i popatrzyłam na doskonały kontur jego cienia na ziemi pod moimi stopami. Odwróciłam się i zobaczyłam księżyc. Był prawie w pełni, wisiał niemal dokładnie nade mną. Daphne i Avril myliły się. Porwania odbywały się nie tylko, gdy księżyc była w nowiu.

– Posterunkowa Lovelady, a niech mnie! – stęknął Tom z mrocznych głębin dziecięcej kryjówki.

Pokazałam flaszkę.

– Przyniosłam ci kawy – powiedziałam. – I kanapkę z serem. Chciałam zrobić z bekonem, ale pomyślałam, że zapach obudziłby cały dom.

– Cholerny anioł. – Wyszedł z kryjówki, przeciągnął się, zatarł zziębnięte dłonie. Jedną ręką chwycił kawę, a drugą wyciągnął przed siebie.

– Jedzenie – powiedział.

Dałam mu kanapkę.

– Jak oni się trzymają? – zapytał.

– Tak jak przewidywałeś.

Tom dokończył kawę i wyciągnął kubek w moją stronę. Potem oparł się o posąg anioła.

– Upiornie tu jak cholera, co? Tam, w komisariacie, mówiłaś to na poważne? Że jesteś cipolizem?

Westchnęłam.

– Nie. Próbowałam okazać świadkowi współczucie. A w ogóle, jakie to ma znaczenie? – Podniosłam rękę. – Nie, nie mów... Nie chcę wiedzieć. Przyszłam, żeby dać ci parę godzin na sen. Idź do domu. Zacznę od teraz.

– Słyszałaś, co powiedział inspektor. Żadna młoda kobieta nie będzie dyżurować na cmentarzu, póki...

Pokazałam na wschód, gdzie niebo się rozjaśniało.

– Za dziesięć minut wszędzie słońce – powiedziałam. – Idź do domu.

Odwrócił się, żeby odejść, ale stanął.

– Mała rada, Florence? – powiedział. Wiedziałałam, że chce mi powiedzieć coś, co

mi się nie spodoba, ale się krępuje.

Kiwnęłam głową.

– Daj sobie spokój z tymi wolnomularzami.

Patrzyliśmy na siebie.

– Należysz do nich? – zapytałam.

Krótko się roześmiał.

– Daruj mi. Nie jestem dość stary, dość potężny ani dość bogaty. I zanim zapytasz, nie znam nikogo, kto by do nich należał, ale powiem ci jedno. Jeśli to oni stoją za tą sprawą, możemy sobie darować i wrócić do domu. Flossie, te dupki są nietykalne.

Poszedł. Samotnie patrzyłam na wschodzące słońce, a łzy płynęły mi po twarzy. Coś mi mówiło, że to ostatni dzień Luny Glassbrook.

Niedziela, 29 czerwca 1969

Słońce było jeszcze nisko, kiedy usłyszałam, że otwiera się cmentarna brama, i zobaczyłam Dwane'a, który szedł w moją stronę z kubkiem w biało-czerwone pasy w dłoni. Miał podbite oko i nabrzmiałą górną wargę.

– Zaparzyłem ci herbaty – powiedział, kiedy podszedł. – Dodałem dwie kostki cukru. Nie wiem, czy słodzisz, więc tylko dwie.

– Dziękuję, co ci się stało?

– Dwóch facetów przed pubem, wczoraj wieczorem. Naskoczyli na mnie. Nie wiem dlaczego. Nie popuściłem im. Bronilem się.

– Zgłosiłeś to?

– Nie znam ich. – Przez sekundę nie patrzył mi w oczy.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zapytałam.

– Widziałem, jak chodziłaś. Nie sypiam długo. Bóle głowy.

Dwane miał znacznie większą głowę niż większość ludzi. Nie pomyślałam, że ten nadzwyczajny rozmiar może powodować bóle.

– Dwane, wiem, że jesteś zajęty, bo to niedziela i w ogóle, ale czy znalazłbyś czas, żeby mi jeszcze raz pokazać twój model miasta?

– Lubisz małe rzeczy? – zapytał, kiedy znów znaleźliśmy się w szopie na końcu podwórka Ogilvych.

– Pomógłbyś mi znaleźć Nelson Street?

Dwane nachylił się i pokazał miejsce, w którym po raz ostatni widziano Patsy.

– Masz coś, co mogłabym tam położyć, żeby zapamiętać ten punkt?

Dwane podszedł do małej, wąskiej skrzyni przy ścianie i otworzył górną szufladę. W wyciągniętej ręce trzymał kilkanaście figurek.

– Ile masz kolorów?

– Sześć – powiedział, nie licząc.

– Potrzebuję czterech. Mógłbyś mi dać cztery kolory, co najmniej po sześć z każdego? Proszę – dodałam, kiedy się nie poruszył.

– Jakie są ci potrzebne? Mam czarny, biały, zielony...

– To nie ma znaczenia. Zielony. Daj mi parę zielonych figurek.

– Mam też różowe. Chcesz różowe?

– Jakielwiek. – Postawiłam zieloną figurkę u wlotu w Nelson Street, tam gdzie po raz ostatni widziano Patsy.

– Czerwone? Niebieskie? Purpurowe? Zmieniłem zasłony. Widziałaś? Stawiałam zielone figurki tam, gdzie widziano Patsy.

– Jakie zasłony?

– W oknie twojej sypialni. Wcześniej były liliowe. Zrobiłem niebieskie. I postawiłem parę kwiatów na oknie. Czerwone róże.

Zamarłam.

– Dwane, czy zostawiałeś mi jakieś kwiaty? Dwa tygodnie temu?

Opuścił wzrok.

– Dwane, to były kwiaty z grobu. Na wizytówce było napisane „RIP”.

Nie podnosił wzroku.

– Przecież nie będzie mu ich żal – powiedział po chwili.

Milczenie. Mało się nie roześmiałam. RIP? A tak się wystraszyłam.

– Okej. Potem o tym porozmawiamy. Widzisz, co robię? Stawiam figurki tam, gdzie widziano dzieci. Różowych używam dla Susan Duxbury. Niebieskich dla Stephen Shorrocka.

– Jakiego koloru chcesz dla Luny? – zapytał.

Dalej ustawiałam figurki na modelu miasta. Wiedziałam, gdzie najczęściej widziano trójkę tych dzieci. Starannie sprawdziłam kilka miejsc, ale przecież zapamiętałam dość, żeby to zrobić. Kiedy skończyłam, cofnęłam się.

Dwane nic nie mówił, patrzył to na model, to na mnie.

– Wszystkie zniknęły ze śródmieścia albo z jego najbliższej okolicy – powiedziałam. – Nie licząc Luny.

Nadal się przyglądałam prawie dwudziestu figurkom zielonym, różowym, niebieskim i czerwonym. Każda przedstawiała miejsce, w którym widziano zaginione dziecko. Zaczęłam się rozglądać po modelu, a kiedy wróciłam do

miejsca, od którego zaczęłam, zobaczyłam zieleni do krykieta na północnym krańcu miasta. Grały dwie drużyny, wszyscy zawodnicy ubrani byli na biało, a przed szatnią zebrał się tłumek.

Dwane podszedł bliżej.

– Lubisz krykieta? Czasem możesz przyjść, żeby popatrzeć. Mnóstwo rodzin to robi.

– Bardzo lubię krykieta – powiedziałam, chociaż było to kompletne kłamstwo. Parę razy patrzyłam, jak grają moi bracia, bo akurat nie miałam nic innego do roboty – To wygląda na ważne wydarzenie – mówiłam dalej, kiedy zauważyłam stoły z jedzeniem i piciem, leżaki, a nawet chorągiewki rozpięte na sznurku wokół szatni.

– W każdą sobotę po południu – powiedział Dwane. – Przychodzi mnóstwo kobiet. I dzieci, ale nie ma z nimi kłopotów. Przychodzą na darmową herbatę. Parzą ją żony i dziewczyny. Ale ty nie będziesz musiała, gdy przyjdiesz po raz pierwszy.

O Boże.

– Dziękuję – powiedziałam. – Ale jeszcze nie wiem, kiedy będę miała dyżury. W soboty mam mnóstwo pracy.

– Kiedy dzieci wracają do domu, my idziemy do pubu – powiedział Dwane. – Do Czarnego Psa.

Czarny Pies był zaledwie dwie ulice od boiska do krykieta.

– Co to jest? – Pokazałam dwa włązy tuż przed pubem.

– Piwnica – odparł Dwane.

– Oczywiście, na przechowywanie piwa. Cóż, naprawdę muszę...

– Mają całe wieki – powiedział Dwane. – Trzymano tam więźniów, zanim ich przewieziono do więzienia. Nadal są tam łańcuchy. Jak chcesz, to ci pokażę. Właściciel pozwala mi schodzić, kiedy potrzebuje pomocy, żeby wytoczyć na górę beczki.

– Muszę wracać – powiedziałam. – Dziękuję Dwane. I dzięki za herbatę.

Chociaż bardzo się starałam, nie zdołałam powstrzymać go przed odprowadzeniem mnie do samochodu.

Wszystkie urlopy zawieszono i każdy policjant na służbie musiał się zgłosić do

komisariatu. Posterunkowi chodzili po swoich rewirach, stukali do drzwi, zaglądali do pomieszczeń gospodarczych, a nawet do piwnic z węglem. Inni przeszukiwali parki i okoliczne wrzosowiska. Wozy patrolowe zatrzymywały wszystkich wyjeżdżających z miasta.

Byłam rozczarowana, bo kazano mi zostać z rodziną Glassbrooków. To było logiczne, ale korciło mnie, żeby zrobić coś bardziej produktywnego niż opieka nad dziećmi. Larry'ego i Sally, jak się okazało, też korciło. Rano, kiedy zaczęło mocno padać, wyszli, żeby dołączyć się do poszukiwań i zostawili mnie samą z Cassie.

Powiedziała, że nie ma pracy domowej do odrobienia. Nie chciała niczego oglądać w telewizji. Przez cały czas trzymała się mnie, chodziła za mną od pokoju do kuchni, nawet do ubikacji. Sprawdziała, czy drzwi i okna są pozamykane, i wzdrygała się na każdy niedający się wyjaśnić hałas. W kuchni nie chciała usiąść, chodziła w tę i powrotem, otwierała i zamykała szuflady.

– Cassie, przestań!

Podskoczyła i zamknęła szufladę.

– Przepraszam – powiedziałam. – Wiem, że się martwisz. Ja też, ale musimy znaleźć sobie jakieś zajęcie. Nie masz czegoś do czytania? Może poćwiczyłabyś na pianinie?

– Możemy obejrzyć twoje wykresy? – zapytała.

– Jakie wykresy? – zapytałam, chociaż domyślałam się, o co jej chodzi.

– Te z twojej sypialni.

Uniosłam brwi. Bardzo uważałam, żeby codziennie, przed pójściem do pracy chować wykresy. Kładłam je na górnej półce w szafie, pod swetrami. Nie mogła ich zobaczyć, chyba że weszła po pokoju.

– Luna je znalazła – powiedziała obronnym tonem. – Do mojego pokoju też zawsze wchodzi.

Nie było czasu na lekcję moralności. Skinęłam głową, że się zgadzam, i Cassie wybiegła z pokoju, żeby je przynieść.

Zaczęłam od wykresu pogrzebów. Rozwinęłam go tak, żeby było widać sześćdziesiąt sześć rzędów, po jednym na pochówek, który odbył się w tym roku w Sabden. Sporządziłam siedem kolumn zatytułowanych: Data, Czas, Nazwisko zmarłego, Płeć, Wiek, Przedsiębiorca pogrzebowy, Trumna/Skrzynia, Cmentarz.

– Gdzie zaczęłaś? – Cassie wyglądała na zaniepokojoną, jakby oczekiwała, że

odpowiedź pojawi się jak królik z kapelusza, kiedy tylko razem na to popatrzymy.

– Hm, zaczyna się zawsze od tego, co się wie na pewno – powiedziałam. – Wiemy, że Patsy została znaleziona w tym grobie. – Pokazałam na kratkę z poniedziałku, 16 czerwca, skrzynia z Douglasem Simmondsem, pochowana na cmentarzu przy kościele św. Wilfryda o 10.30, przez Glassbrooka i Greenwooda. Nie zapomniałam, że Cassie ma zaledwie szesnaście lat. Nie powinnam z nią rozmawiać o prawdopodobieństwie pogrzebania jej siostry żywcem.

Skinęła głową, żebym mówiła dalej.

– Więc przyjrzałam się innym grobom na tym cmentarzu – powiedziałam. – Ale w tym roku przybyło ich prawie dwanaście i był tylko jeden pochówek w skrzyni.

– To musiała być skrzynia. – Cassie przeglądała rzędy wykresu. – W trumnie nie byłoby miejsca.

– Właśnie – potwierdziłam. – Więc wykluczyłam z wykresu wszystkie pochówki z trumną. – Niestety, nadal pozostało ich ponad dwadzieścia.

Cassie podniosła wzrok, jakby przestraszył ją ten pomysł.

– Skąd mają wiedzieć? Ci, którzy porwali Patsy, to ci sami, którzy złapali Lunę. Skąd mają wiedzieć, czy w grobie, który chcą wykorzystać, jest trumna czy skrzynia?

– Dobre pytanie – odpowiedziałam. – Sądzymy, że musieli obserwować pogrzeby, włóczyć się wokół domów pogrzebowych, kiedy odjechały karawany. Myślimy, że to kolejny powód, żeby zajrzeć do najnowszych grobów.

– Gdyby ktoś włóczył się wokół pogrzebów, zauważono by to – powiedziała Cassie. – To bardzo dziwne zachowanie. Mój tato by to zauważył: on wszystko widzi. Myślę, że to ktoś, kto zawodowo zajmuje się pogrzebami.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Ktoś, kto pracuje w domu pogrzebowym, będzie wiedział, czy to skrzynia, czy trumna. Wikary, albo ksiądz będą wiedzieli. Człowiek, który kopie groby, będzie wiedział.

Poczułam nieprzyjemną sensację w brzuchu, gdy przypomniałam sobie, że Dwane bywał zatrudniany na innych cmentarzach, nie tylko przy swoim kościele. To on kopał większość grobów w Sabden.

– Dwadzieścia skrzyń. – Cassie stuknęła w każdy pochówek ze skrzynią. – Dlaczego nie zajrzycie do nich wszystkich? Dlaczego tak długo czekaliście?

– Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wyda pozwolenia na otwarcie tych wszystkich grobów bez większej liczby dowodów – odparłam. – Musimy trochę zmniejszyć ich liczbę.

– Więc odjęliście wszystkie miejsca, które na noc są zamykane. – Głos Cassie był coraz bardziej piskliwy. – Cmentarz na Duckworth Street ma tylko jedną bramę, którą zamyka się po zachodzie słońca. Nikt nie przelezie nad murem, niosąc trupa.

Mój szacunek dla Cassie był coraz większy.

– To mało prawdopodobne, ale możliwe – powiedziałam. – Jeśli to się działo po pogrzebie, Stephena i Susan prawie na pewno nie ma na cmentarzu. Ale mogą być na cmentarzykach przykościelnych. Tam nie zamyka się bramy na noc.

– Jeśli włożono ją do trumny przed pogrzebem, to nie mógł się on odbyć po południu – stwierdziła Cassie. – Skrzynie są szczelnie zamykane dopiero na parę godzin przed wyprowadzeniem ich z domu pogrzebowego. Ludzie zawsze, jeśli mogą, chcą ostatni raz zobaczyć zmarłego.

– Dobra uwaga, ale nikt nie uważa, żeby Patsy znalazła się w skrzyni przed pogrzebem – powiedziałam.

Poza Dwane'em.

– Ale i tak musisz wziąć to pod uwagę, prawda? Przecież mówiłaś, że trzeba mieć otwarty umysł.

– I bierzemy to pod uwagę. – Wskazałam wykres. – Ale przed południem przeprowadzono ponad dwadzieścia pogrzebów. I znów jest ich za wiele, żeby dokonywać ekshumacji bez dodatkowych dowodów.

– A co z rzędami, które mówią, co się stało po uprowadzeniu? – Cassie zauważyła trzy linijki tekstu, mniej więcej równo ułożonego. W pierwszej było napisane: Susan Duxbury zaginęła, poniedziałek, 17 marca. W drugiej: Stephen Shorrock zaginał, środa, 16 kwietnia. W trzeciej, Patsy Wood widziana po raz ostatni, niedziela, 15 czerwca.

– Grób łatwiej jest rozkopać, kiedy ziemia jest jeszcze miękka. – mówiła Cassie.

– Myślałam o tym – odparłam. – Z drugiej strony, najnowsze groby są najczęściej odwiedzane przez rodziny. Zakrystian i kościelni mają na te groby oko. Zauważyliby wszelkie zmiany.

– Beznadziejne, prawda? – Mina zrzędała Cassie.

– Nie – powiedziałam z większą pewnością siebie, niżby należało. – To jest tutaj. Znajdziemy to. – A potem, żeby dać Cassie jakiś materiał do przemyśleń, bo to ją uspokajało, zamieniłam wykresy. Ten, który dotyczył zaginionych dzieci, był znacznie prostszy. Tylko trzy kolumny, po jednym na dziecko.

– Potrzebna ci nowa kolumna – powiedziała Cassie. – Dla Luny.

Nie wydawało mi się to dobrym pomysłem, ale Cassie wtykała mi w dłoń ołówki, więc wzięłam go, narysowałam kolumnę i zarzuciłam dziewczynę pytaniami. Data urodzin Luny. Jej klasa w szkole. Przedmioty, które wybrała. Koledzy i koleżanki, z którymi była zaprzyjaźniona.

– Nic nie ma – rzekła Cassie, kiedy doszliśmy do końca. – Nie mają ze sobą nic wspólnego, poza szkołą i wiekiem.

Miała rację, ale nie mogłam tego powiedzieć na głos.

– I na pewno nie przyjaźnili się ze sobą. Luna wolałaby umrzeć, niż gdyby ktoś miał ją zobaczyć w towarzystwie pękatej Duxbury.

Wróciłam myślą do zdjęć z grubą Susan.

– A Stephen?

– Nie, uważali go za dziwaka. I że śmierdzi, bo się nie myje.

– Skąd to wiesz, Cassie? Skąd tak dużo o nich wiesz?

– Nie wiem. Czasem widywałam ich na meczach krykieta.

Krykiet? Przypomniałam sobie zamarłą grę w miniaturze, którą oglądałam rano. Dwane był gwiazdą, wykonywał uderzenie. Tłum wielbiących go żon i dzieci. Żadna ani żadne nie jego.

– Twój tato gra w krykieta, prawda? – zapytałam. – Chodzisz pooglądać?

– Mama nas zmusza. Mówi, że to wydarzenie rodzinne i powinniśmy to wspierać.

– W sobotnie popołudnia, prawda? Cassie, chyba nie byłabyś w stanie powiedzieć mi, kto gra w drużynie twojego taty?

Nie miałam kartki pod ręką, musiałam spisać nazwiska na wykresie.

– Poza tatą, o to ci chodzi? Pan Butterworth, ale o nim już wiesz. I pan Greenwood, współnik taty. Zdaje się jest przewodniczącym klubu.

– Jedenastu zawodników – powiedziałam. – I pewnie jacyś rezerwowi. Może pamiętasz jeszcze jakichś?

– John jest dobrym odbijającym taty, ale zazwyczaj ma za wielkiego kaca, żeby

potem biec – ciągnęła Cassie. – I ten przerażający karzeł.

Razem pięciu.

– A pan Wood, tato Patsy?

– A, tak, on. – Popatrzyła na mnie. – Cholera – powiedziała.

– Pan Duxbury? – zapytałam. – Pan Shorrocks?

Kiwnęła głową, jej szeroko otwarte oczy błyszczały.

– A ich żony i dzieci też zazwyczaj przychodzą? – zapytałam. – Żeby kibicować drużynie, a potem na dobrą herbatę?

Znów skinęła głową.

– Flossie, o to chodzi? Tego szukałaś?

Uciszyłam ją, zwinęłam wykresy i włożyłam na nie elastyczną taśmę.

– Cassie, muszę zatelefonować – powiedziała. – I będziemy musieli poprosić sąsiadkę, żeby z tobą posiedziała. Powinnam wpaść do pracy.

41

Okej, Flossie, o czym myślisz? – zapytał Rushton.

Na dworze nadal lało, deszcz dzwonił o szyby, zmieniał krawężniki w szybko płynące strumienie, spływał z rogów budynków małymi wodospadami. Niebo pociemniało i poszarzało.

W pokoju wydziału kryminalnego panowała chłodna wilgoć, mimo że wokół moich wykresów zgromadziło się wiele osób.

– O krykiecie – powiedziałam. – Pamięta pan, co od początku mówiłam, że te dzieci musiało coś łączyć? I że kiedy to znajdziemy, wskaże to nam mordercę?

– Więc myślisz, że to krykiet? – Brown zrobił minę. – Czy teraz dziewczyny grają w krykieta? Myślałem, że w netball.

– Dzieci w to nie grają – warknęłam. – Grają ich ojcowie. Według Cassandry Glassbrook, która jest bardzo mądrą dziewczyną, wszyscy czterej ojcowie tych dzieci grali w weekendowej lidze krykieta w Sabden, na polach do krykieta przy Tythebarn Street.

Widziałam sceptycyzm na twarzach wokół mnie. Nawet Tom nie wyglądał na przekonanego.

– Weekendowa liga krykieta w Sabden to wydarzenie rodzinne – powiedziałam. – Zawsze po meczu jest herbata, którą parzą żony i dziewczyny. Dzieci też tam przychodzą na herbatę.

Nikt się nie odzywał. Chryste, jeszcze tego nie zobaczyli?

– Tam je znalazł – powiedziałam. – Mecze w krykieta ciągną się godzinami, prawda? Drużyna, która uderza piłkę, większość czasu spędza w klubie albo siedzi na zewnątrz, patrzy, czeka na swoją kolej. Patrzą, jak dzieci się bawią, zapoznają się z nimi. Uważam, że nasz zabójca może być kimś z drużyny krykieta albo kimś, kto regularnie przychodzi na mecze.

Miny wokół mnie zaczęły się zmieniać, łagodnieć, jakby teraz o tym pomyśleli.

– Jesteś pewna? – zapytał Rushton. – Co do ojca Susan, ojca Stephena i tak dalej.

– Nie na sto procent – odparłam. – Oczywiście, trzeba będzie to sprawdzić, ale...

– Ona ma rację. – Twarz Toma przybrała dziwny odcień szarości. – Gram w tej lidze. Cholera. – Odwrócił się na pięcie i odszedł. Położył przedramiona na parapecie i zwiesił głowę.

– Pytanie, kto jeszcze? – powiedział Rushton. – Wracaj Tom. Potrzebujemy cię do tej sprawy.

– Co najmniej jedenastu – powiedziałam, kiedy Tom wyprostował się. – Może do dwudziestu. Wniosek taki, że nasz człowiek to jeden z nich.

– Kto jest sekretarzem? – zapytał Sharples. – Będzie wiedział, kto gra w lidze.

– Beryl – powiedział Tom. – Beryl Donnelly. Sir, ale ja znam wszystkich. Mogę spisać listę.

– Lepiej późno niż wcale – stwierdził Rushton. – Florence, usiądź z nim. Upewnij się, że zebrał wszystkich. Potem będziemy mogli zacząć ich wykluczać.

42

Czterdzieści minut później na tablicy w pokoju wydziału kryminalnego widniały nazwiska siedemnastu mężczyzn. Rozpoznawałam Larry'ego Glassbrooka, Roya Greenwooda, Roberta Duxbury'ego, Jima Shorrocka, Stanleya Wooda, Teda Donnelly'ego, Johna Earnshawa, Rega Bannistera i Dwane'a Ogilvy'ego. Wstrząsnęło mnie, kiedy zobaczyłam Charlesa Labaddee, domyślałam się, że to mąż Marlene. Na liście znaleźli się Tom Devine i Randall Butterworth, bo Tom na to nalegał. Znalazło się tam pięć nazwisk, których nie znałam. Przesłuchanie wszystkich stało się priorytetem dnia.

Toma i mnie obarczono zadaniem rozmowy z Royem Greenwoodem.

Myśleliśmy, że w mieście są już wszyscy reporterzy z północnej Anglii, ale chyba wzrosła ich liczba, kiedy rozeszła się informacja o kolejnym zaginionym dziecku. Przed komisariatem parkowało kilka obcych wozów, a mężczyźni w płaszczach przeciwdeszczowych i filcowych kapeluszach wałęsali się wokół wejścia od frontu, gadali, zatrzymywali każdego wychodzącego.

Wybraliśmy z Tomem tylne wyjście. Kiedy Rushton nic nie powiedział podczas mojego wystąpienia, domyśliłam się, że żałuje decyzji o pokazaniu w telewizji rekonstrukcji ostatnich znanych kroków Patsy. Powiedziałam o tym Tomowi, gdy wsiadaliśmy do jego samochodu.

– Nie znaleźlibyśmy Patsy, gdyby nie apel w telewizji – odparł niezwykle dla niego niskim głosem. – A może powinienem powiedzieć, że ty byś jej nie znalazła?

Szybko wyjechał z parkingu przy komisariacie. Wypadliśmy zza rogu i pognaliśmy główną ulicą. Dotarliśmy niemal do rynku i przejechaliśmy na czerwonym.

Siedziałam nieruchomo, milczałam, świadoma wszystkiego, co nie zostało powiedziane. Żałowałam, że to nie ktoś inny wpadł na powiązanie sprawy z krykietem. Cokolwiek bym zrobiła, ludzie mnie za to nie lubili.

Nie musieliśmy daleko jechać. Greenwood mieszkał przy głównej ulicy,

niedaleko domu pogrzebowego. Z zewnątrz poplamiony brudem kamienny dom był wielki, ale bez wyrazu: dwie kondygnacje, strych i piwnica. Wysokie, wąskie okna z koronkowymi firankami. Dach stromy, spadzisty z czarnymi dachówkami poplamionymi odchodami gołębi. Dzwonek u drzwi zabrzączał cztery razy. Czekaliśmy, wreszcie Roy Greenwood, ubrany w swój zwykły czarny garnitur, spojrzał na nas z góry.

– Państwo z policji – powiedział, zupełnie niezdziwiony.

Tom podniósł legitymację. Zrobiłam to samo.

– Roy, przepraszam, że przeszkadzamy ci w niedzielę, ale chcielibyśmy zamienić słówko – powiedział Tom.

Wyniosła mina Greenwooda złagodniała.

– Oczywiście o Elanor. Nie spaliśmy z matką prawie przez całą noc. Wejdźcie, proszę.

– Brał pan udział w poszukiwaniach? – zapytałam, kiedy szliśmy za nim ciemnym korytarzem.

– Nie, w nocy nigdy nie zostawiam matki samej. Ma złe sny.

Greenwood zaprowadził nas do wielkiego pokoju. Wokół centralnie położonego kominka, na którym buchał ogień, stały cztery fotele. Były obite ciemnozieloną materią chronioną pokrowcami. Przed oknem stał dziecięcy fortepian, równie czarny i lśniący jak włosy Greenwooda. Ustawiono na nim co najmniej tuzin zdjęć w srebrnych ramkach.

W fotelu przy ogniu siedziała najwyższa i najchudsza kobieta, jaką w życiu widziałam. Jej głowa i ramiona wystawały znad wysokiego oparcia, a nogi miała wyciągnięte przed siebie. Jej czarna sukienka i rozpinany sweter obwisały na niej, jakby trzymały się na wypchanym manekinie, a nie na żywej osobie. Miała narysowane brwi, lewa niezupełnie pasowała do prawej. Tam, gdzie powinny być usta, w poprzek twarzy widniało jaskrawe, brzoskwiniowe maźnięcie. Wyglądała jak dziecko bawiące się po raz pierwszy w nakładanie makijażu. Przeczyła temu poorana zmarszczkami skóra i nieskończone fałdy na szyi. Przez jej włosy, w łagodnym odcieniu lawendy, widziałam pokrytą strupami, obłążającą skórę.

Wyglądała na sto lat.

– Matko, to detektyw posterunkowy Devine i posterunkowa Lovelady. Proszę państwa, to Grace Greenwood, moja matka.

Pani Greenwood wyciągnęła drżącą prawą rękę, a ja zauważyłam szklanek z rzuńniętego szkła na stole u jej boku. W szklance był jakiś bursztynowy płyn.

Tom ujął jej rękę i przez dziwną chwilę myślałam, że skłoni się, żeby ją ucałować.

– Proszę pani, bardzo przepraszam, że niepokoię panią w niedzielę – powiedział. – Ale jestem pewien, że pani zrozumie. Musimy zrobić wszystko, żeby znaleźć młodą Elanor.

Oczy jej zabłyśły, a jej jaskrawo pomalowane usta drgnęły. Pomyślałam, że to uśmiech. Chyba to był uśmiech. Tom był z tych mężczyzn, do których starsze panie pałały sympatią. Nie raczyła mnie zauważyć.

– Mroczne czasy – powiedział Roy Greenwood. – Proszę usiąść. W tym domu nie podajemy alkoholu, ale może przynieść wam szklaneczkę kordiału?

Czułam zapach napoju wysokoprocentowego i zastanawiałam się, dlaczego kłamie.

– Dla mnie nie – i – Nie, dziękuję – powiedzieliśmy z Tomem unisono.

Ostrożnie usiedliśmy. W tym pokoju było coś, co odstręczało od wykonywania ruchów. Roy z matką czekali, przyglądali się nam identycznymi, brązowymi oczami. Podniosła obrębianą koronkami chusteczkę, żeby zetrzeć łzę.

– Będę mówił wprost, bo w tej sprawie najważniejszy jest czas – zaczął Tom – i zapytam, gdzie pan był wczoraj wieczorem, między dziewiątą wieczór a północą.

Greenwood na chwilę zamknął oczy, jakby próbował zachować spokój skonfrontowany z niegodziwością.

– Byłem tutaj – powiedział. – Słuchaliśmy radia. Matka woli je od telewizji. Już nie ma tego wzroku co kiedyś.

– Mogę zapytać, czego słuchaliście? – zapytałam.

– Sobotniego teatru. – Pani Greenwood mówiła cichym, gładkim głosem, bez suchego chrypienia tak pospolitego wśród osób starszych. – Sybil Thorndike i William Ingram w nowej aranżacji *Night Must Fall* Emlyn Williams.

– Matka uwielbia teatr. Była aktorką, zanim wyszła za męża.

Nie zaskoczyło mnie to. W tej wyprostowanej postawie, królewskim trzymaniu głowy było coś, co sugerowało szlachetność. Albo umiejętność udawania szlachetności.

– Wyłączyliśmy radio, kiedy o dziesiątej zaczęła się prognoza pogody –

powiedział jej syn. – Nie czekaliśmy, żeby jej wysłuchać. Poranny deszcz zaskoczył nas.

– A co pan robił o dziesiątej? – zapytał Tom.

Greenwood wyglądał na urażonego.

– Poszliśmy spać. Jestem administratorem kościoła. W niedzielę muszę wcześniej wstawać.

– Tylko dla wyjaśnienia, wczoraj wieczorem i w nocy w ogóle nie wychodził pan z domu?

– Zdaje się, że w pewnej chwili wyszedłem do ogrodu, żeby sprawdzić, czy kot jest gdzieś niedaleko.

Odwrociłam się, żeby spojrzeć na radio.

– To Chopin, prawda? – zapytałam. Czy pani gra?

– To preludium e-moll – powiedziała. – Czekaliśmy na nie.

Tyle, jeśli chodzi o moją ofensywę uroku osobistego.

Tom odchrząknął.

– Roy, wczoraj był ładny mecz. Nieźle zagrałeś przy czwartej bramce.

Greenwood pochylił się, jakby miał wstać.

– Są jeszcze jakieś pytania? – zapytał. – Matka nie znosi sytuacji, kiedy przegapi koncert.

– Wcześniej musiałem wyjść – odezwał się Tom. – Nie wiem, czy zauważyłeś. Żona miała spotkanie rodzinne. Nie poszedłem na herbatę. Ciekawe, czy Luna tam była.

Greenwood zmarszczył brwi.

– Oczywiście, pytaliście o to Glassbrooków. Wczoraj grał Larry. Będzie wiedział, czy jego rodzina z nim była.

– Pytamy wszystkich – odparł Tom. – Czy widziałeś Lunę?

– Tak, chyba tak, skoro o tym mówisz. Około czwartej przyszła z grupą młodych ludzi.

– Czy zauważyłeś coś niezwykłego w jej zachowaniu? – zapytał Tom.

– Niby co?

– Czy wyglądała na zmartwioną? Czy rozmawiała z kimś konkretnym, spoza grupy przyjaciół, z którymi przyszła? Czy ktoś – któryś z dorosłych na przykład – szczególnie się nią zainteresował?

- Chyba nie podejrzewasz kogoś z klubu krykieta? – odparł Greenwood.
- Mnóstwo ludzi ogląda mecze – powiedziałam, wracając myślą do grupy widzów w modelu Dwane’a. – Czy wczoraj jak zwykle była liczna publiczność?
- Tak, myślę, że tak – zgodził się Greenwood. – I z tego powodu, kiedy nie byłem potrzebny na murawie, siedziałem w szatni.
- Czekalam, aż Tom zada kolejne pytanie. Nie odzywał się.
- Nie oglądał pan meczu? – zapytałam, kiedy cisza zrobiła się niezręczna.
- W drzwiach do szatni nie ma zamków, a ludzie są bardzo łatwowierni, zostawiają portfele i zegarki w kieszeniach płaszczy – odparł Greenwood. – Kiedy jest tylu ludzi, siedzę spokojnie w rogu szatni i czytam gazetę. Więc obawiam się, że niewiele widziałem, jeśli chodzi o zachowanie Luny.
- Tom wstał, aż mnie zaskoczył.
- Cóż, dziękuję za państwa czas – powiedział. – Bardzo to doceniamy. Teraz zostawimy was w spokoju.

Kiedy drzwi zamknęły się za nami, Tom wyciągnął papierosa i oparł się o samochód.

- Trochę szybko – powiedziałam.
- Czy pani gra? – przedrzeźniał mnie Tom.
- Coś z tym nie tak?
- Gracie Greenwood nie potrafiłaby zagrać palcówki – powiedział. – Fortepian należał do jej zmarłego męża, który grywał w teatrach rewiowych. Teraz stoi tam na pokaz. Ona nie była aktorką, tylko tancerką.
- No proszę, naprawdę?
- Widziałem zdjęcia. Seks na dwóch bardzo długich nogach.
- Cóż, cieszę się, że lepiej się poczułeś. Nawet jeśli do tego potrzeba było bardzo długich, choćby i żylakowatych nóg Grace Greenwood.
- Tom zrobił minę.
- Florence, niczego nie mam ci za złe. Jestem wściekły na siebie. Sam powinienem wpaść na powiązanie poprzez krykieta.
- Rzucił papierosa i przydeptał go.
- Wskakuj – powiedział, przytrzymując dla mnie drzwi. Wcześniej tego nie robił. – Twoja encyklopedia pogrzebów w Sabden jest w komisariacie?

Czekałam, aż też wsiądzie do samochodu.

– Tak, a co?

Patrzył prosto przed siebie.

– Wiem, gdzie są Stephen i Susan.

43

Jak wam poszło? – Mogłabym przysiąc, że Rushton nie zmienił pozycji, jakby nie poruszył się o centymetr.

– Cóż, oboje są przerażający, jak nietoperze w sypialni. – Tom przeszedł obok szefa i rzucił marynarkę na biurko. – Gdzie to jest, Florence?

– I? Jakies konkrety? – powiedział Rushton, kiedy podeszłam do biurka i wzięłam zwinięty wykres pogrzebów. – Florence?

– Matka dała mu alibi – powiedział Tom. – Przynajmniej na wczorajszy wieczór. I naprawdę wiele wiedzieli o programie, którego słuchali. Przypominam, że w „Radio Timesie” wkrótce przeczytają, co szło w radiu.

– Myślisz, że oboje kłamali? – Zaniósłam wykres na stół.

– Dalej, przypatrzmy się. – Wziął rolkę i zdjął z niej opaskę. Strzeliła w powietrze i zniknęła. – Szefie, masz chwilkę? – zapytał, chociaż Rushton stał tak blisko, że mógł go przytulić. – Są jeszcze jacyś wolni? Mamy z Florence pomysł.

Mamy pomysł? Nie miałam pojęcia, co Tom powie, ale znalazłam przyciski do papieru i zszywacz, żeby położyć je na rogach wykresu. Wszyscy zgromadzili się wokół stołu.

– Przede wszystkim, czy zgadzamy się, że Susan i Stephen są prawdopodobnie w grobie, gdzieś na terenie Sabden? – zapytał Tom. – Może w pobliskiej wsi, ale najprawdopodobniej tutaj.

– Niekoniecznie – odezwał się Sharples. – To może nie mieć nic wspólnego z tym, co stało się z Patsy.

Tom rozejrzał się wokół stołu, brwi miał uniesione.

– Na tyle, na ile to jest warte, myślę, że masz rację – zgodził się inspektor. – Jest prawdopodobieństwo, że są na tym wykresie, który zrobiła Flossie.

– W takim razie – rzekł Tom – największym problemem jest to, że nie wiemy, kiedy dzieci włożono do skrzyń. Przed pogrzebem czy po nim. Gdy się dowiemy, możemy zawęzić krąg poszukiwań.

– Wydawało mi się, że naszym zdaniem nie zrobiono tego przed pogrzebem – powiedział Rushton. – Wszyscy przedsiębiorcy pogrzebowi, z którymi rozmawialiśmy, stwierdzili, że to niemożliwe. Środki bezpieczeństwa były zbyt ścisłe.

– Tak nam powiedzieli – rzekł Tom. – Szczególnie nieustępliwi w tej sprawie byli Larry i Roy zapewne dlatego, że Patsy została włożona do skrzyni przed pogrzebem i jeden z nich musiał mieć z tym coś wspólnego.

– Obaj mają alibi – przypomina Rushton. – Przyznaję, nie najlepsze, bo dla Greenwooda to jego matka, a dla Glassbrooka jego dziewczyna, ale skoro nic na nich nie mamy, alibi to alibi.

– Tak, cóż, właśnie sobie przypominałem coś, co zmienia sprawę – powiedział Tom. – Coś, z czego wynika, że jeśli Patsy już była w skrzyni, jak zawsze twierdził Dwane, dobry znajomy Florence, to nie musi znaczyć, że Larry albo Roy ją tam włożyli.

– Kiedy powiedziałeś, że coś sobie przypominałeś, czy przypadkiem nie chodziło ci o krykieta? – Rushton nie miał zamiaru odpuścić.

Tom poradził sobie z tym.

– Oczywiście, że tak, sir. Szczególnie o szatnię.

– Powtórz, proszę – odezwał się Sharples.

– Florence, powiedz im – zwrócił się do mnie Tom.

Hę?

– Roy Greenwood, kiedy nie uczestniczy w grze, spędza mnóstwo czasu w szatni zawodników krykieta – powiedziałam z pewną zwłoką, bo nie miałam pojęcia, do czego zmierza Tom. – Nie ogląda meczu, nie siedzi na świeżym powietrzu, bo trochę go martwią sprawy bezpieczeństwa. – Za chwilę zorientują się, że gładzę.

– Właśnie – powiedział Tom. – Greenwooda martwią sprawy bezpieczeństwa. Zawodnicy na czas meczu zostawiają swoje rzeczy w szatniach, a on niepokoi się, że są tam wartościowe przedmioty, których nikt nie pilnuje. Takie jak zegarki, portfele i... – Odwrócił się do mnie i kiwnął głową, żebym dokończyła. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Boże, powinnam to zauważyć.

– I klucze – powiedziałam. – Zawodnicy zostawiają klucze w szatni. A kiedy gra Roy Greenwood, nikt tego nie pilnuje.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś podwędził klucze Roya albo Larry’ego do domu

pogrzebowego, kiedy Roy był na boisku? – zapytał Sharples.

– Uważamy, że właśnie tak było – odparł Tom. – Rozgrywki trwają od dwóch miesięcy. Minęło prawie dziewięć sobót, podczas których nasz człowiek miał szansę zakraść się do pustej szatni i świsnąć klucze.

– Zauważyliby – powiedział Rushton. – Zgłosiliby to.

– Może – powiedziałam. – Ale Larry chyba nie chciałby przyznać się Royowi, że zniknęły jego cenne klucze do domu pogrzebowego. Myślę, że raczej kazał dorobić nowe.

– Nie trzeba było ich kraść – odezwał się Tom. – Dwie kostki mydła i dobry ślusarz. To przecież nie jest takie trudne.

– Możemy sprawdzić miejscowych ślusarzy – powiedział Sharples.

– Zatem sobotnie, popołudniowe mecze krykieta dawały naszemu facetowi nie tylko okazję do obserwowania i wybierania ofiar, ale dały mu też środki, żeby wejść do domu pogrzebowego i pozbyć się ciał? – Widziałam, jak Rushtona, wraz z wypowiedzanymi przez niego słowami, opuszcza napięcie. – Dobrze się sprawiliście, wy dwoje.

Znów otworzyłam usta. Nie chciałam pochwały za coś, czego nie zrobiłam. Potem przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Jeśli sprawca ma nawet dostęp do domu pogrzebowego, to jeszcze nie znaczy, że wie, na kiedy zaplanowano pogrzeb w skrzyni. Nie jestem pewna, czy doszliśmy do właściwych wniosków.

– Roy trzyma terminy w wielkiej czarnej księdze, która leży na jego biurku – powiedział Tom. Zwrócił się do Sharplesa. – Ma piękny charakter pisma. Ze dwadzieścia sekund podziwialiśmy te wpisy, prawda szefie? Każdy mógł się dowiedzieć o zbliżających się pogrzebach. Wystarczyło zajrzeć do księgi.

– A dodatkowa waga? – zapytał Brown. – Wydawało mi się, że nie mamy wątpliwości co do tego. Obecność dodatkowego lokatora byłaby na sto procent pewna, kiedy podniesiono by trumnę.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Nie byłabym taka pewna – powiedziałam. – Roy Greenwood powiedział, że zauważono by to, ale on nigdy nie nosił trumien. Larry też nie. Greenwood idzie na czele procesji z czarno-srebrną laską. Larry z reguły nie uczestniczy w pogrzebach. Żałobnicy niosący trumnę to wielcy mężczyźni i jest ich szczęściu. Nie muszą

wiedzieć, kto leży w trumnie, nie wspominając już, ile waży.

Kilku kolegów pokiwało głowami, że się z tym zgadzają.

– Przepraszam, może was rozczaruję, ale nadal nie rozwiązaliśmy problemu z dziećmi, które się budzą i krzyczą na całą okolicę – powiedział Rushton. – Wszystkie zniknęły późnym wieczorem. Ten, kto je porwał, musiał wejść do domu pogrzebowego, kiedy jeszcze było ciemno, więc najpóźniej we wczesnych godzinach porannych. Nadal pozostaje sporo czasu do opuszczenia trumien do grobów. Nie wydaje mi się, żeby alkohol wystarczył.

– I wiemy, że w Patsy nie znaleziono zwyczajnych środków znieczulających – dodał Sharples.

Wszyscy zamilkliśmy, żeby to przemyśleć.

– Okej, zostawmy to na chwilę – odezwał się Rushton. Załóżmy, że Flossie na rację. Załóżmy, że dzieci były w trumnach przed pogrzebem. Czy to pomoże nam je znaleźć?

Popatrzyłam na Toma. Odpowiedział mi spojrzeniem. Brwi mu zadrgały.

– Twoja kolej, kochana – powiedział Sharples.

– Tak – odparłam. – Chyba tak. – Wzięłam żółtą kredkę, na tyle ciemną, żeby było widać jej ślad, ale na tyle jasną, żeby było widać, co jest pod nią. – To pomoże nam przynajmniej zawęzić krąg poszukiwań. – Nachyliłam się nad biurkiem i narysowałam długą, poziomą linię na jednym z wpisów na wykresie, przedstawiającym pogrzeb Douglasa Simmondsa z poniedziałku, szesnastego czerwca, o wpół do jedenastej, na cmentarzu przy kościele św. Wilfryda. To jego grób rozkopałam nad ranem.

– Patsy – powiedział Tom z uśmiechem.

Jeśli zaraz mi nie pomoże, pojawi się nowy grób, z jego nazwiskiem. Popatrzyłam na wykres, potem na niego. Zachęcająco kiwnął głową. Znów popatrzyłam na wykres, z trudem się skoncentrowałam. Znalazłam datę zniknięcia Stephena. Och...

Jeszcze bardziej nachyliłam się nad stołem i narysowałam drugą poziomą linię.

– „Czwartek, siedemnasty kwietnia, Ada Wright” – przeczytał Tom, który był najbliżej. – „Skrzynia, cmentarz św. Josepha, wpół do jedenastej, celebransi Glassbrook i Greenwood.

– Czwartek, siedemnasty kwietnia, poranek dnia po zniknięciu Stephena. –

Uśmiechnęłam się do Toma. Ale nadal chciałam go zabić.

– Tamtego dnia były cztery pogrzeby – powiedział Brown. – Dlaczego ten?

– Jeden z pogrzebów był po południu – odparłam. – I było okazanie zwłok, a przynajmniej mogło być. Pozostałe dwa to były trumny, a nie skrzynie. Za mało miejsca.

Przesunęłam się do wyższej części wykresu i narysowałam trzecią linię.

– „Wtorek, osiemnasty marca, Winifred Brown, skrzynia”. – Tom znów czynił honory. – „Cmentarz przy Duckworth Street, w pół do dziesiątej, celebrują Glassbrook i Greenwood”. Jedyne pogrzeb, który zorganizowali tamtego dnia. I następnego dnia rano po zniknięciu Susan Duxbury.

– Możemy to zrobić, sir? – zwróciłam się do inspektora. – Możemy dokonać tych dwóch ekshumacji?

Milczenie. Potem:

– To możliwe. Tak, chyba prawdopodobne. Chyba możemy spróbować. Ale najwcześniej jutro rano. Może we wtorek. Powinienem wysłać kogoś do Londynu, żeby wziął nakaz.

– Luna nie dożyje do wtorku – powiedziałam.

– To i tak nie pomoże nam jej znaleźć – odezwał się Tom. – Już wszyscy wiedzą, że obserwujemy wszystkie domy pogrzebowe. Nie może jej wsadzić do skrzyni od Glassbrooka.

– Rozkopanie grobów dotyczy Stephena Shorrocka i Susan Duxbury – powiedział Rushton – i jesteśmy całkowicie pewni, że oboje nie żyją. Parę dni zwłoki nie zrobi im krzywdy.

– Tymczasem popracujemy nad tą listą. – Sharples obrócił się do tyłu i pokazał na tablicę. – Możemy dowiedzieć się, gdzie każdy z nich był wczoraj wieczorem. Sprawdzić alibi. Zacząć ograniczać krąg poszukiwań. Zdjąć odciski palców. Przeszukać domy, jeśli nam pozwolą, uzyskać nakaz, jeśli nie pozwolą. No, ludzie, dalej do roboty.

44

Kilka godzin później uderzył mnie podmuch zimnego powietrza, zachwiałam się w drzwiach Czarnego Psa. Sięgnęłam do torebki po kluczyki i poszłam tam, gdzie zostawiłam samochód. Usłyszałam, jak za mną otwierają się drzwi pubu i Dionne Warwick obiecuje modlić się za człowieka, którego kochała.

– „Na wieki, bez prze...” – zaśpiewałam i przestałam. Przede mną stała biała furgonetka. Podjechała tyłem do wjazdu do piwnicy, jej tylne drzwi były otwarte. Jakiś mężczyzna nachylał się do środka. Kiedy usłyszał moje kroki, wyprostował się.

– Dobry wieczór pani – powiedział John Donnelly.

– Dobry wieczór John – odparłam.

– W porządku, koleś – odezwał się Tom gdzieś zza moich pleców. Nie odwróciłam się. Nie byłam pewna, czy utrzymam równowagę. – Nie bierzesz udziału w poszukiwaniach?

– Właśnie się zbieram. – John patrzył to na mnie, to na Toma. – Najpierw muszę załatwić parę spraw dla taty.

– Nie zostawaj za długo na dworze – powiedział Tom, kiedy znów ruszyłam. – I nie chodź nigdzie sam.

Mojego samochodu nie było. Rozejrzałam się. Na parkingu stały tylko cztery wozy, nie licząc białej furgonetki należącej do pubu. Jednym z pozostałych samochodów był samochód Toma.

– Gdzie jest mój wóz? – Odwróciłam się do niego. – Ktoś go ukradł.

– Stoi przed domem Glassbrooków – odparł Tom. – Randy go tam postawił.

Spojrzałam na swoją rękę, na kluczyki, które w niej trzymałam. Wiedziałam, że John Donnelly siedzi w furgonetce, nic nie mówi i chyba słucha.

– W komisariacie trzymamy zapasowe kluczyki – powiedział cicho Tom. – Ostatnia rzecz, jaka nam teraz potrzebna, to żebyś spowodowała wypadek.

– Doskonale się czuję, mogę prowadzić.

– Mów cicho – powiedział Tom. – Teraz zamknij oczy i pójdz prosto do mojego wozu. Jak ci się uda, będziesz mogła sama pojechać nim do domu.

Zamknęłam oczy i świat zaczął się kręcić. W zauważalny sposób, wiem, że i tak się kręci. Znów otworzyłam oczy.

– Gruszczyk jest obrzydliwy – powiedziałam.

– Mówiłem ci, żebyś nie piła tego piątego.

Nie mogłam wypić pięciu gruszczyków. W pubie byliśmy tylko godzinę. „Szybki drink zanim pójdziemy do wyra”, mówili. „Wszyscy musimy się zrelaksować”.

Potknęłam się na nierówności. Tom złapał mnie, zaprowadził do samochodu, otworzył drzwi i łagodnie wepchnął mnie do środka.

– A więc jutro przejdziesz jeden z najważniejszych sprawdzianów, czy jesteś dobrym gliną – powiedział. – Cały dzień w pracy na kacu.

Włączył silnik. John patrzył z furgonetki, jak odjeżdżamy.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam kilka minut później, bo nawet w moim stanie domyślałam się, że nie do domu Glassbrooków.

– Musisz trochę wytrzeźwieć, zanim zawiozę cię do ciebie – powiedział Tom. – Sally i Larry nie będą mile nastawieni do detektyw, która rozpracowuje sprawę ich córki i wtacza się do domu pijana i rozmamłana. W schowku są miętówki. Proponuję, żebyś zaczęła jej ssać.

Jechaliśmy główną ulicą, zostawiając za sobą wiktoriańskie budynki, sklepy i domy szeregowe. Tom, oczywiście, włączył radio. Dotarliśmy do wrzosowiska, ale Tom jechał dalej. W radiu zaczęła lecieć ostatnia piosenka Simona i Garfunkela *Targ w Scarborough*.

– Jedziemy w stronę Wzgórza – powiedziałam, kiedy na skrzyżowaniu skręciliśmy w lewo. Widziałam je przed sobą, ciemny kształt na horyzoncie. Trochę to wyglądało, jakbyśmy wjeżdżali w ciemność. Potem nagle zjechaliśmy z głównej drogi i pojechaliśmy traktem ukrytym za kamiennym murem. Tom wrzucił drugi bieg i zaczęliśmy trząść się na zboczu Wzgórza. Opuściłam szybę.

– Prawie jesteśmy na miejscu – powiedział Tom, zwracając się do mojej odwróconej głowy.

– Prawie na jakim miejscu? – wydusiłam z siebie.

– „Pewnemu chłopcu przypomnij mnie, co miłości wykradł mi kwiat” –

zaśpiewał Tom. Znów skręcił. Tym razem zjechaliśmy z traktu i poruszaliśmy się po nieutwardzonej ziemi. Jeszcze parę metrów i Tom zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

– Chodź – powiedział, otwierając drzwi od swojej strony. – Chcę ci coś pokazać.

Otworzyłam drzwi i niepewnie stanęłam. Wzgórze było bardzo blisko, ale my staliśmy na pochyłym gruncie, który nie wyglądał ani na ziemię rolną, ani na wrzosowisko. Przed nami rosło parę drzew, które w ciemności wyglądały na iglaki. Odwróciłam się na dźwięk kroków i zobaczyłam, że Tom niesie coś pod pachą.

– Chyba nie mam ochoty na pieszą wycieczkę – powiedziałam.

– Mały spacer – odparł i wziął mnie za rękę. Szedł, ciągnąc mnie za sobą, a ja mogłam myśleć tylko jedno: Tom trzyma mnie za rękę.

Szliśmy krótką ścieżką, suchą i chrupiącą pod nogami od sosnowych igieł w stronę wielkiego obszaru czerni. To było jezioro. Usłyszałam szelest wodnego ptactwa kryjącego się wśród trzciny, czułam gorzki zapach unoszący się nad wodą. Zatrzymaliśmy się jakieś pięć metrów od brzegu. Tom rozwinął koc i rozłożył go przed nami. Usiadł. Po sekundzie zrobiłam to samo.

– To jest Black Tarn – powiedział. – Przychodziliśmy tutaj, kiedy byliśmy dziećmi i strasziliśmy się opowieściami o duchach.

Pomyślałam o potworze, który skradał się po ulicach Sabden, o Lunie, samotnej i wystraszonej.

– Nie potrzeba mi opowieści o duchach, żeby się bała.

Nad nami stał księżyc w pełni, jego odbicie drżało na wodzie, tworząc nieustannie poruszającą się kałużę jasnego srebra. Z dala od świateł miasta gwiazdy wydawały się nienaturalnie jaskrawe i też miały swoje repliki na wodzie. Jezioro było jak czarne zwierciadło otoczone przez las.

Przypomniałam sobie, że czarne zwierciadła były używane w czarnej magii.

– Z tym miejscem związana jest legenda – powiedział Tom – według której niemowlaki płci żeńskiej z Pendle są chrzczone dwa razy. Raz w kościele, tak jak to robią dobrzy chrześcijanie, żeby przyjęto je do rodziny Chrystusa, naszego zbawcy...

– Nie wiedziałam, że jesteś religijny.

– ...a potem w tym jeziorze, Black Tarn, pod Wzgórzem. Po drugim chrzcie zostają córkami zupełnie innego mistrza. Podwójny chrzest to błogosławieństwo,

bo daje im siły potężniejsze od tych, które są udziałem śmiertelniczek, a jednocześnie przekleństwo, bo przez resztę życia muszą zmagać się z mroczną stroną swojej natury.

– To bardzo poetyckie – powiedziałam prawie na serio. Chyba jeszcze nie słyszałam, żeby Tom był taki poważny.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Florence, więc pojawia się pytanie, czy chcesz być kobietą z Pendle?

– Co?

– Jezioro słynie również z kąpania się nago. – Nagle wstał i zrzucił marynarkę. Usłyszałam, jak w kieszeni zadzwoniły drobne, kiedy upadła na trawę.

– Nie mówisz tego na serio?

Mówił. A przynajmniej mógł tak myśleć. Już do połowy zdjął koszulę. Nie bawił się w jej rozpinanie, po prostu ściągnął ją przez głowę, potem opuścił ręce i zaczął majstrować przy spodniach.

– Nie wierzę własnym oczom. – Chciałam odwrócić wzrok, naprawdę chciałam.

Skopał buty, nachylił się i zdjął skarpetki, a potem zrobił parę kroków do brzegu.

– Florence, nie przejmuj się względami skromności. Nie będę patrzył za siebie, póki nie znajdziesz się w wodzie.

– Zwariowałaś. Tam musi być lodowato.

Stanął nad wodą i zaczął nacierać ramiona.

– Tylko wtedy, kiedy wchodzisz do wody. I bardzo zimno jest przez pierwsze dziesięć minut. Zaręczam. Potem tracisz czucie.

Z trudem wstałam.

– Tom, dostaniesz ataku serca. Nie dam rady cię wyciągnąć.

Ściągnął dzinsy do bioder i nachylił się do przodu, żeby je z siebie zwlec. Odwróciłam się, więc usłyszałam, nie zobaczyłam, jak padają na ziemię. Patrzyłam na samochód, który stał w pewnej odległości od nas, ale jego powierzchnia odbijała obraz, więc zobaczyłam Toma w miniaturze, nagiego, jak pobiegł przed siebie i zniknął z pola widzenia. Przez ułamek sekundy panowała cisza, potem usłyszałam brawurowy okrzyk i pomyślałam, że musiały się obudzić wszystkie owce w promieniu półtora kilometra. Wreszcie Tom, z potężnym pluskiem, rzucił się do wody.

Odwróciłam się i zobaczyłam jego ciemną, moką głowę wynurzającą się nad

taflę jeziora.

Ramiona miał białe na tle czarnej wody, przebierał rękami, płynąc energicznym kraulem. Odpływał ode mnie, z sekundy na sekundę robił się coraz mniejszy.

Weszłam na plażę, byłam gotowa w każdej chwili krzyknąć. Tom był oddalony o dobre dwadzieścia metrów, pewnie już nie mógł sięgnąć dna, ale zatrzymał się i nawet podniósł rękę, żeby pomachać. Zanurkował, a ja wstrzymywałam oddech, póki znów się nie pojawił kilka metrów dalej wzdłuż linii brzegu.

– Co? – Przyłożył dłoń do ust. – Czy dziewczęta z wyższych sfer nie pływają?

Byłam nadal pijana. Nie mam innego usprawiedliwienia na to, co potem zrobiłam. Tom gwizdnął, kiedy ściągnęłam ubranie. W przeciwieństwie do niego – widziałam jego spodenki na trawie pod moimi stopami – nie rozebrałam się do rosołu. Zostawiłam biustonosz i majtki.

Do dzisiaj pamiętam, jaka zimna była woda. Nie zanurkowałam na ślepo – nie miałam śmiałości, a poza tym, z rozsądku, zawsze obawiałam się owijających się wokół ciała wodorostów, dużych ryb i tego, co mogło znajdować się pod powierzchnią głębokiej, ciemnej wody. Więc z wahaniem, powoli weszłam.

Tom znów zniknął pod powierzchnią, ale byłam w szoku i bardziej bałam się o swój stan zdrowia, żeby się tym przejmować. Pojawił się znowu przede mną i zaczął na mnie chlapać. Krople mnie parzyły.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę brzegu.

– Przestań. Wychodzę.

– O, nic z tego.

Chwyciły mnie dwa silne, mokre ramiona i wtedy straciłam zdolność poruszania się, a nawet myślenia, bo wciągnął mnie pod wodę i zimno zalało mi wnętrze głowy. Płonęłam żywcem w lodzie. Kiedy wypłynęliśmy na wierzch, głośno dyszałam. Potem przestałam, bo usta Toma nakryły moje usta, a ja mocno się go trzymałam, czując na sobie jego nagie ciało, jego ramiona, które mnie obejmowały, i nagle okazało się, że wcale nie jest mi tak zimno.

Tamtej nocy kochaliśmy się z Tomem trzy razy na kocu, który przyniósł z samochodu. Chciałabym powiedzieć, że pamiętam każdy jego pocałunek, każde dotknięcie jego dłoni, ale prawda jest taka, że mnóstwo szczegółów z tamtej nocy umknęło mi, tak samo jak ostrożność i zdrowy rozsądek. Pamiętam zimny wiatr na

ciągle wilgotnych ciałach i jego gorący oddech na mojej szyi. Pamiętam niecierpliwość jego pocałunków i męczarnię łagodności, kiedy we mnie wchodził. Pamiętam, jak nocny ptak krakał nad naszymi głowami i echo mojego krzyku wokół Wzgórza.

Po drugim razie noc zrobiła się zimniejsza. Przyciągnął mnie bliżej i zarzucił na nas skraj koca. Po trzecim razie leżeliśmy płasko na plecach, trzymaliśmy się za ręce, patrzyliśmy na księżyc, który – słowo daję – odwzajemniał się spojrzeniem.

– Chyba powinniśmy wspomnieć o tym w pracy – powiedziałam.

Lekko się roześmiał.

– Wbrew powszechnemu przekonaniu to kobiety całują i rozpowiadają, nie faceci. I mam więcej do stracenia.

Światło księżyca minimalnie zmatowiało.

– Właściwie, to nie mam z kim plotkować – powiedziałam. – Chyba powiem o tym pszczołom.

Odwrócił głowę, przez sekundę był zaskoczony.

– Aha, racja. Sally trzyma pszczoły.

– Hm.

Milczenie.

Ciężko westchnął.

– Kochanie, musisz mi dać trochę czasu. Nie mogę odejść od Eileen, nie robiąc żadnych planów. I nie wydaje mi się, żeby któreś z nas potrzebowało jeszcze większego zamieszania podczas takiego śledztwa.

Jakaś część mnie myślała: *Hura, robi plany na przyszłość, w których jest miejsce dla mnie.* Ale inna część: *I tak zaczynają się wymówki. Teraz śledztwo. Co będzie potem?*

Usiadłam.

– Skoro mowa o sprawie. Jestem już całkowicie trzeźwa i gotowa wypić w domu piwo, którego nawarzyłam.

Pozbieraliśmy ubrania i z trudem się ubraliśmy, bo byliśmy wilgotni i lepcy. Pobiegliśmy do samochodu, bo było już naprawdę zimno. Trochę się całowaliśmy, potem Tom włączył silnik i odwiózł mnie do domu.

Nie pocałował mnie, kiedy żegnaliśmy się na ulicy przed domem Glassbrooków, bo nie wiedzieliśmy, kto patrzy. Ścisnął mi dłoń i uśmiechnął się. To mi

wystarczyło.

45

Poniedziałek, 30 czerwca 1969

Obudziłam się w nocy, sekundę zanim telefon zaczął dzwonić. Nie pytajcie dlaczego. Wiem tylko, że najpierw głęboko spałam, a potem byłam całkowicie rozbudzona i siedziałam na łóżku.

Wtedy zadzwonił telefon.

Wstałam z łóżka, zbiegłam po schodach, wyprzedzając własne myśli, ale gdy dobiegłam do telefonu, byłam prawie pewna, że chodzi o Lunę, że prawie na pewno dzwonią z komisariatu i że ani Sally, ani Larry nie powinni pierwsi mieć dostępu do tej informacji, jakakolwiek by była.

Kiedy dotknęłam zimnych kafelków posadzki, przyszło mi do głowy, że to może być Tom, odrzuciłam tę myśl jako głupią, chociaż serce zaczęło mi walić na niestosowną, cudowną myśl, że może jednak.

– Halo – powiedziałam cicho, chociaż słyszałam stłumione głosy i ruch na górze.
– Tu posterunkowa Lovelady.

Tak bardzo spodziewałam się dyżurnego z komisariatu, że przez sekundę nie docierało do mnie, co się dzieje, gdy nieznany mi głos powiedział:

– Flooorrensse?

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak wymawiał moje imię. Zawsze mi się ono podobało, ale w tamtej chwili nie. Nie tak wymówione.

– Kto mówi? – Nadal mówiłam półszepem.

Na piętrze usłyszałam otwieranie drzwi i Larry'ego, który spytał:

– Co się dzieje?

– Jeśli chcesz ją uratować, musisz się pośpieszyć.

Przyłożyłam dłoń do ust.

– Chodzi o Lunę? Gdzie ona jest?

– Chodzi drogą cmentarną, a wszyscy wiemy, dokąd ona prowadzi. Florence,

ona jest prawie przy swoim grobie. – Znów ta rozciągnięta z syczącymi spółgłoskami wersja mojego imienia.

Koniec rozmowy.

Droga cmentarna. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, że to figura stylistyczna, ale kilka sekund później nie byłam tego pewna. Drogi trupów są prawdziwe. Czytałam o nich.

Larry był już w połowie schodów. Sally tuż za nim. Cassie wychyliła się zza balustrady, a Ron, trzeci lokator, stał w drzwiach swojej sypialni. Jedyne mieszkaniec tego domu, którego chciałabym zobaczyć, był nieobecny. Randy miał nocną zmianę.

– Co? Co się stało? – Larry wyrwał mi słuchawkę, chociaż już nikogo nie było po drugiej stronie linii.

– Przepraszam. – Podniosłam wzrok. – Przepraszam wszystkich. To nie ma nic wspólnego z Luną. Muszę iść do pracy, ale informacji nie ma. Przepraszam. Wracajcie do łóżek. – Przepięłam się obok Larry’ego i pobiegłam na górę.

Źle się czułam, że nie powiedziałam Glassbrookom prawdy, ale angażowanie ich w sprawę niczego by nie dało i właściwie mogłoby nas spowolnić. Śląc milczące modlitwy dziękczynne do Toma, że przyprowadził pod dom mój samochód, dojechałam do najbliższego telefonu policyjnego i po kilku sekundach połączyłam się z dyżurnym.

– Droga cmentarna? – zapytał, a ja w myślach widziałam, jak drapie się po głowie. – Mieszkam i pracuję tutaj prawie trzydzieści lat i jestem całkowicie pewien, że nie ma ulicy o takiej nazwie.

– To nazwa rodzajowa, nie własna – powiedziałam. – Drogi cmentarne są w całym kraju – w zasadzie to ścieżki prowadzące do kościołów – ale zazwyczaj nie nazywa się ich w ten sposób. Mówi się różnie, droga trumien, droga pogrzebowa. O Boże, sierżancie, już wiem.

– Co?

– Brama Cmentarna. To droga wiejska, a potem ścieżka przy Well Head Road.

– Wiem, gdzie to jest. Pod Wzgórzem.

– Sierżancie, Brama Cmentarna to nazwa drogi cmentarnej. Wiesz, dokąd prowadzi? Kiedy wczoraj byłam na Wzgórzach, wydawało mi się, że widzę jakiś budynek otoczony drzewami.

– Nie mogłaś go widzieć, już go nie ma. Przed wiekami był tam kościół. Teraz to kupa kamieni.

– A cmentarz przy kościele? Nadal tam jest? Sierżancie, czy tam są groby?

– Dzwonię do Jacka Sharplesa – odpowiedział policjant. – I wyślę tam samochód. Lepiej żebyś przyszła, Flossie.

– Podjadę tam – odparłam. – Wiem, gdzie to jest. Zostanę w samochodzie i poczekam na wsparcie.

– Flossie, nie chcę, żebyś tam jechała sama. Przyjedź natychmiast do komisariatu. Tutaj odbierzesz rozkazy.

– Będę ostrożna, sierżancie. Obiecuję.

Rozłączyłam się. Będę miała kłopoty, że przerwałam rozmowę z sierżantem, ale sprzeczka byłaby tylko stratą czasu. To do mnie ktoś zadzwonił. To mnie ktoś powiedział, że mam się spieszyć, jeśli chcę ją uratować.

O tej godzinie zajęło mi mniej niż dziesięć minut, żeby dojechać do miejsca na Well Head Road, w którym odchodząca od niej droga wiejska była oznakowana na tablicy jako Brama Cmentarna. Zboczyłam z głównej drogi i dalej jechałam powoli, bo mój samochód nie był dostosowany do tak nierównego terenu, a droga była wąska. Kiedy dotarłam do przełazu przez mur i ostrego zakrętu, przez który wczoraj dotarłam na Wzgórze, okazało się, że dalej jechać nie mogę. Zostawiłam włączone reflektory i wysiadłam.

Pod przełazem był wielki, płaski kamień. Pośrodku kamienia stała świeczka w słoiku po dzemie. Wiedziałam, że zostawiono ją dla mnie.

„Chodzi drogą cmentarną”.

Z lektur okultystycznych wiedziałam, że drogi cmentarne pochodzą ze średniowiecza, gdy w całym kraju budowano nowe kościoły, a księża z kościołów matek mocno bronili swoich wpływów i dochodów wynikających z ich prawa do urządzania pogrzebów.

Powstawały ścieżki łączące odizolowane gminy z kościołami matkami, często traktując kościół satelicki jako punkt, od którego ścieżka się zaczynała. I właśnie tamtędy niesiono trumny.

Przede mną rozpościerała się Brama Cmentarna, ścieżka, którą niesiono zmarłych przez stulecia. Niknęła w ciemności. Jednak na drugim końcu pola zobaczyłam jakieś światełko. Byłam pewna, że je widzę.

Nie jestem idiotką. Oczywiście, kiedy je zobaczyłam, pomyślałam, że to pułapka. Odsunęłam się od samochodu, zrobiłam duży krąg, na wypadek gdyby ktoś się do mnie skradał.

Światło w oddali nie poruszyło się. Było tam, żeby oświetlić mi drogę. A może, żeby mnie zwabić.

Obejrzałam się na drogę, szukałam zbliżających się reflektorów. Nie zobaczyłam niczego. No chodź. No chodź. Nie miałam ochoty iść samotnie ścieżką zmarłych.

Gdzieś, w oddali, usłyszałam krzyk.

Ruszyłam biegiem. Mówiłam sobie, że jestem policjantką i obecność na miejscu zbrodni to mój obowiązek. Żaden z kolegów nie czekałby przy samochodzie, gdyby usłyszał krzyk. Zrobiliby to, co teraz ja robiłam, pobiegliby w stronę, z której dochodził, zachowywaliby ostrożność, rozglądaliby się na wszystkie strony, uważaliby, czy ktoś nagle nie wyskakuje, ale biegliby dalej, pędziliby w stronę niebezpieczeństwa, bo taki mieli zawód.

Zatrzymałam się, kiedy dotarłam do muru po drugiej stronie pola. Światelko, w stronę którego biegłam, okazało się kolejną świeczką w słoiku po dżemie stojącym na płaskim kamieniu w murze. Był tam kolejny kamienny przełaz, a po drugiej stronie muru płynął strumyk z ułożonymi w poprzek kamieniami, po których przeszłam. Z lektur zapamiętałam, że duchy nie potrafią przejść przez płynącą wodę, a przełazy pokonują z trudem. Drogę cmentarną tak zaplanowano, żeby z każdym krokiem duch zmarłego miał coraz trudniejszy powrót. To była ulica jednokierunkowa. Musiałam mieć nadzieję, że nie okaże się taką dla Luny.

Ani dla mnie.

Znów ruszyłam, trochę szłam, trochę truchtałam, bałam się, że zabraknie mi odwagi. Kiedy zbliżałam się do końca drugiego pola, wydawało mi się, że między drzewami widzę zarys zrujnowanego starego kościoła.

Wspięłam się na ostatni przełaz i ruszyłam w ciemność lasu. Teraz szłam powoli, uważnie nasłuchiwałam, rozglądałam się. Nie dam się wziąć z zaskoczenia. Ostatni zakręt.

Małeńki kościółek wyglądał, jakby od lat nikt do niego nie przychodził. Nie licząc, oczywiście, tej osoby, która zostawiła kolejną świeczkę w szklanym słoiku tuż pod jednym z kamieni nagrobnych.

Między drzewami widziałam odległą drogę i – nareszcie – reflektory

samochodu. Mieli jeszcze jakieś półtora kilometra, ale zbliżali się.

Kruchta już dawno legła w ruinie i wejścia strzegły tylko dwa wielkie kamienie. Przeszłam między nimi, kierując się światłem. Uważałam na ruszające się cienie, na wszystko, co nie pasowałoby do otoczenia.

Ścieżka między grobami była zarośnięta, ale widziałam, którądy kiedyś biegła. Byłam tak blisko, że mogłam zobaczyć nazwisko na kamieniu nagrobnym. Ale nie patrzyłam na kamień, tylko na grób.

Groby z czasem robią się płaskie. Bezpośrednio po pogrzebie są kopczykiem miękkiej, luźnej ziemi. Nawet jeśli grabarz przyklepał kopczyk, nadał mu kształt i obłożył darnią i tak grób wystaje ponad poziom płaskiego gruntu. Wpływa na to nie tylko trumna albo skrzynia: grabarz by na to nie pozwolił. Chodzi o to, że w ziemi uwięzione jest powietrze i trzeba czasu, żeby uciekło, a ziemia się utwardziła. Według Dwane'a opadanie grobu może zająć nawet pół roku, w zależności od warunków pogodowych.

Na tym cmentarzyku od dziesięcioleci nikogo nie pochowano. Ziemia powinna tu być równie gęsta, jak ta na Wzgórzu. I taka była.

Ale nie tam, gdzie stałam. Ten grób był kopcem luźnej ziemi. Nie była gładka i zaokrąglona, tak jak groby sypane przez Dwane'a, ale była jak usypana, jak dziecięcy zamek z piasku. To był świeży grób.

Kopczyk zaczął się poruszać.

Chyba krzyknęłam. Kto by nie krzyknął? Na pewno zatoczyłam się do tyłu. Chyba w pewnej chwili zamknęłam oczy i modliłam się, żeby to nie było to, ale potrwało to może sekundę, może dwie. Otworzyłam oczy, ziemia nadal się ruszała.

Jakby zapadała się sama z siebie, jakby pod spodem coś ryło tunel, a potem piasek zaczął buzować, jak gotujący się gulasz. Usłyszałam cichy, stłumiony jęk strachu.

Zamknęłam umysł na zalewające go przerażające obrazy i rzuciłam się na kolana. Wybierałam oburącz ziemię. Była ciepła i wilgotna, jakby absorbowała ciepło ciała próbującego się uwolnić. Znów zgarnęłam ziemię, przerażona, co wydobywam na wierzch, ale musiałam kopać dalej. Bez przerwy zanurzałam dłonie w ziemi, za każdym razem wkopując się głębiej.

Kiedy dotknęłam ciepłego ciała, krzyknęłam i cofnęłam rękę. Spod ziemi odpowiedział mi krzyk. Luna. To była Luna, nie jakiś stwór z najgorszego

koszmaru. Musiałam kopać dalej.

Wkopywałam się w ziemię, ręce mi krwawiły. Kopałam dalej, nawet kiedy zobaczyłam, że z za moich pleców świeci jeszcze jedna latarka, gdy usłyszałam krzyk posterunkowego z radiowozu, kiedy dotarły do mnie jego kroki. Zanim podbiegł, spod ziemi ukazała się dłoń, która mocno schwyciła mnie za rękę.

46

Niechętnie przyznaję, że mało wtedy nie wyrwałam ręki i nie uciekłam, ale przybycie drugiego posterunkowego dodało mi odwagi. We dwoje kopaliśmy w ziemi jak psy, póki nie uwolniliśmy Luny. Dyszała, łapiąc powietrze, i pluła ziemią. Powiedziałam jej, że jest okej, że znaleźliśmy ją i teraz jest bezpieczna.

W pewnej chwili jakby przestała oddychać, ale posterunkowy był bystrym człowiekiem. Szybko wsadził jej palec do ust i wyjął przeszkodę. Kiedy byliśmy pewni, że się nie udławi, we dwoje wyciągnęliśmy ją z grobu, a kiedy była już na zewnątrz, owinięta w płaszcze nas obojga, nadjechali kolejni policjanci. Pierwszy z nich wrócił biegiem, żeby wezwać pogotowie ratunkowe. Ale my nie chcieliśmy czekać, więc ponieśliśmy ją z powrotem drogą cmentarną.

Luna pod wieloma względami miała szczęście. Pochowano ją płytko, nie w trumnie czy skrzyni, ale w jakimś zwyczajnym worku, który udało się jej rozerwać. Czuć było od niej alkohol, a kiedy zaczęła mówić, narzekała że czuje się słabo i strasznie boli ją głowa.

Dwoje z nas pojechało z nią karetką, która na sygnale zawiozła ją do szpitala w Burnley. Nie zadawaliśmy pytań, ale Luna sama chciała mówić. Powiedziała, że nie ma pojęcia, kto ją uprowadził. Jej ostatnie wspomnienie, to że szła ostatnią z ulic przed dojściem do domu, kiedy usłyszała, jak jakiś samochód zatrzymuje się za nią. Mała furgonetka. Myślała, że może tato jej szukał i przyjechał, więc czekała. Zamaskowana postać wyskoczyła z miejsca dla kierowcy i związaną wrzuciła ją do wozu.

Jej następne wspomnienie, to że obudziła się w bardzo ciemnym miejscu, opaską na oczach, z rękami związanymi z tyłu, a wokół niej czuć było przyprawiający o mdłości zapach kojarzący się z gabinetem dentystycznym.

Chloroform. Spojrzałam na kolegę, po jego oczach poznałam, że myśli to samo.

Podczas krótkiej podróży karetką Luna chciała nam chyba powiedzieć wszystko, co zapamiętała. Jakiś czas to potrwało – nie była w stanie stwierdzić jaki, bo

straciła poczucie czasu – zmuszono ją, żeby coś wypić. Zrobiło się jej po tym niedobrze, chciało się spać.

Znów spojrzenie na kolegę. Alkohol?

Powiedziała, że nie pamięta, jak ją niesiono z ciemnego pomieszczenia z powrotem do furgonetki. Ani jak znów ją niesiono, ani jak wkładano ją do dziury w ziemi. Kiedy się obudziła, miała trudności z oddychaniem. Gdy przyjechałam, musiała być pod ziemią od paru minut. Mężczyzna, który ją zakopał, bez trudu mógł obserwować, jak ją ratowałam. Ten sam, który do mnie zadzwonił.

Dlaczego to zrobił?

Dojechaliśmy do szpitala w Burnley w tym samym czasie co reszta Glassbrooków i przez kolejne pół godziny panował chaos. Dopiero po naleganiach lekarza, żeby zostawić Lunę w spokoju, powiedziała, że chce ze mną rozmawiać. Tylko ze mną. Chciała, żeby wszyscy, nawet jej rodzice, wyszli ze szpitalnej sali.

Próbowałam uśmiechnąć się do ściągniętej twarzy na białej szpitalnej poduszce.

– Byłaś bardzo dzielna. – Uśmiech nie zadziałał. Można było rzucać monetę, która z nas pierwsza się rozplącze.

Jej twarzyczka jeszcze bardziej się ściągnęła, wypełniały ją wystraszone, niebieskie oczy. Sięgnęła w moją stronę, ręce miała jeszcze brudne, skórę wokół paznokci zakrwawioną.

– Jak myślisz, czy mama nas usłyszy?

– Wątpię – powiedziałam, chociaż nie byłam pewna. Sally nie była zadowolona, że ją wyproszone, i pewnie stała nieopodal.

– Nie chcę, żeby wiedziała. – Łzy, które zbierały się w oczach Luny, przelały się i zaczęły staczać się po policzkach.

– Czego żeby nie wiedziała? – wyszeptałam, chociaż byłam pewna, że wiem. W tym porażonym wyglądzie, w problemie z patrzeniem ludziom w oczy jest coś, co kobiety instynktownie rozpoznają. Jeszcze nie miałam do czynienia z ofiarą gwałtu. Byłam pewna, że właśnie mam do czynienia z pierwszą.

– Robił ze mną różne rzeczy. – Oczy miała utkwione w suficie. – Skrzywdził mnie.

Musiałam poznać szczegóły, więc wydobywałam je z niej. Jej rodzice będą chcieli je poznać. Nie było sposobu, żeby ich przed tym uchronić.

– Luna, miałaś okazję przyjrzeć mu się? – zapytałam.

Pokręciła głową i kolejna łza spłynęła jej po skroni na poduszkę.

– Czasem wydaje mi się, że było ich więcej – powiedziała do lampy na suficie – ale słyszałam tylko jeden głos.

– Rozpoznałaś go?

Pokręciła głową.

– Był młody czy stary?

Przez jakiś czas skupiałam się na głosie: Luna sądziła, że był to ktoś starszy od jej ojca i na pewno pochodził z Lancashire. Nie zapamiętała żadnej szczególnej manieri ani wymowy.

Spędziłam ponad godzinę z Luną w szpitalnej salce. Słyszałam ruch za drzwiami, przytłumione, potem podniesione głosy, twarze zaglądnące przez okienko. Wpuściłam matkę do Luny dopiero, kiedy siostra oddziałowa weszła i oświadczyła, że dziecko naprawdę musi pospać. Matka patrzyła na mnie jak na wroga.

Miałam nadzieję, nawet spodziewałam się, że Tom będzie czekał na mnie w szpitalu, że zgłosi się na ochotnika, żeby zawieźć mnie do domu albo do komisariatu, gdyby raport nie mógł poczekać do rana. Było już po trzeciej.

Ale na końcu korytarza czekał komisarz Sharples z dwoma policjantami w mundurach, jakby blokowali mi wyjście.

– Posterunkowa Lovelady, proszę z nami – powiedział Sharples, kiedy podeszłam. – Proszę z nami. Zabieramy panią na przesłuchanie.

47

Na posterunku panował ruch. Lunny szukał cały personel, który miał służbę, i wielu ściągniętych na nadgodziny. Ci, których nie potrzebowano na miejscu zbrodni na starym cmentarzu kościelnym, zebrali się w komisariacie i czekali, co będzie dalej.

Ja byłam tym, co było dalej.

Nie dostałam pochwały za wykopanie Luny Glassbrook z przedwczesnego grobu. Nikt nie poklepał mnie po plecach. Nie było trzykrotnego hura. Kiedy przyjechaliśmy, ludzie czekali na parkingu, wyglądali przez okno na górze albo kręcili się wokół recepcji. Wpatrywano się we mnie, gdy przechodziłam. Wiedziałam, że nastąpiła jakaś nieokreślona zmiana.

Nigdy mnie nie lubiano, ale tolerowano, może jako swego rodzaju osobliwość, ale swoją. Już nie. Nie wiedząc o tym, przekroczyłam niewidzialną granicę.

Miałam dreszcze. Parę godzin wcześniej wybiegłam z domu Glassbrooków bez płaszcza. W szpitalu było gorąco, jak to w szpitalu, ale ledwie stamtąd wyszłam, już zaczęłam dygotać. Nikt nie zaproponował mi okrycia, koca, a nawet herbaty. Kiedy teraz o tym myślę, nie wydaje mi się, żeby to pomogło. Nie sądzę, że te niepoddające się kontroli dreszcze wynikały z przeziębienia.

Zaprowadzono mnie do pokoju przesłuchań i kazano usiąść. Nie poproszono, kazano. Naprzeciwko siedzieli Sharples i Brown. Siedziałam twarzą do lustra, które naprawdę było oknem, bo podejrzani zawsze tak siedzieli.

– Kto nas obserwuje? – zapytałam.

– Nie mogę powiedzieć. – Sharples otworzył teczkę. – Zastanawia mnie, Lovelady, że zatelefonował do ciebie zabójca, porywacz, czy jak go tam nazwać. Dlaczego do ciebie zadzwonił i powiedział, gdzie jest Luna, żebyś miała czas na uratowanie jej życia?

Mnie też to zastanawiało.

– Nie sądzę, żeby to był zabójca. Zabójca nie ostrzegał w sprawie Patsy i innych. Nie chciał, żeby ich znalezione. Uważam, że osoba, która zadzwoniła do mnie dziś

wieczorem, to ktoś inny.

Sharples popatrzył na mnie przeciągle zimnym wzrokiem.

– Ciekawa teoria. Że też dopiero teraz o tym wspomniałaś.

– Przez parę ostatnich godzin miałam ręce pełne roboty, sir.

– Jeśli to nie zabójca, to kto? – zapytał Brown.

– Ktoś, kto go zna – powiedziałam. – Ktoś, kto wie, co się dzieje, ale za bardzo się boi, żeby powiedzieć.

– Ale dlaczego skontaktował się z tobą? – zapytał Sharples. – Nie jesteś nawet detektywem.

– Jestem jedyną policjantką w komisariacie – odparłam. – Bywam zauważana.

– A ta osoba, która chce pomóc, zupełnie przypadkiem zna numer twojego telefonu domowego?

– Dom Glassbrooków to pensjonat – powiedziałam. – Każdy może znaleźć numer.

W pokoju obok coś upadło. Spojrzałam wprost w lustro, zobaczyłam swoje odbicie. Zastanawiałam się, w czyje oczy patrzę tam, po drugiej stronie.

– Śmieszne, jaki z ciebie mistrz w znajdowaniu tych zaginionych dzieci – powiedział Brown. – Najpierw Patsy, teraz Luna i pokazałaś nam, w którą stronę pójść za Stephenem i Susan. Jeśli miałaś rację, będziemy musieli zadać sobie pytanie, czy jesteś genialna i doświadczona ponad swój wiek, czy... – Nie dokończył pytania.

– Posłano mnie do cmentarza przy kościele św. Wilfryda, kiedy jakieś dzieci zgłosiły, że słyszały krzyk – przypomniałam mu. – Uznano to za dowcip, więc posłano mnie.

– Czy ktoś pokierował cię w stronę Stephena i Susan, czy zamiary znalazłaś sama? – zapytał Brown.

– Tom na to wpadł, nie ja. – Utkwiłam wzrok w lustrze, próbowałam go zobaczyć. Jeśli tam był, to wiedział, i to jak cholera, co teraz myślę.

– Naprawdę? – zapytał Sharples. – Bo pamiętam, że ty bardzo dumna z siebie, nam o tym mówiłaś. Tom, jak to on, był tępawy. – Zwrócił się do Browna. – Woodsmoke, zapamiętałeś to inaczej?

Brown pokręcił głową.

– Rano cały dom usłyszał telefon – powiedziałam. – Nie mogłam przecież sama

dzwonić.

– A no tak, w tym rzecz – powiedział Sharples. – Rozmawialiśmy z państwem Glassbrookami, z panem Picklesem, nawet z młodą Cassie i żadne z nich nie było całkowicie pewne, że ktoś telefonował.

Opuszczała mnie nadzieja, która mi towarzyszyła, odkąd opuściłam szpital, że sprawa jest irytująca, ale wkrótce się wyjaśni. Czułam sensacje w żołądku. Zaczęło do mnie docierać, że dzieje się coś, czego do końca nie rozumiem.

– To śmieszne – powiedziałam, próbując zachować spokój. – Żadne z nich nie spało, gdy odebrałam telefon. – Wróciłam myślami do chwili, w której dzwoniący odłożył słuchawkę, a ja spojrzałam do góry i zobaczyłam widownię na półpiętrze.

– Powiedzieli, że usłyszeli, jak trzaskasz drzwiami swojej sypialni i zbiegasz po schodach. Potem usłyszeli twój głos. Żadne z nich nie jest pewne, ale nie pamiętają, żeby dzwonił telefon.

– Czy to możliwe? Szybko biegłam, ale telefon zadzwonił trzy, może cztery razy, zanim do niego dotarłam. Glassbrookowie czekali na telefon – bali się go. Nie przegapiliby trzech dzwonków, prawda?

Tymczasem Brown majstrował przy czymś pod stołem. Wyprostował się i zobaczyłam moje gliniane figurki w przezroczystej, plastikowej torbie. Królik, kot, ryba, ptak i niezgrabnie wykonana postać ludzka.

– Mówiłam wam, próbowałam sprawdzić, czy łatwo zrobić figurkę z miejscowej gliny – powiedziałam. – Wykopałam glinę z ogrodu Glassbrooków. To też wam mówiłam.

– Mówiłaś.

– Florence, w twoim pokoju znaleźliśmy mnóstwo książek – rzekł Brown. – Książek o czarownictwie, opowieści o duchach, o folklorze. Aż dziw, że mogłaś zasnąć.

– Dostałam rozkaz, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o czarownictwie. Nie interesowałam się tym tematem, dokąd nie znaleźliśmy wizerunku Patsy.

– Florence, musisz spojrzeć na to z naszego punktu widzenia – odezwał się Sharples. – Przyjechałaś w lutym, a niecały miesiąc później zaginęło dziecko. Potem drugie, trzecie, czwarte. A ty masz więcej sukcesów w rozpracowaniu tego niż cała fura policjantów, którzy mają dwa razy więcej doświadczenia od ciebie.

Nie miałam na to odpowiedzi, ale wiedziałam, że mnie to pogrąży.

– Lunę zgwałcono – powiedziałam, zamiast się tłumaczyć. – Nie dano mi szansy, żeby złożyć raport. Zmuszono ją, żeby położyła się twarzą do posadzki w ciemnym pomieszczeniu i wzięto od tyłu. Dwa razy. Niby, że mi wyrósł penis?

Obaj byli zszokowani. Takiego słowa młoda, miła dziewczyna nie użyłaby w 1969 roku.

– Lovelady, znasz sprawę Myry Hindley? – zapytał Sharples.

– Zapoznałam się ze sprawą Hindley i Brady’ego – odparłam.

– Więc wiesz, że Hindley była przynętą. Miła, młoda kobieta, której zadaniem było uspokajać dzieci, że nic im się nie stanie, jak wsiądą do furgonetki i gdzieś pojedą.

– Ale ona nie była tylko przynętą – powiedział Brown. – Odgrywała aktywną rolę w torturach. Niektórzy uważają, że była mózgiem całego przedsięwzięcia.

– Nie jestem przynętą. – Nie było sensu udawać, że nie wiem, do czego zmierzają. – Nie mam współnika i nie mam nic wspólnego ze zniknięciami dzieci.

Sharples wstał.

– Na tym koniec. Państwo Glassbrookowie nie chcą, żebyś dziś wieczór wróciła do ich domu, a ja muszę uwzględnić ich punkt widzenia. Chyba lepiej, żebyś tutaj została.

W brzuchu poczułam mocniejsze skurcze.

– W celi?

– Kochana, nie prowadzimy pensjonatu. Ciesz się, że nie jesteś aresztowana.

Niby nie byłam aresztowana, ale kiedy zatrzasnęły się drzwi celi, a kroki sierżanta na służbie ucichły w korytarzu, naprawdę przestraszyłam się o swój los.

Cela była mała i zimna, a mrugające światło zostało na całą noc. Był tam jeden koc, a materac śmierdział moczem. W rogu stał kubeł. Ściany były poplamione i miejscami mokre.

To było gorsze, znacznie gorsze niż skradanie się w ciemności na cmentarz przy kościele i odkopywanie zaginionej dziewczyny. Tamto wymagało odwagi i wiary w siebie charakterystycznej dla młodości. To wyglądało, jakby wydarzenia całkowicie wyrwały mi się spod kontroli. Jak zmieniłam się z godnego zaufania członka zespołu w podejrzaną? Czy podejrzenia z czasem narastały, a ja byłam za bardzo zajęta sobą, żeby to zauważyć?

Książki, wykresy, gliniane modele? Staralam się zbliżyć do zabójcy, zobaczyć to, co on widział. Zamiast tego weszłam w jego skórę, że aż nie można było mnie rozróżnić, a jednak nadal nie byłam w stanie go zidentyfikować.

Nie spałam wiele i kiedy zaświtało za kratami w oknie, usiadłam na pryczy i próbowałam się uspokoić. Według jej własnych słów Luna została zgwałcona. To oczywiste, że nie byłabym zdolna do takiego czynu. Nie było współnika, którego mogliby wskazać, bo nie miałam przyjaciół poza komisariatem.

Bardzo niewiele było tutaj, jak dowiedziałam się w ciągu ostatnich kilku godzin.

Luna zaufała mi, wybrała mnie, żeby zwierzyć się z najgorszego, co ją spotkało podczas tej gehenny. Uwaga, że byłam współniczką w jej porwaniu, to absurd. Wkrótce się o tym przekonają. Wkrótce to się skończy.

Aresztantom co parę godzin podaje się jedzenie. Mimo że spędziłam w celi pół nocy, nie zaproponowano mi jedzenia, nie podano nawet filiżanki herbaty. O ósmej rano sierżant Brown otworzył drzwi.

– Wzywają cię na górę – powiedział.

Wstałam, wyprostowałam ubranie najlepiej, jak mogłam, i poszłam za nim

korytarzem, a potem na piętro. W komisariacie znów było nadzwyczajnie dużo ruchu. I znów rozmowy zamierały, kiedy się zbliżałam.

Brown zaprowadził mnie przez pokój wydziału kryminalnego do gabinetu inspektora. Był tam także Sharples.

– Lovelady, na jakiś czas zawieszam cię bez prawa do poborów – powiedział Rushton. – Gdybyś próbowała wyjechać z miasta, skontaktować się z Glassbrookami albo przyjść do komisariatu, każę cię aresztować.

– Z całym szacunkiem, sir, mam prawo wiedzieć, jakie są podstawy. – Nogi niemal się pode mną ugiwały, ale chyba nie domyślili się tego po moim głosie. Mówiłam równomiernie. Mówiłam z gniewem.

– W zespole powstały pytania, na które trzeba odpowiedzieć. – Rushton z trudem patrzył mi w oczy. – Przedstawiłaś gruntowną znajomość tej sprawy, której nie rozumiemy. Nie masz alibi na żaden wieczór, gdy ofiary znikają...

– Sir, to nieprawda – powiedziałam. – Byłam z Daphne Reece i Avril Cunningham, kiedy uprowadzono Lunę.

– Rozmawialiśmy z tymi dwiema paniami – powiedział Sharples. – Nie były pewne, o której godzinie wyszłaś od nich w sobotni wieczór. W ich domu nie ma zegarów i żadna z nich nie ma zegarka. Najwyraźniej rozpoznają czas według słońca i księżyca, a w takim przypadku dokładność ogranicza się do pół godziny.

Takie to moje szczęście.

– Luna Glassbrook złożyła dziś rano zeznanie, które przeczy temu, co powiedziałaś w nocy – mówił dalej Sharples. – Sądzi, że w porwanie mogła być zamieszana kobieta, i pamięta, jak w pewnej chwili wydawało się jej, że nie przysłałaś nieść pomoc, bo wyraźnie poczuła perfumy, których użyłaś.

– Nie perfumuję się – powiedziałam.

– Mydło, lakier do włosów czy co tam jeszcze – dodał Sharples.

– To wystraszone dziecko i ktoś jej to wmawia.

– Nie trzeba dodawać, że Glassbrookowie chcą, żebyś natychmiast się wyprowadziła – powiedział Brown. – Zabraliśmy twoje rzeczy, czekają na ciebie na dole. Odzyskaliśmy klucze do samochodu, którym jeździłaś.

Żołądek miałam coraz bardziej spięty. Umysł mi podpowiadał, żeby walczyć dalej, instynkt, żeby uciec i się schować.

Zaczął dzwonić telefon.

– To wszystko, Lovelady. – Wyglądało na to, że Rushtonowi ulżyło, kiedy chwycił słuchawkę.

Sharples i Brown wyprowadzili mnie za drzwi. Wszystkie oczy w pokoju zwróciły się w moją stronę. Na moim biurku stało kartonowe pudło. Ktoś włożył do niego moje rzeczy osobiste, teraz będę musiała wynieść je stąd, zabrać resztę moich doczesnych dóbr z recepcji i...

Nie miałam dokąd pójść ani środków, żeby się gdziekolwiek dostać. Nie byłam nawet pewna, czy mam pieniądze, żeby pojechać do domu, zresztą, zakazano mi wyjeżdżać z miasta.

Od drzwi gabinetu Rushtona do drzwi na korytarz miałam dwadzieścia kroków. Będą na mnie patrzyli przez całą drogę. Musiałam przejść obok biurka Toma, żeby dojść do swojego biurka. Był jedyną osobą w pokoju, która skierowała wzrok w dół.

Zatrzymałam się.

– Chcesz coś powiedzieć? – Skierowałam te słowa do czubka jego głowy.

Spojrzał w górę. Oczy miał twarde, jak kamienie.

– Nie pogarszaj sprawy, Florence – powiedział.

Gdybym została dłużej, pewnie bym zwymiotowała. Podeszłam do swojego biurka i wzięłam pudło. Było śmiesznie lekkie, ale kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam, że przycisk do papieru w kształcie budki policyjnej był rozbity na parę kawałków.

Brown przytrzymał drzwi. Gdy wyszłam, usłyszałam w pokoju westchnienie ulgi. Przyspieszyłam kroku, zeszłam po schodach. W recepcji siedziała, paląc papierosa, młoda kobieta w purpurowej mini i pasujących do niej szpilkach. Włosy miała upięte wysoko, blond, mocno natapirowane. Wstała, kiedy mnie zobaczyła. Miała może rok, dwa lata więcej ode mnie. Nosila trochę za mocny makijaż jak na tak wczesną porę, ale była atrakcyjną kobietą.

– Eileen – powiedział sierżant dyżurny ostrzegawczym tonem. Z pokoju za nim wyszli posterunkowi. Ten na przedzie uśmiechał się.

Podeszła do mnie i dźgnęła papierosem w stronę mojej twarzy. Musiałam zrobić unik w tył.

– Ty dziwko, trzymaj się do diabła z dala od mojego męża, bo cię dopadnę.

– Eileen. – Sierżant wyszedł zza kontuaru. – Zostaw ją – powiedział. – Nie jest

tego warta.

Moje rzeczy, dwie walizki, jeszcze jedno kartonowe pudło i kilka plastikowych toreb leżały przy drzwiach. Nie dałabym rady sama wynieść ich z komisariatu, a jednak wszyscy mieli zamiar popatrzeć, jak to robię. Wtedy dwie osoby weszły do recepcji, jak aktorzy na scenę, odpychając niegrzecznie posterunkowego stojącego w drzwiach.

– Tutaj jest – powiedziała Daphne. – Dziewczyno droga, samochód czeka na zewnątrz. Pozwól, że to wezmę. – Wyrwała pudło z moich objęć, a ja głupio się na nią gapiłam.

– To są twoje rzeczy? – Avril popatrzyła na stosik przy drzwiach. – Hm, jestem pewna, że sierżant pomoże nam zanieść to do samochodu. – Odwróciła się w jego stronę. – Blokujemy samochód inspektora, więc jak chcesz, Bilko.

Sierżant nie ruszył się, ale kiwnął głową na jednego z przyglądających się posterunkowych, który wziął moje walizki. Chwyciłam pudło, Avril wzięła torby i dwie minuty później siedziałam w ich triumfie heraldzie. I chociaż żadna mnie nie pytała, czy chcę, jechałam za miasto, w stronę ich domu.

Avril, która musiała dojechać do biura w Burnley, wyrzuciła nas przy drzwiach i z rykiem odjechała. Daphne, wybierała się do biblioteki dopiero na dziesiątą, wprowadziła mnie do kuchni, zrobiła herbatę i włączyła grzałkę, żebym mogła się wykąpać.

– Oni mnie nienawidzą – powiedziałam. – Wszyscy.

Daphne chodziła po kuchni szybko i hałaśliwie. Trzaskała kubkami, brzęczała łyżeczkami na blacie. Kiedy otwierała drzwi lodówki, bałam się, że wyrwie je z zawiasami.

– To głupie – mówiłam dalej. Myślałam, że ona też mnie nienawidzi, tylko wyraża to w bardziej cywilizowanej formie. – Nie mają dowodów, ale wszyscy aż się rzucili na pomysł, że jestem winna. Jakby chcieli w to uwierzyć. Jakby tylko czekali na najmniejszy pretekst.

Widziałam, że Daphne z sekundy na sekundę jest coraz bardziej rozzłoszczona. Rozlała herbatę po blacie, bo tak drżały jej ręce, kiedy próbowała napełnić kubek.

– Bardzo przepraszam. – Oparłam głowę na rękach. Już nie mogłam patrzeć na kolejną zagniewaną, twarz, na oskarżycielską minę. – Pójdę, kiedy wypiję herbatę.

Wezwę taksówkę. Dziękuję, że mnie podrzuciłyście.

Daphne z wściekłym wyciem uniosła wysoko dzbanek z mlekiem i trzasnęła nim o kafelki posadzki. Roztrzaskał się. Patrzyłyśmy na siebie.

– Nigdzie nie pojedziesz, póki ta banda idiotów nie przeprosi cię publicznie – parsknęła w moją stronę. – Póki nie znajdziemy tych biednych dzieci i nie powiesimy potwora, który robi im krzywdę, za jego żałosne, zwiędłe jaja. A to był ulubiony dzbanek Avril.

Przyciągnęła krzesło, usiadła obok mnie i wybuchła głośnym płaczem.

– Żeby sprawa była jasna – powiedziałam cicho – to na mnie jesteś zła?

Pociągnęła nosem, wytarła go rękawem swetra i wyciągnęła rękę. Złapała mnie za dłoń i oto miałam odpowiedź.

– Powiedz mi coś – zaczęła, kiedy przestała szlochać. – Ta piękna blond dziunia w komisariacie, która nazwała cię dziwką. To jakieś nieporozumienie?

Eileen, żona Toma. Och, żeby móc cofnąć czas o dobę.

– Rozumiem. – Daphne słabo się uśmiechnęła. – Cóż, kochana, wszyscy popełniamy pomyłki, szczególnie kiedy jesteśmy młodzi. Mam nadzieję, że był wart tego.

– Nie był – powiedziałam. – I wydał mnie. Daphne, ja tego nie rozumiem. Próbowałam być taka odważna jak oni, być mądra i pracować tak ciężko, jak tylko potrafię. Myślałam, że zaczną mnie lubić.

– Kochana, ciesz się, że nie żyjemy w ciemnych wiekach. Już by budowali stos i zanurzali pochodnie w smole.

Patrzyłam na nią.

– To patriariat. Tak postępują mężczyźni, kiedy się boją, czują się bezradni i pozbawieni władzy. Rzucają się na outsidera, zazwyczaj kobietę, i oskarżają ją o wszystko, co idzie źle. Kochana, zostałaś wiedźmą.

Pomyślałam o wiedźmach z Pendle. Oskarżone o morderstwo, skazane i powieszane, kiedy były winne najwyżej drobnych wyłudzeń. Do tej pory były postaciami z bajki dla dzieci. Nagle stały się bardzo rzeczywiste.

– Oskarżą mnie o morderstwo – powiedziałam.

– Och, to duby smalone. Dobrze o tym wiesz. Mają chociaż strzęp dowodu?

Pokręciłam głową. Nie mają, prawda? Oczywiście, że nie.

– Ale pewnie będziesz musiała się przygotować na jakieś wstrętne plotki krążące

po mieście. Inspektor Rushton znajdzie się pod ogromną presją, żeby złapać tego człowieka. Gdy uwaga skupi się na tobie, jemu przyniesie to ulgę.

– Myślałam, że mnie lubi.

Daphne gorzko się roześmiała.

– Na pewno lubi cię, ale siebie lubi bardziej. I swoją pensję. I szacunek ze strony kolegów z klubu golfowego. Rzuci cię lwom na pożarcie, jeśli dzięki temu wyjdzie bez skazy.

Wstała i spojrzała przez okno na niebo.

– Moja droga, muszę iść do pracy. Dasz sobie radę przez jakiś czas?

Kiwnęłam głową.

– Weź kąpiel, rozpakuj się, idź do łóżka na parę godzin i posiedź w ogrodzie. – Uśmiechnęła się i opuściła wzrok. – Zrób sobie paznokcie. Ten lakier fatalnie popękał. Wrócimy z Avril tuż po piątej i wtedy porozmawiamy, co można zrobić.

– Nic nie można zrobić. Nie chcę, żebyście wplątały się w kłopoty.

Nachyliła się do mnie.

– Te głupki dobierają się do mądrej dziewczyny, bo myślą, że jest wiedźmą. – Mrugnęła do mnie. – Poczekaj, co będzie, jak natkną się na prawdziwe wiedźmy.

49

Przez następne parę godzin robiłam to, co powiedziała moja przyjaciółka, wiedźma. Wzięłam kąpiel, zjadłam tost z marmoladą, zdjęłam ubranie i poprawiłam paznokcie. Leżałam na pachnącym lawendą pościeliu i próbowałam zasnąć, po półgodzinie poddałam się. Wyszczotkowałam włosy i nie związałam ich, potem znalazłam najlepszą sukienkę, luźną, morelową z zaokrąglonym kołnierzykiem, bo myślałam, że spodoba się Daphne i Avril. Złapałam osiemnastkę do miasta.

Poniedziałek w Sabden był dniem targowym, w centrum było mnóstwo ludzi. Kiedy wysiadłam z autobusu i szłam przez dworzec do głównej ulicy, miałam wrażenie, że ludzie na mnie patrzą. Z początku nie zwracałam sobie tym głowy. Gdy ma się włosy tak jasnorude, że bardziej nie można sobie wyobrazić, kiedy są długie i bardzo kędzierzawe, to się człowiek przyzwyczaja, że się na niego gapią.

Moim pierwszym przystankiem był sklep towarzystwa budowlanego w Sabden. Zawieszono mnie bez prawa do pensji, a musiałam dać coś Avril i Daphne na moje utrzymanie. Zaoszczędziłam trochę ponad sto funtów. Podjęłam połowę. Musiałam przez jakiś czas stać w kolejce, a kiedy po kwadransie wyszłam, poczułam nagły niepokój.

Wiadomość, że wypadłam z łask, szybko się rozeszła. U dołu schodów czekali na mnie ludzie. Opierali się o balustradę, niektórzy stali jeszcze na chodniku. Były to głównie kobiety, ale też sporo starszych mężczyzn i trochę młodych, którzy nie mieli porannej zmiany w fabrykach.

Najwyraźniej czekali na mnie. Wszyscy się gapili.

Nie znałam tu nikogo. Domyśliłam się, kiedy szybko się rozejrzałam. Także tego, że niektórzy z nich, bez potrzeby ubrani w płaszcze przeciwdeszczowe albo barwne sportowe kurtki, byli dziennikarzami. Jeden z nich miał wielką czarną kamerę. Trzymał ją niedbale skierowaną w dół, ale wzrok miał utkwiony we mnie.

Instykt podpowiedział mi, żeby zachowywać się, jakby nic się nie stało,

udawać, że ich tu nie ma, i zejść ze schodów na ulicę. Właściwie nie blokowali mi drogi. Ale jakaś trudna do zrozumienia ciekawość powstrzymała mnie. Chyba na coś czekali, a ja, o dziwo, chciałam zobaczyć na co.

Kilkanaście metrów dalej, na skraju targu, straganiarz rozmawiał z chudym mężczyzną w czarnej kurtce. Podał mu papierową torbę.

Potem kobieta w średnim wieku, mocno zbudowana, zaczęła szybko iść w moją stronę. Jej trwała błyszczała w słońcu, a policzki podskakiwały, kiedy przechodziła przez wąską ulicę i chodnik, żeby wejść na schody. Zanim do mnie dotarła, oddychała z trudem, a na górnej wardze pojawił się błysk potu.

Wymierzyła palec prosto w moją twarz. Tamtego dnia rano zdarzyło mi się to po raz drugi.

– Wiesz, gdzie jest moja Susan? – zapytała.

Podchwytliwe pytanie. Teoretycznie wiedziałam, gdyby domysły Toma okazały się prawdziwe, a sądziłam, że tak było.

– Nie, nie wiem – odparłam. – Bardzo mi przykro, że odniosła pani taką stratę.

– Skąd wiesz, że ona nie żyje? – zapytała kobieta, trzymająca rączkę wielkiego wózka dziecięcego, a podły uśmieszek dowodził, że czerpie złośliwą przyjemność ze znęcania się nade mną.

Pani Duxbury dźgnęła mnie palcem w pierś.

– Jeśli skrzywdziłaś moją Susan... – Nie dokończyła groźby.

Poczułam, że coś uderzyło mnie w ramię. Ktoś rzucił we mnie jajkiem. Zobaczyłam je kątem oka, żółte i lepkie. Spływało z przodu po sukience, ale nie dałam im satysfakcji, żeby na nie spojrzeć.

Niedaleko straganu z jajkami był ktoś, kogo rozpoznałam. Policjant na obchodzie rewiru. Obserwował zajście, ale udawał, że nic nie widzi.

Podniosłam głos.

– Posterunkowy Roberts, proszę tu przyjść i coś zrobić z tymi ludźmi, bo złożę na pana raport do szefa policji.

Nie miałam pojęcia, jak składa się na kogoś raport do szefa policji, ale blef zadziałał. Posterunkowy podszedł powolnym krokiem, a tłum zaczął się rozpraszać, odeszła nawet mama Susan Duxbury.

– Jeśli nie chcesz problemów, trzymaj się z dala od miasta – powiedział mi Roberts do ucha, żeby nikt inny nie usłyszał. – Właściwie dlaczego w ogóle z niego

nie wyjedziesz?

Nie poddałam się, patrzyłam na niego gniewnie.

– Zapamiętam cię – powiedziałam i z satysfakcją zobaczyłam błysk niepokoju w jego oczach.

Więc tak to jest, kiedy zostanie się wiedźmą.

Chciałam tylko jednego, uciec ze śródmieścia, ale nie dałabym nikomu satysfakcji, żeby zobaczył, jak biegnę, więc przeszłam przez targ do straganu na drugim jego końcu, gdzie mogli nie widzieć starcia, i u rzeźnika kupiłam trzy kotlety. Gdy odwróciłam się od straganu, zobaczyłam, że na drodze stoi mi Marlene Labaddee. Przez sekundę jej brązowe oczy wpatrywały się we mnie z gniewem.

– Nie ruszaj się! – rozkazała i podniosła ku mnie ręce. Jedną trzymała mnie za ramię, drugą wycierała górną część sukienki, używając do tego celu wilgotnej szmatki.

– Dlaczego nie mielibyśmy ponownie pogrzebać Patsy? – zapytałam.

Mocniej przycisnęła rękę.

– Dwa tygodnie temu dzwoniłaś do mnie do komisariatu. Było bardzo późno i tylko ja zostałam w budynku. Powiedziałaś, że nie powinniśmy ponownie grzebać Patsy w ziemi, że nie zaznałaby spoczynku.

– To najgorsze ze wszystkiego – powiedziała Marlene.

– Nadal mam problem ze zrozumieniem akcentu z Lancashire, więc wyrobiłam sobie nawyk, żeby słuchać bardzo uważnie, szczególnie przez telefon. Miejscowi nie wymawiają słowa „płonąć” tak, jak ty je wymówiłaś. Zrozumiałam to w łaźni parowej, gdy powiedziałaś, że musisz wyjść, że cała płoniesz.

– Namocz sukienkę, kiedy wrócisz do domu – powiedziała. – Weź węgiel sodu. Jajko może zostawić plamy.

– Dlaczego chcesz, żeby ciało Patsy spłonęło? Dlaczego nie zaznałaby spoczynku?

Przez sekundę poruszała ustami, nie wydając dźwięku, potem odwróciła się i odeszła.

Wróciłam na dworzec autobusowy. Ale autobus, który złapałam, nie zawiózł mnie z powrotem do domu Avril i Daphne, tylko do kościoła św. Wilfryda.

– Dwane! – krzyknęłam, kiedy zobaczyłam, jak popycha kosiarkę po kilku kawałkach płaskiej trawy na kościelnym cmentarzyku. – Masz chwilę?

– Słyszałem, że cię wylali – powiedział, opierając się o ramię.

– Coś w tym stylu – zgodziłam się. – Muszę cię prosić o wielką przysługę.

– Wyjedziesz? Wrócisz do... tam, skąd przyjechałaś?

Wyglądał na przybitego.

– Więc, co do tej przysługi – powiedziałam. – Naprawdę bardzo byś mi pomógł, gdybym mogła zamknąć się na trochę w twojej szopie i popatrzeć na model miasta.

Oczy mu zabłyśły.

– Jeśli naprawdę lubisz...

Nie miałam czasu na fałszywą skromność. Poza tym teraz byłam wiedźmą, a wiedźmy nie mają skrupułów, kiedy chcą coś uzyskać.

– Dwane, naprawdę lubię małe rzeczy i ciebie lubię. Jesteś mądry, utalentowany i bardzo pomagasz. Twój model może pomóc mi coś rozpracować. Rzecz tylko w tym, a wiem, jaka to niezręczna prośba, że musiałabym zostać sama.

– Chcesz, żebym cię wpuścił i wyszedł?

– Tak. Najlepiej mi się myśli, gdy jestem sama. Będę naprawdę ostrożna. Pozwolisz?

Bez słowa zostawił kosiarkę na środku skrawka trawy i ruszył z powrotem w stronę domu.

Model miasta Dwane'a był dokładnie w takim stanie, w jakim poprzedniego dnia go zostawiliśmy. Kolorowe plastikowe figurki nadal stały na swoich miejscach. Dwane wahał się w drzwiach, odwróciłam, się, żeby się do niego uśmiechnąć.

– Dziękuję – powiedziałam.

Kiwnął głową i wyszedł z szopy.

Źle zapamiętałam wczorajszy ranek. Wróciłam myślą do mapy w komisariacie i przesunęłam trzy figurki. Przyciągnęłam stołek Dwane'a i usiadłam na nim. Siedziałam na tyle wysoko, żeby widzieć całe miasto.

Czasem, żeby zobaczyć wzór, musimy zobaczyć, co w nim jest nie tak.

Droga, którą szła Luna w wieczór, gdy została porwana, w ogóle nie przypominała drogi pozostałej trójki. Tamci pożegnali się z przyjaciółmi w różnych miejscach niedaleko centrum, a potem poszli do domów.

Dwoje z trojga było widzianych na stacji kolejowej. Jedno zauważono na drodze

prowadzącej do zajezdni autobusowej. A jednak było całkowicie pewne, że żadne z nich nie opuściło miasta.

Tymczasem Luna zniknęła ponad półtora kilometra dalej, na obrzeżach miasta, gdzie zamaskowana postać siłą wepchnęła ją do furgonetki. I pozwolono jej przeżyć. Ktoś postarał się, żeby przeżyła.

Luna zaginęła podczas pełni. Pozostali, kiedy księżyc był w nowiu. Lunę zgwałcono, a przecież nie było dowodów, żeby Patsy była molestowana seksualnie. Jedynym racjonalnym wnioskiem było, że Luna do tego nie pasowała. A jeśli tak, to posłużyła zupełnie innym celom.

To jasne, że Luna nie była czwartą ofiarą. Nie miała umrzeć. Miała zbić nas z tropu.

Mnie miała zbić z tropu.

Dwane odprowadził mnie na przystanek i czekał dziesięć minut, póki nie przyjechał autobus.

– Wiem, że tego nie zrobiłaś – powiedział, gdy autobus się zatrzymał. – Nadal masz jednego przyjaciela.

Kiedy wróciłam do domu Avril i Daphne, zobaczyłam mój rower oparty o ganek od frontu. Ostatni raz widziałam go przed tylnymi drzwiami domu Glassbrooków, co najmniej trzy kilometry stąd, po drugiej stronie miasta.

Ostatecznie miałam chyba więcej niż jednego przyjaciela.

Wieczorem, po kolacji, Daphne organizowała spotkanie księżycowego sabatu. Nie powiedziała mi o tym, ale gdy boszo zeszłam po schodach, żeby wziąć szklanekę wody, podsłuchałam ją, jak rozmawiała przez telefon.

– Jutro, o wschodzie księżyca – mówiła. – Nie możemy przełożyć tego na później. Minęły już dwa dni od pełni. Mam nadzieję, że stawi się cała trzynastka. Przecież wiadomo, że biedna dziewczyna potrzebuje wszelkiej pomocy, na jaką nas stać.

Kiedy zeszłam z ostatniej kondygnacji, zobaczyła mnie i pospiesznie zakończyła rozmowę, już niemal chciałam zaproponować na ochotnika swoje usługi. W końcu, co miałam do stracenia?

50

W przeciwieństwie do Avril i Daphne, nie potrafiłam określać czasu na podstawie ciał astralnych, więc nastawiłam budzik na czwartą rano. Ubrałam się w to, co wyjęłam wczoraj z walizek, i po cichu zesłam po schodach. Gdy wychodziłam z domu, usłyszałam głosy na piętrze. Było mi przykro, że je obudziłam, choćby ze względu na pytania, jakie później będą mi zadawały, ale nic na to nie mogłam poradzić.

Może i byłam wiedźmą żółtodziobem, ale nadal byłam policjantką, a to była sprawa dla policji.

Ekshumacje Ady Wright i Winifreda Browna, tym razem zgodnie z przepisami, miały być przeprowadzone równocześnie, we wtorek wczesnie rano. Pojechałam na rowerze do cmentarza przy kościele św. Josepha, w południowej dzielnicy miasta. Zakładałam, że Tom, który mieszkał bliżej cmentarza przy Duckworth Street, będzie zapewne przy tamtej ekshumacji.

Przed bramą zaparkowany był samochód Rushtona.

Zostawiłam rower i przelazłam przez mur cmentarny, żeby z odległości dobrych stu metrów przyjrzeć się ekshumacji. Sierżant Brown nadzorował ustawianie kordonu policyjnego i wznoszenie namiotu. Rushton stał trochę dalej i palił. Dostrzegłam mężczyznę ubranego na czarno i pomyślałam, że to ksiądz. Patrzyłam, jak robotnicy magistraccy przynoszą pojemnik na ziemię, nosze na darninę i specjalistyczny sprzęt do cięcia i kopania. Zainstalowali oświetlenie, a potem, prowadzeni przez człowieka, o którym wiedziałam, że jest grabarzem pracującym dla rady Burnley, weszli do namiotu. Brown i Rushton oddalili się, domyśliłam się, że wsiedli do samochodu Rushtona.

Żeby trudniej było mnie dostrzec, usiadłam na mokrej od rosy trawie. Słuchałam rytmicznych odgłosów szpadli wbijanych w ziemię. Widziałam zapalone papierosy żarzące się w ciemności jak świetliki, słyszałam odgłosy rozmów.

Kiedy tuż przed szóstą rano zawyła pierwsza fabryczna syrena, jeden z

robotników poszedł, żeby sprowadzić Rushtona i Browna. Poczekałam, aż wejdą do namiotu, i podeszłam bliżej.

Nie widziałam, co się dzieje w namiocie, ale mogłam to sobie wyobrazić.

Wiedziałam, że grób powinien być kwadratowy, głęboki na jakieś sto dwadzieścia centymetrów. Po jednej jego stronie stało pewnie pudło z ziemią, drugą pozostawiono wolną, żeby postawić tam ekshumowaną trumnę. Rushton, Brown i wszyscy pozostali musieli stanąć u góry i u dołu jamy.

– No to do roboty, chłopaki – powiedział Rushton.

Na boku namiotu pojawiły się wybrzuszenia. Usłyszałam niskie chrząknięcie.

– Ostrożnie, dobrze, ostrożnie – odezwał się głos, którego nie znałam. Wyobraziłam sobie skrzynię powoli wyciąganą z grobu, napięte twarze robotników.

Skrzynia powinna być matowa, piękny połysk zmatowiał po miesiącach w ziemi. Wyciągana ociera się o ściany grobu, luźna ziemia kruszy się na wieko.

Zapadła cisza. Parę stłumionych przekleństw.

– Dajcie, ja spróbuję.

– Pociągnij mocno.

Dałam im jeszcze parę minut, słuchałam, jak palce ślizgają się po brzegach skrzyni, ciągną za ozdoby. Już nie mogłam wytrzymać.

– Ja to zrobię! – zawołałam.

Cisza pod namiotem. Sekundę później wyszedł z niego Rushton, szedł w moją stronę.

– Lovelady, co, u diabła, tutaj robisz?

Wyglądał tak, jakby chciał mnie uderzyć. Zrobiłam dwa kroki w tył. Nie, żebym się go bała, ale ja myślałam normalnie, a on nie.

– Sir, niech pan się nie rusza. Sierżancie Brown, pan też.

Ku memu zaskoczeniu obaj się zatrzymali. Widziałam, jak za nimi robotnicy wychodzą z namiotu.

– Mówiłem, żebyś się nie mieszała – warknął Rushton, a Brown wezwał posterunkowego spod bramy.

– Sir, z całym szacunkiem, powiedział pan, że mnie aresztuje, jeśli przyjdę do komisariatu, jeśli będę próbowała skontaktować się z Glassbrookami albo będę chciała wyjechać z miasta. Nie zrobiłam ani jednej z tych rzeczy, a to jest dostępna

dla każdego przestrzeń publiczna. Nie podeszłam do miejsca zbrodni i nie mogłam go naruszyć, ale jeśli pan mnie dotknie, popełni pan czyn zabroniony.

Widziałam, że z trudem oddycha.

– Wiesz, jak otworzyć trumnę? – zapytał Brown.

– Tam są dwie ozdoby, po przeciwnej stronie zawiasów – powiedziałam, świadoma, że prezentowanie umiejętności obchodzenia się z trumnami nie pomoże teraz mojej sprawie. – Przesuńcie je na boki tak daleko, jak się da, a potem przekręćcie. Poczujecie, że poruszył się wewnętrzny mechanizm, i wtedy będziecie mogli otworzyć wieko.

Brown popatrzył na Rushtona, Rushton kiwnął głową i zwrócił się do posterunkowego, który podszedł do nas.

– Zostań z nią. Niech nawet się nie rusza.

Rushton i Brown wrócili do namiotu. Czekałam.

– Rany – powiedział któryś z ludzi. Sekundę później dotarł do nas smród rozkładu i chemikaliów. Posterunkowy zrobił mocny wdech.

– Nic – usłyszałam słowa Browna. – Tu nie ma nic poza...

– Ha – odezwał się inny głos. – Rany, nie miałem pojęcia, że trupy tak wyglądają.

– Sir, to nie taki zapach. – Korciło mnie, żeby wejść do namiotu. Zrobiłam krok i poczułam rękę na ramieniu. – Sir, zabalsamowane zwłoki nie wydają takiego zapachu – mówiłam dalej. – Wykopałam Patsy, pamięta pan? Musicie dokładniej sprawdzić.

– Może ma rację – powiedział Brown tonem, który nie był przeznaczony dla mnie. – Ta satyna nie wygląda mi za dobrze.

– Usuńcie ją – powiedziałam. – Odciągnijcie na bok. Sprawdźcie pod spodem.

Milczenie w namiocie. Potem odgłos prucia.

– O mój Boże – powiedział Rushton.

Wyszedł z namiotu i chwilę patrzył w niebo, głęboko oddychając. Potem zabrał mnie do aresztu. Znowu.

51

Luna zmieniła zeznania – powiedział mi trzy godziny później. – Wychodzi na to, że nie została zgwałcona.

Znów siedziałam w tym samym pokoju przesłuchań, twarzą do tego samego lustra. Przesłuchiwali mnie Rushton i Brown.

Coś się działo w komisariacie, jakby coś wynoszono, bo słyszałam, jak ciężkie, solidne przedmioty uderzają o siebie. Każde uderzenie odbijało się echem w korytarzu. Po każdym wzdrygałam się, chociaż chyba udało mi się tego po sobie nie pokazać. Po jakimś czasie hałas był taki, jakby mój świat się rozpadał.

– Więc kłamie – powiedziałam. – Okłamała mnie albo okłamała pana. W każdym razie jestem rozczarowana, że jej pan bardziej zaufał niż jednemu ze swoich policjantów.

Dokładnie za drzwiami rozległ się przeszywający, metaliczny brzęk i obaj mężczyźni wzdrygnęli się.

Rushton czuł się niepewnie, chociaż nie o hałas tu chodziło. Normalnie nie prowadził przesłuchań. Odkryłam, że nie był też w tym szczególnie dobry. Brakowało mu inteligencji Sharplesa, zawziętej dbałości o szczegóły, którą przejawiał Brown. I pomyślałam, że wyglądał na smutnego.

– A może się pomyliła? – zapytałam. – Cóż, o to nietrudno. Rozumiem, że akt penetracji seksualnej, dokonany przez zupełnie nieznanego mężczyznę, może być wzięty za coś zupełnie innego.

Rushton skrzywił się.

– To niczego nie tłumaczy.

– Luna mówi teraz, że niedawno uprawiała seks. Po raz pierwszy, z jednym ze swoich przyjaciół – powiedział Brown. – Bała się, że rodzice się dowiedzą albo że zajdzie w ciążę. Więc wymyśliła sobie, że powie nam o gwałcie, żeby zrzucić z siebie winę. Zmieniła zdanie, kiedy trochę się uspokoiła, i postanowiła powiedzieć nam prawdę.

Coś trzasnęło o podłogę nad nami. Obaj mężczyźni podnieśli wzrok. Myślałam o historii opowiedzianej przez Lunę. Była wiarygodna, tylko że...

– Rozmawiałam z Johnem Donnellym – powiedziałam. – Zaprzeczał, żeby kiedykolwiek uprawiał seks z Luną. Uwierzyłam mu.

– Nie John Donnelly – odparł Rushton. – Dale Atherton. Luna była zła na Johna, że nie chciał się z nią przespać, więc zrobiła to z Dale'em. Na złość Johnowi.

Takie głupie, trzpiotowate postępowanie dobrze pasowało do Luny.

– Czy nadal twierdzi, że czuła moje perfumy, kiedy była gdzieś przetrzymywana? – zapytałam. – Perfumy, których przecież nie używam?

– Co do tego nie była pewna – powiedział Brown. – Nie oskarża cię. Nikt cię nie oskarża.

– Jeszcze nie – rzekł Rushton.

Wtedy podskoczyliśmy wszyscy troje. Dokładnie nad nami ktoś przewrócił szafę na dokumenty.

– Co się, do diabła, dzieje? – Nie czekając na formalne zakończenie przesłuchania, Rushton wstał i wypadł z pokoju.

Sześć godzin później, gdy podwożono mnie do domu Avril i Daphne, czułam się, hm, cokolwiek rozbawiona. Po krótkim przesłuchaniu przez Rushtona spędziłam wiele godzin w celi. Widziałam tylko sierżanta, który przyniósł mi dwa posiłki, pięć kubków herbaty, co godzinę eskortował mnie do toalety dla pań, żebym nie musiała korzystać z kubła, i na bieżąco informował o inwestyturze księcia Charlesa na księcia Walii w Caernafon.

Kiedy podjechał radiowóz, wóz Avril był przed domem. Mój rower znów stał oparty o ganek. Nauczył się wracać do domu jak bumerang.

– Jesteśmy w ogrodzie! – zawołała Avril, gdy weszłam do kuchni i chciałam je przeproszać za kłopoty. – Przynieś kieliszek.

Na kuchennym stole stał kieliszek do wina. Coś mówiło o moim nastroju, że wzięłam go bez zadawania pytań. Obie kobiety siedziały na niskich krzesłach ogrodowych, korzystając ze słońca przygrzewającego wczesnym wieczorem. Avril włożyła okulary przeciwsłoneczne, Daphne miała na głowie wielki, oklapły na uszach słomiany kapelusz. Przed nimi, na stoliku z kutego żelaza, stała opróżniona do połowy butelka czerwonego wina. W ogrodzie Avril i Daphne były tylko trzy

krzesła. Nie wiedziałam, gdzie mam usiąść, bo na trzecim siedział Tom Devine.

Nie trzeba było niczego tłumaczyć.

– Przywiózł twój rower – powiedziała cicho Daphne.

– Znowu. – Uśmiech Toma nie potrwał paru sekund.

Avril wstała.

– Zostawmy ich samych – powiedziała do Daphne, która też wstała, chociaż nie z taką gracją jak Avril. Obie przeszły obok mnie z opuszczonymi oczami i zamknęły za sobą drzwi.

Usiadłam na miejscu Avril i postawiłam kieliszek na stole.

– Nalej mi trochę – powiedziałam do Toma.

Nalał. Wypiłam. Wino miało kolor krwi, zostawiało osad na dnie kieliszka.

– Mów – powiedziałam. – Albo wyjdź. Decyduj.

– Zakładam, że wiesz o Stephenie? Znaleźliśmy go dziś rano – zaczął.

Utkwiłam wzrok we wrzosowiskach.

– Mogłam się domyślić. Nie pozwolili mi tego zobaczyć.

– Był upchnięty pod satyną, którą przedsiębiorcy pogrzebowi wkładają do trumny. Moja grupa znalazła Susan.

– No, to trafiliście w dziesiątkę. – Patrzyłam na wielkiego czarnego ptaka, który zataczał powolne koła. – A może oni nadal myślą, że to moja zasługa?

– Nie miałem zamiaru wciągać cię w to. Chciałem udowodnić ci, że nie zawsze postępuję jak dureń. – Podniósł butelkę i dolał wina do obu kieliszków.

– Sekcja? – zapytałam.

– Tylko wstępne badanie – odparł Tom. – Oboje byli ubrani, leżeli na zwłokach, zaraz pod satyną wkładaną do trumien przez przedsiębiorców pogrzebowych. Teraz wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że dzieci wsadzono do trumien przed pogrzebem. W obu przypadkach wszystko poszło zbyt gładko, bez zgrzytów. Nie ma mowy, żeby to się udało, gdyby rozkopywano grób.

Rozparłam się w krześle, nadal patrzyłam na wrzosowisko. Wiedzieliśmy więc, że ktoś dostał się do domu pogrzebowego Glassbrooka i Greenwooda w noc przed trzema porannymi pogrzebami, ale na tym koniec. Już wcześniej mieliśmy takie podejrzenia.

– Stephen się nie obudził. – Wyobrażałam sobie twarz starszej kobiety na gładkiej satynie. – I on, i Susan mogli już być martwi, gdy wkładano ich do skrzyń.

– Nie byli – powiedział Tom. – Przy Susan znaleźliśmy wymiociny i ślinę. Stephen się zmoczył. Ale masz rację, żadne z nich się nie obudziło. Leżeli zbyt spokojnie, nie było śladów walki ani cierpienia.

– Chociaż tyle. Trudno byłoby przyjąć kolejne przypadki takie jak Patsy.

Na chwilę zapanowała cisza. Byłam pewna, że oboje myśleliśmy wtedy o poszarpanej satynie owiniętej wokół zakrwawionych rąk Patsy, o jej popękanych wargach, zadrapaniach na twarzy.

– Może myślał, że Patsy nie żyła – powiedział Tom. – Może nie miał zamiaru jej na to narażać.

– A może nie udało mu się z Susan i Stephenem. Może musiał eksperymentować, póki nie odniósł sukcesu.

Powiedziałam to, nie zastanawiając się nad słowami, ale to było ważne. Czy dzieci miały się obudzić i stwierdzić, że znalazły się w pułapce, czy nie? Czy wkładał się na cmentarz, siadał przy grobie i czerpał przyjemność z ich krzyków? Czy po nieudanych próbach, najpierw z Susan, potem ze Stephenem, zapragnął zrobić to jeszcze raz?

– Coś jeszcze? – zapytałam.

Tom sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Wpadnę w gówno po uszy, jeśli komuś powiesz, że ci to pokazałem. – Położył na stole dwa zdjęcia wykonane polaroidem.

– Lalki z Luwru – powiedziałam, nachylając się bliżej. – Gliniane figurki, jak tu na to mówią. W skrzyniach?

– Obie są bardzo podobne do tej, którą znaleźliśmy z Patsy – powiedział Tom. – Susan jest trochę baryłkowata, jak widzisz. Stephen ma męskie genitalia. Kolce tarniny są we właściwych miejscach.

Nie chciałam na to patrzeć, więc popatrzyłam na niego.

– Oboje mieli wszystkie zęby?

– Obojgu brakowało po kle. Niedawno je wyrwano. Sprawdzaliśmy u ich dentysty. I tak, oba zęby zapieczono w figurkach. Wiesz co, Floss, to jakies popaprane gówno.

– A co z Luną?

Pokręcił głową.

– Nic. Żadnych glinianych figurek, żadnej amatorskiej stomatologii.

– Tom, z nią jest inaczej. Nie pasuje do wzoru.

Wyraźnie ożywił się, kiedy wypowiedziałam jego imię.

– Chce nas zbić z tropu? Tak uważasz?

– Jak sądzisz, z siedemnastu członków klubu krykieta, kogo najmniej podejrzewaliśmy, kiedy Luna zaginęła?

Tom wzruszył ramionami.

– Lunę uprowadził ktoś, kto się o nią troszczył – powiedziałam. – Kto nie chciał, żeby umarła, i dlatego włączył mnie w sprawę.

Tom rozparł się w krzesło, wziął papierosa.

– Larry? Rany. Kochana, będzie ci potrzebne szczęście, żeby to udowodnić.

Już miałam mu powiedzieć, żeby nie mówił do mnie kochana, ale nie chciałam zbaczać na to poletko.

– Niczego nie będę udowadniać – powiedziałam. – Zawieszono mnie bez prawa do wypłaty. Zapomniałeś?

– Nie zawiesili cię. – Tomowi złagodniała mina. – O kurczę, muszę zapalić szluga. Wilma i Betty nie pozwoliłyby mi.

– Brawo dla nich... To wstrętny nałóg. Ja też nie pozwalałabym.

– Rushtonowi nie wolno tego zrobić. Wie o tym. Musi ci płacić. Po prostu stracił cierpliwość. Postaram się, żeby w piątek ktoś podrzucił ci kopertę z pieniędzmi.

Hm, to już coś.

– Rano przysłała po mnie samochód. Chce dokończyć przesłuchanie.

Tom kiwnął głową.

– Dzisiaj cały dzień spędziłam sama w celi. Rushton rozmawiał ze mną przez dziesięć minut.

– Więc zabierz książkę – powiedział Tom. – Ale nie o czarownictwie.

– Co się dzieje? Dlaczego chce, żeby mnie przywieźli, jeśli nie ma mi nic do powiedzenia?

– Nie przyszło ci do głowy, że dba o twoje bezpieczeństwo?

Nie przyszło. Ale póki jestem podejrzaną, w mieście znajdują się ludzie, którzy będą chcieli wymierzyć mi sprawiedliwość na własną rękę.

– Osobiście powiedziałabym jednak, że Rushton nie chce pakować cię w kłopoty – kontynuował Tom. – Połowa facetów z komisariatu zakłada się, co masz zamiar zrobić.

Spojrzał na zegarek, wypił resztę wina z kieliszka i wstał.

– Jak długo będziesz tu mieszkała? – zapytał.

– Nie wolno mi wyjeżdżać z miasta – odparłam. – I nie mam gdzie się podziać.

Ściszył głos.

– Po prostu uważaj. – Nerwowo spoglądał to na dom, to na mnie. – Chłopaki w komisariacie mówią różne rzeczy. Z tymi dwiema jest coś nie tak.

– To lesbijki – powiedziałam. – Ja nie jestem lesbijką. Ale nie muszę ci tego mówić, prawda?

Patrzyliśmy na siebie. Nie sądzę, żeby nadal myślał tylko o Avril i Daphne.

– Dlaczego powiedziałeś o mnie żonie? – zapytałam.

Ciężko westchnął.

– Nie miałem pojęcia, że ona to zrobi. I nic jej nie mówiłem. Do domu wróciłem późno. Jakbym nie był sobą – daj spokój, tego rodzaju sprawy nie zdarzają się codziennie – a ona znalazła twój włos na mojej marynarce.

– O to chodzi? Aż tak piekliła się o jeden włos?

Wzruszył ramionami.

– Już od paru miesięcy miała na twoim tle bzika. Właściwie, odkąd tu przyjechałaś. Ona wie, że ja...

– Co?

Podniósł rękę.

– Floss, nie możemy teraz tego robić. Musimy z tym skończyć. Potem porozmawiamy o tobie i o mnie. Będę w kontakcie. Proszę, nie pakuj się w kłopoty.

Drzwi tajemniczo otworzyły się, zanim Tom ich dotknął. Zniknął. Zostałam tam, gdzie byłam, patrzyłam, jak słońce zachodzi za wrzosowisko, nadając bladym trawom głęboki złoty odcień. Różowe smugi pojawiły się na turkusowym niebie. Zdałam sobie sprawę, jak piękne jest Lancashire. Surowe, nieprzewidywalne na granicy dzikości, ale wzruszająco, cudownie piękne.

Pozostawało „to, co między nami”.

Dopiero później zaczęłam się zastanawiać, czy to jest to, o czym myślałam.

52

Wy dwie coś knujecie – powiedziałam po kolacji, podczas której Avril i Daphne często wymieniały znaczące spojrzenia.

– Bzdura – powiedziała Avril. – Po prostu porozumiewaliśmy się bez słów. To zdarza się parom, które są ze sobą od jakiegoś czasu. Tom wygląda na miłego młodzieńca.

– Tom jest żonaty i nie próbujcie zmieniać tematu. Wiem, że wychodzicie wieczorem. Widziałam torby przy drzwiach. Czy chodzi o sabat?

– Na litość – Daphne szeroko otworzyła oczy, udając zdziwienie – skąd u ciebie ten pomysł? Jeszcze jeden łyk. Dla ciebie, Florence, moja droga. Miałaś miły, relaksujący wieczór.

Nalała resztę wina z butelki do mojego kieliszka. Było tego więcej niż łyk. Wypiłyśmy dwie butelki, a ja dotrzymałam im kroku.

– Skąd ten pomysł? A te wszystkie telefony z ostatnich paru dni, żeby zebrać dziewczyny na spotkanie podczas wschodu księżyca? – zapytałam. – I niebieska sztruksowa peleryna, która wisi przy drzwiach. Nie piszecie podania o pracę do MI5.

Znów wymiana spojrzeń.

– Mogłabym przyjść, skoro ostatnio zostałam uczennicą czarownicą?

– Bardzo się mylisz, moja droga – powiedziała Daphne. – Dziś wieczór mamy próbę. Sztruksowa peleryna jest dla lady Makbet. I z chęcią zabrałybyśmy cię, ale reżyser przestrzega ścisłej zasady, że nie ma widowni aż do premiery.

Nie było sensu się spierać, więc pomogłam im przy zmywaniu, a potem zaczęły się zbierać do wyjścia. Dokończyłam wino, które miałam w kieliszku, i pomyślałam, że zaczęło mi smakować.

– Ciesz się spokojem i ciszą – powiedziała Daphne, kiedy wychodziły. – Serial policyjny leci chyba o ósmej. My wrócimy przed dziesiątą.

Poklepała mnie po ramieniu i obie wyszły. Poczekiałam parę minut i poszłam na

górze. W sypialni, co do której, szczerze mówiąc, nie wiedziałam, pod jakim wpływem była urządzana – taka to była dziwna mieszanka bliskowschodnich luksusów i spartańskiego minimalizmu – znalazłam kalendarz księżycowy. Wschód księżycy był o wpół do dziesiątej.

Nie wróć przed dziesiątą. Po co to mówiły, skoro tak łatwo przyłapałam je na kłamstwie?

Potknęłam się na schodach: ostre upomnienie, że wypłam więcej wina, niż zwykle pijałam. W kuchni wlałam w siebie szklanek wody i poczułam się lepiej. Znalazłam aspirynę, bo zaczynała mnie boleć głowa, i poczułam się na tyle dobrze, żeby wyjść z domu. Minutę przed ósmą zaczęłam jechać ulicą na rowerze.

Wieczór był cudowny, ciepły i pachnący. Wiał lekki wietrzyk. Jechałam szybko do śródmieścia. Hamulce? Kto by ich potrzebował?

Avril i Daphne nie mogły pójść prosto na Wzgórze. Samochodem Avril dojechałyby tam w kwadrans. Musiały najpierw zebrać innych członków sabatu. Miałam czas, żeby zdążyć przed nimi.

Wiatr chłodził mi kark, rozwiewał włosy, które łopotały za mną jak flaga. Jechałam coraz szybciej.

Tak, wiedziałam, że szpiegowanie ludzi, którzy się ze mną zaprzyjaźnili, było podłością. Nie czułam się dobrze z tą myślą. Z drugiej strony byłam policjantką, a dzieci umierały. Avril i Daphne wiedziały więcej, niż mi mówiły. Może uważały, że informacje, którymi nie chciały się podzielić, nie są istotne, ale nie im o tym decydować. Chciałam zobaczyć, kto jeszcze należy do sabatu. I chciałam zobaczyć, co tam się wyprawia, do cholery! Upewnić się, że magia, którą uprawiają, jest naprawdę tak dobroczynna, jak twierdziły.

Zatrąbił klakson samochodu, głośno i gniewnie. Zachwiałam się i niemal upadłam. W ostatniej chwili udało mi się zdjąć stopę z pedału i podeprzeć się, żeby odzyskać równowagę.

Hura! Byłam w śródmieściu, pośrodku skrzyżowania. Ford cortina ostro zahamował, żeby na mnie nie wjechać, a kierowca tylko pokręcił głową. Przejechał autobus, kilka głów odwróciło się w moją stronę. Podniosłam rękę, żeby przeprosić, i przeprowadziłam rower na bok jezdni.

Nie pamiętałam, zupełnie nie pamiętałam, jak udało mi się dojechać z ulicy, przy której mieszkały Avril i Daphne, do centrum. A jednak tutaj byłam, na głównej

drodze, na odcinku ze sklepami, a w zasięgu wzroku miałam targ i dworzec autobusowy.

Świat dziwnie się zatoczył, niemal zbił mnie z nóg.

Znów wsiadłam na rower. Poczułam, że mam zawroty głowy, ale ruszyłam, bo powiedziałam sobie, że lekki wysiłek fizyczny i świeże powietrze zrobią swoje. Za parę minut dojdę do siebie.

Przy ulicy stał inspektor Rushton. Palił fajkę, ubrany był w piżamę w niebieskie i szare paski. Postukał w drogowskaz stojący obok niego. Napis głosił „Pendle Road”. Mało nie pojechałam w złą stronę. Skręciłam w Pendle Road. Pedalując, myślałam, że inspektor Rushton doprawdy nie powinien palić w łóżku. To niebezpieczne.

Już więcej nie wezmę alkoholu do ust. Wrócił ból głowy, prawie uniemożliwiając mi pedalowanie nawet po łagodnych wzniesieniach. Zsiadłam z roweru i pchałam go prawie przez cały czas od wyjazdu z miasta. Wsiadłam dopiero, kiedy dotarłam do Well Head Road.

Przejechał samochód. To nie był triumph Avril, ale samochód z cyrku, jaskrawożółty, z niebieskimi zderzakami. Prowadził go klaun, który trzymał nad głową pasiasty parasol. Przyjrzałam mu się, gdy tak pędził drogą, i pomyślałam: Co za dureń, przecież nie pada.

Jechałam dalej. Żółte światło zbladło. Słońce schowało się za horyzontem, a niebo przybrało kolor głębokiej purpury bratków, nakrapianej lawendowymi chmurami. Spojrzałam na zegarek, minęła dziewiąta. Przejazdzka, którą szacowałam na nie więcej niż pół godziny, zabrała mi prawie czterdzieści pięć minut.

Traciłam czas. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy eksplodował we mnie mały samorodek paniki. Coś się działo. Coś, nad czym nie miałam panowania.

Bebechy odmawiały współpracy. Zeskoczyłam z roweru i zanim zorientowałam się, co robię, zwymiotowałam. Wylała się ze mnie kolacja, paląc mnie w gardło.

Kiedy skończyłam wymiotować, ruszyłam na piechotę. Kolory wokół mnie blakły, otwierała się brama dnia, zapraszała do środka. Wzgórze rzucało cień na okoliczne wrzosowiska, coraz bardziej przypominało zaczajoną bestię. Kamienie przyjmowały dziwne kształty: zwiniętych stworzeń gotowych do skoku, uskrzydłych duszków o zmierzwionych, trawiastych włosach.

Świtało we mnie przecucie, że nie jestem sama. Kamyki staczały się z ciągnącego się obok muru, jakby coś małego i niewidzialnego szybko przebierało nogami, żeby dotrzymać mi kroku. Trawa po drugiej stronie muru świszczała, jakby biegły po niej lekkie stopy.

Zatrzymałam się, żeby odpocząć, tam gdzie Brama Cementarna odchodziła od drogi. Wiedźmy musiały tędy iść. Jeszcze nie byłam bezpieczna. Pobladła twarz gnijącego trupa patrzyła na mnie zza smukłego pnia klonu, ale chodziło mu tylko o to, żeby przyciągnąć moją uwagę, więc zignorowałam go i zaczęłam się wspinać.

Wzgórze wisiało nade mną, mroczne i wielkie.

Nie uda mi się wejść. Za każdym krokiem mogłam sturlać się na dół. Odwróciłam się, żeby znaleźć księżyc. Zobaczyłam, że stoi wysoko na niebie.

I wtedy usłyszałam samochód. Zatrzymał się dokładnie pode mną, za nim drugi i trzeci. Nadchodzili. Byli niecałe dwieście metrów ode mnie, a każdy krok wysysał ze mnie siły.

Zeszłam ze ścieżki i na czworakach zaczęłam wspinać się na Wzgórze. Już nie potrafiłam utrzymać pionowej pozycji. Znów usłyszałam głosy i niskie, próbne uderzenia w bęben. Trzasnęły drzwi samochodu. Odwróciłam się, zobaczyłam światełka i nieokreślone cienie zmierzające w moją stronę.

Nie mogłam już dalej iść. Opadłam na zimną ziemię z nadzieją, że ukryje mnie ciemność, wrzosa, nierówności i zapadliny Wzgórza. Usłyszałam głęboki kontralt Avril i niski głos Marlene. Ktoś się zaśmiał. Pomyślałam, że to Daphne. Za chwilę byli parę metrów poniżej mnie, na ścieżce.

Na przedzie szedł mężczyzna. Roy Greenwood, wspólnik przedsiębiorcy pogrzebowego Larry'ego, był członkiem sabatu księżycy. Miał na sobie swobodne, codzienne ubranie, pod pachą niósł drewno na ognisko. Za nim szła Daphne w niebieskiej pelerynie, miała bęben. Potem Avril, potem dwie kobiety, których nie znałam, jedna z nich też ubrana w długą, ciemną pelerynę. Marlene Labaddee szła obok Davida Milnera, nauczyciela geografii z liceum. Dalej dwie kobiety, potem Brenda, telefonistka z komisariatu. Znałam kobietę idącą za Brendą, ale przez chwilę nie potrafiłam jej umiejscowić. Oczywiście – to pani Ogilvy, matka Dwane'a, która pracowała w policyjnej kantynie. Jeszcze jeden mężczyzna i jedna kobieta, których nie wiadomo dlaczego uznałam za małżeństwo. Trzynaścioro. Liczba sabatu.

Minęli mnie i weszli na Wzgórze. Nie mogłam pójść za nimi. Nie wiedziałam, czy w ogóle dam radę wstać. Kiedy światła niknęły w oddali, przyszły mi do głowy dwie myśli. Pierwsza, że Daphne i Avril dopuściły się jednak niedyskrecji. Może chciały, żebym je podsłuchała, jak planują spotkanie, całkowicie świadome, że będę je śledzić.

Druga, że nie byłam pijana. Luki w pamięci? Halucynacje? Sam alkohol nie zadziałałby w ten sposób. Poczucie, że świat ode mnie odchodzi wywołało coś zupełnie innego. Alkohol i narkotyki. W taki sposób obezwładniano ofiary.

Jestem pewna, że próbowałam wstać, żeby jakoś uciec ze Wzgórza. Nie pamiętam, jak to robiłam. Nie pamiętam niczego.

53

Obudziłam się w całkowitej ciemności, ręce miałam skrepowane z tyłu, stopy związane. Nie mogłam się ruszać.

Trumna! Jestem w trumnie!

Nie mogłam krzyczeć. Nie tylko byłam związana, ale i zakneblowana, czymś suchym, co miało obrzydliwy smak. Przerazona przetaczałam się, kopałam. Było miejsce na ruch. Przestrzeń. Pod sobą czułam kamienie. Nie leżałam w trumnie. Jeszcze nie.

Dyszałam, pociłam się. Odepchnęłam się i próbowałam usiąść, ale sam wysiłek pozbawiał mnie tchu. Tutaj nie było powietrza. Uduszę się.

Nieustannie krzyczałam przez knebel, ciemność otulała mnie.

Kiedy po raz drugi przyszłam do siebie, prawe ramię tak mnie bolało, jakbym je złamała, a głowa, jakby coś w nią raz za razem uderzało. Tym razem jednak byłam przygotowana, dałam sobie radę ze strachem, zanim mnie ogarnął. Wdech, wydech. O niczym innym nie myśl, tylko o oddychaniu. Mocno zamknij oczy, żeby ciemność nie wygrała. Licz oddechy. Doliczyłam do pięćdziesięciu. Potem do stu. Mogłam oddychać. Byłam gotowa, żeby spróbować się poruszyć, podparłam się i otworzyłam oczy.

Ciemność wokół mnie była twarda jak czarny mur, niemal dotykalna. Wcześniej nie byłam w stanie zrozumieć, jak przerażająca jest ślepotą. Parę centymetrów ode mnie może coś być, a ja nawet nie będę widziała, jak to coś się zbliża.

Wszystko było nie tak. Dlaczego wybrali mnie? Nie byłam nastolatką. Miałam dwadzieścia dwa lata. To nie fair.

Oddech znów mi przyspieszył. Zamknęłam oczy, znów zaczęłam liczyć oddechy. Po dziesiątym na tyle się uspokoiłam, że mogłam zacząć jeszcze raz. Dwa razy mrugnęłam tylko po to, żeby sprawdzić, czy naprawdę mam otwarte oczy.

Obracałam głowę, ale nie zobaczyłam ani odrobiny światła. Nachylałam się w

obie strony, czekając, aż natrafię na coś twardego, ale niczego nie było. Przestrzeni było sporo.

Nie pod ziemią. Jeszcze nie.

Musiałam zachować spokój. Musiałam oddychać. Musiałam myśleć. To, co mnie zamroczyło wiele godzin temu, już wyparowało. Na dłuższy czas odebrali mi zdolność rozumowania, dobrze im się to udało, ale znów byłam sobą. Wystraszoną na śmierć, ale sobą.

Myśl.

Byłam pod dachem. Nawet najczarniejsza noc nie byłaby tak czarna. Siedziałam na czymś zimnym i twardym, na kamiennej posadzce. Jednocześnie ciężkie, wilgotne powietrze mówiło, że jestem pod ziemią. Piwnica.

Oddychaj. Myśl.

Głowa mnie bolała. Chciało mi się pić. Ból w rękach i ramionach zanikał, zastępował go paskudny atak igieł i szpilek. Powiedziałam sobie, że to dobry znak. Ramiona i nogi nadal nadają się do użytku. Nie zostałam ciężko poraniona.

Oddychaj. Planuj.

Ręce i nogi miałam mocno związane, ale gdyby udało mi się wyjąć knebel, mogłabym normalnie oddychać, nawet wzywać pomocy. Zaczęłam kręcić głową, ocierać podbródek o ramiona, pracować szczęką. Nie ustawałam, nawet kiedy czułam, że mogę się zadławić, skupiałam się na oswobodzeniu ust, nie myśląc, gdzie jestem i co tu może być razem ze mną. Zajęło to sporo czasu, mało nie zwymiotowałam, ale w końcu pozbyłam się knebla. Wyplułam szmatę i żeby się uspokoić, kilka razy łyknęłam powietrze.

To nie byle co, kiedy można normalnie oddychać. Wcześniej tego nie wiedziałam.

Mogłam oddychać. Mogłam krzyczeć. Już trochę lepiej. Teraz następne kroki...

Coś poruszyło się obok mnie. Zamarłam, czekałam, aż usłyszę to jeszcze raz, i modliłam się, żeby tego nie usłyszeć.

Drapanie, potem cichy dźwięk, jakby coś się toczyło. Gryzonie. Wyobraziłam sobie maleńkie, jasne oczka gdzieś w pobliżu. Drgający ogonek. Nastroszone wąsiki. W porządku. Nie bałam się szczurów.

Nie zdając sobie z tego sprawy, skuliłam się w ciasny obarzanek, żeby odsunąć się od szczura, którego się nie bałam. Znów zrobiłam kilka głębokich oddechów,

powtarzając sobie, że nie boję się szczurów.

Czas, żeby się ruszyć. Czas, żeby dowiedzieć się, gdzie byłam, wyczuć przestrzeń, w której się znajdowałam. Jej wielkość. I co w niej mogło być poza mną.

Przesuwając się powoli po wilgotnej posadzce, próbowałam odzyskać poczucie czasu. Ostatnie, co pamiętałam, to sabat przechodzący obok mnie o wschodzie księżycy, o wpół do dziesiątej wieczorem. Czułam, że coś bym zjadła, a to znaczyło, że mogło minąć kilka godzin. Chciało mi się pić, ale nie było to wściekłe pragnienie, które podpowiadałoby, że jestem tu dłużej niż dzień.

Pomyślałam, że porwano mnie raczej parę godzin niż parę dni temu. Nadal była wtorkowa noc albo wczesne godziny środy. Tak lepiej. Robiłam postępy. Myślałam.

I wtedy znów usłyszałam ten dźwięk. Tym razem był głośniejszy i bardzo bliski. Już nie szczur, coś większego. Jakbym widziała pazury drapiące kamień, cienkie, skręcone ciało czegoś, co nigdy nie widziało światła dziennego. Stworzenie żyjące pod ziemią pewnie widzi w ciemności. Widziało mnie. Szło po mnie.

Nie pamiętam, jak długo krzyczałam, zanim zrozumiałam, że nie szło po mnie.

Po prostu szczur, którego wystraszyłam. Albo coś, co czeka na odpowiedni moment. Coś, co czerpie przyjemność z mojego strachu.

Przestań! Oddychaj. Myśl.

Od tego nie było ucieczki. Wpadłam w kłopoty po uszy. Daphne i Avril podały mi narkotyk. Wykorzystując znajomość ziół leczniczych, którą dysponowała Marlene, dodały coś do wina. Nie byłam przy zdrowych zmysłach, kiedy widziałam Rushtona w pizamie przy głównej ulicy albo klauna jadącego samochodem Well Head Road. Narkotyk, który mi podały, miał właściwości halucynogenne.

Przesuwałam się po posadzce. Była zimna, czasem czułam pod sobą wilgoć. Zaczynałam się zastanawiać, czy jestem w jaskini i czy przypadkiem nie przesuwam się coraz głębiej.

Oddychaj. Pracuj nad tym. Myśl.

Zachowałam się jak łatwowierna idiotka. Daphne i Avril od samego początku były oczywistymi sprawczyniami. Sprawa dotyczyła czarownictwa, a one były zdeklarowanymi wiedźmami. Zmyliła nas ich pewność siebie, ich alibi, a także –

przynajmniej w moim przypadku – fakt, że naprawdę je lubiłam.

Avril i Daphne. Jak to możliwe, że tak fałszywie je oceniłam?

Avril i Daphne nie zgłoszą mojego zaginięcia. Kiedy posterunkowy, który przyjdzie po mnie rano, nie zastanie mnie, moi koledzy założą, że uciekłam. Avril i Daphne powiedzą im, że zostawiłam swoje rzeczy, żeby złapać pociąg do domu. Policjanci przyjdą do domu moich rodziców, ale założą, że nadal uciekam, gdyż boję się odpowiedzialności karnej.

Nie będą mnie szukać w Sabden. Nie będą sprawdzać skrzyń świeżo zakopanych na cmentarzach.

Uderzyłam w zimny, twardy mur i przyszła mi do głowy myśl, że Tom też może być w to zamieszany. Nie było go podczas sabatu, ale czy to jest dowód? Może jego zadaniem było uwiedzenie mnie, zbliżenie się do mnie, wypytanie, co wiem, co o tym wszystkim myślę.

Powiedz mi, o czym ona myśli.

Tomowi nie było potrzebne zakłęcie miłosne, jeśli chodziło o mnie.

Łzy wywołują podrażnienie, kiedy ma się związane ręce i nie można ich zetrzeć. Szczypią w oczy, kłują w policzki.

Nadal się przesuwalam, próbowałam dotrzeć do końca muru, szukałam czegoś ostrego. Kiedy dotarłam do kąta, usłyszałam, jak ktoś wchodzi.

Zamknięto ciężkie drzwi. Kroki. Ktoś schodzi po schodach?

Zbliża się, przechodzi przez pomieszczenie. Otwiera zasuwę w drzwiach. Odkryłam, że jesteśmy wiecznymi optymistami, kiedy myśl, że to pomoc, przemknęła mi przez głowę. Skupiłam wzrok na miejscu, z którego dochodziły dźwięki. Wąziutka szara linia na tle czerni. Światło, jak punkcik, nie- oświetlające niczego. Odgłos otwieranych drzwi i kroki na kamiennej posadzce.

Więc to nie ratunek. Gdyby ktoś mnie szukał, zawołałby mnie po imieniu.

Cienka wiązka światła przeszukiwała pomieszczenie, pokazywała ciemne mury, lśniące od wilgoci i grube żelazne łańcuchy zwisające z wysoka. Wcisnęłam się w kąt, jakbym mogła się schować. Ale oczy miałam otwarte, bo jeśli będę mogła coś zobaczyć, to chcę to zobaczyć.

Nic. Nieokreślony kształt na tle szarości otwartych drzwi. Pomieszczenie za drzwiami było tak samo ciemne.

Światło odnalazło mnie, uderzyło w środek piersi, uniosło się do twarzy i

całkowicie mnie oślepiło.

– Jestem policjantką i uwięzienie mnie to bardzo poważne przestępstwo – zaczęłam. – Avril? Daphne? Jeśli to wy, policja o was wie. Wiedzą też, dokąd poszłam wczoraj wieczorem. Jeśli zrobicie mi krzywdę, resztę życia spędzicie w więzieniu.

Kształt zbliżył się do mnie, latarkę trzymał tak, żeby oświetlała moją twarz. Chwycił mnie za stopy i brutalnie wyciągnął z kąta, aż waliłam głową o mur, kiedy znów leżałam na posadzce. Potem ktoś na mnie usiadł. To nie była kobieta. To był ktoś duży i muskularny. Odwrócił mnie, tak że znów leżałam twarzą w stronę kamieni. Zaczęłam krzyczeć. Podniósł mi głowę za włosy i mocno rąbnął twarzą o posadzkę. Przestałam krzyczeć.

Siedział mi na klatce. Ledwie oddychałam. Leżałam, próbowałam nie udusić się, czułam, jak się porusza wokół mnie. Chwycił mocno moje ręce.

Coś ostrego i chłodnego zamknęło się wokół podstawy mojego palca serdecznego. Przerazenie zalało mnie jak zimna woda. Wiedziałam, co zrobi, na sekundę zanim przystąpił do działania. Mimo to ból przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Nie słyszałam odgłosu metalu uderzającego o metal ani rozcinania kości. Mój krzyk zagłuszył wszystko.

Potem była ciemność i ból. Za każdym razem, kiedy wracała mi przytomność, docierało do mnie, że nadal jestem w tym samym miejscu. Było takie samo – chłodne, wilgotne i twarde. Tak samo czuć je było ziemią i stęchlizną. I nadal czarne i puste jak dusza tego, kto mnie tutaj zamknął.

Ból dłoni był jak ogień. Obciążł więcej niż jeden palec? Próbowałam dotykać ich po kolei, ale po kilku próbach poddałam się. Za bardzo mnie to dezorientowało. Wiedziałam tylko, że jakieś palce mi zostały.

Stworzenia, które siedziały razem ze mną, już nie szamotały się za każdym razem, kiedy się ruszyłam. Ich tupot i drapanie stały się ścieżką dźwiękową mojego więzienia. Parę razy poczułam, jak coś mnie dotknęło.

Traciłam przytomność i odzyskiwałam ją. Towarzyszyły mi wizje szcurków skaczących na mój krwawiący palec, coraz śmielszych, wgryzających się w ciało. Ręka tak bardzo mnie bolała, że jeśli tak było, nie wiedziałabym o tym. Potem te krwiożercze stwory już nie były szcurkami, stały się czymś innym, czymś nie z tego świata. Miałam złe sny, ale najgorsze przyszło, gdy obudziłam się po dobrym śnie, że mnie uratowano, że budzę się w szpitalnym łóżku i widzę Toma, jak się do mnie uśmiecha.

Pragnienie było okropne, jakby wyżęto mnie do suchości.

Knebel został założony, tym razem był ciaśniejszy. To mi coś powiedziało. Nie chciał, żebym krzyczała. Gdybym zaczęła tutaj krzyczeć, była szansa, że ktoś by mnie usłyszał. Niedaleko byli ludzie. Dałoby mi to pocieszenie, gdyby została we mnie jeszcze odrobina nadziei. Leżałam na zimnych kamieniach. Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim znów po mnie przyjdzie. Byłam coraz słabsza, coraz więcej krwi uchodziło z otwartej rany.

Odgłos drzwi obudził mnie po raz ostatni w tej ciemnicy. Otwarto je pospiesznie, szcęknięły, potem trzasnęły, gdy je zamykano. Usłyszałam zbliżające się kroki, poczułam coś bardzo znajomego i wreszcie zrozumiałam, kto mnie porwał.

Zapytałam siebie, czy będę miała siły, żeby walczyć. Odpowiedź brzmiała, że nie. Zobaczyłam błysk latarki i zamknęłam oczy w odruchowej reakcji na bezpośredni, chociaż nieokreślony horror. Poczułam, że na głowę zarzucają mi coś szorstkiego i chropowatego.

Płótno workowe.

Walczyłam, szarpałam się, wiałam, bo wyobraziłam sobie szorstki worek, wydobyty z grobu, w którym krótko leżała Luna. Wsadzał mnie do worka. Nie było dla mnie trumny, tylko pospolity całun, którego wytrzymałość zdążył już sprawdzić. Inaczej niż Luna nie będę w stanie sama się wygrzebać.

Rzucałam się jak w gorączce, ale nie robiło to na nim wrażenia. Naciągnął na mnie worek, podnosił mnie, kiedy trzeba było, opuszczał, kiedy nie było to konieczne. Kopałam, machałam rękami, mimo że były związane, mimo że ból promieniował na całe ramię. Kopałam, mimo że czułam, że zgubiłam but. Chwytałam coś, ciągnęłam, słyszałam, jak drze się materiał.

Oczywiście, że mnie bił. Był znacznie silniejszy, nie był poraniony, a ja miałam skrupowane ręce i stopy. W końcu wsadził mnie do worka i zawiązał go. Wyczułam, że węzły były mocno ściągnięte.

Już nie było cicho. Słyszałam, jak dyszy, jak wstaje. Słyszałam uderzenia, drapanie, którego nie potrafiłam zinterpretować, ale wyczułam też lekką zmianę w atmosferze. Mimo worka zorientowałam się, że jest minimalnie zimniej, a powietrze jest trochę świeższe. I słyszałam odgłosy z ulicy. Odległy warkot samochodu.

Podniósł mnie. Niósł mnie kilka metrów, potem rzucił – nie mam na to innego słowa – ale upadłam niemal natychmiast, jakby wyciągnął mnie z dziury w ziemi. Popchnął, przetoczyłam się i znów usłyszałam trzaski. Tym razem pomyślałam, że to zamykanie ciężkich drzwi.

Znów mnie podniósł. Znów położył. Kolejna twarda powierzchnia, ale tym razem metalowa. Zamykane drzwi, włączany silnik. Pojazd, w którym mnie więził, zaczął jechać.

Pomyślałam, że muszę poczekać, aż się zatrzyma, potem przetoczyć się na bok i z całej siły walić w metal albo kopnięciem otworzyć drzwi i wytoczyć się na zewnątrz. Lepiej umrzeć na drodze niż tak, jak sobie umyślił ten drań.

Nie zatrzymał się. Ani razu. Jechaliśmy nie dłużej niż kwadrans, gdy znów

zatrzymał wóz. Słyszałam, jak otwierają się i zamykają drzwi od strony kierowcy. Potem tylne drzwi.

Zostało we mnie mnóstwo sił do walki. Miałam zakończyć życie w najpotworniejszy sposób. Byłam związana w worku, ale walczyłam ostro, krzyczałam tak głośno, jak tylko mogłam, mimo że dusił mnie knebel.

Przełożył mnie przez ramię i nagle znalazłam się na ziemi. Wiłam się jak robak. Kopałam, biłam pięściami, turlałam się. Wydawałam okrzyki, które odbijały mi się w czaszce grzmotem, ale pewnie nie docierały dalej niż na kilka metrów. Nie poddawałam się, aż zemdlałam ze zmęczenia. Dość. Już więcej nie mogłam. Czekałam, aż przetoczy mnie do otwartego grobu.

Niczego takiego nie zrobił. Leżałam, zdyszana, zapłakana, przygotowałam się na ostatni cios. Nie było go.

On odszedł.

Byłam tego pewna, tak jak byłam pewna, że żyję. Nie wyczuwałam nikogo w pobliżu. Gdziekolwiek byłam, żyłam.

Potem kroki, ktoś biegł.

Znow zaczęłam się szamotać. Ktoś stanął przy moich stopach, mocno je nacisnął. Usłyszałam, odgłos ciągnięcia, przecinania i stopy miałam wolne. Nadal związane, ale już nie w worku. Słyszałam, jak ktoś drze worek, mówi, żebym się nie ruszała.

– Na miłość boską, nie ruszaj się, – Już nie miałam worka na głowie. Wokół mnie panowała noc, widziałam gwiazdy i księżyc. Widziałam drzewa wokół cmentarza i nagrobki. Mało brakowało, a jeden z nich byłby moim nagrobkiem. Zobaczyłam wielką głowę i małe ciało człowieka, który teraz wyciągnął ręce za moje plecy, rozwiązał szmatę, wyjął knebel i patrzył na mnie szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami, jakby naprawdę wykopał z ziemi nieumarłego.

Dwane szybko otrząsnął się z szoku. Odsunął się i krzyknął:

– Mamo! Tato! Chodźcie tutaj. Niech ktoś wezwie karetkę.

Mówienie przychodziło mi z trudem, ale musiałam go uciszyć.

– Dwane, przestań. Proszę, przestań krzyczeć.

Nie wiedziałam, czy mnie słyszy, ale chyba słyszał, bo zamknął usta.

– Muszę się napić – wychrypiałam. – Natychmiast. I muszę zadzwonić do inspektora Rushtona. Pomożesz mi? Pomożesz mi wstać?

Popatrzył na liny wokół moich kostek i nadgarstków i, jak przystało na praktycznego rzemieślnika, wyjął scyzoryk z tylnej kieszeni. Kilka sekund i byłam wolna. Pomógł mi wstać. Brakowało mi jednego buta.

Zachwiałam się, Dwane mnie podtrzymał. Potem, ślaniając się jak pijana, niepasująca do siebie romantyczna para, poszliśmy w stronę wejścia do kościoła św. Wilfryda.

– Muszę zatelefonować – powiedziałam.

– Usłyszałem, jak powiedziałaś to za pierwszym razem – odparł Dwane.

W kruchcie musiałam zatrzymać się i oprzeć o kamienną bramę.

– Widziałeś, kto mnie tu zostawił? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Nie. Słyszałem silnik. Dziwne o tej porze, w nocy. Wyjrzałem za okno i niczego nie zobaczyłem, ale to mi nie wystarczyło. Przy tych wszystkich sztuczkiach na cmentarzach, które ostatnio mieliśmy.

W innych okolicznościach uśmiechnęłabym się na słowo sztuczki. Ale było, jak było i cieszyłam się, że Dwane był silniejszy, niż na to wyglądał, a mnie szybko opuszczały siły.

– Trzymam cię. – Podtrzymał mnie w pasie ramieniem i zwrócił twarzą w stronę ulicy.

– Całe to cholerne miasto cię szuka – powiedział, gdy znów ruszyliśmy. – Rushton kazał nam przeczesać wrzosowisko.

Całe miasto?

– Porozklejali plakaty i w ogóle. Ładne zdjęcie. Mam jedno w sypialni.

– Skąd? – zapytałam. – Skąd wiedzieli, że zniknęłam?

– Zgłosiły to dwie lesby, u których teraz mieszkasz. Mama mówiła, że koczują w komisariacie. Cholernie im przeszkadzają. Mówią, że nie mogłaś uciec, bo twoja torebka i wszystkie rzeczy nadal są u nich w domu. Zgodziłem się z nimi. Powiedziałem, że nie uciekłybyś.

Och Avril, Daphne, tak mi przykro.

– A potem znaleźli twój rower na drodze, tam, w górze. Był w złym stanie.

Zatrzymaliśmy się przy domu na końcu rzędu szeregówek, bliżej niż o rzut kamieniem od kościoła. Dwane mocno załomotał kołatką.

– Która godzina? – zapytałam, ale powinnam raczej zapytać, który to dzień.

– Przeszła trzecia – odpowiedział. – Nie będzie zadowolona.

Nad nami otworzyło się okno.

– Co jest, kutasie?! – krzyknął ktoś z góry.

– Kobieta potrzebuje pomocy! – zawołał. – Sprawa dla policji. Pilna.

Kiedy czekaliśmy, Dwane powiedział mi, że jest wczesna poranna godzina piątku. Nie było mnie dwa dni.

– Dwane – powiedziałam kilka minut później, kiedy otworzyły się drzwi i zakrystian wparował razem ze mną do środka, obok zaniepokojonej kobiety w szlafroku. – Muszę porozmawiać z inspektorem Rushtonem. Nikomu innemu nie ufam. Nie będziesz miał łatwo, bo sierżant w komisariacie będzie chciał sam odebrać twój telefon i wysłać tutaj samochód patrolowy, ale to ważne, żebym porozmawiała z inspektorem, zanim ktokolwiek się dowie, że mnie znalazłeś. Mógłbyś spróbować? Proszę.

Znów spojrzał na mnie, robiąc minę, której nie potrafiłam zgłębić. Podniósł słuchawkę. Wykręcił cztery numery.

– Wujku Stan – powiedział po paru sekundach. – Tu Dwane. Jestem u cioci Janet. Wpadniesz? Jest sprawa.

Piątek, 4 lipca 1969

Kiedy czekaliśmy na Rushtona, dowiedziałam się, że matka Dwane'a i inspektor są kuzynami i że Rushton jest ojcem chrzestnym Dwane'a. Ciotka Janet – ciotka był to tytuł honorowy, bo nie byli spokrewnieni – była spokojną, rozsądną kobietą. Przyniosła mi szklanę wody, potem kubek herbaty aż gęstej od cukru, a potem aspirynę. Zanim przyjechał samochód inspektora, poczułam się trochę lepiej.

– Florence, co do diabła... – mówił Rushton, wchodząc bez pukania. Potem zobaczył mnie, jak siedzę na krześle w korytarzu otulona kocem, z dłonią na czystej ścierece do naczyń leżącej na stoliku. Ciocia Janet próbowała oczyścić mi ranę namoczoną wodą bawełną, a Dwane stał na straży po mojej prawej stronie. – Jezu. – Inspektor zbladł. – Wezwano karetkę?

– Nie ma czasu – powiedziałam. – Sir, wiem, kto to zrobił. Jeśli szybko go znajdziemy, będziemy mogli to udowodnić. – Po raz pierwszy rozgięłam zaciśniętą prawą dłoń i pokazałam mu trójkącik morelowego koloru materiału z guziczkiem, które w niej trzymałam. – Oddarłam to od jego koszuli – powiedziałam. – Koszulę też będzie miał zakrwawioną. Jeśli szybko go znajdziemy...

– Kogo? – zapytał.

– Larry'ego Glassbrooka – odpowiedziałam. – Poczułam jego płyn po goleniu.

Rushton zawiózł mnie swoim samochodem do domu Glassbrooków. Dwane siedział tuż za mną na tylnym siedzeniu. Rushton próbował przez chwilę odesłać go do domu, ale wielkogłowy tylko podniósł głowę wysoko. Nie chciał mnie zostawić. Za nami jechała panda z wyłączonymi światłami i syrenami. Po drodze do naszego konwoju dołączyły dwa inne wozy. Rushton nie ryzykował.

Niełatwo było go przekonać, żeby natychmiast pojechał dokonać aresztowania, zamiast wieźć mnie do szpitala. Szczególnie kiedy ciocia Janet pokazywała

czerwone pasma biegnące wzdłuż mojej ręki i mówiła o infekcji, przewidując utratę całego ramienia, jeśli natychmiast ktoś się tym nie zajmie.

W końcu, gdy powiedziałam, że nie mam zamiaru ustąpić, Rushton dał mi godzinę.

– Te dwie stare ropuchy dały ci narkotyk – powiedział, kiedy odjechaliśmy sprzed kościoła. – Cholery przyznały się do tego. Powiedziały, że chciały, żebyś dobrze się wyspała i nie szła za nimi na Wzgórze. Zrozumieliśmy, co się stało, kiedy znaleźliśmy twój rower na drodze, na górze. Cholera, mnóstwo godzin tam zmarnowaliśmy. Z psami i w ogóle.

– Znalazł mnie Larry – powiedziałam. – Musiał za mną iść od domu i wrzucił mnie do furgonetki, gdy sabat był na Wzgórze.

– Gdyby ktoś mi powiedział, kiedy wstępowałam do policji, że będę aresztować wiedźmy i czarowników... – Pokręcił głową. – Dlaczego ty, Flossie? Bez urazy, ale nie jesteś nastolatką.

– Wiedział, że jestem blisko – odparłam. – Wykresy i notatki trzymałam w sypialni i nie miałam zamka. Wiem, że dziewczyny je oglądały, więc on też musiał to robić. Dlatego chciał, żebym odeszła z jego domu. Pomyślał, że coś zauważę i dojdę do wniosku, że to on. Kiedy skupiliśmy się na klubie krykieta, wiedział, że nie zostało mu wiele czasu.

– Ale Luna? Ta dziewczyna to jego córka.

– Nie sądzę, żeby Luna naprawdę była zagrożona. Leżała w grobie tylko kilka minut. Wiedział, że tam jadę.

– Hm, słuchaj, czegoś nie rozumiem. – Dwane pochylił się w moją stronę. – Jeśli to był on, jak mógł do ciebie zadzwonić wtedy, wieczorem, żeby powiedzieć, gdzie jest Luna? Jak to zrobił, skoro był w łóżku, na piętrze?

Rushton aż nadepnął hamulec.

– Skąd, do cholery, o tym wiesz? – zapytał, patrząc w tylne lusterko.

Dwane wyglądał na obrażonego.

– Mama trzy razy w tygodniu podaje śniadania, kolacje i herbatę dla waszych chłopaków – powiedział. – Myślisz, że jest głucha?

Rushton westchnął, a ja odwróciłam się do Dwane'a.

– Domyślałam się, że dzwoniła Beryl, jego dziewczyna – powiedziałam. – Musiała też dać mu fałszywe alibi.

Skręciliśmy w drogę prowadzącą do Glassbrooków. Rozpoznałam kilka samochodów zaparkowanych niedaleko domu. Kiedy Rushton zatrzymał wóz, ich kierowcy wysiedli. Sharples, Brown, Green. I Tom. Mocniej okręciłam dłoń ściereczką do naczyń – już była przesiąknięta krwią – i próbowałam otworzyć drzwi samochodu, ale Dwane wyskoczył i zdążył przede mną. Objął mnie w pasie ramieniem, żeby pomóc mi iść, a ja nie miałam serca, żeby go pogonić. Pozostali zebrali się na chodniku po drugiej stronie jezdni i czekali, aż podejdziemy.

– Miło cię widzieć Florence – powiedział szeptem Sharples. Tom wyglądał, jakby chciał powstrzymać Dwane’a.

– Okrążyć dom – rozkazał Rushton. – Wchodzę z Florence i Jackiem. Tom, ty zapewniasz nam wsparcie. Dwane, zostajesz, do cholery, w samochodzie.

Rushton, Sharples i ja poszliśmy w stronę domu. Za nami szli Tom i Randy, Dwane włókł się na końcu. Reszta rozciągnęła się wokół nieruchomości.

W domu było ciemno.

– Powinniśmy wejść od tyłu – powiedziałam.

Zeszliśmy z podjazdu i przeszliśmy przez ogród. Gdy zbliżaliśmy się do drzwi kuchennych, zobaczyłam światelko. Rushton stanął przede mną i nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły.

Larry siedział przy kuchennym stole. Przed nim stała butelka brandy i szklanka. Miał na sobie morelową koszulę poplamioną krwią wokół guzików. Głowę oparł na dłoniach, nie podniósł wzroku, kiedy wchodziliśmy. Szłam za Rushtonem, za nami Sharples, potem Tom i Randy. Obeszliśmy stół, ale ja byłam pośrodku. Najbliżej.

– Larry, proszę, wstań – powiedział Rushton. – Muszę przyjrzeć się twojej koszuli.

Larry wypił resztkę brandy i wreszcie spojrzał na mnie.

– Jak leci Flossie? – zapytał z uśmiechem, który mnie wtedy poraził jako wyraz czystego zła.

– Wstać – powiedział Sharples i Larry dźwignął się z krzesła. Koszuli nie miał wetkniętej w spodnie i dokładnie zobaczyliśmy podarty dolny róg z brakującym guzikiem.

– Posterunkowa Lovelady, czy chce pani pełnić honory domu? – zapytał Rushton.

Chciałam. Tylko że niezupełnie pamiętałam, jak się te „honory” spełnia.

Marzyłam o dokonaniu pierwszego aresztowania. Wielokrotnie ćwiczyłam to przed lustrem, ale kiedy do niego doszło, zapomniałam słów.

– Umrzesz w więzieniu, łajdaku – powiedziałam do Larry’ego.

Rushton powiedział co należy, a potem Tom i Randy, szukając ukrytej broni, obmacali go i przeszukali leżącą obok marynarkę. W kieszeni marynarki Tom coś znalazł. Wiedziałam, że to coś zawsze będzie go nawiedzać.

Mój palec.

Część 3

*Krew moją zgęście, zamknijcie szczeliny,
Którymi wkraść by mogła się zgryzota,
By żadnych ludzkich uczuć nawiedzenie
Mym nie zachwiało okrutnym zamiarem,
Nie rozdzieliło myśli od spełnienia!*
Makbet, William Szekspirprzeł. Leon Ulrich

56

Wtorek, 10 sierpnia 1999

Musimy znaleźć Sally – mówię.

– Powiedziałaś, że jedziemy do domu.

– Larry wiedział, że wrócę na jego pogrzeb. Wiedział, że znajdę glinianą figurkę. A to znaczy, że Sally musiała ją tam podłożyć.

– Nie rozumiem, jak to zrobił. – Ben marszczy czoło. To stary nawyk z dzieciństwa, który do tej pory budzi moje silne emocje.

– To nie mogła być Mary. Widziałam jej minę. Była wystraszona. Tylko ona i Sally miały klucze.

– Że jak? Ule? Nie potrzeba kluczy. Jeśli Larry kazał Sally schować lalkę czarownic, bo nie chciał, żebyś ją znalazła, to lalka byłaby w domu. Mamo, to nie ma sensu.

Nie słucham Bena.

– Tylko Sally, poza mną, odwiedzała go. Poza tym mam klucze, które muszę jej oddać.

Wstaję. On nie rusza się z miejsca.

– Mamo, to nie jest dobry pomysł.

Ben jest mądry ponad swoje lata, ale to nadal dziecko, a za mną są całe dziesięciolecia, gdy mówiłam ludziom, co mają zrobić. Znajdujemy samochód i ruszamy. Kiedy wyjeżdżamy z miasta i zostawiamy za sobą nowy układ ulic, swojskość otula mnie, jak znoszona, ale ciepła peleryna. Wąska droga nie zmieniła się. Mury nadal są czarne od brudu i chyba nikt ich nie reperował, odkąd ostatni raz tędy jechałam. Za każdym zakrętem spodziewam się zabłąkanej owcy. Wiejskie domy i budynki gospodarcze, które mijamy, są tą samą eklektyczną zbieraniną starych kamieni, spróchniałego drewna i blachy falistej.

Raz ostro hamuję, żeby przepuścić nieuchronną owcę przez drogę.

Kiedy wjeżdżamy wyżej, wrzosowiska rozpościerają się wokół nas, lśnią kolorami w jaskrawym słońcu. Trawa jest zielona jak koniczyna, a wrzos zaczyna rozprzestrzeniać sine pasy po całym krajobrazie. Nad tym wszystkim dominuje pozbawione drzew, pokryte wąską warstwą gleby, czujne Wzgórze.

Ben prawie nic nie mówi podczas jazdy, wygląda przez okno i tylko raz zwraca się do mnie.

– Tu jest trochę jak w *Wichrowych wzgórzach*, prawda? – Trudno, żebym się miała z nim nie zgodzić. Nie dodaję, że widzi las Pendle w jego najlepszej wersji. Zimą piękno, które nas otacza, nabiera srogości.

Dom opieki w Northdean jest wielki: trzy kondygnacje, kamienne – oczywiście – ze zwieńczonymi dwuspadowo oknami i mnóstwem kominów. Trochę przypomina dom Glassbrooków, więc zastanawiam się, czy styl i bliskość Wzgórza wybrano, żeby Sally czuła się jak w domu.

W recepcji – czystej i funkcjonalnej, pachnącej chemicznie wytwarzanym aromatem róż – czekamy z Benem, aż ktoś się nami zajmie. Kiedy przychodzi kobieta w niebieskim kombinezonie, podaję nasze nazwiska i pytam, czy możemy zobaczyć się z Sally.

– Oczywiście – odpowiada. – Proszę tędy – i pyta, czy chcielibyśmy herbaty za pół godziny, kiedy będą ją pili rezydenci.

– Od wielu lat nie widziałam Sally. – Idziemy za kobietą korytarzem, a potem po schodach, na pierwsze piętro. – Czego mam się spodziewać?

Spogląda przez ramię.

– Wczesnej demencji. Obawiam się, że może państwa nie poznać. Ale lubi gości. Dobrze ją znacie? – Uśmiecha się do Bena, mimo że jest starsza ode mnie. Chyba będziemy musieli przyzwyczaić się, że syn przyciąga uwagę kobiet.

– Jestem starą przyjaciółką – mówię. – Czy rodzina często ją odwiedza?

Kobieta nic nie mówi, ale po z lekka zmienionym rytmie kroków domyślam się, że zna historię Sally i wie, co ją łączyło z człowiekiem, którego dzisiaj pogrzebaliśmy. Stuka do drzwi na końcu korytarza i otwiera je, nie czekając na zaproszenie. Wydaje mi się, że słyszę głosy w pokoju za drzwiami, ale kiedy wchodzimy z Benem, widzimy tylko jedną postać siedzącą w fotelu przy oknie.

– Witaj Sally – mówię, kiedy drzwi się za mną zamykają. – To ja, Florence. Pamiętasz mnie?

Brak odpowiedzi, więc podchodzę do fotela i, zanim zobaczę ją wprost, widzę odbicie w szybie. Pięknej kobiety, którą pamiętam, już nie ma. Sally zawsze była chuda, ale pod siedemdziesiątkę skóra obwisła jej na kościach, jakby w pewnym momencie nagle i szybko straciła na wadze. Wokół ust ma głębokie bruzdy, a oczy prawie schowały się jej pod brwiami, które z wiekiem bardzo się rozrosły. A może to złudzenie wywołane brakiem włosów?

Widzę wielkie fragmenty poczerwieniałej, pokrytej strupami skóry głowy, potem spostrzegam dużo jasnych włosów na jej ubraniu i na dywanie, wokół fotela. Sally sama je sobie wyrywa.

Na jej widok niknie przekonanie, które mnie tu sprowadziło. Nie wygląda na taką, która byłaby w stanie samodzielnie wyjść z pokoju, nie mówiąc o wykonywaniu złowrogich poleceń Larry'ego. To nie Sally podrzuciła figurkę, którą miałam znaleźć.

– Mamo, nie jesteśmy sami.

Odwracam się na pięcie i widzę to, co Ben już zauważył.

W kącie, przy biblioteczce, stoi kobieta. Zastygła podczas odkładania książki na półkę. Przez sekundę wydaje mi się, że się pomyliłam, że to Sally i że prawie się nie zmieniła. Nadal jest szczupła jak młoda wierzba, jej włosy lśnią srebrzystym blond, chociaż jest niższa, niż zapamiętałam. Ale nałożyła sobie makijaż, czego

nigdy nie widziałam u Sally, a z jej ubraniem też coś jest nie tak. Nigdy nie widziałam Sally w dżinsach i wysokich butach na szpilkach.

– Cześć Flossie – mówi. – Co za niespodzianka. A kim jest ten piękny młody człowiek?

– To mój syn – odpowiadam. – Ben, to Cassandra Glassbrook. Mogłeś o niej słyszeć. O Cassie Glass, kompozytorce piosenek?

– Jest za młody. – Cassie uśmiecha się do mnie, do Bena jak lis, który zastanawia się, któremu kurczakowi najpierw przegryźć szyję. – Od lat niczego nie wydałam.

– Mnóstwo ludzi uważa, że to Cassie, a nie Bryan Ferry, napisała *Slave to Love*. – Oby tylko Ben nie powiedział, że nigdy nie słyszał o *Slave to Love*, albo Bryanie Ferrym. Miałam nadzieję, że chociaż raz w życiu zachowa się taktownie.

– Pozwalaś go? – pyta.

– Poszliśmy na ugodę. – Dobrze pamiętałam ten lekki, próżny uśmieszek Cassie.

– Dobra piosenka. Mama i tato puszczają to, kiedy myślą, że jestem w łóżku.

– Nie wiedzieliśmy, że tu będziesz – mówię. – Kobieta, która nas przyprowadziła, nie wspominała o tobie. Jeśli chcesz zostać sama z matką... – Zostawiam propozycję w zawieszeniu.

Cassie odsuwa się o krok od biblioteczki.

– Od wielu lat nie rozmawiałam z mamą. Zostańcie parę minut. Ona chyba lubi, kiedy ludzie przy niej rozmawiają. Chociaż nie da się stwierdzić, ile z tego rozumie.

Siadamy, przysuwamy do siebie fotele i razem z Cassie i Sally tworzymy grupkę przy oknie, a wzgórze staje się jakby czwartym uczestnikiem naszego spotkania. Nie Ben, który ustawia krzesło trochę dalej i otwiera książkę.

– Nie zgłosiłam przyjscia w recepcji – mówi Cassie. – Tu są boczne drzwi, których nie zamyka się na dzień. Po prostu wślizgnęłam się.

Przypominam sobie, że Cassie miała zwyczaj cicho się poruszać albo zakradać się blisko ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że jest tuż obok.

– Nie widziałam cię na pogrzebie – mówię. – Szukałam cię.

Cassie wzrusza ramionami.

– Włożyłam okulary słoneczne, usiadłam z tyłu. Pomyślałam, że Luna będzie zadowolona, że wszyscy na nią patrzą.

Luna. Po mszy wsiadła do czekającego na nią samochodu, na pozór nieporuszona wrogością miejscowych. Teraz jest już pewnie daleko stąd, śpieszy się do swojego dostatniego życia. Gdy ostatni raz to sprawdzałam, mieszkała w Londynie. Cassie natomiast zajmuje przebudowany strych w pobliskim Salford.

– Cassie, kiedy ostatnio wchodziłaś do starego domu? – pytam.

– A co? – odpowiada pytaniem.

Przypominam sobie, że nie mogę żądać od Cassie informacji. Będę musiała je z niej wyciągać podstępem.

– Dzisiaj coś w nim znalazłam. To może być ważne dla sprawy twojego ojca. Muszę to zgłosić na policję. Jeśli ty...

– Jakież to ekscytujące. A co?

Przez sekundę, dwie wytrzymuję jej wzrok.

Cassie przestaje się uśmiechać.

– Daj sobie z tym spokój, Flossie. Co zyskam, że ci się spodobam, albo co stracę, że pozostanę sobą?

Nie odpowiadam.

– Widziałaś się z tatą w więzieniu – mówi Cassie. – Wiem o tym. Mama mi powiedziała. O czym z tobą rozmawiał?

Twarz Sally zaczyna dziwnie drgać, jakby jakiś owad nie dawał jej spokoju, a ona próbowała go strząsnąć.

Cassie kiedyś też tak robiła, mówiła wszystko, co przyszło jej do głowy, nie myśląc, jaki to będzie miało efekt. Uzmysławiam sobie, że Cassie nie wyszła za mąż, nie miała dzieci i wcześniej osiągnęła sukces finansowy. Chyba nigdy nie stała się naprawdę dojrzałym człowiekiem.

– Mówił o was trzech – odpowiadam jej. – O tobie, Lunie i waszej mamie. – Spoglądam na Sally, ale twarz starej kobiety znów jest nieruchoma. – Cassie, jeśli dzisiaj lub niedawno byłaś w waszym domu, jeśli twój ojciec prosił cię, żebyś tam coś zostawiła, to bardzo byś mi pomogła, gdybyś powiedziała, czy tak było.

– Powiem, jeśli ty mi powiesz, co to takiego.

– Wiesz, że nie mogę powiedzieć.

Gwałtownie skręca się w talii. Ruch wygląda nieco nienaturalnie. – A może zapytam twojego pięknego chłopca?

Znów uśmiecha się do Bena, a drapieżny wyraz jej twarzy sprawia, że chcę ją

podrapać. Wyobrażam sobie, jak rozdieram paznokciami jej skórę, począwszy od oczu, aż krew spływa jej po twarzy jak łzy.

Oddech znów mi przyspiesza. Czuję gorąco na twarzy. Ben miał rację: byłam głupia, że tu przyszedłam.

– Byłem w samochodzie – mówi Ben. – I nic pani nie mogę powiedzieć.

Cassie głośno robi wydech, jakby spuszczała z siebie powietrze. Znów zwraca się do mnie.

– Nie byłam w tym domu horrorów od ponad dziesięciu lat – mówi. – Nigdy tam nie wrócę.

Cassie ma teraz bardzo poważną minę, szyderczy uśmiezek zanikł. Wierzę jej. Próbuję głęboko oddychać, ale tak, żeby tego nie było widać. Jednak widzę, że Ben patrzy na mnie uważnie.

– Cassie, dlaczego nie wyjechałaś z miasta? Tak pewnie byłoby łatwiej wam trzem?

Cassie przenosi wzrok na matkę. Przez sekundę chyba patrzy na siebie. Potem Sally znów obojętnieje.

– Mama nie chciała – mówi Sally. – Przez wszystkie te lata podawała różne wymówki, prawda mamo? – Pochyla się, odplątuje włosy z palca Sally i łagodnie przesuwa dłoń matki na jej kolana.

– Tato nie zgodziłby się na sprzedanie domu. To była jedna z wymówek. Inna, że nikt nie kupiłby nieruchomości z tak ponurą przeszłością. Po paru latach Luna i ja poszliśmy na uniwersytet i sprawa wydawała się mniej ważna. Przynajmniej tam mogliśmy udawać, że jesteśmy normalne. Flossie, powiedz mi coś, czy on mówił ci, dlaczego to zrobił?

– Wiele razy – odpowiadam. – Mówił, że zrobił to z miłości.

Cassie krzywi się.

– To jest wynaturzone.

– Tak. Zawsze tak myślałam.

Cassy mruży oczy, spogląda na moją lewą dłoń.

– Nadal go nie ma – mówi, a ja jestem gotowa przysiąc, że w kąciku jej ust widzę zaczątek uśmiechu.

– Palce nie odrastają – rzuca ostro Ben, zaskakując nas obie.

– Prawda – mówi Cassie, ale wiem, że nie poruszyła jej irytacja mojego syna.

Może nawet ją rozbawiła. – Ale wiesz, chodzi o protezy kończyn i w ogóle.

– Palec to nie kończyna. Palec to palec, a mama nie jest modelką od lakierów do paznokci. Mama łapie przestępców.

Ben ma inny kolor włosów niż ja, ale ma temperament rudzielca.

– Kontaktujesz się jeszcze z Luną? – pytam, żeby zmienić temat, bo nie chcę, żeby się sprzeczali. Ben jest mądrzejszy, ale ma też silną potrzebę fair play. Gdyby wdali się w kłótnię, Cassie by wygrała.

Dziewczyna znów zwraca się do mnie.

– Przestałyśmy się kontaktować, kiedy ukończyłyśmy uniwersytet. Mama też chyba od lat jej nie widziała.

Obie patrzymy na Sally. Może to przypadek, ale kobieta ma bardziej zażawione oczy niż parę minut temu.

– Przeżyłyście potężny uraz psychiczny – mówię. – Różnie to wpływa na ludzi. Cassie robi minę.

– Nie chodziło tylko o tatę. Luna była wkurzona ze względu na Johna. Rzucił ją parę tygodni po skazaniu taty.

– Cóż, jakoś mnie to nie dziwi – mówię. – W każdym razie John miał wtedy problemy. Nie sądzę, żeby był przygotowany na poważny związek.

– Rzucił ją dla mnie.

Że jak? Ale mówię coś innego.

– Naprawdę? – Jakby to nie było nic takiego. Chociaż było.

– Zawsze był mną zainteresowany – mówi Cassie. – Nie wiedziałam, czy chcę chodzić z kimś młodszym od siebie. On udawał, że ma ochotę na Lunę, żeby być blisko mnie. – Odwraca wzrok, śmieje się. – Pamiętasz, jak kiedyś znalazłaś psa w swojej sypialni? To był pies Johna. W pubie jego taty zawsze były czarne psy, chyba po to, żeby nazwa pubu miała jakiś sens. John był ze mną w domu. Nie wiedzieliśmy, gdzie pies się podział. – Znów się śmieje, jakby śmiała się ze mnie. – Mało nie umarliśmy, kiedy podniosłaś raban, a tato wściekły wbiegł po schodach.

Zaczęłam się trząść. Nie wiem dlaczego. John zainteresowany Cassie chodzi z nią na potajemne randki, a jednocześnie zeznaje przede mną i Tomem, że uważa się za geja? Dlaczego piętnastolatek w latach sześćdziesiątych miałby twierdzić, że jest gejem, skoro nim nie był?

Wstaję, żeby wyjść. Ta rozmowa przypomniała mi, dlaczego nie lubiałam

Cassandry Glassbrook. Jest mi przykro ze względu na Sally, ale nic nie mogę dla niej zrobić. Mogę tylko mieć nadzieję, że jest dobrze traktowana. Nachylam się, żeby poklepać ją po ręce i pożegnać się, ale jej oczy utkwione są we Wzgórzu. Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że jestem w pokoju.

Cassie patrzy, jak wychodzimy, wpatrzona jest w Bena, ale ostatnie słowa kieruje do mnie.

– Flossie, czy w ogóle przychodziło ci do głowy, że Larry miał powód, żeby trzymać cię blisko siebie?

Kiedy wychodzimy, słońce nadal mocno przygrzewa, ale wokół naszych głów figluje wietrzyk, unosi mi włosy, chłodzi krople potu na skroniach Bena. Nie wracamy do samochodu. Obojgu nam potrzebne jest świeże powietrze, chociaż w domu opieki atmosfera była całkiem przyjemna.

W każdym razie niczego złego nie zauważyliśmy.

Podchodzimy do skraju parkingu, patrzymy na wrzosowiska.

– Mamo, ciągle masz klucze do ich domu.

Spoglądam na torebkę.

– Prawda, mam. Zapomniałam.

– Nie zapomniałaś. Widziałam, jak trzy razy popatrzyłaś na torebkę.

Przelatuje stado ptaków. Małe czarne gawrony. Tylko takie ptaki widywałam na Wzgórzu i wokół niego.

– Przez cały czas, kiedy tam byliśmy, trzymałeś nos w książce – mówię. – Niczego nie widziałeś.

– Widziałem, jak ta stara kobieta przygląda się wam obu za każdym razem, kiedy myśli, że nie patrzycie w jej stronę. Ona nie ma demencji. Mamo, ona udaje.

Odwracam się od wrzosowisk, żeby na niego spojrzeć.

– Bzdura – mówię, ale Ben nadal ma hardą minę.

– Kiedy powiedziałaś, że Larry zrobił to z miłości, ona zareagowała. Zrobiła taką minę, jakby coś ją bolało. Potem znowu, gdy mówiłyście o psie.

– Siedziała tyłem do ciebie. Nie mogłeś widzieć jej twarzy.

– Widziałem odbicie.

To, co mi mówi, wygląda na absurd. A jednak inteligencja Bena zaskakuje mnie od piętnastu lat.

– Sally nie ma nawet siedemdziesięciu lat. Dlaczego miałyby udawać demencję i chować się w domu opieki?

– Jeśli ludzie będą myśleli, że kompletnie odleciała, to zostawią ją w spokoju.

Nie będą jej dręczyć pytaniami. Mamo, jest mnóstwo sposobów, żeby uciec.

Myślę o tym. Nie.

– Mogła sprzedać dom. Przeprowadzić się z dziewczynami. Zacząć nowe życie.

– Zakładasz, że mogła. A jeśli nie mogła?

Czuję skurcz żołądka. Przed trzydziestu laty myśleliśmy, że znaleźliśmy wszystkie odpowiedzi. No, może nie wszystkie, ale to, co było, wystarczało. Przyjechałam tu przed paroma godzinami i teraz zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem.

Porozumiewamy się z Bernem bez słów i wychodzimy z parkingu na drogę.

– Myślałem o tym liście – mówi Ben. – O tym, że Larry tak dużo do ciebie pisał. Mnóstwo ludzi mogło o tym wiedzieć. I o tym, że go odwiedzałaś. Mogli się spodziewać, że przyjedziesz na pogrzeb. Jeden z nich mógł zostawić to dla ciebie.

– Ale nie mógł wiedzieć, że pójdę do uli.

Przypominam sobie swoją szczotkę do włosów, którą zostawiłam w domu Glassbrooków.

Mają moje włosy. Mają moje włosy.

A jeśli mają także mój palec? A jeśli udało im się go dostać przed wielu laty? A jeśli mają kość, najsilniejszą ze wszystkich esencji?

– Mamo!

Zmuszam się, żeby skupić się na Benie. Robię się śmieszna. Nie ma „ich”. Larry, zabójca dzieci, człowiek, który miał zamiar mnie zabić, trzydzieści lat temu ulepił glinianą figurkę i jakoś ją przeoczyliśmy.

– Czy on był winny? – pyta Ben.

W tym rzecz. Tego pytania nie chciałam sobie zadawać. Nawet kiedy budziłam się w nocy i miałam wrażenie, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, i tak to pytanie nie formowało mi się w myślach.

– Było mnóstwo dowodów – mówię.

– Dokładnie jakich dowodów?

Biorę głęboki wdech.

– Częściowo poszlakowych. Miał dostęp do skrzyń tuż przed pogrzebami. Dysponował środkiem transportu, żeby wozić nieprzytomne dzieci. Poprzez klub krykieta znał je wszystkie, więc nie bały się go. Był przystojnym mężczyzną, więc ludzie mieli skłonność mu ufać.

– I zatrzymano go z odciętym palcem w kieszeni marynarki.

– To też – zgadzam się z Benem. – I moja krew na jego koszuli i w jego składzie drewna. Twierdził, że przetrzymywał mnie tam przez dwa dni, kiedy mnie szukano. Zakneblowaną, żeby nikt z rodziny nie mógł usłyszeć krzyku.

Ben wzdryga się. Dotykam go leciutko.

– Policja znalazła w jego warsztacie niewykończoną glinianą figurkę i kilka rzeczy należących do wcześniejszych ofiar – mówię. – Wystarczyło tego, żeby go skazać nawet, gdyby nie przyznał się do winy.

– Więc był winny? – powtarza Ben.

– Nigdy nie mówił, że nie – odpowiadam.

– Hm...

– Przyznał się do winy. Ale w sądzie powiedział bardzo mało. Rozprawy nie było, więc i tak nie musiał mówić dużo.

– Ale przecież go przesłuchiwałaś?

– Nie. Nie pozwolono by mi. Ale owszem, długo go przesłuchiowano, a ja czytałam transkrypcję.

– I?

– Od czasu do czasu były nieścistości. Czasem odmawiał odpowiedzi albo twierdził, że nie pamięta. Na przykład twierdził, że to nie Beryl dzwoniła do mnie wtedy wieczorem, żeby powiedzieć, gdzie szukać Luny, ale nie chciał powiedzieć, kto dzwonił.

Ben patrzy na mnie z politowaniem.

– A ty to wszystko przyjęłaś?

– Nie masz pojęcia, pod jakim naciskiem byliśmy, żeby doprowadzić do skazania – mówię. – Larry był darowanym koniem.

– No to był winny? – znów pyta Ben.

Kiedy Ben na coś wpadnie, nie popuści.

– Ben, szczerze mówiąc, nie wiem. – Skręcam. – Chodź, musimy wracać. Chcę złapać w komisariacie któregoś z szefów, zanim wszyscy pójną do domu.

Idzie za mną, nie widzi, że ogarnia mnie strach. A może nie chce tego widzieć?

– Wreszcie do czegoś doszliśmy. Dlaczego Larry przyznał się do zbrodni, której nie popełnił? Dlaczego ktokolwiek by się do czegoś takiego przyznał?

– Ty mi to powiedz – odwarkuję. Zrobiłam karierę na sprawie Glassbrooka.

Stałam się sławna. Nawet teraz widzę, jak młodzi policjanci trącają się w bok, gdy mnie widzą. „To ona. To Florence Lovelady”.

Ta sprawa mnie zmieniła. Trzeba było lat, żebym w pełni to zrozumiała. Prześladowają mnie demony, oczywiście, że tak. Po czymś takim, przez co przeszłam, nikt nie wyjdzie bez uszczerbku. Zdarza się, że mroczne miejsca są tuż za rogiem, a Bogu wiadomo, jak blisko są teraz, kiedy wróciłam na północ.

Ale przeżyłam. Doprowadziłam zabójcę przed wymiar sprawiedliwości. Wygrałam i ta świadomość uczyniła mnie bardziej pewną siebie, mniej skłoną do wycofywania się ze światła reflektorów na korzyść innych. Dało mi to poczucie istotności życia, potrzebę sięgania po okazje i chwytania ich obiema rękami. Nauczyło mnie to, żeby nie marnować czasu, bo czas jest cenny. Skazanie Larry’ego uczyniło mnie taką, jaka jestem.

– Kogo chronił? – pyta Ben.

Wróciliśmy do samochodu, siadamy przy otwartych drzwiach, bo jest za gorąco, żeby je zamykać.

Jeśli skazanie Larry’ego jest niepewne, to co powiedzieć o kobiecie, dla której stanowiło nowy początek?

– Czy to możliwe, że Larry wiedział, kto naprawdę jest zabójcą, i wziął winę na siebie? – pyta Ben.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – odpowiadam pytaniem.

– Musiałyby to być ktoś, kto bardzo wiele dla niego znaczył.

Kręcę głową.

– Wtedy chodziłoby wyłącznie o jego rodzinę. Dwie dziewczyny były dziećmi. Sally nie była silną kobietą.

– Ofiary też nie były duże. A Sally, w sumie wszyscy w tym domu, miała dostęp do dziwacznych i niesamowitych lekarstw. Do takich lekarstw, które stosują położne, nie mówiąc o całym tym jej zielarstwie.

Nie miałam pojęcia, skąd Ben tak dużo wie o sprawie. Zapomniałam o coraz większym potencjale Internetu i determinacji piętnastolatków.

– Sally? – mówię. – To niemożliwe.

– Mamo, ona nie ma demencji. Jestem pewien. Ale to świetny sposób, żeby uniknąć nieprzyjemnych pytań: udawać, że nie pamięta się własnego nazwiska. Kto ją zatrzyma do wyjaśnienia?

– Zabójstwa ustały.

Ben zastanawia się nad tym.

– Hm, może na tym polegał układ. Larry weźmie na siebie winę, jeśli oni przestaną. Może miał jakieś ubezpieczenie. Coś schowanego w tamtym starym domu. Może dlatego nie pozwalał im go sprzedać.

Ben nie może mieć racji. Dom przeszukano. Dokładnie. Wszystko, co można by w nim znaleźć, zostałyby znalezione. Dotarło do mnie, że przestałam dyskutować. Właściwie zaczęłam o tym myśleć.

– A może nie przestali. – Ben jest na fali. – Może lepiej dobierali ofiary. Nastolatki, które uciekły z domów. Bezdomne dzieci. Kto będzie za nimi tęsknił?

– Masz wypaczony umysł, wiesz?

– Jak mam na to odpowiedzieć? Nauczyłaś mnie wszystkiego, co wiem. Zmuszam się do uśmiechu, chociaż nie mam na to ochoty.

– Ale ja nie wszystko wiem – mówię. – Jedziemy, robi się późno.

Ben nie rusza się, żeby zamknąć drzwi.

– Nie wracamy do domu, prawda? – pyta i wygląda przez chwilę na tak zmartwionego, że przez chwilę kusi mnie, żeby wskoczyć do wozu i pojechać prosto na M6.

– Jedna noc – mówię jednak. – Czy to coś złego?

Komisariat w Sabden mieści się w tym samym budynku, ale ledwie go rozpoznają. Z przodu dodano dobudówkę, całą ze szkła, z obrotowymi drzwiami. Świetlówki rzucają łagodne światło, nie mrugają nawet te, które widzę kątem oka. Porysowane kafelki zastąpiono niebieskim nieskazitelnym dywanem. Wielkie, profesjonalne zdjęcia policji w działaniu wiszą na ścianach: mężczyźni w kurtkach odblaskowych pomagają mieszkańcom zalanych przez powódź domów, śliczna, młoda posterunkowa odwiedza szkołę podstawową, młody czarny gliniarz rozmawia z jakimiś dziećmi na ulicy.

Sierżant dyżurny z zespołem zajmują szklane pudło w kącie. Policjant w mundurze patrzy zza szyby bez zainteresowania, dopóki nie pokazuję legitymacji. Wtedy pospiesznie wstaje.

– Dzień dobry pani. Czy jest pani umówiona?

Wyjaśniam, że nie, ale mam nowe informacje na temat sprawy Glassbrooka i chciałabym porozmawiać o tym z którymś z szefów.

Sierżant znika na dwie minuty. Po jego powrocie prowadzą nas z Benem do pokoju przesłuchań na parterze.

– W tym korytarzu były cele – mówię Benowi, ale wiem, że słucha także towarzyszący nam policjant. – Kiedyś musiałam spędzić tutaj noc. Chyba w następnej celi. – Uśmiecham się do sierżanta, żeby pokazać, że nie żywię urazy, chociaż jest za młody, żeby wtedy służyć w policji.

– To zanim ja nastąłem – potwierdza. – Przynieść kawy?

Ja odmawiam, Ben prosi o czarną z trzema kostkami cukru.

– Co? – pyta na widok mojej miny, kiedy drzwi się zamykają.

– Od kiedy słodzisz i w ogóle pijesz kawę?

Uśmiecha się do mnie, szczerząc wszystkie zęby.

– Wiem. Po prostu wydawało mi się, że tak robią policyjni twardziele.

Przychodzi kawa, szybciej niż się spodziewałam, i szklanka wody dla mnie. Nie

prosiłam o nią, ale przyjąłam z zadowoleniem. A potem, w korytarzu za plecami towarzyszącego nam posterunkowego, pojawia się on.

Nie nosi munduru, ma na sobie czarny garnitur i czarny krawat rozluźniony pod szyją. Czeką, aż posterunkowy odejdzie, wchodzi i pozwala, żeby drzwi się za nim zamknęły. Ogląda Bena od stóp do głów, a ja jestem dumna jak paw, że Ben wstaje. Potem policjant zwraca się do mnie.

– Florence Lovelady, niech ja skonam – mówi Tom Devine.

W ciągu trzydziestu lat widziałam różne zdjęcia. Czytałam raporty ze spraw, w których brał udział. Stara miłość nie rdzewiała, szczególnie kiedy zaświtał Internet. Ale nic nie mogło mnie przygotować na zapach Toma. Na to, w jaki sposób zestarzała się jego skóra, a ciemne włosy nabrały srebrzystego połysku. I na jego oczy, nadal ciemnoniebieskie.

Dobrze mu z krótszymi włosami i starannie wygoloną twarzą. Lepiej widać głowę i zarys szczęk. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak regularne ma rysy twarzy. Jest solidniej zbudowany, niż zapamiętałam, ale to kwestia mięśni, a nie tłuszczu.

Żadne z nas nie wiedziało, co robić. Starzy przyjaciele całują się i ściskają, gdy się spotkają, ale myśl, że będziemy to robić z Tomem, jest absurdalna. Potem Tom zwraca się do mojego syna.

– Jestem Tom. – Wyciąga rękę, ściskają sobie dłonie. – Przed trzydziestu laty pracowaliśmy razem z twoją matką.

Bez słowa wszyscy siadamy. Kładę torebkę na kolanach, jak zdenerwowana kobieta w średnim wieku. Chyba właśnie nią jestem.

– Słyszałem, że jesteście w mieście – mówi Tom.

– Myślałam, że zobaczę cię w kościele – odpowiadam.

– Sprawy. – Wzrusza ramionami. – Wiesz, jak to jest.

Ben ma ze sobą książkę, ale nie otwiera jej. Patrzy to na mnie, to na Toma. Tom przygląda mi się z drugiej strony stołu.

– Hm, pewnie dobrze ci idzie. Co? – pyta Tom.

– Tobie też – odpowiadam, chociaż mam znacznie wyższy stopień niż Tom. Obecnie jestem najstarszą szarżą policjantką w Wielkiej Brytanii. Charakter mojej pracy w Londynie trzyma mnie z dala od zainteresowania opinii publicznej, ale mało który policjant nie słyszał o mnie.

– Jak tam rodzina? – pytam.

Tom kiwa głową.

– Dobrze, dziękuję. Kent naucza na Lancaster University. Charlene jest pielęgniarką.

Czekam.

– Z Eileen rozwiedliśmy się dziesięć lat temu. Wiesz, ryzyko zawodowe. Według dzieci doskonale sobie radzi.

Nie wiem, co sądzić o rozpadzie małżeństwa Toma. Trzydzieści lat temu, tuż po aresztowaniu Glassbrooka, Eileen oświadczyła, że jest w ciąży. Nigdy nie widziałam Toma w takiej rozterce, tak zdezorientowanego koniecznością podjęcia decyzji, której nie był w stanie sprostać. Więc ja za niego zadecydowałam.

Ludzie myśleli, że wyjechałam z Lancashire, bo sprawa Glassbrooka wywołała u mnie głęboki uraz, a mnie takie przekonanie odpowiadało. Prawda była inna. Wyjechałam, bo nie mogłam znieść bliskości Toma.

– Więc co mogę dla ciebie zrobić? – pyta Tom, a ja uświadamiam sobie, że Ben jest zmieszany. Pewnie odpłynęłam na parę sekund.

Sięgam do torebki i wydaję glinianą figurkę. Odwijając opakowanie, patrzę na twarz Toma. Już nie promienieje, w oczach gaśnie iskra.

– Skąd to się wzięło? – pyta, a cała radość uchodzi z jego głosu.

– Znalazłam to w domu – odpowiadam. – A raczej w ogrodzie. – Sięgam ręką i nie dotykając figurki gołą dłonią, obracam ją. – To ja – dodaję. – I jakoś nie wygląda, żeby figurka miała trzydzieści lat.

– Mogę zapytać, dlaczego uznałaś, że musisz odwiedzić ten dom? – Twarz Toma zmienia wyraz, brwi podchodzą mu do góry i przez sekundę patrzy na mnie, jakby to było przed trzydziestu laty. – O Jezu, przecież się nie włamałaś, prawda? Powiedz, że to nie było włamanie.

– Poszłam z ciekawości – mówię. – Nie, nie włamałam się. Była tam stara gosposia Sally.

– Co pan o tym sądzi? – pyta Ben i przez chwilę oboje jesteśmy zaskoczeni, prawie zapomnieliśmy, że jest z nami. – Czy Larry Glassbrook był winny?

– Oczywiście, że był. – Tom opuszcza wzrok na moją rękę na stole. – Ale jeśli mnie pytasz o to, myślę, że to jakiś żart. W mieście jest mnóstwo dziennikarzy. Może to podstęp, żeby wydobyć komentarz od Flossie.

Znów patrzy na mnie.

– Każdy, kto trochę pogrzebał, wie, że przez te lata kontaktowałam się z Larrym. To oczywiste, że trzeba cię dopaść, żeby mieć o czym pisać.

To ma sens. Wiem, że to śmieszne, ale uspokaja mnie sam fakt, że przebywam w tym samym pokoju co Tom.

– Była schowana w ulu. Skąd ktoś miał wiedzieć, że mama tam zajrzy? Przecież nie było oczywiste, że to znajdzie.

Tom podnosi głowę, jak pies myśliwski łapiący trop, ale patrzy na mnie.

– Powiedz to pszczołom – mówi.

Ben hałaśliwie odsuwa swoje krzesło.

– Jak mi to zostawisz, każę sprawdzić odciski palców – mówi Tom. – Zobaczmy, czy coś się pojawi. Może każę komuś porównać to z oryginałami. Chociaż Bóg wie, gdzie one teraz są. Będziemy musieli użyć fotografii. – Nachyla się bliżej. – Nie wydaje mi się takie podobne. Ciemniejsza glina.

Ma rację. Sama bym to zauważyła, gdybym nie była taka wystraszona.

– Dziękuję – mówię.

Uśmiecha się, widząc, że nastrój mi się poprawił.

– Na długo przyjechaliście?

– Zarezerwowaliśmy pokój w Czarnym Psie na dwie doby.

– Masz wolny wieczór, żeby pójść na kolację?

– Jestem za młody, żeby zostawiać mnie samego. A ona jest po ślubie. Z moim tatą. On do nas przyjedzie, jak tylko załapie się na pierwszy samolot.

Tom podnosi wysoko brwi z rozbawienia.

– Ciebie zaproszenie też dotyczyło – mówi.

Wstaję.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Ale miło mi, że się z tobą spotkałam. I jestem pewna, że mogę to zostawić w twoich kompetentnych rękach.

Tom też zaczyna wstawać. Ben stoi dokładnie tam, gdzie stał.

– Zostawisz to tutaj? – pyta mnie.

Wzruszam ramionami.

– Aniołku, to nie moje dochodzenie. Nie moja ścieżka.

– Mamo, to lalka wudu. Jak ktoś ją zniszczy, zniszczy także ciebie. Nie możesz tak sobie zostawiać tego tym ludziom.

Jeszcze nie widziałam, żeby mój syn był taki zaniepokojony. Nawet Tom wygląda na zaskoczonego.

– Będziemy o to dbali – mówi. – Nikt nie skrzywdzi twojej matki na moim dyżurze.

Odprowadza nas do drzwi.

– Rozmawiałam z Cassie Glassbrook – mówię w recepcji – w domu opieki, gdzie teraz mieszka Sally.

Tom wzdycha z przesadą.

– Chyba nie chcesz, żebym dał ci ogon, co?

– Randkowała wtedy z Johnem Donnellym. Kiedy powiedział nam, że chyba jest gejem.

– Mnóstwo dzieci ma problem z seksualnością. Sama to powiedziałaś.

– On nie miał problemu. On kłamał.

Dochodzimy do wyjścia. Tom znowu ciężko wzdycha.

– Florence jest już po sprawie. Daj temu spokój. – Przytrzymuje otwarte drzwi, przechodzę obok niego. Słyszę, jak mruczy: – Pozwalam ci wyjść.

Patrzę na twarz Bena. Wiem, że on też to usłyszał.

– Bzykałaś się z nim? – pyta.

Patrzymy na siebie przed wejściem do komisariatu. Wiem, że dla przechodniów wyglądamy, jak matka, odbierająca krnąbrnego syna, który dostał upomnienie od policji.

– To, co działo się piętnaście lat przed twoim urodzeniem, nie powinno cię interesować – mówię.

– Przyjmuję to za tak.

Czekam. Nadal patrzymy na siebie.

– Co z tobą nie tak? – pytam.

W ułamku sekundy złość na jego twarzy przemienia się w smutek.

– Nie podoba mi się tutaj. Aż dostaję ciarek. Chcę wrócić do domu.

– Jedziemy jutro z samego rana.

Widzę, że noga mu podryguje, jakby chciał tupać.

– Nie, teraz. Nie podoba mi się, jak ludzie na nas patrzą. Nie podoba mi się, że cię tu zwabili. I nie podoba mi się ten złamas z komisariatu.

Ruszam, on zostaje, ale ma tylko piętnaście lat i musi za mną pójść.

Kiedy otwieram zdalnie samochód, mówi:

– Przepraszam, mamó.

Wygląda na zasmuconego, więc puszczam mu to płazem. Ben rzadko sprawia mi prawdziwe problemy. Już mam zapalić silnik, kiedy się odzywa.

– Mamó, nadal masz tamte klucze.

Tym razem nawet nie muszę udawać, że jestem na siebie wściekła.

– To było trzydzieści lat temu. Nie obchodzi mnie, czy był winny. Mamó, daj sobie spokój.

59

Kiedy wracamy, John Donnelly czeka w barze. Podaje nam obojgu napoje na koszt firmy. A ponieważ chcę z nim porozmawiać, przyjmuję dietetyczną colę. Tak samo robi Ben, chociaż nietypowo dla siebie milczy.

John ma teraz czterdzieści pięć lat, nadal jest przystojny, ale nabrał dziwnie przebiegłego sposobu zachowania. Patrzy na ludzi z ukosa, uśmiecha się, kiedy mówią, jakby bawiła go jakaś złośliwa, niewypowiedziana uwaga. Może zawsze był taki. Może teraz więcej widzę.

Tak jak widzę obrączkę ślubną na jego lewej dłoni.

– Ożeniłeś się z którąś z miejscowych dziewczyn?

– Tak, z taką się ożenił – odpowiada barmanka. Odwracam się, żeby się jej przyjrzeć. Jest teraz grubsza, szczególnie na twarzy, a włosy ma ufarbowane na ciemny brąz. Wiem, bo widzę centymetrowe siwe odrosty przy skórze głowy.

– Cześć Tammy. – Znow zwracam się do Johna. – Co za niespodzianka.

– Jak to? – pyta barmanka, robiąc krok do przodu.

– John, nie miałam pojęcia, że w ogóle się ożenisz – odpowiadam, ale wiem, że jest granica, której nie wolno mi przekroczyć. – Ale skoro się ożeniłeś, to myślałam, że będzie to jedna z dziewczyn Glassbrooków. Nigdy nie wiedziałam która.

John uśmiecha się pod nosem i poleruje szklanę. Tammy patrzy na mnie wściekle.

– Widziałam się dzisiaj z Cassandrą – mówię. – Była nadzwyczaj rozmowna. Wielu rzeczy się dowiedziałam.

Właśnie wtedy, z pomieszczenia na zapleczu, wybiega czarny chart. Delikatnym, lekkim kroczeniem, jak to one, zakrada się za Johna i truchta w stronę wjazdu. John odwraca się, żeby zobaczyć, na co patrzę. Uśmiecha się, kiedy znow podnosi na mnie wzrok.

– Są psy, które bardzo długo żyją – mówi.

Żaden pies nie przeżyje czterdziestu lat. Ale ten tutaj wygląda niesamowicie podobnie.

– Kto to lepi? – pyta Ben.

Odwracam się, żeby sprawdzić, co zobaczył. Na półkach po jednej stronie kominka stoi zbiór ceramicznych naczyń. Wszystkie wykonano z pewną wprawą, a podobieństwo styków wskazywałoby na jednego twórcę.

– To ja – odpowiada głos zza moich pleców.

Do sali wszedł mężczyzna przed sześćdziesiątką. Ma pobrużdżoną, szorstką skórę, a gęste włosy siwe, jak kurz. Jest znacznie lepiej ubrany, niż zapamiętałam, a na palcach nosi złote pierścienie.

– Mówili, że wróciłaś – stwierdza, kiedy robię w jego stronę krok, klękam i wyciągam ręce. – Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem.

– Och, Dwane – mówię. – Tak się cieszę, że cię widzę.

Ściskamy się dłużej, niż powinniśmy.

– Mam na to za słabe kolana – mamrocze i wreszcie Dwane mnie puszcza.

– To mój syn, Ben. – Niezgrabnie wstaję z kolan. – Mój drogi, to Dwane. Pamiętasz? Mówiłam ci o nim.

Powiedziałam kiedyś Benowi, że zaprzyjaźniłam się z karłem, i mam wielką nadzieję, że synowi wystarczy taktu, żeby o tym nie mówić.

Ben wyciąga dłoń do Dwane'a.

– Miło pana widzieć. Dołączy pan do nas?

Dwane wygląda na zadowolonego. Bierze szklankę piwa z baru. Znajdujemy sobie stolik, a ja zastanawiam się nad niespodziewaną dojrzałością towarzyską syna, ale kiedy otwiera usta, przychodzi mi do głowy, że powód jest inny niż przyjacielskość.

– Panie Ogilvy, więc zajmuje się pan teraz garncarstwem? I nadal robi modele wiosek?

– Zacząłem, jak wyjechałaś – zwraca się do mnie Dwane. – Po całym tym zamieszaniu. Wiesz, z dziećmi i w ogóle. Chciałem zobaczyć, jak to się robi. Szło mi nieźle, więc poszedłem na kursy do szkoły wieczorowej.

– Jesteś w tym bardzo dobry – mówię. – Ale przecież zawsze byłeś bardzo utalentowany.

– Zrobiłem rzeźbę przedstawiającą ciebie – mówi Dwane. – Z pamięci. I na

podstawie tego plakatu, kiedy zaginęłaś.

Patrzemy na siebie z Benem.

– Rzeźbę przedstawiającą mnie? – pytam. – Dwane, dlaczego niby...

– Znaleźliśmy ją – mówi Ben. – W domu Glassbrooków.

Dwane ma zachmurzoną twarz, kiedy wskazuje kiwnięciem głowy na półkę.

– Niemożliwe. Rzeźba stoi tam.

Wstaje, ale się nie rusza.

– Nie sięgnę – mówi. – Musisz sama to zrobić, jeśli John pozwoli. Rzeźby nadal należą do mnie, chyba że je sprzeda. Przedstawiającą ciebie, Florence, postawiłem z tyłu, więc nie zostanie sprzedana. Miałem ją w domu, ale żonie się nie podobała.

Ben już stoi na paluszkach, patrzy na tył półki.

– Ostrożnie – mówię.

Wraca z glinianą rzeźbą głowy. Wysoka na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów, przedstawia mnie za młodu. Włosy spływają mi z ramion, uśmiecham się tak, jak nigdy się nie uśmiechałam.

– Wspaniała. – Ben jest wyraźnie zadowolony. – Mamo, naprawdę cię przypomina. – Zwraca się do Dwane'a. – Możemy to kupić? Tacie by się spodobała.

– Nie jest na sprzedaż – mówi Dwane.

– Nie – mówię. – Tu jest jej miejsce. Tą kobietą byłam tutaj. – Uśmiecham się do Dwane'a.

Ben ukradkiem kaszle.

– Ta, którą widzieliśmy wczoraj, była inna – mówi. Marszczę brwi pod jego adresem, ale mnie ignoruje. – Znaleźliśmy ją w starym domu Glassbrooków. Naszpikowaną drewnianymi szpilkami. Coś pan o tym wie?

Dwane patrzy na Bena, potem na mnie, żebym potwierdziła. Kiwam głową.

– Taka, jak te, które znaleziono z dziećmi? – pyta Dwane.

Znów kiwam głową.

– Niedobrze – mówi.

– Tamtą też pan zrobił? – pyta Ben.

– Nie, do diabła – odpowiada Dwane. – Florence, kiedy wracasz do domu?

– Dopiero co przyjechałam – mówię. – Już chcesz się mnie pozbyć?

– Tak. – Wstaje, zostawia niedopite piwo. – Kochana, powinnaś wracać do

domu. Tu nie masz czego szukać.

Wychodzi z pubu.

– Miły człowiek – stwierdza Ben.

Patrzemy na siebie i próbujemy się uśmiechnąć. Nie wychodzi nam.

60

Po kolacji, zaskakująco dobrej, zważywszy na to, co zapamiętałam z kuchni Lancashire w latach sześćdziesiątych, mówię Benowi, że muszę wyjść. Wie, dokąd idę. Za dobrze mnie zna, żeby mi to wyperswadować. Upewnia się, że mam komórkę, i mówi, żebym jechała ostrożnie i powiedziała mu, gdybym miała późno wrócić.

Żwir na podjeździe chrzęści mi pod nogami, a okna domu są ciemne i puste. To nie jest przyjazny dom, szczególnie po zachodzie słońca, ale nie czuję się jak intruz. Mam wrażenie, że dom czekał na mnie. Nawet nie mógł się doczekać mojego powrotu.

Jest już po dziewiątej i robi się ciemno. Nad głową mam głęboki turkus zmierzchu, a resztki dziennego słońca przewijają się nad horyzontem jak cieniutki welon ze złota i różu. Jeszcze godzina i będzie zupełnie ciemno.

Brama światła dnia.

Tej nocy nie będzie księżyc. Niewidzialne ciało astralne, gdziekolwiek jest, już zachodzi. Wzejdzie dopiero jutro wczesnym rankiem. To będzie ciemna noc. Czas na czarną magię.

Już dochodzę.

Nigdy nie uprawiałam czarnej magii, ale zrobiłabym to, gdybym mogła rozwiać ciemność w tym domu. Przed trzydziestu laty odebrałam mu zło, które tkwiło w jego sercu, ale nadal jest tu energia, pozostałość po Larrym i jego niecnym czynkach. Już ją dzisiaj czułam. Czuję ją także teraz, kiedy idę podjazdem. Ten dom potrzebuje pomocy, jak wszyscy, którzy są z nim związani. Cassie, Sally, Luna – gdziekolwiek jest – nawet Mary. I ja. Gliniana figurka, którą znalazłam, bardziej mnie wystraszyła, niż gotowa jestem przyznać. Nie miałam wyboru, musiałam oddać ją Tomowi, chociaż wystraszyłam tym Bena, ale nie mam zamiaru spokojnie czekać, aż coś się wydarzy.

A coś musi się wydarzyć, czułam to przez cały dzień.

Kiedy jestem tuż obok domu, otwieram torebkę i wydaję sól. Biała sól, najlepiej sól morską, używana jest do wszystkich zaklęć błogosławiących domy, ale w rzadkich przypadkach, gdy w domu jest szczególnie negatywna energia, wchłonąć ją i usunąć może czarna sól. Sypię czarne ziarenka na dłoń i rzucam je na ziemię, chodząc wokół domu.

Od magicznego kręgu zaczyna się większość zaklęć. Tworzy się w ten sposób „uświęconą” przestrzeń, która zbiera i koncentruje energię z zaklęcia. Jednocześnie służy jako ochrona.

Sypanie kręgu poprawia mi na chwilę nastrój, ale kiedy podchodzę do tylnych drzwi, złe przecucia powracają. Negatywna energia zostawiona przez Larry’ego wzmocniła się, odkąd stąd odszedł. Wystraszyła mnie dzisiaj. Zrobi się silniejsza wraz z nadejściem nocy.

Wkładam klucz w dziurkę – Ben jednak dobrze mnie zna – nie miałam zamiaru oddawać kluczy, zanim nie wejdem po raz ostatni.

Natychmiast coś w środku się porusza. Słyszę paniczny trucht, chyba nawet trzaśnięcie wewnętrznych drzwi i serce mało mi nie wyskakuje z piersi, jak złapane zwierzę, które próbuje przecisnąć się przez kraty.

– Odwagi, Florence. Nic ci się tutaj nie stanie.

Mówię to na głos, bo słowa mają moc, a ja nie wypowiem zaklęcia błogosławiącego, jeśli będę się bała. Wystraszę gryzonie i tyle.

Przechodzę przez kuchnię do ciemnego korytarza. Klękam, wydaję pięć krótkich świec, ustawiam je w krąg i zapalam.

W domu znów coś się rusza. Powtarzam sobie, że to szczury. Może wiewiórki.

Pośrodku kręgu stawiam kielich, czasę z solidnego srebra, i wsypuję do niego mieszankę suchych ziół i roślin. Ostrokrzew dla ochrony, rozmaryn dla oczyszczenia, drzewo sandałowe dla egzorcyzmu, sosna dla odwrócenia negatywnej energii, a róża dla przywrócenia spokoju.

„Mamo, przywiozłaś jakieś dziwactwa”.

Suche zioła szybko się zapalają. Dym wypełni wszystkie zakamarki domu, sięgnie tam, gdzie mój głos nie sięga. Otwieram usta, żeby zacząć, ale z góry dochodzi odgłos tak niespodziewany, że potrzebuję paru sekund, żeby zrozumieć jego istotność. Krótkie, urywane rytmy bębnów, zawrozczenie gitary i wspaniały,

głęboki głos Elvise zawodzącego o złamanym sercu.

Pokusa, żeby wstać i uciec, jest ogromna. Ręce mam rozpostarte na podłodze, gotowe, żeby mnie podeprzeć. Muzyka urywa się.

To nie dzieje się naprawdę. To nie dzieje się naprawdę.

W domu robi się cicho, ale oddech mam przyspieszony, a serce mi wali. Dysponuję potężną wyobraźnią i czasami granica między tym, co realne, i tym, co nierealne, zamazuje mi się w głowie.

Ale ta muzyka. Jeszcze nigdy nie miałam takich wyobrażeń.

Nie uciekam, chociaż bardzo bym chciała. Liczę od dziesięciu do jednego, wyobrażam sobie, że Ben trzyma mnie za ręce i liczy ze mną. Miłość zwalcza większość negatywnych energii, ale trudno pozbyć się straszego uczucia, że nie jestem sama.

– Nie boję się – mówię, chociaż boję się. Klęczę tyłem do rodzinnego salonu i żałuję, że wcześniej go nie sprawdziłam.

Ciemny korytarz jakby się kurczył, cienie robią się większe. Zamykam tylne drzwi, ale w domu jest przeciąg, ochładza wnętrza. Świece walczą o życie. Ich cienie tańczą na ścianach, a ten ruch tak wyprowadza mnie z równowagi, że wstaję.

– Dotknij serca, dotknij ściany, błogosławisz dom splamiony.

Wypowiadam słowa starego zaklęcia błogosławiącego, idę korytarzem, dotykam wszystkich drzwi, obok których przechodzę.

– Błogosławię krzesło, żeby stało, błogosławię spiżarnię i jedzenie na półkach.

Już wcześniej rzucałam zaklęcia błogosławiące – to słodka i prosta forma magii – ale teraz jest trudna. Wiedziałam, że tak będzie. Staram się przypomnieć sobie słowa, ale czuję pustkę w głowie, kiedy wchodzę po schodach. Płonące zioła nie mają w sobie słodczy, jakby coś w tym domu je splugawiło.

Żeby prawidłowo rzucić zaklęcie, powinnam wejść do każdego pokoju, ale kiedy wchodzę coraz wyżej, wyobrażam sobie lunatykującą Cassie i puste spojrzenie jej szeroko otwartych oczu, płynące za nią srebrzyste włosy, czarnego psa zwiniętego w kłębek na moim łóżku, nastawionego na czynienie zła. I opartego o ścianę Larry'ego, z opuszczonymi powiekami, jakby jego błędzący wzrok był mniej zauważalny, kiedy ma półprzymknięte oczy. Nie mogę powstrzymać się przed myślą, że oni nadal tutaj są, czekają na mnie za zamkniętymi drzwiami.

Kiedy dochodzę do piętra, towarzyszy mi silniejsze uczucie, że jestem

obserwowana. Odwracam się, szukam ruchu tam, gdzie wszystko powinno być nieruchome, cienia, który tu nie pasuje, ale słabe światło z moich świec nie dociera na górę.

W domu jest ciemniej, niż powinno być. Na dworze resztki gasnącego światła nadal widoczne są na niebie, ale tutaj, jakby jakaś siła nie wpuszczała go, równie skutecznie jak okiennice.

Drzwi do mojego pokoju są otwarte, chociaż jestem pewna, że zamknęłam je, kiedy wcześniej stąd wychodziłam. Popycham je i wchodzę. To zaklęcie ma służyć głównie mojemu dobru, rzucam je w pokoju, w którym pozostaną resztki mojej esencji.

– Przyjaciele, którzy stąd odchodzicie, zabierzcie z sobą szczęście i nadzieję, dokądkolwiek się udacie.

Dotykam ścian, próbuję przesłać im łagodne, szczęśliwe myśli, ale słowa, które wypowiadam są banalne i głupie dla mnie samej. Czuję się jak dziecko w matczyńskich butach na obcasie, a kiedy otwieram oczy, widzę za oknem cień rzucany przez Wzgórze i warsztat, w którym Larry mnie więził prawie przez trzy dni, związaną, zakneblowaną, przerażoną. Tam, na dole, jest miejsce, w którym mnie okaleczono i zmieniono na zawsze, miejsce, w którym straciłam część siebie, a nie mówię o utraconym palcu, w którym do dziś czuję bóle fantomowe.

Opuszczam pokój, szybko schodzę na dół. Zmawiam ostatnią, szybką modlitewkę, zdmuchuję świece, zbieram popiół ziół, którego ciepło nadal czuję w dłoni i rozsypuję go po korytarzu w tradycyjnym geście rozpraszania energii. Zbieram resztki, biorę klucze, które wiszą w kuchni i wychodzę z domu.

Minęło trzydzieści lat, odkąd ostatni raz postawiłam stopę w warsztacie Larry'ego. Wnętrze jest prawie puste. Ciężkie narzędzia elektryczne, które zapamiętałam, pewnie zostały sprzedane. Nie ma trumien ani skrzyń, ani gotowych, ani niedokończonych. Domyślam się, że zabrał je Ray Greenwood, który prowadził interes do swojej przedwczesnej śmierci.

W zeznaniach Larry twierdził, że przetrzymywał mnie w mniejszym składzie drewna, na tyłach warsztatu. Przechodzę obok stołów warsztatowych i zacisków, pod stopami wyczuwam wióry, jakby przez te trzydzieści lat nikt ich nie uprzątał. Drzwi zacinają się, muszę mocno je pchać. Kiedy to robię, przypominam sobie, jak ciężkie podwoje zamknęły się z trzaskiem.

Podwoje, przypominam sobie, nie drzwi.

Ale to było tak dawno, a ja pogrzebałam wspomnienia znacznie głębiej niż Larry swoje ofiary. Po złożeniu zeznań już nigdy świadomie nie próbowałam myśleć o tych paru dniach. Nigdy o nich nie mówiłam. Kiedy budziłam się w nocy po śnie o tym, jak zostałam złapana w pułapkę, unieruchomiona w ciemności – takie sny ciągnęły się latami – włączałam lampkę nocną albo radio, czytałam książkę, robiłam cokolwiek, żeby przyciągnąć umysł do światła.

Więc moje wspomnienia są niejasne i zawodne, ale mimo to pomieszczenie, w którym teraz stoję, wygląda na mniejsze niż powinno. W myślach widzę je jako wielką chłodną przestrzeń, wilgotną i bardzo starą. Ten budynek użytkowy nie jest ani stary, ani wilgotny.

– Hej! – Czekam na echo, które nie nadchodzi.

Jest jeden sposób, żeby się upewnić. Klękam i kładę się na podłodze, chociaż z góry wiem, że nie ma tutaj miejsca na drobne kroczyki. Kładę się na płask, przyciskam policzek do twardej powierzchni i już nie mam wątpliwości. Tu jest podłoga z chropawego betonu. Kiedy byłam więźniem Larery'ego, leżałam na gładkich kamieniach. Klamał.

Trzymano mnie w wielkim pomieszczeniu z kamienia. Były tam drewniane podwoje, a kiedy zabrano mnie stamtąd, wciągnięto mnie na górę, jakby z podziemia. Piwnica. Jazda na cmentarz była krótka. Byłam gdzieś w mieście.

Wychodzę ze składu drewna i zatrząskuję za sobą drzwi. Tłumaczę sobie, że to nie mój problem. Larry się przyznał. Zabójstwa ustały. Nie należy budzić licha.

A potem stoję w warsztacie i przypominam sobie Larry'ego tańczącego w rytm piosenek Elvisa, gdy pokazywał mi, jak robi swoje ulubione skrzynie. Nigdy nie czułam się dobrze w jego obecności, ale czy naprawdę był zabójcą?

Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kto jest zabójcą, ani rozpoznać tych, którzy nimi są. Jeśli czegoś się nauczyłam przez te trzydzieści lat, to właśnie tego.

Na dworze nieobecność księżyca wytrąca mnie z równowagi. Czuję nagłą chęć powrotu do Czarnego Psa, do syna. Jednocześnie na ciemnym niebie widać gwiazdy. Niedaleko stąd będą świecić nad czarnym jeziorem, nieruchomym i klarownym jak lustro. Właśnie w taką noc pływałam z mężczyzną, którego kochałam, i zostałam kobietą z lasu Pendle.

Kobietą, która wiecznie będzie próbowała pogodzić się ze swoją dwoistą naturą.

Ogarnia mnie uczucie, którego nie doznawałam od lat, świadomość szalonych i wynaturzonych możliwości. Nie mogę się powstrzymać przez myślą, że gdybym też miała pojechać do Black Tarn, Tom by tam czekał, i że moje życie, choćby o tak późnej porze, mogłoby bardzo się zmienić.

Kocham męża, uwielbiam syna. Ale Tom.

Tom...

Potężne są te prymitywne, nieproszone pragnienia. Już miałam iść do samochodu, żeby odjechać, kiedy zobaczyłam odbicie twarzy w oknie mojej starej sypialni. Patrzyło na mnie, jak jeden z duchów tego domu.

To nie duch, myślę. Znalazłam Lunę.

Czeka w holu, patrzy na resztki spalonych ziół.

– Ciągłe słyszałam hałasy – mówię. – Nawet muzykę. Wystraszyłaś mnie.

Luna nie przeprosza.

– Znalazłam na strychu jego stary gramofon. Zapomniałam, jak bardzo nie znoszę Elvisa.

Znów patrzy na spalone zioła.

– Dziękuję – mówi. – Ładnie z twojej strony, że spróbowałaś. Przez te lata robiłyśmy to mnóstwo razy. Głównie mama, ale razem z Cassie czasem jej pomagałyśmy. Niestety, nie działało.

Zaklęcia nigdy nie działają, jeśli się w nie wątpi, ale nie wypowiadam tych słów. Przyglądam się kobiecie, na którą wyrosła. Niektóre kobiety ujawniają swoje piękno dopiero po czterdziestce. Luna jest jedną z nich. Jej nos, podbródek, kości policzkowe – jeszcze milimetr, a byłyby za ostre – i skóra, napięta i gładka. Oczy nadal są wielkie, ale makijaż sprawia, że złagodniały, zrobiły się kuszące, nie są już prowokujące. Ma doskonale pomalowane usta, nawet wieczorem, nawet tutaj. Uderza mnie, że ta kobieta nosi makijaż jak maskę.

Ubrana jest w tę samą, szytą na miarę sukienkę i eleganckie buciki, co na pogrzebie. Wiem, że pracuje w Londynie jako radca prawny jakiejś firmy i że stać ją na drogie ubrania. Ale na ramieniu ma wielką torbę, raczej poręczną niż ładną.

Oddycha ciężko, za ciężko jak na kogoś, kto nic nie robił, tylko włóczył się po pustym domu.

– Dobrze wyglądasz, Luno – mówię, chociaż właściwie zaczynam myśleć, że wygląda jak wypolerowane, ale puste naczynie. Wydaje mi się, że z Luny może coś emanować. Zaczynam się denerwować, kiedy tak stoję w ciemnym korytarzu.

– Elanor – poprawia mnie. – To on mówił na mnie Luna.

Przygląda mi się trochę za długo. Żeby rozładować napięcie, wracam do kuchni. Słyszę za sobą stukot jej obcasów.

– Usiądź – mówi. Zabrzmiało to jak rozkaz.

Niepokoje się, chcę natychmiast wrócić do Czarnego Psa, do syna – wszystkie próby odnalezienia straconych szans spaliły na panewce – ale jednocześnie zaczynam godzić się z faktem, że wróciłam do Lancaster po odpowiedzi, a ta kobieta może ich udzielić. Czeka, aż usiądę, więc powoli wyciągam krzesło i nie spiesząc się, siadam. To gra, którą rozgrywamy w zakurzonej, ciemnej kuchni. Mam nadzieję, że ona zna reguły, bo ja chyba ich nie znam.

– Mój ojciec był potworem.

Nie przeczę.

Ona nadal stoi nade mną.

– Przyszłam spalić ten dom. – Podnosi torbę z podłogi i wyjmuje z niej plastikowy kanister na benzynę. Słyszę, jak chlupocze w nim płyn, kiedy stawia naczynie na stole. Kanister jest mały, ale jeśli jest pełny, wystarczy łatwopalnego płynu, żeby dom szybko zajął się ogniem.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. – W myślach mierzę odległość między mną a tylnymi drzwiami. Jestem bliżej niż ona, ale siedzę. – To nie byłoby rozsądne.

Patrzy na kanister, potem na coś w torbie. Zapałki, myślę.

– Byłaś już tutaj? – pytam i myślę o figurce z ula.

Kręci głową.

– Nie chciałam wpaść na Mary. Wątpię, żeby przychodziła tutaj po zmierzchu. Wątpię, żeby ktokolwiek przychodził. Flossie, jesteś odważniejsza niż inni. Ale przecież zawsze taka byłaś.

– Podejrzewałaś? – pytam. – Kiedy to się działo, kiedy wszyscy tutaj mieszkaliście? Kiedy zostałaś porwana, czy w ogóle pomyślałaś, że wiesz, kto cię uwięził?

Ja bym wiedziała. Przez pierwsze kilka godzin, może dni, nie wiedziałam, ale kiedy Larry przyszedł, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, sprawa była oczywista. Jego zapach, jego dotyk. Poznałam Larry’ego. Jak to możliwe, żeby Luna nie poznała własnego ojca?

– Broniłabym go do ostatniego tchu. – Jej wielkie oczy błyszczą w ciemnej kuchni, wargi jej drżą, ale Luna, którą zapamiętałam, była straszną obłudnicą.

– Raz – mówi. – Tylko raz, pomyślałam, że coś tu jest nie w porządku. Flossie, wiesz, jak to jest, kiedy czuje się ciężar w żołądku, jakby się zjadło glinę, która

osadza się, twardnieje i wszystko wchłania, tak że ledwie się oddycha?

– Tak – zgadzam się. – Znam to uczucie. Nazywają je strachem.

Kiwa głową, szybko, z uśmiechem, jakby spodobało jej się to słowo. Podchodzi do okna, opiera się o zlew.

– Był tam pewnej nocy. Och, stąd nie zobaczymy. Chodź na górę.

Odwraca się i wychodzi z kuchni. Słyszę echo jej obcasów na drewnianym parkiecie korytarza. I słyszę, jak mówi szeptem.

– No chodź.

Kanister z benzyną nadal stoi na stole, jej torba leży obok mnie. Chyba jest bezpiecznie, więc idę za nią. Znajduję ją w moim starym pokoju, klęczy na łóżku, żeby zobaczyć widok z okna. Kiwa na mnie ręką, żebym podeszła.

– Byłaś w moim pokoju? – pytam, bo nie mogę się powstrzymać.

– Nie było cię prawie trzy dni – odpowiada. – Razem z Cassie rzucaliśmy zakłęcie, które miało cię chronić. Znalazłyśmy je w jednej z książek mamy. Cassie powiedziała, że najlepiej zadziała w twoim pokoju.

– Dziękuję – mówię dziwnie wzruszona. – Może zadziałało.

– Cassie zawołano z dołu, więc zostawiła mnie, żebym posprzątała. Typowe. Już kończyłam, kiedy zobaczyłam kogoś w ogrodzie.

Wchodzę na łóżko i przysuwam się do niej. Na niebie nadal jest trochę światła, więc widzimy zarysy ogrodu: drzewa owocowe, linię skrzynek zabezpieczających ogródek zielarski Sally, stare ule.

– Przed ulami – mówi Luna. – To był tato. Miał szpadel, kopał.

– To ogród – mówię.

– Było ciemno – odpowiada Luna. – I czy kiedykolwiek, przez cały czas, kiedy tu mieszkałaś, widziałaś, żeby tato zajmował się ogrodnictwem?

Nie widziałam. W ogrodzie pracowała Sally, a mąż Mary pomagał jej przy ciężkich przedmiotach. Nigdy nie widziałam, żeby Larry kopał.

– Ciarki mnie przeszły, gdy go zobaczyłam – mówi Luna. – To nie było w porządku. Nikt nie kopie po nocy, chyba że ma coś do ukrycia, prawda?

– Kusilo cię, żeby sprawdzić, co to jest?

– Nie śmiałam – mówi. – A potem minęło parę godzin i znaleziono cię, a jego aresztowano. Słyszałyśmy, że się przyznał. Musiałam wtedy pomyśleć, że ukrywał dowody, a ty nie potrzebowałaś więcej dowodów. Lepiej było siedzieć cicho. Nie

chciałam wiedzieć, co to mogło być.

– Nikomu o tym nie mówiłaś?

– Nikomu.

Będę musiała powiedzieć o tym Tomowi. Albo jakoś przesłać mu informację. Ponowne spotkanie z nim nie było najlepszym pomysłem. Ale potencjalnie to dobrze, że odnalazłam nowe dowody. Gwarancja, że oskarżyliśmy właściwego człowieka, to było to, czego potrzebowaliśmy. Przynajmniej ja potrzebowałam.

– Muszę wracać. – Dochodzę do wniosku, że lepiej nie mówić, gdzie się zatrzymałam. – Gdzie nocujesz?

– Tutaj. Nie lubię hoteli. Szczególnie w tym mieście.

– Więc chyba powinnaś się zastanowić, czy warto spalić dom.

Luna ponuro się do mnie uśmiecha.

– Rano też można.

Schodzę, słyszę, jak idzie za mną po schodach, ale nie odwracam się aż do kuchennych drzwi.

– Elanor, myślisz, że był winny? – pytam.

– Oczywiście – mówi. – Przyznał się.

Idę podjazdem, czuję lekkość kroków, której brakowało mi przez cały dzień. Pewność Luny co do winy jej ojca podniosła mnie na duchu. Ona go знаła. Ona nie ma teraz wątpliwości. Wcześniej Cassie nie wyrażała wątpliwości. Złapaliśmy go, a teraz on nie żyje. Wreszcie koniec.

Po drodze do hotelu ruch uliczny jest niewielki. Szybko dojeżdżam. Przechodząc przez recepcję, zerkam na publiczny bar, widzę głowę i ramiona kogoś przypominającego Toma, ale nie zatrzymuję się. Teraz chcę być z synem. Z synem, który był dla mnie dzisiaj opoką, prostował mnie, stawiał nogami na ziemi, tak jak to robił od dnia, w którym wycisnął się ze mnie, wyrzeszczał sobie drogę na świat.

Jestem gotowa przysiąc, że ukochane dziecko klęło, kiedy ze mnie wychodziło. Czuję nagle, wynaturzone pragnienie, żeby usłyszeć, jak przeklina.

Drzwi do jego pokoju nie są zamknięte na klucz. Pokój jest pusty. Pukam do drzwi łazienki, ale nie chrząka w odpowiedzi, więc otwieram. Pusto. Przez sekundę zastanawiam się, czy się nie schował, ale minęły lata, odkąd bawiliśmy się w

chowanego, i wiem, że by tego nie zrobił. Nie tutaj. Nie teraz.

Będzie w moim pokoju, będzie miał narzutę na moim łóżku, bo w swoim zjadł już wszystkie herbatniki. Zamykam drzwi, spostrzegam jego komórkę na podłodze pod krzesłem, ale nie zwracam na to szczególnej uwagi.

Drzwi do mojego pokoju są zamknięte na klucz. Przyspiesza mi oddech, kiedy wyciągam klucze. W pokoju jest ciemno, nic się w nim nie zmieniło, odkąd wyszłam. Nic nie wskazuje, żeby Ben tutaj był, ale i tak sprawdzam w łazience.

Mój syn zniknął.

Nie pokazuję po sobie paniki. Chodzę spokojnie po pokoju, zaglądam do szafy, za zasłonę prysznic, na wypadek gdyby chciał zrobić jakiś głupi kawał. Ale wiem, że nie. Należałoby dokładnie sprawdzić pokój. Robię to.

Zbiegam po schodach i przez tylne drzwi wychodzę na parking. Nic nie wskazuje na to, że go tam znajdę, ale i tak sprawdzam i zaglądam za niski czarny murek do rzeki, która przepływa przez środek miasta, głównie pod ziemią.

Poziom wody jest niski, brzegi wznoszą się stromo, gęste od letniej roślinności. Jego nie może tam być. Nie jestem w stanie powiązać myśli o synu z tą paskudną, pełznącą rzeką. Więc wracam do hotelu. Nie pokazuję po sobie paniki. Wpycham się za bar, ignorując protesty barmanki, i znajduję Johna Donnelly’ego w kuchni.

– Ben zaginął – mówię. – Nie mogę znaleźć syna. Czy tu jest pokój z gramy albo salonik, o którym nie wiem? Miejsce, gdzie mógłby oglądać telewizję?

Pojawia się Tammy, ma szeroko otwarte oczy i spiętą twarz.

– Nie – mówi John. – Dzieciom nie pozwala się wchodzić do salonów dla publiczności. Kiedy po raz ostatni pani go widziała?

Nie odpowiadam na pytanie Johna. Mam zbyt wiele własnych.

– Widziałeś go w ogóle dziś wieczór? Kiedy wyszłam?

– Nie widziałam go od kolacji – mówi Tammy. – Ponad godzinę temu. Poszedł z tobą na górę.

John unosi ręce, że nie ma już nic do powiedzenia. Powinno ich zdenerwować, że wparowałam do ich prywatnych pomieszczeń i zarzuciłam pytaniami, ale są spokojni. Dotarło do nich.

– Czy rozmawiał z kimś jeszcze w hotelu? – Mam na myśli Dwane’a i zastanawiam się, czy jeszcze tutaj jest. Dwane mógł zaprosić Bena na oglądanie modelu miasta. Boże, proszę, niech Ben będzie u mojego starego przyjaciela.

Tammy kręci głową.

– Czy mam zadzwonić na policję? – pyta John.

– Daj mi sekundkę. – Zostawiam ich i wychodzę do baru. Nadal nie okazuję paniki. Popycham drzwi i widzę, że miałam rację: Tom jest tutaj. Siedzi tyłem do mnie, ale rozpoznaję jego marynarkę i jego głos, gdy się śmieje.

– Tom! – wołam do niego, przechodząc przez salę.

– Hej. – Udaje zaskoczenie, ale ciepło w jego oczach mówi mi, że miał nadzieję mnie zobaczyć i że przyszedł tutaj, żeby zaaranżować spotkanie. Przygląda mi się dokładnie. – Co?

– Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.

Idzie za mną do korytarza, w którym nikogo nie ma, poza Johnem i Tammy stojącymi przy drzwiach do kuchni.

– Ben zaginął. – Nie chcę marnować czasu na jego pytania i mówię mu wszystko, co powinien wiedzieć. – Był tutaj, kiedy wyszłam półtorej godziny temu. Przeszukałam nasze pokoje, parking i sale dla gości. Nie wziął płaszcza, telefonu ani portfela. Tammy i John nie widzieli go. Nic nie mówił, że będzie wychodził, i nie zna nikogo w mieście. Nie wyszedłby, nie zostawiając informacji dla mnie. To nie byłoby w jego stylu.

I dodaję, bo wiem, że to pytanie padnie.

– Poszłam do domu Glassbrooków. Mam klucze. Wiedział, że tam idę.

Tom mruży oczy.

– Mógł pójść za tobą?

– Niewykluczone – odpowiadam.

– Masz zdjęcie?

– Na górze. Jest sprzed paru lat, ale... – przerywam, bo do głosu dochodzi panika. Ten krzyk z głębi gardła i...

– Florence! – mówi Tom.

Spoglądamy sobie w oczy.

– Przynieś je. Szybko. Spotkamy się tutaj, na dole. Za dwie minuty. Idź.

Idę, odpycham kogoś na schodach, wpadam do pokoju, biorę torebkę, a w pokoju Bena zabieram jego telefon i szukam klucza do jego pokoju. Nie widzę go.

Kiedy wracam, hol na dole jest pusty. Klucz Bena nie wisi w recepcji, a jego brak podpowiada mi, że syn nie planował wyjścia z hotelu.

– Florence.

Tom wrócił.

– Pozwól, że ci powiem, co zrobiłem. – Kiwa na mnie, żebym się zbliżyła. – Biorę to na poważnie – mówi. – Nie dlatego, żebym się niepokoił, wcale nie. Jestem pewien, że świetnie się czuje i jest niedaleko stąd, ale ze względu na ciebie uruchomiłem wszystkie rezerwy. – Uśmiecha się do mnie leciutko. – I ze względu na nas. I ze względu na to miejsce.

Udaje mi się odwzajemnić uśmiechem. Tom wie, że zażądam wszystkiego, co może poświęcić na poszukiwanie mojego syna, i że podniosę raban, jeśli tego nie zrobi. Wie, że po tym, przez co razem przeszliśmy, zawsze będziemy brali na poważnie zniknięcie dziecka. I wie, że tutaj, na północnym zachodzie, zawsze trzeba się spodziewać najgorszego.

– Wpisałem go na listę osób zaginionych i zagrożonych, każę rozesłać jego zdjęcie – ciągnie. – Za dziesięć minut pojawią się tutaj policjanci z psami.

Psy znajdą tylko wtedy ślad, jeśli Ben odszedł na piechotę.

– Kazałem mundurowym przeszukać hotel. Tammy i John będą współpracować. Drugi zespół zacznie przeczesywać miasto, parki, puby, o których wiemy, że tolerują picie wśród nieletnich.

Kiwam głową. Bena nie ma w żadnym z takich miejsc, ale Tom musi postępować według procedur.

– My dwoje pojedziemy teraz do domu Glassbrooka, żeby się upewnić, że go tam nie ma. Potem przywiozę cię z powrotem i poczekasz tu na niego. Sprawdzisz u jego ojca i wszystkich przyjaciół tam, u was, z którymi mógł się kontaktować.

Jego ojciec. O Boże, jego ojciec.

– No dobrze. – Tom ciągnie mnie korytarzem, a kiedy wychodzimy z hotelu, dopada mnie déj à vu. Ileż to razy robiliśmy to wtedy we dwoje. Ale nigdy nie czułam się tak fatalnie. Tak bezradnie.

– Świetnie sobie radzisz. – Tom otwiera przede mną drzwi samochodu.

– Muszę wejść do systemu – mówię, kiedy wyjeżdżamy z miasta. – Najpierw wykonam parę telefonów. Muszę sprawdzić, co z innymi zaginionymi nastolatkami na północnym zachodzie. Porozmawiam też z Yorkshire.

Tom nic nie mówi.

– Kumbria – dodaję. – Mereyside. – Zdaję sobie sprawę, że mówię głównie do siebie. – On ich stąd nie uprowadził. Rzuciłby na siebie podejrzenie. Robił to trochę dalej. Tu musi mieć bazę. Skąd, do diabła, wiedział, że wrócę? I jak udało

mu się namówić Bena do wyjścia z hotelu? Ben jest mądry.

– Weź się w garść Florence. – Kiedy Tom warczy na mnie, widzę strach, który próbuje ukryć ze względu na mnie. – Nie ma żadnego „jego” – mówi dalej. – W okolicy Sabden nie ma porywacza dzieci na wolności. Larry Glassbrook zabił tamte nastolatki, ale już nie żyje.

Tom włączył niebieskie światła i pędzimy spokojnymi ulicami. Z jednej strony chcę nawrzeszczyć na niego, żeby zwolnił, bo wtedy będę mogła przyjrzeć się każdej ciemnej uliczce, z drugiej strony chcę, żeby jechał szybciej. Docieramy do domu Glassbrooka. Tom skręca na podjazd, nie zmniejszając szybkości, i zatrzymuje się przed drzwiami frontowymi. Wyjmuje z bagażnika latarkę i dwie pary rękawiczek jednorazowego użytku. A ja dzięki Bogu nadal racjonalnie myślę, jak powinien policjant na służbie, a nie bliska paniki matka.

Tom wali w drzwi, żeby obudzić Lunę, a ja biegam po ogrodzie, szukam za drzewami, pod krzakami. Z domu nie dochodzi żadna odpowiedź, więc podaję Tomowi klucze i wchodzimy. Przeszukujemy dom od góry do dołu, potem warsztat Larry’ego, skład drewna na tyłach, szopę ogrodową. Niczego nie znajdujemy. Luny tu nie ma. Bena też.

– Tom. – Stoimy tuż przed tylnymi drzwiami i zastanawiamy się, co robić dalej. – Wiem, co myślisz, i wiem, że gdybym była w twoich butach, myślałabym to samo, ale mógłbyś spełnić moją zachciankę? Proszę.

– Mów.

Powiedziałam mu, czego dowiedziałam się od Luny. Że pewnej nocy, kiedy mnie poszukiwano, zobaczyła, jak Larry kopie w ogrodzie po zachodzie słońca. Że się przestraszyła trochę dlatego, że ogrodnictwo nie pasowało do jej ojca, a poza tym, kto kopie po ciemku? Chyba że chce coś schować.

– Gdzie to było? – pyta Tom.

– Przy ulach.

Tom nic nie mówi.

– Powiedz to pszczołom – przypominam. – Kiedy ostatni raz widziałam Larry’ego, coś chodziło mu po głowie. Twierdził, że powiedział to pszczołom. Myślałam, że chodzi o figurkę, którą miałam znaleźć. A jeśli to nie to? A jeśli Larry nic nie wiedział o figurce, ale schował coś przy ulach?

Tom wzdycha.

– Twoja decyzja – mówi. – Możemy spędzić pół godziny na szukaniu szczątków kota Larry’ego. Tak sobie myślę, że można lepiej wykorzystać ten czas. Ale mamy latarkę, a w szopie są szpadle, więc jak chcesz.

Podjęłam decyzję. Znajduję szpadel i prowadzę Toma do uli. Oświetla latarką ziemię, ale widzimy tylko gładki trawnik, przerośniętą trawę i parę pospolitych chwastów. Moglibyśmy kopać godzinami. I tak nie znajdziemy tego, co zakopał Larry. Podchodzę bliżej uli i czuję pod stopą coś twardego.

Chwytam Toma za rękę i kieruję światło w dół. Kamyk, co samo w sobie nic nie znaczy, tyle że jest ich więcej. Cała linia, sześć kamieni w prostej linii, potem cztery kamienie pod kątem prostym do tamtej linii. Litera L.

– To jest to – mówię. – To tutaj.

Trzymam latarkę, Tom szybko kopie.

L jak Larry? L jak Luna? L jak Lovelady? L jak lubczyk?

– Witamy – mruczy Tom. Trzymam latarkę nieruchomo. W głębokiej dziurze tkwi płócienna torba zawiązana u góry sznurkiem. Jest stara i bardzo brudna.

– Idziemy do domu – mówi Tom.

Tom rozwiązuje sznurek na kuchennym stole. Z worka wypada wielka brązowa koperta bez pieczętki czy znaczka. Jest zaadresowana eleganckim, staromodnym pismem do JWP Larry’ego Glassbrooka. Tom wytrząsa jej zawartość. Widzimy kilka czarno-białych zdjęć i strzęp poplamionego materiału. Tom odwraca wszystkie zdjęcia obrazami do góry, a ja wiem, że widok pierwszego zrobił na nim równie wielkie wrażenie jak na mnie. To zdjęcie przedstawia nas dwoje.

Zrobiono je trzydzieści lat temu, kiedy tu mieszkałam i pracowałam. Na zdjęciu mam dwadzieścia dwa lata i jestem pijana. Tom, którego pamiętam z tamtych dni, wyprowadza mnie z Czarnego Psa.

Na drugim zdjęciu jesteśmy o jakieś dwa metry od pubu, a w tle widzę samochód Toma. Na trzecim widzę furgonetkę pubu i Johna Donnelly’ego, który coś na nią ładuje z piwnicy. Zdjęcia zrobiono tej nocy, kiedy uprawialiśmy z Tomem seks nad Black Tarn, tej nocy, gdy wyciągnęłam Lunę z przedwczesnego grobu.

Na czwartym nie ma Toma i mnie, ale Luna we własnej osobie. Wsiada na tył furgonetki z Czarnego Psa. John stoi za nią, żeby zamknąć drzwi. Ostatnie zdjęcie przedstawia furgonetkę odjeżdżającą z parkingu przy pubie, za kierownicą siedzi

John. Wtedy był za młody, żeby prowadzić, i chyba pamiętam, jak Tom mi mówił, że raz go zatrzymano i ukarano upomnieniem za prowadzenie wozu bez prawa jazdy.

– Nie rozumiem – mówi Tom. – Kto to zrobił?

– To ten sam wieczór – odpowiadam. – Na każdym zdjęciu John jest tak samo ubrany.

– On nie zmieniał ubrania. Biedaczyna miał tylko to, co dostał po ojcu.

Pokazuję fotografię przedstawiającą Lunę wsiadającą na tył furgonetki.

– W tym ubraniu ją znaleźliśmy – mówię. – To jest wieczór, kiedy ją znaleźliśmy.

Tom nie odpowiada.

– Popatrz na księżyc. – Zawieszam palec nad jasną, białą kulą na niebie i przenoszę go na kolejną fotografię. Gdy wprowadzono Lunę, była prawie pełnia, a kiedy ją znaleźliśmy pełnia już była.

– Nie jest w tym samym miejscu – mówi Tom, ale słyszę wątpliwość w jego głosie.

– Nie mógł być. Księżyc porusza się na niebie. Powiedziałabym, że Johnowi i Lenie zrobiono zdjęcie jakąś godzinę po naszym wyjściu.

– Kto? – pyta Tom. – Kto zrobił te zdjęcia? Kto, do diabła, godzinami czekał przed Czarnym Psem przy tak niewielkim prawdopodobieństwie?

Nie wiem i nie jest to najważniejsza sprawa, która zaprzęta mi teraz głowę.

– Te zdjęcia dowodzą, że Luny nie porwano. Nie zrobił tego jej ojciec ani nikt inny. Czy wygląda na to, że przemocą wsadzono ją do furgonetki? Upozorowali to. Przez cały czas mówiłam, że wprowadzenie Luny było inne.

Tom aż się zachwiał.

– Spokojnie Florence... Znalazłaś ją w płytkim grobie.

Sięgam, żeby dotknąć jego ramienia, ale on uchyla się.

– Tak, pochówek bardzo się różnił od tamtych. Nie leżała w trumnie. Znalazła się całe kilometry od miasta. I zostałam o tym poinformowana. Powiedziano mi, gdzie jej szukać. Lunie w ogóle nie groziło niebezpieczeństwo.

Tom robi krok do tyłu, jakby chciał lepiej mi się przyjrzeć.

– Więc gdzie była, kiedy zaginęła? I dlaczego? Dlaczego, do diabła, ktoś miałby pozorować porwanie?

Nagle dochodzę do oczywistych wniosków. Wkrótce będę zła, wściekła na siebie, że nie zobaczyłam tego wcześniej, że zignorowałam gryzące mnie wątpliwości, które zawsze żywiłam co do winy Larry'ego, ale na razie przyjmuję do wiadomości to, co uważam za prawdę, i to mi wystarcza.

– Żeby odciągnąć uwagę od prawdziwego zabójcy – mówię. – To oni. John i Luna zabili Stephena, Susan i Patsy. Inni, Tammy, Dal, Unique pewnie też byli w to zamieszani. Tom, pamiętasz, co wtedy mówiliśmy? Że uprowadzenie Luny to podstęp, sposób, w który Larry chciał odwrócić od siebie uwagę, bo kto zabijałby własną córkę? Cóż, co do tej sprawy z podstępem mieliśmy rację, ale nie wiedzieliśmy wtedy, kto był za to odpowiedzialny.

Kręci głową, ale znam Toma. Myśli o tym.

– Wiedzieli, że jesteśmy blisko – mówię. – Wiedzieli, że jestem blisko. Luna znalazła moje wykresy, wiedziała, że interesuję się uczniami ze szkoły, że zbieram na ich temat informacje. Razem z Johnem widzieli, że odwiedzam szkołę. Boże, pewnego dnia próbowali nawet wyciągnąć ze mnie informacje. Tutaj, w ogrodzie. Pamiętasz, jak John powiedział nam, że jest gejem? Jak Luna próbowała rzucić na mnie podejrzenia? To są kłamcy i manipulatorzy. Byli groźni jako nastolatki, teraz są dwa razy tak groźni. I mają Bena.

Wracam myślą do zatroskanych twarzy Johna i Tammy w Czarnym Psie i czuję, że bez trudu przyszłoby mi rozerwać ich na sztuki gołymi rękami. Czuję, jak paznokcie wpijają mi się w dłonie, a oddech gwałtownie przyspiesza. Płonę z gniewu. Ci ludzie nie mają pojęcia, żadnego pojęcia, co rozpętali, kiedy dobrali się do mojego syna.

– Elanor Glassbrook nie mieszka od lat w Sabden – mówi Tom głosem, który brzmi, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Zmuszam się, żeby wrócić na ziemię i mówić spokojnie, gdy chce mi się wyć.

– John Donnelly i Tammy są właścicielami pubu, w którym się zatrzymaliśmy. Ben zaufałyby im. Gdyby zapukali do jego drzwi i powiedzieli: „Coś się stało twojej mamie. Jest na dole. Chodź szybko”, posłuchałby ich.

Tom odwraca się ode mnie i opiera się o zlew. Przez sekundę mam wrażenie, że będzie wymiotował.

– Dlaczego Larry się przyznał? – pyta kurków nad zlewem. – Jeśli był niewinny, dlaczego odsiedział trzydzieści lat?

– Z miłości – mówię. – Wiedział, że Luna to zrobiła. Wziął na siebie jej winę.

Tom mówi do swojego odbicia.

– Pozwoliła, żeby ojciec poszedł do więzienia?

Staję obok niego.

– Była nastoletnią psychopatką. Zgodziłaby się, żeby ojca powiesili.

Tom ponownie robi długi wydech. Czuję, że zaraz stracę cierpliwość, ale chcę, żeby Tom był ze mną.

– Ktoś przesłał mu dowody – mówię. – Ktoś przesłał te zdjęcia Larry’emu. – Sięgam ręką i dotykam kawałka tkaniny. Gdybym nie miała rękawiczek, i tak nie bałabym się, że zanieczyszczę dowód moim DNA. Moje DNA i tak tam jest. W tę szmatkę owinięty był mój odcięty palec.

– Ktoś przesłał mu mój palec – mówię. – Musiał wiedzieć, że jest mój: chwalił mnie za ładnie pomalowane paznokcie. Wiedział, że jego córka jest potworem, ale postępował tak, żeby ją chronić.

Tom odwraca się, a ja nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

– Zabójstwa się skończyły – mówi. – Jestem tutaj od ponad trzydziestu lat. Nie mieliśmy więcej nierozwiązanych spraw o uprowadzenie dzieci w Sabden.

– To mógł być układ – mówię. – On bierze na siebie winę, oni mają się przyzwoicie zachowywać. Zakopał dowody, żeby mieć pewność, że dotrzymają słowa. Przez cały czas nie chciał, żeby Sally sprzedawała dom, bo zdjęcia były zakopane w ogrodzie.

– O cholera – klnie Tom.

– Ale może nie przestali – mówię. – Może postępowali sprytniej. Dlatego muszę przejrzeć sprawy zaginionych dzieci. Jak tylko zatrzymamy Johna i Tammy.

Pędzimy z powrotem przez miasto. Większą część drogi trzymam się kurczowo fotela, bo Tom nadal jeździ tak jak przed trzydziestu laty, a ja nie mam zamiaru prosić go, żeby wyluzował.

– Przez te dwa dni nie trzymano mnie w składzie drewna u Larry’ego – mówię, kiedy hamuje ze względu na sytuację na drodze. – On to zmyślił. Byłam tam wcześniej. To nie to samo miejsce.

Tym razem Tom mi nie przeczy.

– Więc gdzie?

– Chyba w Czarnym Psie – mówię. – Tam są wielkie piwnice. I te podwójne drzwi, które widzieliśmy, dają łatwy dostęp do parkingu. Chyba tam przetrzymywali Lunę, a potem mnie. Może przez jakiś czas także innych.

– Przeszukaliśmy Czarnego Psa.

– Może tam jest ukryta piwnica, o której nikt nie wie. – Zastanawiam się, czy nie postępuję jak tonący, który trzyma się brzytwy, i wyobrażam sobie kryjówki, które nie istnieją. – Dwane kiedyś mi o tym coś mówił. O bardzo starej piwnicy, w której nadal są łańcuchy. Korzystano z niej, żeby trzymać tam więźniów po drodze do więzienia w Lancaster. Słyszałeś o tym?

Minimalnie wzrusza ramionami.

– Może.

– A przynajmniej Luna nie stawiała oporu. Była gotowa na to, że ją ukryją.

– Ty nie byłaś. Szukaliśmy cię w piwnicach Czarnego Psa. Szukaliśmy wszędzie. Nie spaliśmy przez trzy noce.

Głos mu się załamuje. Poklepuję go po dłoni. Nie mogę pozwolić, żeby któreś z nas wpadło w panikę. Ben to mój syn. Jeśli on umrze, ja też.

Szybko dojeżdżamy do pubu. Na parkingu stoją wozy patrolowe z włączonymi światłami.

Tom wyłącza silnik i zwraca się do mnie.

– Zostajesz tutaj – mówi.

Sięgam do klamki, łapie mnie za ramię.

– Nie bądź idiotką, Floss. Nie mogę pozwolić, żebyś się w to mieszała. Idę sam. Każę zawieźć Johna i Tammy Donnelly do komisariatu, żeby ich przesłuchali. Jak sami nie będą chcieli iść, to ich aresztuję. Potem przeszukamy piwnice. Zostaniesz tutaj, aż Donnelly'owie wyjdą. Potem pójdziesz do swojego pokoju. Jasno powiedziane?

Nie mogę się sprzeciwić. Nie mogę zrobić niczego, co opóźniałoby poszukiwania Bena.

Patrzę, jak Tom wchodzi do pubu, i przez sekundę wpatruję się w drzwi. Kątem oka widzę na tylnym siedzeniu płócienny worek, teraz starannie owinięty plastikowymi torbami na dowody. I zaczynam panikować.

Tammy i Johna odwożą osobnymi samochodami. Znów pojawia się Tom, za nim

idzie elegancko ubrany mężczyzna. Chyba skądś znam tego wysokiego człowieka w drogim garniturze, ale nie przypominam sobie skąd. Jest tuż po czterdziestce, ma ciemne włosy, gęste brwi i wąskie szare oczy. Coś w jego zachowaniu mówi mi, że to policjant, wyższy rangą detektyw. Wsiadam, żeby się z nim przywitać. Obaj widzą, że płakałam, żaden nie może spojrzeć mi w oczy.

– Będę prowadził przesłuchanie – mówi Tom. – To zajmie trochę czasu, bo pewnie będziemy musieli poczekać na adwokata i...

– Wiem, jak to jest – mówię. – Chcę to zobaczyć.

Tom kręci głową.

– Nie da rady Florence. Zostawiam cię z komisarzem Rushtonem. To syn Stana. Słyszał wszystko na twój temat. Zajmie się tobą.

Kiwam głową do człowieka, którego pamiętam tylko z fotografii jako przysadziste dziecko w policyjnym hełmie. To podobieństwo do ojca sprawia, że go rozpoznaję i miło mi w jego obecności. Słyszę, jak za nami Tom wsiada do samochodu i odjeżdża.

– Przeszukamy piwnice, proszę pani – mówi do mnie Rushton głosem swojego ojca. – Może pani przyjść, jeśli będzie pani robiła to, co pani powiem.

Piwnice są przepastne. Ściany z kamienia, w niektórych miejscach pomalowane na biało, ale farba jest stara i łuszczy się. Podłoga jest wyłożona kamiennymi płytami, poza miejscami, w których leży poplamione i pofałdowane linoleum. Idziemy przez chłodne pomieszczenia, śmierdzące rozlanym piwem i wilgotnymi ręcznikami. Gdzieś na ścianach widzę lśniące porosty.

Są tu oczywiście baryłki, lśniące srebrne baryłki ustawione w równych rzędach, podłączone do ścian labiryntem rur. Są pudła chrupek, orzechów i kawałków wieprzowiny, skrzynki butelkowanego piwa, puszki napojów bezalkoholowych. W niektórych pomieszczeniach, pod ścianami, złożone są stoły na krzyżakach, a wieże eleganckich krzeseł sięgają pułapu. W innych trzymane są meble do sypialń i wyposażenie łazienek.

Nie znajdujemy Bena. Przeszukujemy wszystko, co da się przeszukać. Nalegam nawet, żeby sprawdzono puste baryłki, ale i tam go nie ma. Zatrzymuję się, kiedy dochodzimy do pomieszczenia, z którego można się dostać na parking przez wielki, podwójny wjazd. To mogą być drzwi, które słyszałam, przez które wrzucono moje

bezwładne i obolałe ciało, ale nie mogę mieć całkowitej pewności.

– Tam jest jeszcze jedna piwnica – mówi barman, który jest naszym przewodnikiem. Podążamy za jego wzrokiem w stronę kamiennej ściany, pod którą jedna na drugiej ustawione są beczki. Za beczkami widzę kawałek prostokąta z drewna budowlanego.

– Co to za pomieszczenie? – pyta Rushton.

– Stare – mówi barman. – Nie korzystamy z niego.

Beczki są ciężkie, potrzeba siły czterech mężczyzn – Rushtona, barmana i dwóch posterunkowych, którzy nam towarzyszą – żeby je przewrócić i odtoczyć, ale po paru minutach ukazuje się spoza beczek niskie, sklepienie przejście, lśniące od wilgoci z pobliskiej rzeki. Leżą w nim klepki ze starych drewnianych beczek. W przejściu nie można się wyprostować.

Chwyta mnie klaustrofobia, kiedy wchodzę pod niskie, nierówne sklepienie. Patrę, jak Rushton oświetla latarką wąskie, pokruszone schody na końcu przejścia. Jest tak stare i zniszczone, że stopnie jakby wtopiły się w mur, i lśni, jakby było płynne, aż zaczynam wątpić, czy utrzyma nasz ciężar.

– Uważajcie – mówi barman i wbiega po schodach jak wiewiórka.

– Nie musi pani iść – zwraca się do mnie Rushton, ale idę i parę nieprzyjemnych minut później pokonujemy razem śliskie stopnie i stajemy w najdalszej części piwnic Czarnego Psa. Dwaj posterunkowi czekają na dole.

To o tej piwnicy Dwane mówił mi przed laty. W tym miejscu łotry i czarne charaktery były przetrzymywane po drodze do więzienia.

Kamień miejscami się kruszy i miejscami widać pod nim ziemię. Pomieszczenie jest małe, nie można się w nim wyprostować i nawet nas troje wystarcza, żeby było w nim tłoczno. Myślę, że ma jakieś trzy i pół na dwa i pół metra. Nad nami jest żelazna krata, przez którą przenika roślinność. Domyślam się, że krata wychodzi na brzeg rzeki i, kiedy woda przybiera, piwnica jest zalewana.

Na ścianach wiszą resztki łańcuchów i żelaznych obręczy, kajdan albo oków. Chyba tak je nazywano. Żelazne pierścienie osadzone są nisko na ścianach.

– Była pani tutaj już wcześniej? – pyta mnie ściszym głosem Rushton.

Nie spieszę się z odpowiedzią. Kamienne płyty pod stopami, uczucie, że jest się pod ziemią, wilgotne i chłodne powietrze. To by się zgadzało. Ale jest za mało miejsca. To się nie zgadza. Swoje więzienie zapamiętałam jako większe od tego.

– Chyba nie – mówię.

– Wcześniej tego nie przeszukano – stwierdza Rushton. – Znam tę starą sprawę. Wiele razy przeglądałem teczki. Ta część piwnicy była zablokowana i nie zaglądano tutaj. Więc mogła pani tu być. Mogli tu przetrzymywać Lunę Glassbrook i innych.

– Bena tu nie ma – mówię. – Tylko to się teraz liczy.

63

Dzwonię. Dzwonię do męża, który nadal jest w Paryżu, i okłamuję go, że u mnie w porządku, że dzwonię do niego tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy wszystko odfajkował. Dzwonię do dziadków Bena i też ich okłamuję. Dzwonię do najlepszego przyjaciela syna, do drugiego, co do kolejności, przyjaciela i do dziewczyny, o której wiem, że Ben chciałby, żeby była jego dziewczyną, ale nie chciał jej jeszcze zapytać. Żadne o nim nic nie wie i mimo moich kłamstw wyczuwam maleńkie strzałki, satelity mojej paniki, które pędzą przez kraj i wbijają się w serca i nerwy.

Nazwanie strachu po imieniu dodaje mu mocy. Urowadzenie Bena – już nie mogę mówić o tym zniknięcie – robi się coraz poważniejsze z każdą mijającą minutą. Chcę wybiec w noc, wykrzykiwać jego imię. Chcę walić we wszystkie drzwi w hotelu i zmuszać ludzi, żeby mówili, co widzieli i słyszeli. Chcę pójść do jego pokoju, znaleźć coś, na czym nadal jest jego zapach, i zabrać to ze sobą. Nie robię żadnej z tych rzeczy. Pierwsza nic by nie dała, druga przeszkadzałyby policji, a co do trzeciej widziałam już tyle spraw z zaginionymi dziećmi, żeby wiedzieć, jak postępują rodzice, którzy się poddali. Ja się nie poddam.

Zastanawiam się, czy jeszcze do kogoś zadzwonić, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Ben nie pukałby, więc tłumię drgnięcie nadziei i otwieram. Za drzwiami stoi Brian Rushton.

– Miałaby pani minutkę? – pyta, jakby czekały mnie inne, poważniejsze sprawy. Pod lewym ramieniem trzyma parę kartonowych teczek, z tych, które dzisiaj widzimy tylko wtedy, kiedy musimy grzebać w jeszcze nieskomputeryzowanych archiwach. Siada na łóżku. Ja przysuwam krzesło.

– Mój tato dużo mówił o starych czasach – odzywa się Rushton. – Szczególnie o sprawie Glassbrooka. Doskwierała mu aż do końca.

Więc nie tylko mnie. Nie ja jedna nie mogłam uspokoić tych dręczących wątpliwości.

– Pański ojciec był świetnym policjantem – mówię.

Uśmiecha się zdawkowo.

– Tu jest materiał, o którym pani na pewno nie wie – oświadcza. – Materiał z teczek sprzed lat. Prowadzono w tej sprawie śledztwo, ale po cichu. Prawie tak, jakby ktoś nie chciał robić zamieszania.

Robić zamieszanie? Już to słyszałam.

Tym kimś mógł być tylko jego ojciec, ale nie mówię tego.

– Co to za materiał? – pytam natomiast.

Spogląda na teczki.

– Cztery miesiące po pogrzebie, o którym mówię, skradziono ciało Patsy Wood.

Różnych rzeczy mogłam się spodziewać, ale tego nie.

– Ktoś wdarł się w nocy na cmentarz i wykopał ją – mówi dalej Rushton. – Z powrotem zakopali trumnę, ukleпали grób, ale grabarz zobaczył to rano i stwierdził, że coś jest nie tak. Zgłosił to. Odbyło się nienagłaśniane śledztwo. Trumna była pusta.

W pokoju jakby nagle zrobiło się gorąco.

– Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałam? – pytam.

– Utrzymywano to w tajemnicy. – Rushton wzrusza ramionami. – Domyślam się, że według taty wystarczyło tego złego. Przecież dziewczynie nie można było już zaszkodzić. Ale rodzinie tak. Może nie chciał narażać ich na dalsze cierpienia.

Patrzę na okno. Jest otwarte, ale w pokoju brakuje powietrza.

– Wyciszył sprawę?

Brian Rushton opuszcza głowę.

– Nie wspominałbym o tym, ma pani dość zmartwień, ale tam jest coś jeszcze.

– Co?

Głęboko wzdycha.

– Wtedy nie można było przeprowadzić badań DNA, więc proszę nie wyciągać z tego pochopnych wniosków, ale w popiołach ogniska na wzgórzu znaleziono ludzkie szczątki.

Nie zazna odpoczynku... Musicie ją spalić.

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

Patrzy na teczki trzymane na kolanach.

– Dlaczego uważa pan, że to ważne przy sprawie zniknięcia Bena?

Podnosi wzrok.

– Nie wiem, czy to ważne. Po prostu wiem, że ludzie nie byli zadowoleni ze skazania Glassbrooka, chociaż nie mówili o tym na głos. Dręczyło ich to. Wyczuwałem to u taty.

Wstaje.

– Tom powiedział mi, co pani znalazła w domu Glassbrooka i o nowej teorii, że to ostatecznie mogły być dzieci. Jeśli ma pani rację, to przeoczyliśmy cholernie dużo spraw.

Ja też wstaję.

– Właśnie dzwonił do mnie szef – mówi Rushton. – Przyjechali adwokaci Johna i Tammy, zaraz zaczną się przesłuchania. Mówi, że może pani przyjść i przyglądać się, jeśli pani chce.

– Chce mieć na mnie oko, prawda? – mówię, kiedy schodzimy z piętra.

– Mówi też, że ukradła pani dowody i jeśli natychmiast pani ich nie zwróci, będzie musiał panią aresztować – dodaje Rushton. Uśmiecha się półgębkiem, że mówi to tylko na pół serio albo że Tom półzartem tak powiedział. Wszystko jedno. To uczciwy policjant. Otwieram torebkę i pokazuję kopertę, którą wyjęłam z płóciennego worka, kiedy Tom zostawił mnie samą w samochodzie.

– Nie są uszkodzone – mówię. – Przez cały czas miałam rękawiczki i zapakowałam je osobno.

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Nie mogłam tylko siedzieć i czekać, aż zabierzecie się do Tammy i Johna. Odchodziłam od zmysłów. Pomyślałam, że jak jeszcze raz obejrzę te zdjęcia, to może coś mi się skojarzy.

– Skojarzyło się?

Kręcę głową.

– Proszę je oddać.

64

To nie ten sam wieczór – mówi John Donnelly, kiedy przybywamy. Siedzi rozparty w krześle, ale dłonie na poręczach ma zaciśnięte. – Czego dowodzi ubranie? Wtedy nosiliśmy te same rzeczy, póki nie zaczęły śmierdzieć.

– Ten sam księżyc. – Nie widzę twarzy przesłuchującej go detektyw sierżant, tylko jej długie do ramion brązowe włosy.

– O ile wiem, ten sam księżyc wschodzi co wieczór od milionów lat – mówi John. Podnosi do ust dłoń, żeby poobgryzać paznokcie, ale dłoń mu się trzęsie.

– Utrzymuje, że zdjęcia zostały zrobione, zanim Luna zniknęła – mówi policjant stojący obok mnie.

– Jakiś ślad Luny? – pytam, a policjant kręci głową. Luna zniknęła równie skutecznie jak Ben.

Tammy i John są przesłuchiwanymi w oddzielnych pokojach. W obu są zainstalowane kamery, które pokazują przesłuchanie czekającym policjantom. Można przejść z jednego ekranu na drugi i być na bieżąco.

Na drugim ekranie Tammy nawet nie udaje, że się boi, ale jej wersja jest taka sama, że nikt z gangu nastolatków nie wiedział o zniknięciu innych dzieci.

– Luna uważała, że to jej ojciec jest winny – mówi Tammy. – Bardzo się zmieniła, kiedy go aresztowano. Nigdy się z tym nie pogodziła. To Larry musiał zrobić te zdjęcia.

– Dlaczego miałyby wysyłać zdjęcia do siebie? – pyta Tom. – A przede wszystkim, dlaczego w ogóle je robił?

Tammy nie odpowiada.

– W tamtych czasach John chodził z Luną – mówi, nie odpowiadając na pytanie Toma. – Zawsze po kryjomu zabierał furgonetkę swojego taty, żeby nas wozić. To nie ma żadnego znaczenia.

Tom rozpiiera się w krześle i drapie po głowie.

– Cóż, widzisz, przesłuchiwałem Johna w ten wieczór, kiedy zniknęła Luna, i dokładnie pamiętam, że nam powiedział, że jest gejem. To dziwne, kiedy się pomyśli, że od dwudziestu lat jest żonaty i że macie dwójkę podrośniętych dzieci. Tammy, dlaczego powiedział, że jest gejem?

– Bycie gejem nie oznacza, że jest się mordercą – odpowiada Tammy.

– Niebycie gejem oznacza, że jest kłamcą – stwierdza Tom.

– Zastanawia mnie, kto pierwszy powie prawdę, ty czy twoja żona? – pyta sierżant Johna. – Mam nadzieję, że ona. Nie wydaje mi się, żeby poradziła sobie z wyrkiem długoletniego więzienia.

John jest blady.

– Wiem, jak się to odbyło – mówi sierżant. – Kto będzie bardziej ufał dzieciom niż inne dzieci? Szczególnie fajnym dzieciom, z którymi wszyscy chcą się przyjaźnić. Pewnie sprzedałeś to jako dowcipas: „Włamiemy się do domu pogrzebowego, obejrzymy kilka trupów. Spotkamy się tam o dziesiątej. Wymkniesz się tak, żeby mama nie widziała?”

– Ze względu na nagranie, pan Donnelly kręci głową – mówi towarzyszący sierżant posterunkowy.

– Nie musieliście się nawet włamywać. Luna mogła zwędzić z domu zapasowe klucze. W torebce mamy miała wszystkie środki uspokajające, jakich potrzebowaliście.

– Mój klient odmawia komentarza – mówi adwokat.

– Masz piwnicę, żeby przetrzymywać w niej Lunę, kiedy jej szukano – mówi sierżant. – A więc widzisz, John, wiemy jak to zrobiłeś. Tylko nie wiemy dlaczego.

– Dlaczego zabijałaś przyjaciół Tammy? – pyta Tom. – Co Susan, Stephen i Patsy ci zrobili poza tym, że chcieli należeć do waszej paczki?

Słyszymy, jak otwierają się drzwi do pokoju przesłuchań i sierżant w mundurze wkłada głowę w szczelinę.

– Sir, jest przygotowana dla pana – mówi. – Podpisała formularz wolności od ścigania karnego.

Adwokat Tammy, której opadają powieki, prostuje się w krześle.

– Co to ma znaczyć? – pyta i pociera sobie twarz.

Drzwi zamykają się za sierżantem.

– Zostawiam cię na jakiś czas Tammy. – Tom wstaje. – Muszę się zająć kimś innym. Mam nadzieję, że będzie bardziej współpracowała.

– Kto? – pyta Tammy. – Kto to jest?

– Tammy siedź cicho – mówi jej adwokat. – Jeszcze nie słyszałam o formularzu wolności od... Jeszcze raz, jak to się nazywa?

– Och, nie zwracaj uwagi na Macka... Jemu zawsze mieszają się formularze – mówi Tom.

– To Luna? Luna tutaj jest?

– Luna groziła, że spali dom Glassbrooka – mówi Tom. – Powiedziałbym, że ta kobieta dużo wie. – Zatrzymuje się przy drzwiach. – To może zająć trochę czasu. Każę komuś przynieść wam herbatę.

– Poczekaj! – woła Tammy.

Tom odwraca się i marszczy brew.

– Tammy, nie sądzę... – zaczyna jej adwokat.

– Nie możesz ufać Lunie – mówi Tammy. – Nikt nie powinien ufać Lunie. Ona jest nieuczciwa.

Tom wzdycha.

– Tammy, czy naprawdę masz coś do powiedzenia, bo ja...

– To był jej pomysł.

Wszyscy w biurze wstrzymujemy oddech.

Tom odchodzi od drzwi.

– Co takiego? – pyta.

Godzinę później w siedmioro zbieramy się w pokoju narad.

Zaczyna Tom.

– Zarówno John, jak i Tammy twierdzą, a ich zeznania zgadzają się, że uprowadzenie Luni było dziełem samych nastolatków. Wypichcili to między sobą. Luna ukrywała się przez kilka nocy w piwnicy Czarnego Psa, a potem John zawiózł ją na tamten stary cmentarz. Była w grobie tylko przez kilka minut, kiedy pojawiła się Florence.

– Dlaczego? – pytam. – Dlaczego mieliby zrobić coś tak głupiego, tak

nieodpowiedzialnego?

– John twierdzi, że dla zgrywy. – Policjantka w stopniu sierżanta zwraca się do mnie ze współczującą miną. – Wiem, wiem, ale rozumiem to – mówi. – Tamte dzieci były w telewizji. Zainteresowanie publiczności to fajna sprawa. Im więcej się go ma, tym więcej się go pragnie.

– Według Tammy – mówi Tom – to był pomysł wyłącznie Johna i Luny. Ją samą zmuszono, żeby brała w tym udział. Przyznała się jednak, że to ona dzwoniła do ciebie wieczorem, Florence, i powiedziała, gdzie znaleźć Lunę.

Wtedy to mogła być Tammy. Pamiętam wysoki, bezpłciowy głos, jakby ktoś próbował zamaskować swoją tożsamość.

– To by wyjaśniało, dlaczego zniknięcie Luny różniło się od innych uprowadzeń pod paroma ważnymi względami – mówi Brian.

Przecież o tym wtedy mówiłam. O Boże.

– John i Tammy nie zgadzają się co do jednego. Według Johna propozycja, która padła ze strony Luny, żeby urządzić ten kawał, wynikała z tego, że dziewczyna już podejrzewała swojego tatę – mówi policjantka – albo dotarło do niej, że inni go podejrzewają, i chciała odciągnąć od niego uwagę. Pomyślała, że nikt nie będzie podejrzewał Larry’ego, jeśli jedną z ofiar zostanie jego córka. Historia, że została zgwałcona, oskarżenia wobec pani, miały na celu odciągnięcie uwagi od taty. Próbowała go chronić.

– Luna nienawidzi ojca – mówię. – Nazwała go potworem.

– Mimo wszystko mogła go osłaniać – mówi policjantka. – Tak długo, jak tylko mogła.

Kilka niemal niedostrzegalnych kiwnięć głowami i wyczuwam, że napięcie w pokoju zelżało. Znam to uczucie, zakrada się do policyjnych zespołów, kiedy widać zakończenie sprawy. Wcześniej nie bałam się tego.

– Więc jeśli mówią prawdę – stwierdza Tom – wracamy do tego, że Larry Glassbrook był słusznie skazanym sprawcą trzech morderstw i uprowadzenia posterunkowej Lovelady w 1969 roku.

– A zdjęcia zrobione na parkingu Czarnego Psa tamtego wieczoru? – pytam. – Nie ma sensu, żeby Larry je zrobił, a potem wysłał do siebie.

– Nie ma sensu także w tym, żeby zrobiły to dzieci – mówi Tom.

Nikt nie zabiera głosu. On ma rację. Ja nie.

– John i Tammy Donnelly’owie są kłamcami – mówię. – Okłamali nas przed laty i teraz znowu kłamią.

Nagle nikt na mnie nie patrzy.

– Nie ma dowodu, żeby Tammy albo John wychodzili dziś wieczór z Czarnego Psa. Przeciwnie, mieli bardzo dużo pracy. Tammy była w kuchni, John biegał między kuchnią a barem, pomagał w obsłudze. Gdyby któreś z nich zniknęło choćby na krótko, ktoś z załogi by to zauważył.

– W tej paczce było jeszcze troje – mówię. – Dale Atherton, Richie Haworth i Unique Lbaddee.

– Dale Atherton umarł – mówi ktoś. – Przed laty. Atak serca.

– I jestem całkowicie pewien, że Richie Haworth wyemigrował – dodaje ktoś inny. – Chyba na Nową Zelandię.

– Jest coś jeszcze – mówi Tom. – Mamy raport ze stacji kolejowej. Po szóstej zamykają kasę, ale mamy świadka. Twierdzi, że widział chłopca odpowiadającego opisowi Bena, który kupował bilet z automatu. Na jakieś pięć minut przed odjazdem pociągu do Manchesteru. – Rozpiera się w krześle. – Florence, pamiętam, co powiedziałaś, że nie pokłóciliście się, ale może stało się coś, o czym nie wiesz? Może jest jakiś powód, że Ben nagle musiał pojechać na południe?

Jestem w stanie tylko na niego patrzeć.

– Pociągi na zachodnim wybrzeżu co godzina jeżdżą do Manchesteru – dodaje ktoś. – Na Victoria Station i na Piccadilly są kamery. Mogę się połączyć z Manchesterem, sir, poprosić kogoś, żeby przejrzał nagrania.

Tom kiwa głową, a idiota, który myśli, że mój syn złapał wieczorny pociąg do Manchesteru, wstaje i wychodzi z pokoju.

– Już to robiono – mówię. – Po zniknięciu każdego z dzieci dostawaliśmy zgłoszenia, że widziano ja na dworcu autobusowym, na stacji kolejowej. Ktoś chciał, żebyśmy myśleli, że dzieci uciekły, że stąd wyjechały. Wtedy nie szukalibyśmy ich tutaj.

– Kto? – pada pytanie. – Kim jest ten ktoś?

Nie zwracam na to uwagi.

– Psy podjęły trop – mówi umundurowany policjant siedzący przy Tomie. – Zaczynał się w Czarnym Psie.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – Aż podnoszę głos.

– Trop wychodził z Czarnego Psa, skręcał w lewo, wzdłuż głównej drogi i prowadził tamtędy przez dwieście metrów – informuje mnie Tom. – Potem znów skręcał w prawo i szedł wzdłuż Old Sabden Road. Psy zgubiły go przy końcu ulicy.

Przy końcu Old Sabden Road jest Station Road. Ślad, który podobno podjęły psy, prowadził w stronę stacji.

Wstaję.

– Siadaj Florence – mówi Tom.

Nie zwracam uwagi na jego słowa.

– Brian idź z nią. – Tom podnosi głos. – Florence, nadal będziemy szukali. Będziemy szukali przez całą noc. Znajdziemy go.

Będą szukali. W to jestem w stanie uwierzyć. Ale nie znajdą go.

65

Pozwalam Brianowi Rushtonowi odwiedzić się do hotelu, potem mówię mu, żeby mnie zostawił samą, że nic mi nie będzie i że najlepiej mi się przysłuży, jeśli przyłączy się do poszukiwań mojego syna. Przypominam mu, że nadal ma kopertę ze zdjęciami.

Kiedy odjeżdża, wchodzę drzwiami od frontu i wychodzę drzwiami od tyłu. Nikt mnie nie widzi, gdy wsiadam do samochodu.

Najpierw zatrzymuję się w domu Glassbrooka i wchodzę do warsztatu Larry'ego. Pięć minut zabrało mi znalezienie tego, czego szukałam. Biorę też stary plecak, w który to załaduję. Przed odejściem ostatni raz patrzę na ule. Trzydzieści lat temu żyły, pełne brzęczenia i maleńkich stworzeń, którymi Sally regularnie się zajmowała. Larry nie mógł włożyć mojej podobizny do ula przed aresztowaniem. To znaczy, że zrobił to ktoś inny w ciągu ostatnich kilku dni, wiedząc, że mogę ją znaleźć. Pytanie kto.

Chyba łatwiej powiedzieć dlaczego.

Żeby mnie zainteresować. I nastraszyć. Może obie te rzeczy naraz, ale przede wszystkim, żeby mnie tu zatrzymać, upewnić się, że nie wyjadę z miasta. Żaden policjant, zaangażowany w sprawę Glassbrooka, nie zostawiłby nowego dowodu. Ktoś o tym wiedział. Ktoś celowo zrobił mnie, żebym została w mieście. I tak miałam taki zamiar, ale nie mógł tego wiedzieć.

John i Tammy wiedzieliby. Zarezerwowałam dwie doby w Czarnym Psie. Nie musieliby nęcić mnie glinianą figurką. Według policji John i Tammy prawie na pewno nie wychodzili z pubu dziś wieczorem. Policja uważa, że John i Tammy nie uprowadzili Bena, a ja chyba zaczynam się z tym zgadzać.

Luna? Rodzina ma dostęp do domu. Jeśli to Luna zostawiłaby figurkę, to znalazłabym ją na poduszce mojego starego łóżka, a nie w ogrodzie. Dale Atherton nie żyje. Richie Haworth wyemigrował. Pewność, że to dzieci zamordowały swoich przyjaciół opuszcza mnie równie szybko, jak się pojawiła.

Nic mi nie zostaje.

Wracam do samochodu, dojeżdżam do terenów wiejskich i jadę dalej. Przede mną majaczy Wzgórze, nie zatrzymuję się. Dojeżdżam do najdalej położonego miejsca, w którym mogę zaparkować. Już mam wysiąść, kiedy w głowie pojawia mi się najgorsza z możliwych myśli.

Dlaczego ktoś chce, żebym tu została? Dlaczego chce, żebym była w mieście?

Jestem ostatnią osobą, której chciałby przy ponownym otwarciu starej sprawy. I dlaczego, do diabła, porwał mi syna, skoro wie, że nie przestanę go szukać? Dlaczego właśnie mnie, a nie któremuś z innych policjantów hrabstwa, rzucił wyzwanie?

Nie znajduję innego powodu jak zemsta. Jeśli mam rację, Ben już nie żyje.

Nie, nie mogę się poddać.

Tej nocy księżyc jest w nowiu, ale energia astralna jest po mojej stronie, utrzymuje bezchmurne niebo, a światło gwiazd jest tak jasne, że wysiadam z wozu i zaczynam się wspinać. Mam trzydzieści lat więcej, niż kiedy ostatni raz wchodziłam na Pendle Hill, a niepokój pozbawia mnie tchu, ale idę dalej. Nie powinno mi to zająć więcej niż pół godziny. Chyba nawet mniej.

Nie poddam się.

Zatrzymuję się na małym płaskowyzu, na którym zwykły się spotykać wiedźmy. Jest tam kamienny krąg, popiół i nawet trochę zwęglonego drewna po ognisku, które tu niedawno rozpały. Podnosi mnie na duchu świadomość, że to jest nadal uświęcone miejsce.

Może to jest miejsce, w którym stała wieża Malkin, a może nie. Ale to nie ma znaczenia. Tutaj od dziesięcioleci moje siostry uprawiały magię, pełne energii, którą jestem w stanie okiełznać.

Robię ognisko z drewna skradzionego w warsztacie Larry'ego. Nie musi być duże, ale powinno jasno płonąć przez dłuższy czas. Kiedy dochodzę do wniosku, że jest takie, jak trzeba, wyjmuję z torebki zapalki i podpalam je.

Dawno temu Daphne i Avril uczyły mnie, że czarnoksiężstwo ma trzy dyscypliny: uzdrawianie, wróżenie i magię. Studiowałam wszystkie trzy, praktykowałam wszystkie trzy, ale mówiły prawdę, że wiedźmy przyciąga szczególnie jedna. Jestem wróżką, tą, którą praktykuje sztukę przewidywania i odkrywania ukrytej wiedzy poprzez omeny. Mam karty tarota, wikińskie runy i wiszące kryształy, ale

najlepiej szło mi zawsze z kryształową kulą, a moją ulubioną metodą jest wrózenie za pomocą ognia.

Podpałka szybko się zajmuje i w kilka minut złote płomienie liżą drewno, szybko powstają rozżarzone węgielki. Kiedy jestem pewna, że ogień nie zagaśnie, rozrzucam zioła. Lawenda, szałwia, mięta i płatki róży mają potężne właściwości ochronne. Krwawnik i kamfora zwiększają zdolności psychiczne. Anyżek pomoże mi wejść w trans. Uspokajam się, pozwalam, żeby umysł mi się oczyścił. Tego mi potrzeba.

– Mój syn jest tutaj. Mój syn żyje. Mój syn jest w niebezpieczeństwie.

Patrzę, jak dym unosi się spiralnie, a ogień robi się gorętszy. Widzę twarz Bena, ale wiem, że to tylko objaw mojego strachu. Muszę wejść głębiej. Nachylam się i wdycham zapach płonących ziół. Po paru chwilach czuję, że się uspokajam. Kiedy osiągnę stan, w którym świadomie będę widzieć otoczenie, ale poczuje się od niego oddzielona, zacznę widzieć.

Wiatr przybiera na sile. Wzgórze zaczyna jęczeć i wzdychać, otacza mnie pachnący dym.

Widzę łańcuchy. Widzę, że syn leży w ciemnościach, a ciemności go spowijają. Widzę szybko drepczące stworzonko, drapieżne, a zarazem wystraszone.

Mój syn jest pod ziemią, ale może się poruszać i oddychać. Widzę grube, mocne mury wokół niego. Błyskają zamknięte na klucz drzwi.

Nie widzę, żeby się ruszał. Leży zupełnie nieruchomo jak...

Wtedy dociera do mnie nowy zapach, nie gorzki aromat płonących ziół, ale coś wymiotnie słodkiego. To zapach omżynu. Nie pamiętam, czy tu rośnie, a nie chcę przerywać transu, żeby się rozejrzeć. Widzę głowy mężczyzn, wściekłych mężczyzn. Tłum. Wysokie mury. Jasne światła.

Czy widzę miejsce, w którym znajduje się syn, czy tylko przypominam sobie, gdzie byłam? To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej to poprowadzi mnie do niego.

Przemów do mnie Ben. Powiedz, gdzie jesteś.

Kawałek drewna porusza się w ogniu, lecą iskry, obraz się zmienia. Kształty, które widzę, przybierają postać długich stojących szpikulców, wysokiej wieży, szybującego ptaka.

Nie potrafię zatrzymać tej wizji. Rozpada mi się przed oczami. Nie mam wyboru, muszę odwrócić wzrok. Podnoszę oczy na usiane gwiazdami niebo,

wracam do terażniejszości. Siedzę wysoko na starym wzgórzu i nie jestem już sama. Otaczają mnie ciemne postacie. Próbuje rozpoznać je załamionymi, zmęczonymi oczami. Dopiero po sekundzie, dwóch jestem w stanie naliczyć dwanaście osób. Niektóre są młode, niektóre stare. Same kobiety. Wiedźmy przyszły po mnie.

Wstaję, z początku chwieję się i Avril Cunningham łapie mnie.

– Spokojnie – mówi. – Odejdź od ogniska. Oddychaj głęboko.

W świetle gwiazd nie widać, żeby się postarzała. Włosy nadal ma czarne, chociaż chyba trochę przerzedzone. Nadal jest wysoka i kanciasta, mimo mroku widać jej ogromne oczy. Dopiero kiedy się uśmiecha, spostrzegam zmarszczki wokół jej oczu i ust.

– Dziewczyno droga – mówi. Patrzę na inne. Rozpoznaję Marlene Labaddee i młodszą, bardzo do niej podobną kobietę. Zakładam, że to musi być Unique. Na jej widok coś się we mnie zaciska. Unique należała do paczki.

– To jedna z nas. – W głosie Avril wyraźnie słychać ostrzeżenie. – Florence, musisz komuś zaufać.

Unique przygląda mi się wielkimi czekoladowo brązowymi oczami. Jest równie śliczna jak jej matka w mojej pamięci.

– Czy to ty wykradłaś ciało Patsy Wood? – zwracam się do Marlene. – Spaliłaś je?

– Wszystkie to zrobiłyśmy – odpowiada Avril. – Florence, uspokój się. Zaufaj nam.

Odwracam się na pięcie, szukając Daphne.

– Gdzie ona jest? – pytam.

– W samochodzie – mówi Avril. – Chciała tu przyjść, ale powiedziałam, żeby zachowała energię na ważniejsze sprawy.

Robię krok w tył i patrzę w dół Wzgórza. Nie widzę w ciemności, ale wydaje mi się, że rozpoznaję jakiś blask, chyba wewnętrzne światelko wozu. Pozdrawiam Daphne uniesioną dłonią.

– Mamy mało czasu – mówi stojąca za mną Avril.

– Skąd wiedziałyście, że tu jestem? – pytam.

– Poszłyśmy do Czarnego Psa, kiedy dowiedziałyśmy się, że wyjechałaś z

komisariatu – odpowiada Avril. – Nie było cię tam, więc pojechaliśmy do domu Glassbrooka i na cmentarz przy kościele św. Wilfryda. Potem zobaczyliśmy ognisko.

Jedna z kobiet, których nie znam, przynosi więcej drewna i dokłada do ognia.

– To Jenny Ogilvy. – Avril łagodnie wypycha na przód bardzo niską, szczupłą kobietę mniej więcej w moim wieku. – Żona Dwane’a. Poznałaś już Lorraine, jej siostrę?

– Mój mąż był w tobie zakochany trzydzieści lat temu – mówi Jenny.

Nie jestem w nastroju do przeprosin.

– Ja go też kocham – mówię. – Jest moim kochanym przyjacielem.

Kiwa do mnie głową z poważną miną. Avril przedstawia kolejną. Pamiętam Brendę, która pracowała w centrali telefonicznej w komisariacie, ale większość imion weszło jednym uchem, wyszło drugim i zostało po nich tylko echo. Na koniec występuje Mary, gosposia Glassbrooków, która trzymała się z tyłu. Wita mnie skinieniem głowy, ale bez uśmiechu.

– Zobaczyłaś coś? – Avril wskazuje rozbuchany już ogień. Mówię jej, co widziałam, ale kiedy dodaję, że to mogły być tylko wspomnienia miejsca, w którym mnie przetrzymywano, Avril przechyla głowę.

– Policja sądzi, że Ben wyjechał z miasta – mówię. – Mają klapki na oczach, tak jak wszyscy je mieliśmy trzydzieści lat temu. Nadal uważają, że Larry zabił te dzieci. To nie on. Prawdziwy zabójca nadal gdzieś tu jest.

– Wiemy – mówi Avril. – Ale teraz najważniejsze, to znaleźć twojego syna.

– Mamy zamiar rzucić zaklęcie wyszukujące – mówi Jenny. Rozdzielimy się i staniemy w czterech rogach. Wiemy, że jest gdzieś w mieście.

Cztery rogi to po prostu najbardziej wysunięte na północ, południe, wschód i zachód punkty w mieście. Sabat ustalił je przed laty, doskonale wie, jak tam dotrzeć i co robić, kiedy jest się na miejscu. Wiedźmy posłużą się dymem, a może kurzem, będą obserwować, w którą stronę się unosi podczas wypowiedzania słowa zaklęcia. Potem porównają wyniki i spróbują ustalić, w której części miasta może być Ben.

Avril zdejmuje łańcuszek z szyi. W świetle ogniska widzę kryształ w kształcie łązy. Wkłada mi łańcuszek na szyję. Czuję jego chłodną gładkość na karku.

– Marlene zostanie tutaj z tobą – mówi Avril. – Ma ci wiele do powiedzenia.

Kręcę głową.

– Zrobiłam już swoje. Muszę wracać do miasta, szukać syna.

Avril podnosi obie ręce, jakby chciała fizycznie mnie powstrzymać przed odejściem.

– Florence, musisz zostać. Czas, żebyś się dowiedziała o mistrzach.

Inne odchodzą. Razem z Marlene siadamy na twardej ziemi, jakbyśmy ustaliły to z wyprzedzeniem, i przyglądamy się sobie przez płomienie. Moje niecierpliwe ciało domaga się ruchu. Siedzę jak na torturach, ale czekam.

Marlene jest zapatrzona w ogień, jakby też wróżyła, a ja wiem, że będę musiała dobrze się napocić, żeby mi powiedziała to, co zamierza. Nie bardziej niż ja ma ochotę tutaj siedzieć.

Jeśli mam być spokojna dla Bena, będę spokojna.

– Mistrzowie? – pytam. Jeszcze nie słyszałam o takiej grupie, a jednak w słowie jest coś dziwnie znajomego. Jakbym od wielu lat czekała, żeby się czegoś o nich dowiedzieć. – Kim są?

– Nie wiemy. – Marlene zwraca się do płomieni. – To pierwsza rzecz. Nie jesteśmy nawet pewne, czy w ogóle istnieją. Ale od lat mówi się o innej grupie w tym mieście.

– O innym sabacie?

Widzę przez dym, jak łagodnie kiwa głową.

– Tak. Ale odmiennym. Bardzo innym niż my.

– Na czym polega różnica? – To wszystko idzie dręcząco powoli.

Marlene podnosi patyk i grzebie nim w ogniu.

– Przez lata pojawiały się znaki, których nie mogliśmy ignorować. Profanowano groby, ale winą obarczano lisy. Demolowano kościoły. Kradziono albo okaleczano zwierzęta.

Opisywała klasyczne objawy czarnej magii. Od czasu do czasu zdarzały także rzeczy, za którymi nie kryło się nic złowrogiego.

– W mieście jest moc skupiona na paru ludziach – mówi Marlene. – Ludziach z rady miasta, z policji, właścicielach fabryk, bogatych biznesmenach. Robią, co chcą, i są ponad prawem.

– To bardziej przypomina masonerię niż czarną magię. – Jednak mówiąc to,

natychmiast przypominam sobie, przed czym dawno temu ostrzegał mnie Larry.

– Może te dwie sprawy nie są tak odległe od siebie. A może jedna jest przykrywką dla drugiej.

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy masoni są czarownikami? To niemożliwe. Tyłu ich jest, szczególnie w tej okolicy.

– Ależ nie. Oczywiście, że nie wszyscy. Może wewnętrzny krąg. Może całe bractwo ich ochrania, a choćby tylko nie przeszkadza, nie czepia się nich.

Znów grzebie w ogniu. Iskry lecą wysoko, a ułożone szczapy zapadają się.

– Przed laty – mówi Marlene – kiedy dzieci zaczęły znikać, bałyśmy się, że to robota mistrzów. Robiliśmy, co w naszej mocy: zaklęcia ochronne, zaklęcia śledzące. Ulżyło nam, kiedy aresztowano Larry’ego, kiedy się przyznał. Chorobliwy, maniakalny morderca? Mówiliśmy między sobą, że jest nieźle.

Zakrywa oczy, a ja zastanawiam się, czy w mieście jest ktoś, kto naprawdę, w głębi duszy uwierzył w winę Larry’ego.

– Czy Larry był mistrzem? – pytam.

Marlene kręci głową.

– Niemożliwe. Chroniliby go. Larry był sam. Kimkolwiek był, był sam.

– Powiedz, co wiesz – dopytuję.

Marlene robi głęboki wdech.

– To byli mężczyźni – mówi. – Żadna kobieta nie wstąpiła do tej grupy. Mówiliśmy o tym tylko między nami, kobietami, bo nie było wiadomo, czy mężczyzna, z którym się rozmawia, nie jest jednym z nich.

– W waszym sabacie byli mężczyźni – stwierdzam. – Pamiętam, że ich widziałam.

Marlene kiwa głową.

– Już ich nie ma. Dawno temu przestałyśmy wierzyć mężczyznom zainteresowanym magią. Mężczyznom, którzy chcieli się do nas przyłączyć, nauczyć się tego, co wiemy, a potem wykorzystywać to w złym celu.

Pamiętam Roya Greenwooda, współnika Larry’ego. Davida Milnera, nauczyciela.

– Co jeszcze? – pytam, bo do tej pory niczego istotnego nie powiedziała.

– Potrzebowali nas. Potrzebowali mnie. Mężczyźni nie są dobrymi uzdrowicielami. Bardzo często wypytywali mnie o kordiały. Prośli, żebym je dała.

Ale zawsze przez posłańców. Nigdy osobiście.

– Byłaś zielarką. To oczywiste, że prosili cię o kordiały.

Kręci głową.

– Nie takie kordiały.

Widzę strach na jej twarzy.

– Czy te kordiały usypiały ludzi? – pytam, wiedząc, że jest wiele ziół i roślin o działaniu nasennym. Na przykład pospolity mak.

– Nie – mówi Marlene. – Interesowały ich kordiały, które nie usypiają, ale nie pozwalają się poruszać. Tacy ludzie widzą i słyszą, ale są jak sparaliżowani.

Czuję, jak coś ściska mnie w piersi. Ona mówi o indukowanym stanie świadomej katalepsji. To chyba najgorszy stan, w którym można się znaleźć.

– Skoro uważałyście, że mistrzowie byli odpowiedzialni za znikanie dzieci – mówię – to, co waszym zdaniem, za tym się kryło? Dlaczego grzebali dzieci żywcem? Czy byli sadystami?

– Nie. Uważam, że nie chodziło o przyjemność. Myślę, że chodziło o moc. Bardzo złą moc.

– Co to znaczy?

Krzywi się, przez sekundę wygląda obrzydliwie.

– Mój lud ma sposoby, żeby ze zmarłych robić niewolników.

Patrzę na jej lśniąca, czarną skórę, na błyszczące oczy.

– Zombi?

Unosi górną wargę i szyderczo się uśmiecha.

– Nie, zombi są niewolnikami, tylko jeśli chodzi o ciało, ich umysły umarły, nie ma ich już. Mój lud za pomocą czarnej magii tworzy innego rodzaju niewolników. Takich, których ciało jest martwe, ale umysł żyje. Tylko w łańcuchach.

Nie nadążam za nią. Umysł w łańcuchach?

– Zrozum, nie wiem, jak to się robi – mówi Marlene. – Tylko o tym słyszałam.

Marlene za bardzo się wypiera, ale nie mogę teraz kwestionować jej słów. Jest mi potrzebna.

– Rozumiem – mówię. – Rozumiem, że to twoja spekulacja.

– Jak weźmie się człowieka z żywą duszą i zamknie się w miejscu, gdzie panuje śmierć, i wykona odpowiednie rytuały, to kiedy taki człowiek umiera, energia z niego uchodzi i wchodzi w ciebie. Kiedy zrobi się to jak trzeba, ciało umiera, ale

dusza nie.

– Przecież wierzy w to wielu ludzi – mówię. – Chrześcijanie głoszą nieśmiertelność duszy.

– Ale tamte dusze nigdzie się nie przenoszą – wyjaśnia Marlene. – Są w pułapce, stają się niewolnikami tych, którzy rzucili zaklęcie wiążące.

Dziwi mnie ciągle używanie pojęcia niewolnik.

– Do czego przyda się niewolnik bez ciała? – pytam.

– Do wszystkiego, jeśli uprawia się czarną magię. Wolna dusza może przechodzić przez ściany, latać w powietrzu, śmiertelnie przerażać wrogów. Niewolnik, którego nie powstrzymują prawa ziemskie, może uczynić swojego właściciela niewyobrażalnie potężnym.

Podnoszę rękę.

– Marlene, nie przekonujesz mnie. Wierzę, że są naturalne energie, które można ujarzmić, ale to, co teraz mówisz...

– To jeszcze nie wszystko, co najgorsze.

– Nie wszystko?

– Dusza w okowach nie zaznaje spoczynku. Kiedy nie robi tego, co każe jej pan, wraca do grobu, by zjednoczyć się z gnijącym ciałem. Tylko, że nie wie, że jej ciało pożerają robaki. Myśli, że nadal żyje. Kiedy działa taka magia, dusza uwięziona pod ziemią pozostaje tam na wieki.

– Żadne zaklęcie nie utrzyma życia bez powietrza.

Marlene pochyła się ku mnie, niemal zapominając o ognisku.

– Nie rozumiesz, prawda? Ciało umiera, ale dusza o tym nie wie. To najgorszy rodzaj śmierci, bo nie ma końca. To gorsze, znacznie gorsze niż pogrzebanie żywcem, bo jeśli tylko to się stanie, umrzesz po paru godzinach. Mistrzowie próbowali stworzyć duszę niewolnika, kiedy byłeś tu przed laty. Pierwszych dwoje zabił kordiał. Patsy Wood została zniewolona, ale uwolniłyśmy ją, paląc jej ciało. Kiedy Larry siedział w więzieniu, nie mogli działać, bo bali się, że wycofa przyznanie się do winy, gdyby kolejne dzieci zaczęły znikać, ale zawsze pragnęli mieć zniewoloną duszę. Teraz znów próbują. Na twoim synu.

Spogląda na moją lewą rękę.

– Będą mieli jego kość, która jest twoją kością. Zrobili gliniane wyobrażenie. Gdzieś znajdzie się trumna, miejsce śmierci. Mieli zamiar cię wykorzystać, kiedy

dowiedzieli się, że wracasz. Twój chłopiec był premią.

Ta kobieta jest szalona. To, o czym mówi, jest nieprawdopodobne. Niewyobrażalne. Wstaję.

– Figurka przedstawiająca ciebie na niego też zadziała, bo jest krwią z twojej krwi.

– Dlaczego dzieci? – pytam. – Nie licząc mnie, pierwsze ofiary były dziećmi. Marlene też wstaje.

– Nie dzieci. Nastolatki. Bo są prawie dorosłe, ale nadal małe i nie potrafią walczyć. Dorośli byliby najlepsi, ale dorosłych trudniej złapać w pułapkę.

– Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałyście? – pytam. – Musiałyście o tym wiedzieć już wtedy, kiedy dzieci znikają. Spaliłyście ciało Patsy.

Odwraca się i s pluwa.

– Myślisz, że policja uwierzyłaby w historyjki o czarnej magii? A ty uwierzyłabyś?

– Odrzucilibyśmy coś takiego – przyznaję – ale moglibyśmy przyjąć, że są ludzie, którzy w to wierzą. Powinnyście były nam powiedzieć.

Marlene odwraca wzrok.

– Niczego nie wiedziałyśmy.

– Nonsens. Wiecie więcej, niż mówicie – stwierdzam. – Dla Avril i pozostałych to mogły być domysły i plotki, ale i tak jesteście doskonale poinformowane.

Marlene opuszcza wzrok.

– Twój mąż jest jednym z nich, prawda? Charles Labaddee to mistrz.

– Już nie jest moim mężem.

To była odpowiedź, na jaką czekałam.

– Kto jeszcze? – Obchodzę ognisko, żeby znaleźć się bliżej niej. – Kto jeszcze jest mistrzem? Gdzie się spotykają? Gdzie przetrzymują Bena? I kiedy mają zamiar przeprowadzić ten obrzydliwy rytuał? Dziś w nocy?

Pamiętam, że to noc, kiedy księżyc jest w nowiu, i czuję, że narasta we mnie panika.

– Nie wiem. – Kręci głową. Nie odwraca się ode mnie, nie próbuje odejść, ale wyczuwam, że jest załamana. I że powiedziała mi wszystko, co wie.

– Jeśli mój syn zginie tej nocy, zrobię wszystko, żeby oskarżono cię o utrudnianie pracy policji i pomocnictwo w morderstwie – mówię. – Twój mąż

zgnije w więzieniu, a...

Jej krzyk powstrzymuje mnie.

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? – Chwyta mnie za ramiona i syczy prosto w twarz. – Posłuchaj. Twój syn nie zginie. Śmierć byłaby błogosławieństwem w porównaniu z cierpieniami, które go czekają. Będzie zamknięty w tym pudle na wieki, będzie próbował oddychać, będzie walił w drewno, aż wyda mu się, że połamał sobie palce, będzie krzyczał, żeby go uwolniono. Będzie cię wzywał, żebyś go ratowała długo po twojej śmierci, kiedy dawno zamienisz się w proch.

Ziemia pode mną osuwa się, czuję, że upadam. Gwiazdy gasną, okrywa mnie ciemność. Potem coś mocno uderza mnie w twarz.

To Marlene. Widzę, że znów unosi rękę.

– Musisz znaleźć zwłoki swojego chłopca i spalić je – warczy, obnażając zęby. – Jeśli tego nie zrobisz, on nigdy nie zazna spokoju. Przynajmniej tyle jesteś mu winna. Znajdź go i spal.

Nie pamiętam, jak zeszłam ze Wzgórza, ale jestem tutaj, zapalam silnik i już mam odjeżdżać. Mam podrapane dłonie i kolana, ale nie pamiętam, jak upadłam. Nie pamiętam, jak dojechałam do miasta, ale nagle jestem na parkingu przy komisariacie. Wyłączam silnik, wiem, że sierżant dyżurny zauważył mój samochód, a ludzie w komisariacie będą wiedzieli, że wróciłam. Jeszcze chwilę siedzę w wozie, oddycham głęboko, liczę do dziesięciu, nakładam na twarz minę spokoju, normalności.

Marlene uważa, że przegrałam. Myśli, że Ben już nie żyje, że mistrzowie zemścili się na mnie i teraz mogę tylko ratować jego duszę nieśmiertelną. Nie przyjmuję tego. Szukam syna, nie jego zwłok.

Larry nie był mordercą. Teraz wiem. Larry przyznał się, bo myślał, że jego córka, Luna, zabiła troje swoich przyjaciół i wziął winę na siebie, żeby ją chronić. Ukrył zdjęcia. To była jego polisa ubezpieczeniowa: póki Luna będzie trzymała się z daleka od kłopotów, on będzie milczał.

„Dzięki mnie były bezpieczne przez trzydzieści lat”, napisał do mnie. „Teraz twoja kolej...”. Myślałam, że ma na myśli swoją rodzinę. Nie o to mu chodziło. Myślał o dzieciach w mieście.

Ale Larry też się mylił. Luna i jej przyjaciele nie bardziej niż on byli odpowiedzialni za śmierć Susan, Stephena i Patsy. Larry’ego zwiedli ludzie, którzy wysłali mu zdjęcia i mój palec. Myślę o moich włosach i bucie, o grzebieniach i chusteczkach do nosa innych ofiar, które znaleziono w warsztacie Larry’ego, i zastanawiam się, czy je tam podłożono, przesłano, tak jak zdjęcia i mój palec, czy sam je zabrał, kiedy mnie ratował.

Larry uratował mnie. Chociaż od jakiegoś czasu domyślałam się, że to był on, i tak ta świadomość była dla mnie ciosem. Zawdzięczam życie człowiekowi, którego przez trzydzieści lat nazywałam potworem.

Avril powiedziała, że muszę komuś zaufać. Ma rację. Ufam sabatowi, ufam

nawet Marlene. Jestem przekonana, że na koniec powiedziała mi wszystko, co wie. Avril i inne domyślały się, co tu się dzieje, ale większość sabatu to starsze kobiety bez wpływów czy władzy. Są granice tego, co mogą zrobić. Zawsze były.

Ufam Tomowi. Wierzę w kolektywną siłę i uczciwość brytyjskiej policji, ale Tom i jego zespół mają klapki na oczach. Stojąc wobec różnych możliwości, wybiorą taką, z którą najłatwiej sobie poradzą, tak jak my zrobiliśmy przed trzydziestu laty. Tom i jego ludzie szukają Bena, ale nie tam, gdzie trzeba.

A więc teraz stoi przede mną wybór. Mogę dołączyć do sabatu, zawierzyć sile kolektywnej myśli i starożytnym siłom tego świata, żeby odnaleźć syna poprzez rzucanie zaklęć ochronnych i poszukiwawczych. Jestem wiedźmą od trzydziestu lat, prawie tak długo jak policjantką.

Ale najpierw byłam posterunkową Lovelady.

Wchodzę i oczywiście pytam o Briana Rushtona, nie o Toma. W głębi duszy zdaję sobie sprawę, że nadal jestem w Tomie zakochana, ale Tom ma skazę. Nadal trzyma się myśli, że wtedy mieliśmy rację. Brian chyba jakoś tam wie, że nie mieliśmy.

Znajduję go, szybko wyjaśniam, o co mi chodzi. Że wiem o innych, którzy przed trzydziestu laty parali się w tym mieście magią, i że według mnie to oni wysłali zdjęcia Larry'emu.

– Trzeba zdjąć z nich odciski palców – mówię. – Możesz to zrobić teraz, na miejscu?

– Wiedźmy? – odpowiada pytaniem.

– Nie musisz w to wierzyć. Po prostu przyjmij, że to one. Możesz znaleźć odciski palców?

– Z grubsza. – Nadal marszczy czoło na wspomnienie wiedźm. – Nie damy rady z częściowymi odciskami albo czymś trudnym, ale oczywiście, dobrze zachowane odciski palców zazwyczaj udaje się nam znaleźć.

– Możemy spróbować?

Odchodzi, macha ręką, żebym szła za nim.

– Sprawa już jest w toku. Chodź, sprawdzimy, czy coś znaleźli.

Idę za nim korytarzem, schodzimy do piwnicy.

– Znaleźliśmy trzy prawie kompletne odciski palców. – Policjant w laboratorium mocno marszczy brwi. – Ale szczerze mówiąc, to może być zanieczyszczony dowód rzeczowy.

– Jak to? – pyta Brian.

Policjant przesuwa do nas powiększone zdjęcie linii papilarnych palca. Patrzą na łuki i pętlice otoczone czarnym kurzem.

– To palec szefa – mówi specjalista z zakłopotanym wyrazem twarzy. – Łatwo o coś takiego – dodaje. – Szczególnie jeśli grają emocje. – Patrzy na mnie. – Pani odciski palców pewnie też tu znajdziemy.

Mija kilka sekund, zanim jestem w stanie się odezwać.

– Chyba mieliśmy problem z myśleniem. Oboje byliśmy tak podekscytowani, że coś znaleźliśmy.

Brian przeklina pod nosem, ale szacunek nie pozwala mu otwarcie skrytykować mnie albo Toma.

– Z innymi się poszczęściło? – pyta.

Policjant kręci głową.

– Jeszcze nie.

– Nie przeszkadzajmy – mówię. – Brian, nie najlepiej się czuję. Mogłabym gdzieś usiąść?

Mówiąc to, wiedziałam, że jest pewne ryzyko. Brian może zaprowadzić mnie do recepcji albo do któregoś z pokojów przesłuchań. Ale komisarz patrzy na moją twarz i dociera do niego, że istotnie źle się czuję. Nie ośmieli się zostawić mnie samej. Więc prowadzi mnie na górę, do pokoju wydziału kryminalnego i sadza za swoim biurkiem. Robi herbatę, a przed wyjściem mówi coś cicho do kobiety siedzącej w rogu i spogląda w moją stronę. To jasne, że kazał jej mieć na mnie oko.

Źle się czuję. Nigdy w życiu nie czułam się gorzej. Zwalczam impuls, żeby z krzykiem wybiec z pokoju. Mam wrażenie, jakby świat zawirował i odleciał, pozostawiając mnie w przepastnej, nieodpartej ciemności, ale wiem, że muszę się czegoś trzymać. Zamykam oczy, opieram głowę o biurko Briana Rushtona i modłę się o spokój, siłę i klarowność myśli. Próbuję skontaktować się z moimi siostrami w czterech rogach, żeby przyciągnąć trochę ich energii.

Opieram głowę o teczki, które Brian przyniósł do mojego pokoju w hotelu. Stare

teczki Glassbrooka.

Kiedy podnoszę głowę, nikt na mnie nie patrzy. W pokoju jest troje ludzi, ale współczują, zostawiają mnie w spokoju, więc bez trudu zsuwam teczki do torby stojącej mi na kolanach.

– Idę do toalety – mówię do kobiety, której kazano na mnie uważać.

Już ma wstawać.

– Mogę jakoś pomóc? Wie pani, jak tam trafić?

– Na końcu korytarza – odpowiadam. – Proszę po mnie przyjść, gdybym nie wracała przez dziesięć minut. – Uśmiecham się do niej z nadzieją, że wygląda to na odważny uśmiech.

Damska toaleta bardzo się poprawiła od moich czasów. Jest sześć kabin, wszystkie puste, a ja zamykam się w najdalszej od drzwi.

Trzydzieści lat temu ludzie, którzy zamordowali dzieci, ci, których zaczęłam w myślach nazywać mistrzami, dostrzegli możliwość wrobienia Larry'ego w te morderstwa, gdy dotarło do nich, co zrobiła jego córka z przyjaciółmi. Nie wiem, po co to zrobili. Może czuli się zagrożeni, widząc, że policyjne poszukiwania są już na właściwym tropie. Może zbliżyliśmy się do prawdy, badając powiązania przez klub krykieta, i uznali za niezbędne szybkie zamknięcie sprawy.

Kiedy postanowili wrobić Larry'ego, wysłali mu obciążające zdjęcia i dowód, który uznali za całkowicie przekonujący – mój obcięty palec – żeby mógł wyciągnąć jedyny narzucający się wniosek. Rozegrali go: najpierw mnie uratował, potem wziął winę na siebie.

A to znaczy, że musieli mu powiedzieć, gdzie mnie znajdzie. W brązowej kopercie przysłanej Larry'emu musiało coś jeszcze być. Coś, czego jeszcze nie widziałam, ale mogę to teraz znaleźć, jeśli nie zniszczono tego trzydzieści lat temu.

Siedzę na pokrywie sedesu i przeglądam teczkę. Widzę zdjęcia, które pamiętam, i odręczne notatki, w tym wiele sporządzonych przeze mnie. Kartkuję zeznania świadków i inne archiwalia. Dziękuję Bogu za skomputeryzowane bazy danych, które teraz tak nam ułatwiają pracę. Nie przerywam pracy, ale pamiętam o czasie, bo wiem, że wcześniej czy później ktoś zacznie mnie szukać.

Po przejrzeniu trzech czwartych teczki znajduję listę odzieży, którą Larry miał na sobie tego wieczoru, kiedy go aresztowano. Czytam ją i przypominam sobie

nierozszerzane dżinsy, jasnobrązową marynarkę z liliowym obrębkim, morelową koszulę, szpiczaste zamszowe buty. Wydłużone noski. Ta nazwa wraca do mnie po tylu latach.

Lista jest szczegółowa, podaje, co Larry miał w kieszeniach dżinsów: „Jeden zestaw składający się z trzech kluczy, jeden portfel z czarnej skóry z pięćofuntowym banknotem i trzema jednofuntowymi banknotami. Drobne, sześć szylingów i dziesięć pensów. Chustka do nosa w niebiesko-białe paski. Brązowy, plastikowy grzebień o cienkich zębach”.

A potem zawartość kieszeni marynarki: „Jeden amputowany palec (zakłada się, że to palec serdeczny posterunkowej Florence Lovelady), jedna poplamiona krwią szmatka, w którą owinięty jest wyżej wymieniony palec, jeden wycinek z »Sabden Gazette« z datą osiemnasty czerwca 1969 roku”.

Nie rozumiem, dlaczego akurat tego wieczoru Larry miał w kieszeni koszuli wycinek z „Sabden Gazette”. Za chwilę znajduję wycinek, pomięty, wyblakły, z drukiem zatartym przez papiery, wśród których leżał, ale nadal czytelny.

To historia buntu pod przędzalnią. Nie mogłam wiedzieć, że tamtego wieczoru na miejscu był fotoreporter, ale musiał być, bo zdjęcie ilustrujące tekst zostało zrobione spoza tłumu. Widać na nim, jak dziesiątki mężczyzn, wielu w cyklistówkach, które w tamtych czasach noszono, patrzy na drzwi do fabryki, a sześcioro policjantów – komisarz Sharples, sierżanci Brown i Green, posterunkowi Butterworth, Devine i Lovelady – próbuje ich odeprzeć.

Wielkie metalowe drzwi. Podziemna przestrzeń. Miejsce niedaleko cmentarza przy kościele św. Wilfryda. Tam mnie znaleziono. To jest to. Trzydzieści lat temu Larry Glassbrook uratował mnie z przędzalni. Mój syn jest w przędzalni.

Nie ufam nikomu.

Spotykam się tylko z sierżantem dyżurnym i wychodzę z komisariatu. Mówię mu, że wracam do hotelu. Kiwa głową, nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy, ale to dobrze. Nie widzi iskry, której teraz nie byłabym w stanie ukryć.

Jadę tak szybko, jak tylko potrafię, nieustannie szukam świateł, które by za mną podążały. Znów przejeżdżam obok domu Glassbrooka. Znalezienie w szopie Larry’ego narzędzi, których będę potrzebowała, zajmuje mi tylko parę minut. Bardzo ostry nóż, ciężkie nożyce do metalu, wielki żelazny młot i zaostrzony po obu końcach pręt ze stali węglowej, który w Stanach nazywają łomem stalowym, a w Anglii krótkim łomem. Owijam je w kawał płótna i jestem gotowa. W samochodzie mam latarkę i pojemnik z gazem łzawiącym, z którego Ben śmiał się dziś rano.

Jadę trzy kilometry z powrotem do fabryki i moja determinacja zaczyna mięknąć. Minęło trzydzieści lat. Fabryka w 1969 roku była pusta, a mnie, głupiej, wydaje się, że jeszcze tam stoi. Pewnie już dawno temu ją zburzyli. Przyjadę na Jubilee Street i zobaczę bloki mieszkalne. Ogarnia mnie rozpacz i już mam zamiar się zatrzymać, ale coś sprawia, że dalej jadę główną ulicą do Jubilee Street.

Fabryka stoi nadal. Kiedy podjeżdżam bliżej, widzę wysokie mury z pociemniałej cegły i blady blask świateł alarmowych. Mur otaczający całość stoi nadal. Brama została odnowiona i wygląda na mocniejszą i bardziej posępną niż kiedyś. Fabryce jakoś udało się przetrwać aż do nakazu ochrony konserwatorskiej, którym ją objęto.

Po jednej stronie bramy stoi podświetlony znak. Parkuję, wciskając się między citroena a hondę, i czytam: „Perserverance Mill. Biura, tereny fabryczne i warsztaty do wynajęcia”.

Mistrzowie, o których mówiła mi Marlene, to potężni ludzie. Bogaci ludzie. To oni są właścicielami, pewnie byli nimi już trzydzieści lat temu. Może John

Earnshaw, którego własnością była przedzalnia w 1969 roku, jest jednym z nich. Nie mógł utrzymać pustych zabudowań wbrew wszelkim planom rozbudowy miasta, musiał je przebudować i wynająć, zostawiając niektóre części dla siebie.

Czy chwytam się brzytwy? Chyba nie. W tym miejscu coś zawsze było nie tak, i to podpowiada mi, że mam rację.

Mam mało czasu. Mistrzowie obserwują mnie, odkąd przyjechałam do miasta. Mogą wiedzieć, że dopiero co wyjechałam z komisariatu. Jeśli dotarło do nich, że przejrzałam teczkę, mogli się domyślić, że przyjadę tutaj. Nie mogę marnować ani chwili, wiem, że nie zniknę bez śladu.

Sięgam po komórkę. Avril odpowiada po pierwszym dzwonku.

– Florence, kochana, jesteśmy całkiem pewne, że on jest gdzieś w centrum. Niedaleko głównej ulicy, bliżej Padiham niż Wzgórza, przed mostem na Hinton Street. Przepraszam, że nie możemy podać bardziej...

Opisała obszar mniej więcej kilometra kwadratowego.

– Jest w porządku – mówię. – I macie rację. On jest w przedzalni. Przyjechałam tutaj.

– O mój Boże. Poczekaj na nas. Już jedziemy.

– Nie, Avril, chcę, żebyś została tam, gdzie jesteś. To dotyczy także pozostałych. Zostańcie w czterech rogach. Dajcie mi osłonę. I siłę. Mnie i Benowi. Natychmiast. Możecie to zrobić?

– Florence, proszę powiedz, że nie...

– Avril, muszę iść. Mogę na tobie polegać?

Krótką przerwę.

– Zawsze. – Połączenie zakończone.

Wysiadam z samochodu i ostrożnie się rozglądam. Zaparkowane samochody – jest ich teraz dużo – są puste. Nikt mnie nie obserwuje z okolicznych domów. Dotykam masek samochodów, nie są ciepłe.

Staw fabryczny nadal istnieje, ale stworzono ogródek, w którym pracownicy biura mogą jeść lunch. Wychyłam się za mur i łowią wymiotny aromat kwiatów budlei. Kiedy byłam na Wzgórzu, nie brałam pod uwagę krzaków budlei, więc nie wiem, czy to, co teraz czuję, jest prawdziwe, czy wyłania się z pamięci, czy może to jasnowidztwo. To nie ma znaczenia.

Ze wspomnień wynika, że na tyłach budynku jest druga brama. Pamięć mi

dopisuje. Jest skromniejsza, mniej odpychająca niż brama od przodu i ciemniejsza z drugiej strony. Kobiety w moim wieku nie za bardzo potrafią się wspinać, ale nie obchodzi mnie ani powaga, ani ubranie. Przepycham narzędzia i torbę przez pręty bramy i w niecałą minutę jestem na fabrycznym podwórzu.

Nie ma tu zaparkowanych wozów. Budynek jest ciemny.

Idę pod murem, trzymam się cienia, uważam na zabezpieczenia elektroniczne. Wiem, że jeśli Bena tutaj ukryto, to najprawdopodobniej jest pilnowany. Idę jednak tak szybko, jak tylko mogę, bo oni nadchodzą. Metalowy właz znajduje się z boku budynku, tak jak zapamiętałam, ale nie można z niego skorzystać od strony podwórka. Jest zaryglowany od spodu.

Trzydzieści lat temu Larry znalazł sposób, żeby się tu dostać. Ale wtedy budynek był zapuszczony, a moi porywacze chcieli, żeby mnie znalazł. Mogli nawet zostawić otwarte drzwi. Zastanawiam się, jak bardzo się bał, kiedy szedł przez ciemną fabrykę, czy nie kusił go, żeby dać sobie spokój.

Larry robił to wszystko, żeby uratować swoje dziecko, tak jak ja. Na moment zatrzymuję się, kiedy przychodzi mi do głowy myśl, że Larry robił to również dlatego, żeby uratować mnie.

Idę dalej, szukam wejścia, z którego mógł skorzystać Larry. Za następnym rogiem są drzwi, ale zamknięte. Idę dalej, eleganckie, biurowe okna od frontu i z boku ustępują na rzecz bardziej użytkowych na tyłach. Za nimi są pewnie pomieszczenia gospodarcze i kuchnie. Spostrzegam szyby z mrożonego szkła. Pewnie to łazienka.

Dwadzieścia minut temu wyjechałam z komisariatu. Oni nadchodzą.

Przetaczam metalowy kosz pod okno łazienki, żeby na niego wejść i łomem rozbić szybę. Nie odzywa się alarm, ale czuję kłujący ból w prawej dłoni, a gdy ją opuszczam, dotykam lepkiego gorąca krwi.

Przeklinając własną niezdarność, ochraniam ranę opuszczonym rękawem i oczyszczam ramę okienną z resztek szkła. Nadal nie włącza się alarm. Jestem w męskiej toalecie, stoję na umywalce, która wytrzymuje mój ciężar. Zeskakuję na kafelki posadzki.

Natychmiast zaczyna mi pulsować w głowie. Daję sobie sekundkę, oddycham głęboko, ale pomieszczenie niedawno sprzątano i zapach wybielacza pali mnie w gardło. Kiedy odwracam się do umywalki, widzę szkarłatne plamy własnej krwi.

Nagle robi mi się słabo, jakbym miała zemdleć.

Biorę papier toaletowy z pierwszej kabiny, skręcam go jak linę i obwiązuję nim mocno dłoń, ale ból robi się jeszcze gorszy.

Sprawy już idą źle.

I wtedy dociera do mnie, że nie jestem sama. Ktoś za mną stoi. Czuję jego oddech na karku, właściwie, to słyszę nawet rżenie w jego płucach. Odwracam się na pięcie i opieram się o ściankę kabiny, ale widzę tylko wentyl centralnego ogrzewania na przeciwległej ścianie.

Muszę stąd wyjść.

Drzwi otwierają się na korytarz słabo oświetlony światłami alarmowymi. Skręcam w lewo, idę do wjazdu przez zupełnie zmienione wnętrze. Po prawej mam szklane ściany biur, za nimi atrium, przez które po wschodzie słońca dociera światło. Dalej jest więcej biur i widać zewnętrzny mur fabryki. O tej porze światło tu nie dociera.

Ludzie w biurach o szklanych ścianach! Widzę kilka postaci, ciemne kształty, które poruszają się razem ze mną, biegną w stronę drzwi, żeby odciąć mi drogę. Skręcam, wracam innym korytarzem, one też skręcają. W głowie mi łomocze, chyba zwymiotuję.

Ponownie otwieram drzwi do łazienki i czuję powiew świeżego powietrza dochodzącego zza okna. Dociera do mnie zapach trawy i płonącego drewna. Trochę mi to klaruje umysł. Przychodzi mi coś na myśl, więc ponownie skręcam.

Postacie w biurach nie ruszają się, patrzą na mnie. Podnoszę prawe ramię. Robią to samo. Robię krok do przodu. Też tak robią i odległość między nami zmniejsza się. Moje sobowtóry są tak przekonujące, że jeszcze chwila i znów zaczną uciekać. Ale teraz wiem, z czym mam do czynienia. Cienie i odbicia, którym mój strach nadał ponurą moc.

Za dużo czasu marnuję na walkę z duchami. Wydaje mi się, że na zewnątrz słyszę silnik samochodu.

Znów ruszam, nie zwracam uwagi na hałasy dochodzące z budynku. Świszczący dźwięk to wewnętrzna instalacja hydrauliczna, a nie syk zaczajonych węży. Cień migający wysoko na ścianie to cień nocnego ptaka przelatującego obok. Nie należy widzieć w tym nietoperza.

Dochodzę do końca korytarza i skręcam. Dawno temu były tu wąskie drzwi

wychodzące na schody, które prowadziły do podziemi. Ból głowy ustępuje, jego miejsce zajmuje zmęczenie wynikające zapewne z paru godzin panicznego niepokoju. Potrzebna mi adrenalina, i to już, energia w systemie nerwowym, ale ta fundamentalna funkcja organizmu chyba mnie opuściła.

Powietrze jest gorące i stęchłe.

Nie ma spróchniałych drewnianych drzwi, które zapamiętałam. Zastąpiły je większe drzwi, wykładane stalowymi płytkami. Takie drzwi zawsze prowadzą do pomieszczeń gospodarczych, kotłowni albo piwnicy. Dochodzę do schodów i zatrzymuję się, żeby złapać oddech. Nadal nie rozdzwonił się alarm.

Drzwi są zamknięte, ale to nie przeszkoda dla łomu Larry'ego i mojej rozpacz. Zamek puszcza przy piątej próbie. Gdybym była sobą, wystarczyłyby trzy, ale w końcu drzwi się otwierają. Już nie spodziewam się alarmu. Z jakichś powodów nie ma tutaj zwyczajnej instalacji zabezpieczającej. Klatka schodowa, nad którą stoję, prowadzi w ciemność. I choćbym była nie wiem jaką wróżką przepowiadającą przyszłość, nie wiem, co znajdę na dole.

Już tu byłam. Cześć, Florence, mówi ciemność. Witamy w domu.

Zatrzymuję się na sekundę. Zamknięte na klucz drzwi podpowiadają, że przy Benie może nie być straży. Może wystarczy, że zejść po schodach, uwolnię syna i pomogę mu wydostać się stąd. Ale pozostaje czarna magia. Wyczułam ją, ledwie się włamałam. Nawet teraz, kiedy patrzę w dół, w ciemność, niemal widzę, jak się porusza, jakby na dole coś się czało.

Włączam latarkę i kieruję światło w dół. Widzę gołe otynkowane ściany, metalową poręcz i betonowe schody, które ciągną się w nieskończoność. Nie mają końca, prowadzą prosto do piekła. Nagle górny stopień, ten, na którym stoję, ustępuje i upadam. Kiedy sięgam do poręczy, latarka wypada mi z dłoni i ze stukotem spada ze schodów. Ramię mam wykręcone, głową uderzyłam w ścianę, ale nie spadłam. Nie śmiem puścić poręczy, patrzę za siebie na górny stopień. Jest nietknięty. Po prostu straciłam równowagę.

Na końcu schodów, a więc gdzieś się kończą, widzę, jakieś dwadzieścia schodków pode mną, promień latarki oświetlający poplamioną wilgocią, zakurzoną kamienną posadzkę. Promień wskazuje drogę do syna.

Jeśli kiedykolwiek potrzebowałam odwagi, to właśnie teraz.

Moje siostry przesyłają mi z czterech rogów miasta każdy okruczeństwo i odwagi,

na jaki je stać. Nie miały czasu na dokładne przygotowania, więc musimy ograniczyć się do najprostszych rytuałów, odwiecznych zaklęć. W zasadzie modlą się za mnie, a ja to przyjmuję. Na trzecim stopniu w dół słyszę miauczenie.

Zamieram. Na dole jest ranne zwierzę i biadoli nad swoim bólem. Wyobrażam sobie, jak ku mnie pełźnie, jak wlecze wychudzone ciało po posadzce piwnicy, jak owija mi się wokół stóp i zatapia wygłodniałe zęby w moim ciele.

Na litość boską! Muszę wziąć się w garść. Z dołu słyszę mojego syna.

– Ben!

Kwilenie ustaje.

– Ben, to ja. Idę do ciebie. – Schodzę dalej. Jestem w połowie drogi, kiedy latarka gaśnie.

Idę, nie zatrzymuję się, teraz schodzę w całkowitą czerń, ale boję się, że jak się zatrzymam, to już nie pójdę dalej. Chyba pamiętam, że zostało jeszcze co najmniej dziewięć stopni. Schodzę ostrożnie na siódmy stopień, a potem wiem, że doszłam do samego dołu, bo posadzka piwnicy jest inna pod stopami.

Patrzę do góry, na otwarte drzwi, ale korytarz był bardzo słabo oświetlony i niewyraźne światło nie dociera do mnie. Nachylam się, szukam latarki i próbuję znowu ją zapalić, ale upadając, zepsuła się. Muszę znaleźć Bena w całkowitej ciemności.

Jeśli teraz nadejdą, oboje jesteśmy w pułapce, bezbronni w ciemności.

– Ben – próbuję. – Jestem tutaj, ale cię nie widzę. Słyszysz mnie, dziecko kochane?

Znów te dźwięki, piskliwe łkanie, którego nie potrafię skojarzyć z moim wysokim, silnym synem. Zmuszam się, żeby odwrócić się w stronę, z której dochodzą dźwięki, robię krok do przodu, potem drugi, ale trudno jest się ruszać, kiedy w każdej chwili można trafić na ceglany mur, spadziznę, albo twarz z wyszczerzonymi zębami.

Drzwi nade mną zamykają się z trzaskiem.

Teraz ja kwilę, muszę zachować spokój. Ben jest gdzieś tutaj, potrzebuje mnie, ale silnej. Znów słyszę miauczenie, ale z zupełnie innego miejsca. Odwracam się w tamtą stronę i robię krok, ale straciłam poczucie kierunku. Nie wiem, gdzie są schody ani skąd wcześniej dochodził ten dźwięk.

– Ben?

Wydaje ohydny dźwięk, jakby to nie był on, tylko wstrętny, pełzający stwór z moich koszmarów. Dźwięk dochodzi ze wszystkich stron, jakby w piwnicy było echo. Już nie wiem, czy mam zamknięte, czy otwarte oczy, ale wyobraźnia podsuwa mi obrazy pełzających stworów. Drapią pazurami o posadzkę, mają wielkie mleczone oczy, które widzą w ciemności. Słyszę je, słyszę dźwięki wydawane przez ich kościste ciała wlokące się po szorstkiej podłodze.

Wygrywają. Mistrzowie zwyciężają.

Słyszę dźwięki dobiegające z góry, wyrzucam je z myśli.

– Ben! – Znajduję siły, żeby się odezwać. – Ben, słuchaj moich słów. Musisz coś zrobić, to bardzo ważne. Pamiętasz, jak byłeś mały? Kiedy bawiliśmy się w chowanego? Udawałeś myszkę, pamiętasz? I piszczałeś jak myszka, a ja przychodziłam i znajdowałam cię? Chcę, żeby teraz to zrobił. Piszcz jak mysz, Ben. Tak jak to robiłeś, kiedy byłeś mały.

Cisza przez sekundę, dwie...

Potem.

– Iii!

Tak. Robię krok, kolejny krok.

– Już idę, dziecko kochane – mówię.

– Iii!

Nie tak piszczał kiedyś, ale przypominam sobie, że kiedy mnie tu zamknęli, byłam zakneblowana. Ben stara się, jak może. Piszczy, robię kilka kroków naprzód, przypominam sobie czas, gdy jedyną rzeczą na świecie, która się liczyła, był maleńki człowieczek oddany pod moje skrzydła. Ben i ja byliśmy wtedy dla siebie wszystkim. Świat istniał tylko dla nas dwojga, a odkąd zaczął chodzić, do chwili, gdy poszedł do szkoły, bawiliśmy się w chowanego.

– Tak trzymaj – mówię. – Już prawie jestem – i wiem, że mówię prawdę, bo piski są coraz głośniejsze i bliższe. Wtedy dotykam stopą czegoś miękkiego, padam na kolana i łapię go za nogę. Przejeżdżam palcami do jego stóp i czuję, że w kostkach obwiązany jest taśmą, potem sprawdzam ramiona. Są związane taśmą za jego plecami. Siedzi. Znajduję jego twarz i mocno ją chwytam, otaczam głowę dłońmi. Na sekundę odsuwam dłonie, żeby znaleźć nóż.

Najpierw przecinam taśmę na nogach, żeby mógł biec, potem na przegubach, żeby mógł walczyć. Wreszcie pomagam mu zderzyć taśmę z ust, żeby mógł mówić.

Cicho jęczy i opiera się o mnie. Żyje. Mam go, ale mistrzowie gdzieś tu są.

– Ben, możesz wstać? Musimy się stąd wynosić.

Otaczam go ramieniem i próbuję postawić w pionie. Nie miałam pojęcia, jak ciężki zrobił się mój syn, ale po paru próbach, kiedy nogi rozchodzą mu się, jak u nowo narodzonego żrebaka, udaje mu się wstać i oprzeć o mnie.

Otacza nas czerń, nie mam pojęcia, jak stąd wyjść.

– Avril, pomóż mi!

Nie chcę krzyczeć. Tak rozpaczliwie pragnę wydawać się silna mojemu dziecku, ale nie mogę się powstrzymać. Żeby zająć tak daleko i utknąć tu z nim, umrzeć po wszystkim, przez co przeszedł.

– Za bardzo – kracze, stojąc obok mnie.

Próbuję nie płakać. Ma rację. Przez wszystkie te lata za bardzo walczyłam z szaleństwem. Straciłam część duszy w tej piwnicy, a teraz znów do niej trafiłam. Tonę.

– Za bardzo – powtarza, tylko, że tym razem to nie przypomina tego słowa, raczej...

– Zapałki – mówi głosem czystym jak kryształowy dzwon. – Masz zapałki, mamo.

Zgadza się. W torbie mam zapałki. Nawet świece. Mówię, żeby się mnie przytrzymał, i grzebię w torbie. Znajduję zapałki. Zapalam jedną, w świetle, które daje jej ogieniek, widzę schody nie dalej niż trzy metry ode mnie. Jesteśmy w połowie drogi do nich, kiedy zapałka parzy mnie w palce i gaśnie. Przy drugiej dochodzimy do stopni i zaczynamy na nie wchodzić.

To tylko przeciąg zamknął drzwi. Możemy wyjść. Potykając się, idziemy korytarzem, podtrzymujemy się nawzajem, wypadamy na dwór przez wyjście przeciwpożarowe. Ciągnę go do bramy głównej, żeby przez pręty znów zobaczyć świat.

Dopiero wtedy, kiedy jesteśmy bezpieczni, poza ich zasięgiem, dzwonię na policję.

Bena zabrali prosto do szpitala w Burnley. W karetce jest tyle światła, że widzę jego poszarzałą, zaciśniętą twarz i drżące kończyny. Pierwsze, co robię, to podnoszę jego dłonie i liczę palce. Dziesięć, Bogu dzięki. Wyrywa je i wsadza pod pachy.

Chcę, żeby płakał, bo płacz to reakcja zdrowej na umyśle osoby, ale Ben nie płacze.

Szybko prowadzą nas na oddział ratunkowy. Pojawia się Brian Rushton, a ja opowiadam mu, jak w starej teczce zobaczyłam zdjęcie przędzalni i rozgryzłam sprawę. Mówię, że nikogo tam nie widziałam, że nie mam pojęcia, kto porwał syna. Brian mówi, że cała przędzalnia została otoczona taśmą policyjną i uznana za miejsce zbrodni. Będą chcieli porozmawiać z Benem, ale mogą poczekać do jutra.

Ben jest podrapany i posiniaczony, podejrzewa się wstrząśnienie mózgu, ale według lekarzy, którzy się nim zajęli, nie powinnam się obawiać długotrwałych skutków. W każdym razie fizycznych. Mówią o pomocy psychologa i proponują kontakty, ale informuję ich, że zabieram go, gdy to tylko będzie możliwe.

– Proszę nie bagatelizować wpływu takiego zdarzenia na młody umysł – mówi lekarz, jakby właśnie mnie trzeba było tłumaczyć, jakie są długoterminowe skutki traumatycznych przeżyć. Kiedy myślę, że Ben przeżył to co ja, w tej samej piwnicy, jestem zaskoczona, że tyle jest we mnie wściekłości.

Jest druga nad ranem. Personel szpitala musi być zaskoczony tłumem idącym w naszą stronę, gdy z lekarzem wychodzimy od Bena, który wreszcie zasnął.

Daphne, mniejsza i grubsza, ale bez wątpienia ona, idzie ku nam obok Avril, za nimi idą pozostałe kobiety. Z tyłu, między żoną a siostrą idzie Dwane. Daphne obejmuje mnie, pozostałe zbierają się wokół nas, cisną się, dzielą się resztkami energii, która im pozostała. Czuję, jak ich siły życiowe wpływają we mnie, jakby wiedziały o moich nocnych przejściach.

– Nie chcę zostawiać Bena – zwracam się do Avril i Daphne. – Boję się go

zostawić.

Avril dotyka mojego ramienia. To gest solidarności, nie pocieszenia.

– Moja droga – mówi. – Będziemy tutaj, póki nie wrócisz. Nie ma znaczenia, jak długo to będzie trwało.

Dwane odchodzi od naszego stadka i staje przy drzwiach do salki Bena. Szeroko rozstawił nogi, ramiona założył na piersi. Patrzy przed siebie, jak gwardzista prezydenta Liliputów, a ja wiem, że raczej umrze, niż wpuści na salę niechcianą osobę. Kobiety siadają w korytarzu, przyciągają krzesła bliżej siebie. Zajmują miejsca wokół drzwi. Mój śpiący syn jest bezpieczny.

– Florence, jesteś pewna? – szepce Avril, a ja wiem, że wbrew wszystkiemu chce, żebym zmieniła zdanie.

Idąc szpitalnym korytarzem, wydaję komórkę i wpisuję tekst.

„Masz ochotę popływać?”

Tak, jak się spodziewałam, pierwsza docieram nad Black Tarn. Dziś wieczór policja ma mnóstwo roboty, a on nie da sobie z tym szybko rady. Wyjmuję koc z samochodu, wino i plastikowe kubki, które kupiłam na całodobowej stacji benzynowej. Czekam nad wodą, nabieram dłonią gęsty, gliniasty muł z brzegu jeziora, wyglądam go, kształtuję, dodaję suchszej ziemi z brzegu, chcąc, żeby nabrał większej wytrzymałości. Nie jestem mistrzem, ale figurka, którą robię, nie musi mieć cech podobieństwa. Liczy się intencja. Muszę do tego podejść na poważnie.

I tak do tego podchodzę.

Czekam już prawie pół godziny, kiedy słyszę silnik samochodu. Chowam figurkę w trzinach, nachylam się i myję dłonie w wodzie jeziora. Otrząsam je z wody, gdy pojawia się samochód Toma.

Na kilka sekund oślepiają mnie światła wozu. Mam wrażenie, że to reflektory wyszukujące, i serce zaczyna mi szybciej bić. Nie widzę kierowcy. Potem światła gasną. Mrugam, żeby znów normalnie widzieć. Widzę zarys wysokiej postaci. Z samochodu wysiada Tom. Włączył muzykę, oczywiście, jak to on. I zostawił grające radio. Nie dziwi mnie, że to Simona i Garfunkela *Targ w Scarborough*. Podchodzi, zatrzymuje się metr ode mnie.

– Co z nim? – pyta.

– Śpi – mówię. – W otoczeniu uzbrojonej straży.

– Uzbrojonej?

– Miłością, odwagą i najlepszymi intencjami. – Patrzą, jak jego zdziwiona mina przeradza się w uśmiech.

– Jesteś niesamowita, wiesz? Trzydzieści lat i nadal zostawiasz nas w tyle.

– Napijesz się? – pytam.

Kiwa głową. Siadamy. Nalewam wina. Tom mówi mi, co się dzieje w przędzalni. Znaleźli świeże ślady, rano prześledzą to, czego dowiedzieli się od

świadków, i oczywiście mają nadzieję, że zeznanie Bena bardzo im pomoże.

Mówię, że nie pozwoliłam na przesłuchiwanie Bena. Tom odpręży się. Przyglądam się jego marynarce, szukam ukrytej broni, ale niczego nie dostrzegam. Ale i tak narasta w nim energia. Sprawdzam, czy torbę mam w zasięgu ręki.

– Wierzysz w starą historię, że kobiety chrzczone w tej wodzie służyły dwóm panom? – pytam, gdy patrzymy na nieruchome czarne jezioro.

– A ty? – W jego głosie słyszę coś, co każe mi bardzo uważać.

– Wierzę, że kobiety chrzczone w tym jeziorze, bardzo się zmieniają – mówię. Jego niebieskie oczy wyglądają, jakby były czarne.

– Jeśli się zmieniłaś, to dlatego, że prowadziłaś bardzo złą sprawę i mało cię nie zabił maniak. – Twarz mu łagodnieje, uśmiecha się. – Ale teraz, Floss, muszę ci powiedzieć, że nie zmieniłaś się przez te trzydzieści lat. Przysięgam. To chyba przez światło księżyca.

– Nie ma księżyca.

– Nie zauważyłem.

Pochyla się i całuje mnie. Pozwalam mu na to, bo jakaś część mnie zawsze kochała Toma i zawsze będzie go kochać. Pozwalam mu, bo kiedy ostatnim razem tu siedzieliśmy, tak jak teraz, byłam kobietą całą i nieuszkodzoną, kobietą, dla której świat był pełen cudownych i ekscytujących możliwości. Przez sekundę, dwie, znów chcę być tamtą dziewczyną.

Odsuwamy się od siebie. On się uśmiecha. Odwzajemniam ten uśmiech. Sięga do mnie, a ja wiem, że tym razem chce złapać mnie za gardło. Nie jak przyjaciel.

Puszczam na niego gaz.

Gaz łzawiący jest zdumiewająco skuteczny.

Celuję w klatkę, tak jak mnie uczono przed laty, kiedy nadal miałam kontakt z nieprzewidywalnym tłumem. Strumień płynu trafia w cel i natychmiast paruje, wywołując u Toma niewyobrażalny ból przez kolejne kilka minut. Błyskawicznie wstaję, bo nie chcę, żeby chmura gazu dotarła także do mnie. Tom przewraca się do przodu i łapie za oczy, chociaż zapewne wie, że to najgorsze, co może zrobić. Muszę szybko działać. Rzucam go twarzą do ziemi i skuwam mu ręce za plecami. Potem, bo jak dojdzie do siebie, może zacząć kopać, zawiązuję mu wokół kostek nylonową linkę z szopy Larry'ego. Łapię go za kołnierz i ciągnę z powrotem do samochodu.

Nie jest łatwo wepchnąć mężczyznę rozmiarów Toma do bagażnika, ale tej nocy dawałam sobie radę z większymi przeszkodami, i jestem zdeterminowana, żeby to zrobić. Oczywiście, próbuje ze mną walczyć, ale nadal jest słaby i roztrzęsiony po porcji gazu.

– Co ty, kurwa, robisz? Zwariowałaś? – wypluwa z siebie, kiedy znów może mówić.

– Jestem kobietą, którą ze mnie zrobiłeś – odpowiadam. – Kiedy zamknąłeś mnie w tamtej piwnicy, odciąłeś palec i tak przestraszyłeś, że mało nie zwariowałam.

Robi niewiarygodną minę, ale nadal widzę strach w jego oczach.

– Floss, źle to zrozumiałaś.

– Znaleźliśmy twoje odciski palców na zdjęciach z domu Glassbrooków – mówię. – Przesłałeś Larry’emu te fotografie. Wiedziałaś, co pomyśli: że Luna jest winna. Podłożyłeś dowody, które go wrobiły.

Kręci głową. Oczy ma czerwone, leją się z nich potoki łez.

– Kiedy wieczorem byliśmy w tym domu, nosiliśmy rękawiczki – mówię. – Twoje odciski palców nie mogły się znaleźć na zdjęciach, chyba że dotykałeś ich trzydzieści lat temu. Teraz jesteś znacznie ostrożniejszym policjantem niż wtedy.

Wierzga, próbuje usiąść. Popycham go łomem Larry’ego.

– Masz jedną szansę, żebym zmieniła zdanie. – Kłamię. Tom nie ma szans. Nie przeżyje najbliższych kilku minut, ale nadal potrzebuję informacji. – Podaj nazwiska pozostałych mistrzów.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Domyślam się, że wtedy byli to Roy Greenwood i David Milner – mówię. – Greenwood miał dostęp do domu pogrzebowego. Milner interesował się garncarstwem, a obaj należeli do sabatu Daphne i Avril. Greenwood oczywiście nie żyje, więc ktoś musiał go zastąpić. Na pewno Charles Labaddee. Może John Earnshaw. Ilu jeszcze?

Znów się szarpie, żeby usiąść. Nie mam wyboru, walę go mocno łomem. Celuję w ramię, bo chcę, żeby był przytomny. Upada.

– Powiedziałabym, że razem było siedmiu, ale wiem, że typowy sabat liczy trzynaścioro członków, ale trzynaścioro, to mnóstwo ludzi, którym trzeba zaufać, kiedy chodzi o czarną magię. Siedem to najbliższa właściwa liczba. – Ty, Charles, Milner, o ile jeszcze żyje. Kto jeszcze? Podaj cztery nazwiska.

– Zabiją cię. – Uśmiecha się szyderczo.

Nachylam się do niego.

– Niech spróbują.

Udawanie się skończyło. Wyciągam nóż Larry’ego i robię Tomowi nacięcie nad kością policzkową. Klnie, wierzga w bagażniku. Jeśli się uwolni, nasza pozycja zmieni się w ciągu sekund, ale prawie skończyłam. Wracam nad jezioro, znajduję glinianą figurkę, jeszcze wilgotną i miękką. Smaruję ją krwią Toma. Kiedy wracam do samochodu, Tom do połowy uwolnił się z bagażnika, więc znów pryskam w niego gazem.

Kiedy odzyskuje wzrok, pokazuję mu figurkę, odwzorowanie jego samego. Widzę przerażenie w jego oczach, wiem, że uwierzył. Zaczyna krzyczeć, gdy wkładam figurkę do bagażnika, ale oboje wiemy, że nikt go tutaj nie usłyszy. Siadam za kierownicą, włączam silnik i dojeżdżam do skraju jeziora. Wsiadam.

– Ostatnia szansa – znów kłamię.

Pluje na mnie.

– Będę cię nawiedzał – mówi.

– Och, liczę na to. – Wpycham go głębiej, zamykam bagażnik i przekręcam klucz. Znów zapalam silnik i zwalням hamulec ręczny. Samochód toczy się do przodu. Tom znów kopie i wali od środka w bagażnik. Chyba widzę, jak metal się deformuje.

Samochód jest już w wodzie i toczy się dalej, czarne fale płyną w stronę błotnistej brzegu, na którym stoję, ale grawitacja robi swoje. Jezioro jest bardzo głębokie.

Kiedy jedna trzecia samochodu jest pod wodą, zaczynam mówić. Jeszcze nie rzucałam zaklęcia wiążącego, ale nie tyle słowa się liczą, co intencja. Zaskakuje mnie, jak łatwo przychodzi mi wypowiadać słowa, których nigdy nie wypowiadałam.

– Przywiedź do mnie Thomasa, którego zrodziła Mary, syna Harolda – mówię.

Samochód ześlizguje się całkowicie w wodę i zaczyna płynąć. Bąbelki powietrza unoszą się wokół wozu, nadal słyszę, jak Tom wali w bagażnik i krzyczy, żeby go uwolnić. Jeśli Marlene nie pomyliła się, będzie tak robić przez wieczność.

– Przywlecż go za włosy, za wnętrzności, aż będzie blisko mnie – mówię – i niech mnie słucha przez całe moje życie, niech mnie kocha, pożąda i mówi, co

myśli.

Samochód tonie, jest coraz mniej baniek powietrza. Pozostaje ostatni blask srebra na powierzchni, ale on też znika. Stoję, póki woda się nie uspokoi. Potem zbieram swoje rzeczy i wracam.

Środa, 11 sierpnia 1999

Niebo jest zachmurzone, kiedy po raz drugi zbieramy się nad grobem Larry'ego Glassbrooka. Oczywiście nie nazywamy tego drugim pogrzebem. Nawet w Sabden wolimy grzebać naszych zmarłych tylko raz. Więc mówimy, że to prywatne modlitwy za rodzinę, i tym razem Sally z córkami stoją przy grobie i razem płaczą.

Ostry wiatr znad wrzosowisk owiewa nas, unosi włosy, wkrada się pod ubrania, kiedy ksiądz zaczyna mówić. Drzę, czuję potrzebę przyłgnięcia do kogoś, żeby się ogrzać, ale nikogo nie ma w pobliżu. Stoję sama.

Nie licząc wysokiego mężczyzny za mną. Czuję jego zimny oddech na szyi. Od niego nie spodziewam się ciepła.

– Dziękujemy ci teraz za całe jego życie – mówi ksiądz. – Za wspomnienie miłości i radości, za wszelkie dobro, które wyświadczył.

Po drugiej stronie grobu, nieco odsunięty od grupy, stoi Dwane. Łapię jego spojrzenie. Z jakiegoś powodu włożył dzisiaj stare ubranie kościelne. Opiera się o szpadel.

Słyszę ciężkie westchnięcie.

Tym razem są kwiaty. Sabat przybył obładowany nimi. Wiele pochodzi z ich ogrodów, inne zebrały na polach i pod krzewami.

Bylica, wierzba, kalina koralowa i malwa, kwiaty, które niosą ulgę w bólu, uspokajają, dają spokojny sen. Moje przyjaciółki, trzynaście wieźm, stoją teraz w kręgu wokół grobu, a kiedy spoglądam na ich twarze, widzę różne miny: smutek, wstyd, poczucie winy, ale przede wszystkim strach. Wiedzą, że są bezsilne. Że zawsze były bezsilnymi kobietami.

– Dziękujemy ci za jego życie i jego śmierć. Dziękujemy ci za spoczynek w Chrystusie, którego teraz doświadczasz.

Chmury nad nami rozsuwają się, słońce prześwieca między nimi, zalewając

cmentarz światłem. Pora nadal jest wczesna, słońce świeci spoza naszych pleców i pojawiają się cienie, łagodne na nagrobkach, ostre i rozchwiane na drzewach, człekokształtne i spokojne na kościele.

Wokół grobu zebrało się nas dwadzieścioro dwoje. Liczę cienie, jest ich dwadzieścia trzy.

Ledwie pozwoliłam na przesłuchanie, Ben wymienił nazwisko komisarza Toma Devine'a jako człowieka, który zadzwonił do jego pokoju, wkrótce po tym, jak wyszłam, zwabił go na parking pod pretekstem, że potrzebuję pomocy przy samochodzie, i stał obok, kiedy ktoś inny chwycił Bena od tyłu. Trwa poszukiwanie Toma Devine'a. Najczęściej przyjmowaną tezą jest, że opuścił miasto. Czy powiąże się go z trzema morderstwami sprzed trzydziestu lat, to sporna sprawa. Kiedy czekaliśmy na księdza, Brian Rushton wziął mnie na bok i szepnął, że tajemniczo zniknęły zdjęcia, które znaleźliśmy w domu Glassbrooka, te z odciskami palców Toma.

Tom nie działał sam.

„Będę cię nawiedzał”. Głos Toma tak jasno dźwięczy mi w głowie, że przez chwilę wydaje mi się, jakbym go naprawdę słyszała. Bezgłośnie odpowiadam i widzę, że Daphne i pozostałe obserwują mnie z drugiej strony grobu. Zaciskam usta i nakazuję sobie skupienie.

Ten inny mężczyzna, którego kocham – ten dobry – mój mąż Nick, przyjechał dzisiaj wcześniej rano. W małym, wynajętym samochodzie tłukł się po wrzosowiskach z lotniska w Manchesterze. Teraz nie pozwala się rozdzielić z Benem. Obaj dziwnie na mnie patrzą, prawie tak, jakby myśleli, że chcę ich porzucić. Na swój sposób już to zrobiłam. Ostatniej nocy przekroczyłam granicę i nigdy tak do końca nie przekroczę jej w drugą stronę.

– Dziękujemy ci za chwałę, którą będziemy dzielić. Jezu Chryste, Panie nasz, wysłuchaj naszych modlitw.

Wątpię, żeby przy grobie byli jacyś chrześcijanie, może Brian Rushton, ale posłusznie mamroczeni amen i ludzie zaczynają się rozchodzić. Najpierw Sally i dziewczyny, potem Ben z Nickiem, potem wiedźmy, wreszcie Brian i zostaję sama z moim małym przyjacielem.

Prawie sama.

– Gdyby się coś stało – mówię – zadzwoń. Wrócę.

Dwane nie odpowiada. Ani na mnie nie patrzy.

– Mogę pomóc – dodaję. – Już dowiedziałam się o mistrzach.

Ciało Dwane'a napina się, twarz mu się wykrzywia. Spogląda za mnie, na cmentarną bramę.

– Rodzina czeka. – Odwraca się do mnie tyłem i zaczyna wygładzać i tak perfekcyjny kopczyk.

Przy odległym zakątku cmentarza łapię kątem oka jakiś ruch. Odwracam się i widzę troje nastolatków siedzących na murze. Kopia piętami w kamienie, tak jak to robią dzieci, kiedy się nudzą. Przypominam sobie, jak niewiele brakowało, żeby mój syn był wśród nich.

Niczego nie żałuję.

Podnoszę rękę i macham. Każdy kto, to widzi, pomyśli, że macham do Dwane'a. Odwracam się i odchodzę. Dwa cienie, mój i ten, który będzie mnie nawiedzał przez resztę mojego życia, ruszają, dochodzą przede mną do ścieżki i podskakując, idą po żwirze tam, gdzie czeka mój mąż z synem. Zainteresowało mnie to. Ciekawi mnie, co będzie dalej.

– Cieszę się, że ze mną jesteś – mówię.

– Na zawsze – odpowiada Tom.

Od Autorki

Sabden, położone u stóp Pendle Hill w Lancashire, to prawdziwa miejscowość, raczej niepodobna do miasta Sabden z książki. Żeby moja opowieść miała siłę nośną, potrzebne mi było miasto, nie wieś. Potrzebne mi były liczne ulice, sklepy, puby i fabryki, dobrze zaopatrzona biblioteka miejska i równie dobrze obsadzony komisariat. Potrzebne mi były parki miejskie, wspaniałe wiktoriańskie budowle i mnóstwo cmentarzy.

Wzorem dla mojego Sabden było odległe o kilka kilometrów miasto Darwen. Tam się urodziłam i wychowałam. Mieszkańcy Darwen rozpoznają zapewne wiele charakterystycznych obiektów i ulic, które utarowały sobie drogę do książki. Jeśli to konieczne, przepraszam zarówno mieszkańców Sabden, jak i Darwen.

Fakty historyczne dotyczące procesów czarownic z 1612 roku są poprawnie przedstawione według mojej najlepszej wiedzy.

Podziękowania

Dziękuję Samowi Eadesowi i zespołom z wydawnictw Trapeze i Orion za ich zaufanie i wsparcie.

Anne Marie Doulton i jej kolegom z agencji Ampersand i Buckman za mądre rady i niezmożone wysiłki. Mojemu staremu przyjacielowi Johnowi Wilcockowi za to, że pomógł mi zrozumieć, co robią wiedźmy. Mojemu nieco nowszemu przyjacielowi Adrianowi Summonsowi za to, że cofnął się myślą do pracy policyjnej z lat sześćdziesiątych. Killer Women za to, że pozwoliły mi wstąpić do najfajniejszego klubu w mieście. Tym, którzy włączą się wokół miejsc zbrodni. I wreszcie mojej rodzinie, która pomogła mi bardziej, niż sobie to wyobraża.